

ANNA ROZENBERG

Mroczna przeszłość powraca zawsze w najmniej
oczekiwanym momencie

MAŠKI POŠMIERTNE



MASKI POŚMIERTNE

ANNA ROZENBERG

**MASKI
POŚMIERTNE**



Copyright © Anna Rozenberg, 2021

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktorzy prowadzący: Adrian Tomczyk, Agata Ługowska

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Aleksandra Deskur

Korekta: Karolina Borowiec-Pieniak, Marta Akuszevska

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografia na okładce: © bdauid32 | Shutterstock

Fotografia autorki na skrzydełku: Dominik Tamioła

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66736-74-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Lenie – za miłość i cierpliwość
Pawłowi – za miłość i ołówki

PROLOG

Wiatr coraz silniejszymi uderzeniami zwiastował nadchodzący sztorm. Ben Taylor podejrzewał, że jeszcze jedna taka burza i stróżówka pójdzie na szmelc. Śmierdząca pleśnią i rybim mięsem buda była jego drugim domem.

Stojąc przy kuchence gazowej, nad którą próbował ogrzać skostniałe dłonie, wspiał się na palce, by dostrzec koniec molo. Bezskutecznie. Naciągnął mocnej czapkę i wyjął ze starej, sfatygowanej torby kanapkę, od dziesięciu lat taką samą. Przeżuwając kęs za kęsem, czuł znajomy smak: dojrzały cheddar, szynka i pomidor. Stara Emma, jego poczciwa stara Emma, popadła w rutynę. Jak cała ich egzystencja.

Nie narzekał. W jego wieku stabilne życie było towarem tyleż pożądanym, co deficytowym. W Crown & Anchor, gdzie co tydzień spotykał się z dawnymi kumplami z kutra, wciąż słychać było pełne żalu głosy tych, którym nie wyszło. Robota poławiacza krabów była świetnie płatna i śmiertelnie niebezpieczna. Wielu odeszło na renty, nim zdążyło spłacić kredyty zaciągnięte na dom, na które tylko w teorii było ich stać. O ubezpieczeniach wtedy mało kto myślał. Bez domu i żony, która zwinęła się przy pierwszych problemach, mężczyźni kończyli marnie.

Wielu z nich wraz ze smartfonami odkryło jednak aplikacje randkowe. Stary bosman z obrzydzeniem pomyślał, że w ostatecznym rozrachunku służą one wyłącznie do jednego.

Doświadczenie mówiło mu, że pod pancerzem rubasznego rehotu i szowinistycznych tekstów koledzy ukrywali samotność.

Ben był szczęściarzem. Miał swoją kanciapę i wolne od kredytów konto, na które co miesiąc wpływała pensja wystarczająca na ten cholerny ser, a także na szynkę, a nawet na pomidora. Wbrew pozorom nudna kanapka z rąk nudnej Emmy miała smak szczęścia.

Usiadł na drewnianym stołku i drżącymi dłońmi złapał za dratwę. Pewnie wykonał pierwsze szycie w sieci. Rozkapryszona ostatnio pogoda dostarczała mu wiele pracy. Poławiacze krabów wprost zasypywali go robotą. Może dzięki temu będzie mógł kupić Emmie tę torebkę w sklepie Marks & Spencer?

Podniósł na chwilę głowę, by dać odpocząć mięśniom szyi, i wyjrzał przez okno. Jego wątle, starcze ciało przeszedł dreszcz. Musiało być bardzo późno, bo czuł się, jakby piasek dostał mu się pod powieki. Przetarł suche oczy, ale wciąż to widział. Gdy niebo rozświetliła błyskawica, wiedział już, że nie może być mowy o pomyłce. Zerwał z kołka sztormiak i wyszedł na zalane wodą molo. Podmuch lodowatego powietrza natychmiast rzucił go na ścianę stróżówki. Chciał krzyknąć, ale wiatr wypełnił mu usta. Zrobił krok do przodu, poślizgnął się i upadł. Potworny ból rozsadził mu czaszkę. Chciał się podnieść, ale było już za późno.

Człowiek na końcu molo rozpostarł ramiona niczym skrzydła i skoczył.

Zanim Ben Taylor stracił przytomność, usłyszał przy głowie tupot ciężkich butów.

ROZDZIAŁ I

Niedziela, 6.10.2013

Zawieszona między gałęziami drzew mgła od kilku godzin nie mogła opuścić miasteczka. Żaden z pogrążonych w niedzielnym śnie mieszkańców niewielkiego Woking nie przypuszczał, że za oknami jego ciepłego domu przejeżdżają kolejne radiowozy. Odbijające się w zaparowanych szybach niebieskie światła sprawiały wrażenie, jakby ktoś przedwcześnie włączył świąteczną iluminację.

Inspektor David Redfern zakładał w pośpiechu buty. Trzymając w ustach zeschniętą kanapkę, której nie dojadł poprzedniego wieczora, wiązał sznurowadła i cicho klął pod nosem. Nie miał czasu spojrzeć na panoramę miasta za oknem, iskrzącą się w porannych promieniach słońca. Kilkanaście minut temu odebrał telefon, który sprawił, że pierwszy raz, odkąd wprowadził się tutaj, poczuł dreszcz emocji.

Zatrzasnął drzwi i nie czekając na windę, rzucił się biegiem po schodach bloku. Budynek przy ulicy Constitution Hill był najwyższy w tym małym podlondyńskim miasteczku.

Ciepła dotąd jesień zaskoczyła go fantazyjnymi malunkami szronu na szybach samochodów. Ze złością się zorientował, że skrobaczka, którą woził w skrzynce narzędziowej swojego triumpha GT6, zniknęła. Wbrew przepisom uruchomił silnik. Czekając, aż szron ustąpi pod naporem ciepłego powietrza z dmuchaw, rozmyślał o lakonicznej komunikacji od dyżurnego: mieszkańcy eleganckiej

dzielnicy Mayford zgłosili znalezienie zwłok kobiety, której podejrznięto gardło. Całej reszty miał się dowiedzieć na miejscu.

Włączając się do ruchu na Guildford Road, przepuścił zdezelowanego vana. Gdy wtoczył się na drogę, coś nagle pacnęło o szybę i szybko odleciało. Wydawało mu się, że widział czerwoną różę, ale przypisał to kolejnej nieprzespanej nocy. Jednak kiedy tuż przed maską roztrzaskała się ceramiczna doniczka, nie miał już wątpliwości. Z otwartych drzwi vana kolorowym trenem wypadały kwiaty. Redfern zredukował bieg i wyprzedzając beztroskiego kierowcę, dał mu znak, by zjechał na pobocze.

– Czy pan oszalał? – zaatakował siedzącego za kierownicą staruszek, kiedy tylko dopadł do furgonetki.

– Co się stało?

– O mało mnie pan nie zabił! – usiłował przekrzyknąć przejeżdżającą obok ciężarówkę. – Ma pan otwarte drzwi! Wszystko leci na ulicę.

– O rany boskie! Moje kwiaty! – Mężczyzna złapał się za głowę, po czym wybiegł z samochodu.

– Za brak zabezpieczenia ładunku powinien pan dostać mandat! – huczał Redfern, ale staruszek nie zwracał na niego uwagi, próbując pozbierać z drogi rośliny.

Inspektor wiedział, że niewiele z nich da się uratować. Patrzył na zrozpaczonego starszego człowieka, który zbierał je niezgrabnymi ruchami. Po chwili miał całe naręcze. Poprawiał je z czułością, ale główki kwiatów chyliły się ku ziemi. Redfernowi zrobiło się smutno i wbrew rozsądkowi zaczął razem z nim zbierać rośliny i wkładać je do auta.

– Wiozłem je na targ do Guildford. Mam szklarnię w Chobham. – Mężczyzna wskazał na furgonetkę z pożółkłym napisem „Longacres Garden Shop”. – Tak zarabiam na chleb. Ale stara głowa już nie taka jak dawniej. Mandat, pan mówi? Mnie już wszystko jedno – powiedział zrezygnowany, patrząc na usłaną kwiatami drogę.

– To nie głowa zawiodła, tylko zamek – skwitował Redfern, wskazując na wyłamana kłamkę.

– Faktycznie. – Staruszek pokiwał siwą głową. – Tak czy inaczej na targ nie dojadę.

– Niech pan poczeka.

Redfern podbiegł do triumpha i wyciągnął z bagażnika skrzynkę z narzędziami, jaką ma każdy posiadacz starego samochodu. Wibrująca w kieszeni komórka przypomniła mu, że powinien już być na miejscu zbrodni, ale było mu żal tego człowieka. Szybko znalazł duży śrubokręt i młotek i wrócił do furgonetki. Postukał w poluzowaną blachę i przykręcił klamkę.

– Jest pan z policji? – Staruszek spojrział z przestraszonym na otwarty bagażnik, w którym spoczywała charakterystyczna odblaskowa kamizelka. – No to teraz mandat murowany.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – David uśmiechnął się i zatrzasnął klapę. – Proszę jechać. Będę jechał chwilę za panem, żeby się upewnić, że zamek nie puści. Mam po drodze.

– Dziękuję panu z całego serca. – Staruszek się ucieszył. – Gdyby pan kiedyś potrzebował kwiatów, na przykład na wesele, to proszę dać mi znać.

Na wesele, dobre sobie, zaśmiał się w duchu Redfern, ale przyjął od mężczyzny wizytówkę. Wsiadł do samochodu i poczekał, aż kwiaciarz go objedzie, po czym ruszył za nim i zjechał dopiero, gdy zobaczył drogowy znak na Mayford.

David Redfern doskonale znał to miejsce. Jadąc do Woking, często zatrzymywał się tu, by na ogromnych połaciach Pyle Hill jego suczka Harpia mogła się wybiegać. Zanim zabrała ją starość, pomyślał smutno. Sam spacerował wtedy wzdłuż grubej ściany drzew, która oddzielała pole od ruchliwej trasy na Guildford. Po przeciwnej stronie zza wysokiego żywopłotu zerkały na nich jedynie lukarny starej posiadłości.

Kiedy rzucona setki razy piłka tenisowa zmieniała się w przesiąkniętą śliną włochatą kulę, wracali do domu. Suczka niechętnie wchodziła do samochodu i nawet kiedy wjeżdżali już na Eagly Road, tęsknym wzrokiem patrzyła na znikającą za zakrętem zieleni.

– Egzekucja – usłyszał.

Posterunkowy Christopher Tinney ubrał w słowa to, co Redfern miał w głowie, odkąd zobaczył ciało. Jednak tym, co najmocniej przykuło uwagę starszego inspektora, nie było ani rozplątane, pełne

much gardło, ani posiniaczona, nabrzmiała twarz. U jego stóp leżała biała kobieta. Zwłoki ułożone w coś na kształt strzałki, której grot stanowiły łydki, nasuwały przypuszczenie, że w chwili śmierci musiała klęczeć przed oprawcą. Następnie jej odchylone do tyłu ciało poddało się grawitacji i upadło, zastygając w ten sposób. Detektywa zdziwiła jeszcze jedna rzecz. W tych okolicach aż roiło się od lisów, które z pewnością skorzystałyby z łatwego posiłku. Mimo to zwłoki pozostały nietknięte. David długo im się przyglądał, starając się zapamiętać każdy szczegół.

Kobieta w średnim wieku w ocenie Redferna w nieelegancki sposób żegnała się z młodością albo raczej kurczowo się jej trzymała. Ufarbowane na seledynowo, długie włosy, neonowe tipsy i liczne kolczyki w uchu sytuowały ją w szufladzie z napisem „Rycząca czterdziestka”. Usta i jedno oko miała otwarte, drugie, spuchnięte od uderzenia, przypominało śliwkę węgierkę. W rozdartej, odsłaniającej piersi bluzce i wąskiej jeansowej spódnicy wyglądała jak wyrzucona na brzeg syrena.

– Tak to wygląda. – Pokiwał bez przekonania głową. – Co ze świadkiem?

– Linda z nią pracuje. Kobieta jest w szoku.

– Dobra, nie będę im przeszkadzał. Linda najlepiej sobie z tym poradzi. A techniczni i reszta?

Tinney wzruszył ramionami i z rezygnacją odszedł w stronę radiowozu.

Błękitne dotąd niebo zasnuło się chmurami. Redfern poczuł na sobie pierwsze krople deszczu. Przeklął w duchu. W takich warunkach ślady będą znikać bardzo szybko. Ze złością pomyślał o patomorfologu, który powinien tu być jakieś piętnaście minut temu. Ted, mimo ogromnego talentu i jeszcze większego doświadczenia, miał mnóstwo wad. Między innymi opieszałość.

David kucnął przy denatce. Zajęte składaniem jaj muchy nie wzbiły się do lotu. Nie zrobił na nich wrażenia nawet padający coraz gęściej deszcz. Inspektor machnął nad nimi ręką, by móc przyjrzeć się ranie. Równe brzegi i klinowaty kształt sugerowały ostre narzędzie o gładkich krawędziach, nóż albo brzytwę. Albo coś bardziej fantastycznego. Redfern nie chciał spekulować.

Jego wzrok powędrował teraz do nienaturalnie ułożonych nóg i dalej, do ścieżki. Od ciała w tamtym kierunku biegły dwie linie. Prawdopodobnie kobieta była wleczona. Wstał i wolnym krokiem ruszył w stronę tak dobrze mu znanej ściany drzew. Nagle ślad się urwał, a w jego miejsce pojawiły się odciski butów. Głębokie i wyraźne. Niewiele myśląc, David ściągnął kurtkę i położył na wgłębieniach, by uchronić je przed ulewą.

Niosłeś ją, ale się zmęczyłeś, pomyślał, rozglądając się po łące w poszukiwaniu odpowiedzi, gdzie morderca zaczął swój makabryczny spacer.

Wreszcie to zobaczył. Tuż u wylotu na Pyle Hill Road, przy małej szutrowej zatoczce, niewielkie wgniecenie na rozmokłej ziemi i załamana pod dużym ciężarem trawa przyniosły odpowiedź. Na gałęziach krzewów dostrzegł maleńkie rozpryski krwi. Tu doszło do ataku.

Syrena pośrodku niczego. Sprawca albo wiedział, że tu znajdzie kobietę, albo też ją śledził.

Inspektor David Redfern odwrócił się w stronę nadjeżdżającego wozu techników. Zdawał sobie sprawę, że zatoczka jest najlepszym miejscem do zaparkowania, ale dał znak ręką, by kierowca zatrzymał się dalej. Możliwe, że mógłby zatrzeć ważne ślady.

– To tu, prawda? – Tinney miał niewątpliwy talent do bezszelestnego skradania się. – Tutaj ją napadnięto.

– Tak mi się wydaje. Tylko co ona tu robiła w środku nocy?

– Może szła od kogoś z Pyle Hill? Ostatecznie to dzielnica willowa. Może ktoś ją rozpozna?

– Znajdź kogoś z lokalnej straży miejskiej, podeślij mu zdjęcie, niech się przejdzie po tych domach. Na razie nie mamy nic.

– OK. – Posterunkowy wygrzebał z kieszeni telefon i ostrożnie poszedł w stronę zwłok.

Redfern odprowadził go wzrokiem. Wzdłuż drogi szli w jego kierunku technicy, taszcząc ze sobą walizki ze sprzętem. Tuż za nimi podążał Ted, najlepszy znany mu patolog.

– Wcześniej się nie dało? – mruknął na powitanie mężczyzna.

– Dało się, ale w pełnym słońcu mielibyście za łatwo. – Redfern przetarł ręką moką od deszczu twarz. – Teraz macie pole do popisu.

– Korek był.

– Trzeba było wcześniej się zebrać. Prokuratorka siedzi od kwadransa w samochodzie i dostaje szału.

– Nie mędrkuj, tylko mów, co mamy – uciął lekarz.

– Liczę na to, że ty mi powiesz, Ted – rzucił Redfern i poszedł w stronę karetki, w której miał nadzieję spotkać Lindę i świadka.

Szum deszczu nie zdołał zagłuszyć słów młodszego technika, który właśnie rozpakowywał sprzęt:

– Nie wiem, komu inspektorek wlaźł do dupy, że po tym wszystkim, co odpieprzył, przydzielili go tutaj.

Redfern przystanął w pół kroku. Wiedział, do czego tamten pije. Chciał coś odpowiedzieć, ale odpuścił. Ostatniego lata złożył obszernie zeznania w wydziale wewnętrznym i przed nikim więcej nie musiał się tłumaczyć. Z wyjątkiem własnego sumienia, które codziennie przypominało mu, że kilka miesięcy temu zastrzelił policjanta i najlepszego przyjaciela.

Kierowca żółtego vana szykował się do odjazdu. Pani świadek nie wymagała hospitalizacji, co najwyżej filiżanki herbaty. Ratownik wskazał Davidowi drogę do domu, w którym mieszkała.

Keep calm and drink a tea, pomyślał cierpko Redfern. Wiedział, że kobiecie długo będą się śniły sine, zakrwawione zwłoki. Każdej nocy jej mózg, niczym zacięta płyta, będzie odtwarzał ten obraz.

Posiadłość Little Wood sprawiała wrażenie wyjętej z odcinka *House of Cards*. Długi brukowany podjazd i dwa potężne skrzydła budynku idealnie nadawały się na scenerię popularnego ostatnio serialu. Zachęcony przez kolegów, Redfern obiecał sobie, że kiedyś znajdzie czas na obejrzenie go. Chociaż najpierw powinien wygospodarować choć chwilę, by kupić telewizor.

Tego problemu na pewno nie miała Donna French. Pokój, w którym Redfern siedział ze świadkiem, wyposażono w coś, co z powodzeniem mogłoby stanąć w Ambassadors Cinema w centrum Woking. Głowa Władimira Putina, który na oczach milionów właśnie odpalał olimpijski znicz, była wielkości piłki plażowej.

– Napije się pan herbaty? – zapytała pulchna, rudowłosa kobieta.

Miała twarz pogodną i miłą jak słońeczko z Teletubisiów, a głos niezwykle ciepły. W pierwszym odruchu Redfern pomyślał, że

pracuje w przedszkolu. Omal nie spadł z nowoczesnego skórzanego szezlonga, gdy się dowiedział, że jest dyrektorką więzienia dla kobiet w Send.

– Dziękuję – odparł, odrywając wzrok od prezydenta. – Chciałbym, żeby opowiedziała mi pani jeszcze raz, co wydarzyło się dziś rano.

– Może faktycznie powinnam streścić to panu, bo pana koleżanka wydawała się zupełnie nieobecna albo zszokowana moim odkryciem. To jej pierwsze morderstwo?

– Nie – odparł Redfern, usiłując ukryć zdziwienie. – Jest po prostu przemęczona. Wróćmy do sprawy, to znaczy do dzisiejszego ranka.

– Właściwie to wszystko zaczęło się w nocy – poprawiła go. – W pewnym momencie Jimmy, mój pies, zaczął ujadać. To było do niego niepodobne. Springer spaniele to raczej grzeczne psy.

– O której to było?

– Coś koło dziewiątej. Tak sędzę, ale nie patrzyłam na zegarek.

– Co wydarzyło się później?

– Jimmy nie dał się uspokoić, więc mąż go wypuścił. Zwykle tego nie robimy, bo...

Owszem, robicie, pomyślał Redfern.

– W każdym razie rano zastałam Jimmy’ego pod drzwiami garażu, z butem w pysku. Wydało mi się to bardzo dziwne. Pies był podekscytowany. Chociaż nie, to niewłaściwe słowo. On był zdenerwowany. Warczał i poszczekiwał, a gdy zrobiłam krok za próg, wystrzelił jak z procy w stronę pola. Poszłam za nim... – Urwała. – Pozwoli pan, że napiję się herbaty?

– Oczywiście. – David uśmiechnął się do niedawnych myśli.

Leżący obok kominka spaniel łypał na niego, nie podnosząc głowy. Redfernowi wydawało się, że oddychał ciężko i nierówno. Bez wątplenia był bohaterem tego śledztwa. Dzięki niemu kobieta uniknęła rozszarpania przez lisy, co z pewnością ułatwi pracę w zakładzie medycyny sądowej. David cmoknął przyjaźnie, na co zwierzę odpowiedziało kilkoma machnięciami ogona.

Jeśli pies coś wyczuł tego wieczora, to prawdopodobnie mają czas zgonu, koło dziewiątej, czyli nie tak późno, jak przypuszczał. A to już coś. Jeśli człowiek ze straży miejskiej będzie miał szczęście i ktoś rozpozna kobietę, śledztwo nabierze rozpędu. Wiedział, że jeśli będą

mieli do czynienia z nieznanymi zwłokami, to sprawa szybko trafi do archiwum.

Do salonu weszła Donna French, niosąc bogato zdobioną filiżankę, z której unosiła się para. Ostrożnie postawiła ją na marmurowym stoliku stojącym obok szeszlona i wróciła na fotel.

– Proszę lepiej nie cmokać. Jimmy jest bardzo nieufny wobec obcych.

– Właśnie widzę. Chciałbym, żeby wróciła pani jeszcze do wydarzeń wczorajszej nocy. Dlaczego nie poszliście państwo sprawdzić, co zdenerwowało psa?

– Myśleliśmy, że to sarna albo lis podeszły do ogrodzenia.

– Rozumiem. Nie wołała pani Jimmy'ego do domu na noc?

– Wołałam, ale nie przyszedł. – Upiła łyk herbaty. – Byłam jednak zbyt zmęczona, by na niego czekać. Noc była ciepła, więc spokojnie mógł zostać na dworze.

– W porządku. A co było rano?

– Tak jak mówiłam, Jimmy przyniósł but. Damski, zakrwawiony but. Pana koleżanka go zabrała.

Do oczu Donny napłynęły łzy. Usiłowała odstawić filiżankę, ale ta pobrękiwała nieznośnie o talerzyk, a uszko za nic nie chciało ześlizgnąć się z palca.

– To okropne, wie pan? – odezwała się. – Ona tam leżała taka sponiewierana, brudna i porzucona. Jak jakiś odpad, jakby jej życie nie było nic warte. – Otarła wierzchem dłoni oczy i dodała: – Jak pan zapewne wie, pracuję z kobietami z naprawdę bardzo różną przeszłością, ale uważam, że nikt, absolutnie nikt nie zasługuje na taką śmierć.

Chciał się z nią zgodzić, ale nie potrafił. W najodleglejszym zakamarku umysłu drgała mu myśl, że są ludzie, którzy jednak na nią zasługują. Pamiętał dokładnie jedną z pierwszych spraw w Narodowej Agencji do spraw Przystępności. Nawet w tej chwili mógł zamknąć oczy i odtworzyć obraz, z którym później mierzył się latami. Zwykły dom na Teddington, zwykły skórzany narożnik i siedząca na nim najzwyklejsza pięcioosobowa rodzina. Chłopczyk miał cztery lata, a dziewczynki – dziesięć i czternaście. Obok rodzice, szanowani obywatele. Wszyscy w piżamach i kapciach. Na stoliku

przed nimi pięć misek z niedojedzonymi płatkami. Czterolatek przyglądał się pluszowemu pieskowi na swoich kolankach, a reszta zapatrzyła się w żyrandol nad ich głowami. Zupełnie jakby Redfern trafił w sam środek sielankowego niedzielnego ranka. I tylko srebrna taśma na ustach psuła widok. Pięć zaklejonych twarzy i pięć strzałów z przyłożenia w czoło. Bez motywu, bez cienia litości, bez sensu. Sprawcą okazał się chory psychicznie człowiek, któremu rodzina Thain przypominała jego własną. Młodemu, niedoświadczonemu agentowi zamknięcie w zakładzie wydawało się karą niewspółmierną do zbrodni.

Teraz znów obudził się w nim podobny zew.

Donna French jakby czytała mu w myślach.

– Stoimy po dwóch stronach barykady, panie inspektorze. Pan i pana koledzy widzą przestępcę i jego czyn. Widzicie zbrodnię, łapiecie drania i odstawiacie sprawę na półkę. To jest chwilowe i w gruncie rzeczy bezosobowe. My w służbie więziennej latami oglądamy nie sprawę, a człowieka. Wie pan, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– No więc znalazłam tę biedaczkę na samym środku łąki, zakrwawioną, z obitą twarzą i podartymi rajstopami. Miała dziwnie podkurczone nogi, a wokół brzęczały nieznośne muchy. Była dziewięta trzydzieści jeden. Nic więcej nie wiem, panie Redfern – ucięła sucho.

– Czy mogę porozmawiać z pani mężem?

– Wyjechał nad ranem. O siódmej miał lot do Waszyngtonu.

– Nie mówił nic o dziwnym zachowaniu psa?

– Nie, napisał tylko SMS-a, że siedzi w samolocie.

– Niech się ze mną skontaktuje, gdy wróci. A na razie dziękuję. – Redfern położył wizytówkę na marmurowym stoliku i wyszedł.

David pożałował, że nie poszedł z technicznymi i nie kazał im zabezpieczyć w pierwszej kolejności śladu buta. Mógłby teraz szczelnie otulić się kurtką. Wiatr przenikał przez każdy otwór przesiąkniętego swetra i sprawiał, że inspektor trząsał się coraz mocniej. Ciemnoszare niebo nie pozostawiało złudzeń – będą pracowali w strugach wody do końca dnia.

Chłopaki zdążyły już rozstawić pawilon nad zwłokami, więc Ted skrzywił się, kiedy zobaczył policjanta.

– Co to była za popisowa? – zapytał, kiedy David podszedł do niego.

– O to samo chciałem zapytać – odparł. – Widziałeś, co się dzieje z pogodą. Nie mogliście szybciej się zebrać?

– Autobus trzydzieści pięć zepsuł się na samym środku ronda na Worplesdon. – Ted wzruszył ramionami. – Jesteśmy. Robota wre. Czego się czepiasz?

– Widziałeś ofiarę?

– Tak. Mnóstwo otarć, uderzenie w twarz, poderżnięte gardło.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć?

– Niewiele. Między nami mówiąc, stawiałbym na przecięcie tętnicy szyjnej ostrym narzędziem. Potwierdzę w laboratorium. Czas zgonu: w bardzo dużym przybliżeniu dwanaście godzin temu. A! I z tylnej kieszeni sukienki wystawało to.

– Spódnicy.

– Co?

– Ona ma na sobie spódnicę.

– Od razu widać, że byłeś żonaty – skwitował z przekąsem Ted.

Nie, nie byłem, pomyślał Redfern i zrobiło mu się jeszcze zimniej. Ted trzymał na wyciągniętej dłoni plastikową torebkę ze znajomą zawartością.

– Karta hotelu Travelodge? A zatem przyjezdna.

– Albo prostytutka, która miała się spotkać z klientem. – Ted otaksował wzrokiem kobietę, która teraz leżała na brzuchu. – Stawiałbym na hotel w Guildford.

– Ty wiesz lepiej. Ostatecznie tam mieszkasz.

– Spieprzaj! – Ted zarechotał rubasznie.

Deszcz bębnił o brezentowy dach pawilonu, a ściekająca z niego woda tworzyła przezroczystą frankę. Redfern pożegnał się z patomorfologiem i szybko ją przekroczył, by uniknąć zalania. Ziemia pod nim się zapadała, gdy szedł w stronę kończących pracę techników. Ich szef, Matt Phillips, palił papierosa, chroniąc się pod rozłożystym dębem w narożniku pola.

– Przepraszam za tamtego. – Wskazał brodą na łysego technika, który klęczał przy szutrowej ścieżce. – Ma niewyparzony pysk. Nikt nie ma do ciebie pretensji, Dave. Wewnętrzni uznali, że to była obrona konieczna, a ja im wierzę. Poza tym z tego, co wiem, Adrian Bones nie był już twoim partnerem.

– Daruj sobie, Matt.

Technik wypuścił kłąb dymu i zdusił niedopałek o korę drzewa. Pet wylądował w pustej paczce marlboro. Spod pachy mężczyzna wyciągnął zabłoconą wiatrówkę inspektora i podał mu ją.

– Dobra robota – skwitował.

Daruj sobie, powtórzył w myślach Redfern.

– Macie coś?

– Nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni, jeśli o to pytasz. Poza tym zdjęliśmy ślady butów o dość małym rozmiarze oraz odciski trampek. Te drugie chyba zostawił świadek. Mamy też rozpryski na krzakach i trawie. Możliwe, że któreś nie będą należały do ofiary. Do tego zużyte kondomy, papierki po cukierkach i cały syf, który tylko udało nam się wygrzebać z tego błota. Mam nadzieję, że laboratorium coś z tego wywróży.

– A pies?

– Zgubił trop przy zatoczce. Najwyraźniej ofiara została tu przywieziona autem.

– Opony?

– Przy takim deszczu? Zapomnij. – Matt machnął ręką i odszedł w stronę reszty ekipy.

Z Dużą Elsą poszło mu szybko. Prokuratorka Bente Hansen nie zyskała swojego przydomku dzięki białemu warkoczowi, którym się szczyciła. Jeśli Ted potrafił być zimny i opryskliwy, to Norweżka była prawdziwą władczynią Krainy Lodu. Redfern miał na nią niezawodny sposób, którego nikt na komendzie nie potrafił pojąć, a już na pewno zastosować w praktyce. Za traktowanie z szacunkiem Elsa odwdzięczała się elastyczną współpracą.

Wsiadł do auta i przekręcił kluczyk. Triumph odpowiedział miłym pomrukiem, jakby dopiero co wyjechał z fabryki. Ostatnia regulacja gaźnika przyniosła efekty, ale Redfern nie mógł w pełni cieszyć się z dzieła własnych rąk. Włączył nawiewy i siedział nieruchomo,

patrząc przez przednią szybę na powoli pustoszące pole. Srebrny wyścig kropel deszczu rozmazywał obraz, ale nie przeszkadzało mu to. Myślał o bestialsko zamordowanej kobiecie. Ktoś znał Pyle Hill i wiedział, że nikt nie będzie mu tu przeszkadzał. Do najbliższych zabudowań było dwieście metrów, a przerośnięty żywopłot sięgał teraz górnej linii okien.

Najwyraźniej morderca to sprawdził. Przywiózł ofiarę, zaparkował, a następnie wymierzył potężny cios jakimś tępym narzędziem. Zadał sobie trud, by zanieść ją na sam środek pola i dopiero tam poderznąć gardło. Tuż przed śmiercią musiała odzyskać przytomność. Klęczała. Może błagała o litość, a może uklękała na rozkaz mordercy. Czy mu obciągnęła? Ściągnięte do połowy ud, rozdarte rajstopy mogły sugerować napaść na tle seksualnym. Do tego wszystkiego nie pasowała ogromna przestrzeń wzniesienia. Sprawcy zwykle atakowali swoje ofiary w ustronnym miejscu, a nie na środku nagiego pola.

W głowie Redferna jak neonowy szyld zaczęło pulsować jedno słowo. Przedstawienie. To była inscenizacja, którą mieli podziwiać.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie. Porucznik Linda Wall dała znak, żeby opuścić boczną szybę, co David natychmiast zrobił. Do samochodu wpadł lodowaty podmuch. Policjantka była blada i zziębnięta tak, że dygotała. Jej płomiennoruda grzywka podzieliła się na kilka brązowych strąków przyklejonych do czoła, z których kapiała woda. Przesiąknięta brązowa kurtka zdawała się ciążyć na wychudzonym ciele.

– Kiedy się zbieramy, starszy inspektorze? – zapytała.

Rozdrażnił go ten „inspektor”. Redfern pracował w Woking od dwóch miesięcy, ale nikt nie zamierzał z nim przejść na ty. Trzymali go na dystans i przy każdej okazji dawali mu to do zrozumienia. Jedyne Tinney, zwany przez wszystkich pieszczotliwie Puską, traktował go normalnie. Może dlatego, że jako posterunkowy częściej przebywał w terenie i nie miał okazji nasiąknąć plotkami.

– Oficjalnie nie prowadzę śledztwa, pani porucznik. To decyzja Malcolma Knighta. Jeśli o mnie chodzi, możemy się zebrać o szesnastej, by ustalić dalszy przebieg działań.

– W porządku. Przekażę reszcie – powiedziała sucho.

Redfern bał się, że w przypiływie tej niechęci jeszcze mu zasalutuje, ale nie zrobiła tego i po prostu odeszła. Zanim się odwróciła, David dostrzegł cień satysfakcji na jej twarzy. Dwanaście lat służby w Woking i wysoka ranga dawały jej gwarancję przejęcia śledztwa. Zresztą nie miałby nic przeciwko, by oddać się pod komendę świetnej policjantki.

Zasunął szybę i jeszcze przez chwilę się zastanawiał, co zrobić. Do zebrania zostały prawie dwie godziny. Nie mieli nic prócz karty hotelowej. Skoro i tak musiał stawić się na komendzie, postanowił zaryzykować i podjechać do Travelodge, który znajdował się dwie ulice od niej. Podejrzewał, że może nie spodobać się to zasadniczemu szefowi, ale wolał kuć żelazo, póki gorące.

W samochodzie zrobiło się gorąco, a smród mokrej wełny wypełnił wnętrze. Redfern poczuł się, jakby wraz z nim w aucie siedziało stado owiec. Ściągnął sweter i cisnął go na tylną wycieraczkę, choć najchętniej wyrzuciłby go przez okno. Przypomniawszy sobie, że w komendzie ma rozpinaną bluzę z kapturem. Jeśli nie trafi na korki, to zdąży po nią wejść.

Hotel Travelodge Central Woking pachniał nowością, która wcale nie była przyjemna dla nozdrzy. Zupełnie jakby farba na ścianach nie zdążyła wyschnąć, a świeżo położone wykładziny nie oddały jeszcze toksycznego zapachu fabryki. W centralnym punkcie hallu za granatowym kontuarem stała młoda brunetka. Prowadziła ożywioną rozmowę przez telefon. Na widok Redferna przyłożyła dłoń do słuchawki i wyszeptała, żeby chwilę poczekał.

Inspektor wykorzystał ten czas na przeczytanie kilku SMS-ów, które przyszły rano. Poza zdjęciem przesłanym przez posterunkowego Tinneya, ofertą Dominos Pizza i informacją o stanie konta nie było nic godnego uwagi. Ściągnął bluzę i oparł się o ladę.

Dziewczyna skończyła i odłożyła słuchawkę.

– Co za pogoda – skwitowała z uśmiechem szarą, pełną ciemnych zacieków koszulkę policjanta. – W czym mogę pomóc?

– Inspektor David Redfern, policja Woking. Chciałbym się dowiedzieć, czy w ostatnich dniach któryś z gości hotelowych nie wrócił na noc.

– Cóż... – zaczęła niepewnie kobieta – mieliśmy parę takich przypadków. Ludzie przyjeżdżają do Woking, bo to świetna baza wypadowa na Surrey Hills. Czasem zapuszczają się daleko i zostają w tamtejszych zajazdach. Zwykle dzwonią z informacją.

– A czy ktoś nie wrócił dzisiejszej nocy?

– Mam kilkanaście brakujących kart, ale nie wiem, czy goście spali w hotelu.

Redfern czuł, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Wyciągnął telefon z kieszeni i znalazł w galerii zdjęcie ofiary.

– Czy rozpoznaję pani tę kobietę?

Dziewczyna pobladła.

– To ta Polka – wyszeptwała. – Dwieście jedenaście.

– Proszę?

– Polka z pokoju dwieście jedenaście.

– Ma pani świetną pamięć.

– To dlatego, że było na nich parę skarg. Zachowywali się głośno.

– Zachowywali?

– Tak, bo ona przyjechała z mężem i wie pan, trochę poniosła ich fantazja. Przeszkadzali nocą innym gościom.

– Jak się nazywali?

Kobieta spojrzała na monitor i kliknęła kilka razy myszką.

– Bożena i Mariusz Sokolińscy. Przyjechali trzy dni temu. Mają też zarezerwowane miejsce na parkingu.

– Przyjechali samochodem?

– Na to wygląda. Biała toyota aygo.

– Kiedy widziała ich pani po raz ostatni?

– Przy zameldowaniu. Potem miałam wolne, ale może koleżanki, które miały późniejsze zmiany, coś pomogą.

– Czy może mi pani wydrukować ich rezerwację i zaprowadzić mnie do pokoju dwieście jedenaście?

– Oczywiście. Czy skan paszportów też zrobić?

– Bardzo proszę.

Dziewczyna po chwili podała Redfernowi wydruki. Przeszła przez kontuar i wskazała ręką szeroki korytarz, w którym znajdowała się winda.

Wjechali na drugie piętro i skierowali się w prawo. Przekroczyli drzwi przeciwpożarowe i znaleźli się w pajęczynie korytarzy. W jednym z bocznych David dostrzegł wózek sprzątaczkowy. Mijali kolejne pokoje, aż dotarli do celu. Recepcjonistka odruchowo zapukała, ale gdy nikt nie odpowiedział, otworzyła drzwi. Stanęli w pomieszczeniu, które wyglądało, jakby dopiero mieli się w nim pojawić pierwsi goście. Równie zaścielone łóżko sprawiało wrażenie odlanego z gipsu i wygładzonego ręką rzeźbiarza. Na granatowej wykładzinie Redfern nie dostrzegł nawet pyłku. Przy słabej wentylacji woń farby i detergentów stała się uciążliwa.

– Rozejrzę się – oznajmił.

– Oczywiście. Zostawię pana samego – powiedziała recepcjonistka i na ułamek sekundy stanęła w progu, jakby oczekiwała napiwku. Po chwili zniknęła.

Kiedy ucichły postukiwania obcasów, stłumione przez puszysty chodnik, Redfern zadzwonił do Dużej Elsy. Uprzejmie i rzeczowo przedstawił jej, co zamierza.

– To dziwne – przerwała mu. – Przed chwilą dzwoniła do mnie inspektor Linda Wall z prośbą o nakaz przeszukania hotelu w Guildford. Nie lubię, jak stroi się ze mnie żarty i pan, panie inspektorze, zdaje się, o tym wie.

– Oczywiście, pani prokurator. Możliwe, że zaszła jakaś pomyłka...

Najwyraźniej Linda potraktowała to śledztwo jak typowy wyścig szczurów. Policjant starał się znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie, które przekona prokuratorkę.

– Linda pojechała do Guildford sprawdzić trop karty znalezionej przy ofierze – kłamał gładko. – Może recepcjonistka okazała się służbistką...

– Nie obchodzą mnie wasze przepychanki – znów mu przerwała. – Proszę tylko, aby nie zawracać mi głowy bzdurami.

– Rozumiem. Potrzebuję technika.

– Proszę robić, co do pana należy, panie inspektorze. – Rozłączyła się.

Następne połączenie było do Matta. Dopiero skończyli na Pyle Hill, ale obiecał wysłać najbardziej wypoczętego technika.

Redfern wyszedł na korytarz i prześlizgnął się do wózka pełnego wiader, butelek, sprejów i papieru toaletowego. Obejrzał go dokładnie i po chwili znalazł to, czego szukał. Rozejrzał się, po czym zabrał małe kartonowe pudełko z rękawiczkami i kilka paczuszek jednorazowych czepków. Wrócił do pokoju i założył czepki na buty. Z rękawiczkami nie poszło mu tak łatwo. Dopiero drugą parę udało mu się wcisnąć na potężne dłonie.

Wszedł do łazienki, gdzie na umywalce dostrzegł dwie kosmetyczki, a właściwie dwa woreczki strunowe zapakowane po brzegi. W pierwszym znalazł standardowy ekwipunek turysty: pastę, dwie składane szczoteczki do zębów, kompaktowy dezodorant, maszynkę do golenia i grzebień. Damski odpowiednik mógł stanowić wyposażenie zakładu blacharskiego lub międzynarodowych targów kosmetycznych. Redfern nie podejrzewał, że litrowa torebka może pomieścić tyle szpachli, mazideł i innego badziewia. Najwyraźniej woreczek był tego samego zdania, bo z rozerwanego rogu wysypywał się fioletowy cień do powiek.

Sokolińscy przylecieli zatem do Anglii samolotem, a samochód musiał być z wypożyczalni, pomyślał.

Inspektor opuścił łazienkę i obejrzał pokój. Szafki nocne były puste, blat stolika czysty, a krzesła dosunięte. Dopiero w szafie odkrył małą kabinową walizkę. Na rączce miała przyklejoną naklejkę lotniska macierzystego – tuż nad wydłużonym kodem kreskowym widniał skrót KTW. Redfern nie musiał sprawdzać. Port Pyrzowice nieraz witał go mgłą lub porywistym wiatrem.

Położył bagaż na łóżku, załamując idealną powierzchnię białej kołdry. Otworzył go, mając nadzieję znaleźć dokumenty i choć trochę poznać Sokolińskich. Jednak poza kilkoma kolorowymi szmatami i reklamówką z brudną bielizną nie było w nim nic.

Do pokoju wszedł Matt.

– Niezły z ciebie Bear Grylls – skomentował strój Redferna.

– Improvizuj. Przystosowuj się. Przewycięzaj – zacytował podróżnika.

– Właśnie widzę. Szybko znalazłeś naszą delikwentkę.

Postawił zestaw oględzinowy na podłodze i zaczął naciągać biały kombinezon.

– Wysłuchałem rady Tada i zrobiłem dokładnie odwrotnie.

Czarny wąs Matta podniósł się, ukazując dwa rzędy żółtych zębów. Mężczyzna wydał przy tym z siebie coś pomiędzy kwiknięciem a skrzypnięciem drzwi.

– Ty i to twoje poczucie humoru, Dave.

– Nie wiedziałem, że jakimś dysponuję. Miałeś kogoś przysłać. – Redfern zmienił temat.

– Łysy się wyrywał do ciebie, ale uznałem, że kolejny trup tylko dołoży nam roboty.

– Dzięki, ten młody chyba mnie nie polubił. A tak poważnie to dobrze, że jesteś. Potrzebuję kogoś z twoim doświadczeniem. Sprzątaczką już była, ale może uda ci się ściągnąć trochę daktyli. Na parkingu stoi też auto ofiary. Recepcjonistka ci pokaże. A! I w walizce jest worek z bielizną obojga turystów.

– OK. Zajmę się autem, jak skończę tutaj. Tylko nie wiem, co uda mi się wyciągnąć z tego miejsca, bo śmierdzi tu, jakby wszystko oblane było domestosem.

– Nie bądź taki czarnowidz. – Redfern poklepał technika po plecach i wyszedł.

Opuszczając hotel, poczuł wibrowanie w kieszeni bluzy. Deszcz odpuścił i zza cienkich jak organza chmur zaczął prześwitywać błękit.

– Może zaczniesz się stosować do procedur, Redfern? – usłyszał w słuchawce. Malcolm Knight ewidentnie nie był w nastroju. – Podobno pojechałeś do hotelu.

– Nie tylko ja – odparł.

– Czekamy na ciebie i twoje rewelacje w konferencyjnej.

Inspektor spojrział na wyświetlacz telefonu.

Za dziesięć czwarta, szczurki już siedzą w swoich boksach, pomyślał gorzko. Szedł wolno Victoria Way, delektując się październikowym słońcem. W zimnych murach komendy czekała go prawdziwa burza.



Zalana słońcem sala konferencyjna wypełniona była zapachem parujących kurtek i przytłumionymi rozmowami policjantów. Redfern zajął wolne miejsce koło Puszkii, który szeptem zreferował mu, co się dzieje. Podobno Duża Elsa zadzwoniła do Knighta i narobiła rabanu.

Pomruki ustały, gdy do pokoju wszedł szef wydziału. Obiema rękami oparł się o stojące najbliżej wyjścia krzesło, które cicho zaskrzypiało. Malcolm był postawnym mężczyzną o aparycji pięciolatka, którą nieudolnie maskował tubalnym głosem i tonem nieznoszącym sprzeciwu. Jego mało angielskie wybuchy gniewu były słyszane nawet z chodnika przy Victoria Road. Znudzony i odarty ze złudzeń, traktował tę robotę jak większość policjantów z jego stażem.

Od jednego z życzliwych David usłyszał, że Knight już od kilku lat powinien siedzieć na emeryturze, ale boi się zachlania na śmierć. Nie zamierzał jednak wyrabiać sobie zdania na podstawie plotek. Nigdy nie czuł od niego alkoholu, choć czerwona cera Malcolma zdradzała, że chętnie uczestniczył w trójkacie on-flaszka-kieliszek.

– Skoro gwiazdy już zalśniły – zaczął – to może powiedzą nam, co takiego odkryły. Jednocześnie przypominę wam, że nie toleruję samowoli. Podobnie pani prokurator, która to z kolei mnie przypominała, jak bardzo tego nie lubi.

– To może ja zacznę – odezwał się David. – To było nieporozumienie. Skoro mieliśmy tę kartę, podzieliliśmy się z Lindą pracą. Gdybym odebrał od niej telefon, nie byłoby tych wałów z Dużą Elsą.

Inspektor Wall otworzyła usta, ale czując na sobie wzrok całego zespołu, postanowiła nic nie mówić. Redfern miał nadzieję, że tą demonstracją lojalności skuje lód, który ich dzielił.

– Bardzo ładna historia, Dave. A skoro jesteśmy już przy dupochronach, to może podsuniesz coś, co będę mógł rzucić temu smokowi na pożarcie?

Po sali przemknął pomruk zduszonego śmiechu.

– Znamy tożsamość ofiary. Bożena Sokolińska, pięćdziesiąt pięć lat, Polka. – Zerknął na wydruk przygotowany przez recepcjonistkę. –

Przyleciała do nas w czwartek z Katowic. Wraz z mężem, Mariuszem, zatrzymali się w Travelodge, tuż za rogiem. Do hotelu przyjechali wypożyczonym w Luton autem, które teraz stoi na parkingu przy White Rose Lane. Biała toyota aygo nie wyjeżdżała stamtąd od soboty.

– Polka? – zdziwił się Tinney, który jako rejonowy został zaproszony do śledztwa. – Będzie międzynarodowy burdel.

– Lepiej bym tego nie ujął – podsumował Knight. – Dlatego ty, Dave, bierzesz sprawę.

Linda wyglądała, jakby dostała rozgrzanym pogrzebaczem w twarz, a Redfern – jakby to on wbrew sobie wyprowadził cios. Usłyszał świst wciąganego nosem powietrza. Był pewien, że wszyscy w sali wstrzymali oddech.

– Wezmę na siebie kontakt z polską policją – odzyskał głos.

– To w pierwszej kolejności – przerwał mu Knight. – A potem zorganizujesz zespół.

Malcolm wyprostował się i założył ręce na plecach, a potem przeszedł wzdłuż stołu. W czerwonej koszuli i ciemnoszarej marynarce przypominał przerośniętego, zadowolonego z siebie gila.

– I nie chcę żadnych przepychanek – dodał. – To nie wyścig chartów. Linda, do ciebie mówię.

Policjantka przypominała teraz rybę wyciągniętą z wody. Czerwona z wściekłości łypała to na Knighta, to na Redferna, który najwyraźniej nic sobie z tego nie robił.

– Powtórzę za prokuratorką: nie obchodzą mnie wasze wzajemne niechęci. Przede wszystkim profesjonalizm. Przypominam, że jesteśmy zespołem profesjonalistów, do cholery.

Redfern nie wiedział, w jakim durnym szkoleniu coachingowym Knight brał ostatnio udział, ale wyniesiona z niego papka szeroko rozlewała się teraz po sali. Znał te teksty na pamięć, więc wyłączył się na chwilę, by przemyśleć strategię. Odkąd przeniósł się do Woking, Linda Wall pałała do niego żywą nienawiścią, a Malcolm swoją decyzją tylko podlał ten konflikt napalmem. Zanurzony w przemyśleniach, usłyszał swoje imię.

– David jest najstarszy, zna polski i pracował w Narodowej Agencji do spraw Przystępności – dotarło do niego. – Koniec dyskusji.

Wiecie, o co toczy się gra. Komisariat w Old Woking już rozwiązali.

Tinney pokiwał głową, a Redfern w lot pojął, w czym rzecz. Jak zwykle chodziło o kasę. Ostatnie cięcia budżetowe objęły także policję. Podczas redukcji posterunków Puszka oberwał rykoszetem. Tuż przed awansem zlikwidowano jego jednostkę w Old Woking. Nikt nie miał pomysłu na przydział, więc zajmował się koordynacją lokalnego oddziału straży miejskiej, czekając, aż zwolni się miejsce w Woking. Na stopień sierżanta będzie musiał jeszcze poczekać.

– Chris, jako lokalny bardzo nam się przydasz – kontynuował Knight. – Linda, jesteś prawą ręką Dave’a, a ty, McMahon, pilnujesz, żeby się nie pozabijali. A teraz słucham – zakończył wykład.

Sierżant Gregory McMahon, który do tej pory ukryty był za ekranem laptopa, odchylił się na krześle, prezentując swoją zmęczoną, pooraną bliznami twarz.

– Na dzień dobry mogę wam powiedzieć, że kontakt z polską policją może nie będzie konieczny. Bożena Sokolińska była obywatelką Wielkiej Brytanii – oznajmił. – Miała dwa paszporty, ale, co ciekawe, to na ten polski wjechała do nas.

– Co teraz? – Linda odzyskała głos. – Jakies pomysły, inspektorze?

Redfern mógłby się założyć o milion funtów, że gdyby byli sami, usłyszałyby: „cwaniaczku”.

– Tak czy inaczej trzeba powiadomić polską ambasadę – wtrącił się Knight. – Szukamy też męża zamordowanej, a on, z tego, co wiemy, ma polskie obywatelstwo.

Widząc rosnące zaangażowanie części zespołu, Redfern, chcąc nie chcąc, musiał wejść w rolę. O zaszczytcie prowadzenia sprawy chciał porozmawiać z Malcolmem na osobności. Miał nadzieję przekonać szefa, że w obecnej sytuacji nie jest to najlepszy pomysł.

– Jak wiecie, ofiara i jej mąż zatrzymali się w Travelodge. Przylecieli z Katowic z jednym bagażem, którym teraz zajmuje się Matt. Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów, paszportów, prawa jazdy, kart kredytowych. Niewykluczone, że są w samochodzie. Czekam na telefon od technika. Nie znamy też celu ich podróży, choć może na to pytanie odpowiedzą pracownicy hotelu. Tam właśnie powinniśmy zacząć, wpytać ludzi, przejrzeć monitoring. Linda, możesz? – zwrócił się do policjantki łagodnie.

Skinęła głową, robiąc notatki w zeszycie.

– McMahon, w międzyczasie przekopiesz naszą bazę i wszystko inne, OK? Aha, i zdjęcia Sokolińskich we wszystkich mediach. Puszka, dowiesz się, co ustaliła straż miejska. Ja skontaktuję się z ambasadą. Spotykamy się jutro o siódmej. Dziękuję – dokończył i wstał, zbierając hotelowe wydruki.

Z nikim poza Knightem nie miał zamiaru wchodzić w dyskusję. Skoro kluczem do sukcesu miał być profesjonalizm, to on zamierzał wykorzystać to do bólu. Również jako tarczę. W sali został tylko Malcolm. Redfern właśnie na to liczył.

– Wiem, co powiesz. – Knight podszedł do okna i przyglądał się spacerującym po wewnętrznym placu gołębiom.

Był wyraźnie zmęczony. Redfern ze zdziwieniem zauważył, że szef w ułamku sekundy z ryczącego lwa zmienił się w wyliniałego starego kota. Sflaczały jak pęknięta dmuchana zabawka, oparł się ramieniem o wnękę.

– Popełniasz błąd, dając mi tę sprawę.

– Więcej wiary w siebie, Dave.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Dlaczego nie Linda?

– Chcę dać ci szansę.

– Na co? Na zespół stresu pourazowego?

– Na zadomowienie się.

Redfern się nie odezwał. Sięgnął do kieszeni po gumę do żucia i czekał na rozwój wydarzeń. Knight nie odrywał wzroku od ptaków.

– Wysoki rangą oficer policji z twoim doświadczeniem powinien być ponad takimi konfliktami.

– Profesjonalizm, co?

– Od dwóch miesięcy obserwuję, co tu się dzieje, Dave – westchnął i usiadł na najbliższym krześle. – Mam dość. Bajka o profesjonalizmie była dla nich. Dla ciebie jest prawda o rodzinie. Jeśli te dwie wartości się spotkają, to będę miał świetny zespół. Wycieczką do hotelu pokazałeś im, że nie jesteś jego członkiem. Dałeś im kolejny argument w dyskusji, wyszedłeś przed szereg i historyjka o nieporozumieniu niczego nie zmienia. To nie jest twój wielki Londyn, Dave. To jest rodzina, ale zdaje się, że tego nie łapiesz. Powiem więcej, wiem, co się stało w katedrze i dlaczego tu

jesteś. Wszyscy wiedzą i pora, by wszyscy, łącznie z tobą, się otrząsnęli.

Redfern nic nie odpowiedział, czując, że choćby najmniejsza próba obrony tylko pogorszyłaby jego sytuację.

– Aha, jeszcze jedno. – Knight poluzował krawat, jakby na znak zakończenia oficjalnej części zebrania. – Dobijają się do ciebie ludzie z Dover. Podobno to coś ważnego, więc dałem im twój numer, ale widocznie nie tylko moje telefony olewasz.

– Przyjąłem – odparł David i wyszedł.

Dźwięk zamykanych drzwi uruchomił w nim machinę wspomnień. Szedł korytarzem, usiłując zapanować nad obrazami, które przewijały się w jego głowie.

Twarz Damiana Thorna straszyla go całe dzieciństwo. *Omen* obejrzał zza kanapy rodziców. Pamiętał, jak spoconymi dłońmi zasłaniał sobie oczy przy każdej strasznej scenie. Najbardziej przerażała go ta, kiedy Gregory Peck wraz z żoną i diabelskim synem podjeżdżają pod katedrę w Guildford, bardzo podobną do tej, w której sześciolatek David Redfern co niedzielę uczestniczył w nabożeństwie. Wtedy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie jeszcze oglądał horror z jej udziałem.

Piątego maja dwa tysiące trzynastego roku, mając trzydzieści pięć lat, znów się bał.

Siedząc w samochodzie, usłyszał przez radio komunikat, że nieznany mężczyzna grozi przechodniom bronią. David był w centrum, więc na Stag Hill dotarł jako pierwszy. Gdy przybył na miejsce, napastnik biegał z pistoletem wzdłuż fasady, histerycznie krzycząc, że wszystkich zabije. Miał poraną bliznami twarz, ale Redfern poznał go od razu. Bliźniacy – tak ich nazywała matka Adriana Bonesa. Razem w college'u, razem w akademii, razem w Narodowej Agencji do spraw Przystępności. Bracia.

David usłyszał w słuchawce operacyjnej, że posiłki są w drodze, co oznaczało, że niebawem rozpęta się piekło. Nagle, jakby przeczuwał, co go czeka, Bones zrobił kilka kroków w tył i zniknął w środku katedry. Wtedy Redfern popełnił błąd – wbiegł za nim do budynku.

Czuł się, jakby stał wewnątrz ludzkiego korpusu. Obdarty z mięśni i skóry, błąd szkielet tworzył sklepienie katedry. Typowy nagi

i surowy anglikański kościół. Każda z wąskich niczym żebra kolumn mogła skrywać napastnika. Redfern wiedział, że w takim układzie był bez szans.

Trzymając broń przed sobą, przesuwał się krok po kroku. Mógł zdać się wyłącznie na słuch, więc starał się wychwycić najcichszy szmer, ale jedyne, co do niego docierało, to stłumiony dźwięk helikoptera.

Bonesa znalazł w bocznej nawie. Stał tyłem i ciężko oddychał. Powoli, jakby z trudem się odwrócił. Miał czerwone od płaczu, rozbiegane oczy. Wiatr wpadający przez otwarty witraż mierzwił mu potargane, rzadkie włosy. Nerwowo kręcił głową, jakby zaprzeczał myślom. W tej dzikiej postaci Redfern próbował zobaczyć dawnego przyjaciela.

– Adrian – odezwał się szeptem.

– Nie jestem Adrian – powiedział mężczyzna cicho, po czym wrzasnął: – Nie jestem Adrian!

Wszystko, co zdarzyło się potem, David pamiętał jak poklatkowy film. Bones uniósł pistolet i przerażający huk rozerwał żebra trupiego korpusu. Potem nastąpił drugi, jeszcze potężniejszy. Świat Redferna stanął w miejscu, a jednak wciąż słyszał helikopter krążący nad Stag Hill, czuł, jak przebiegający obok policjant uderza go w ramię, widział przerażone twarze kolegów i poruszone wiatrem drzwi chóru.

Jedynym nieruchomym elementem był Adrian Bones.

Redfern z przerażeniem spojrzął na swoją broń. Był pewien, że chybił. A jednak przyjaciel leżał na marmurowej podłodze, a czerwona plama na jego piersi się powiększała. Opuścił pistolet, a ten wysunął się z dłoni i upadł z trzaskiem na lodowaty marmur. Dźwięk utonął w tupocie nóg i krzyku wielu gardeł. Granatowo-żółta fala wlewała się przez drzwi katedry, a on ze wszystkich sił parł pod prąd, przeciskając się przez tłum.

Usiadł na schodach i czuł, że z każdą sekundą coraz bardziej brakuje przy nim Boga.

Rodzina. Być może Knight był ekspertem w sprawach rodzinnych, ale to Redfern wiedział najwięcej o jej rozpadzie.

Dave otrząsnął się z mrocznych myśli, usiadł za biurkiem i wyciągnął z kieszeni komórkę. Tym razem uważnie przejrzał nieodebrane połączenia. W historii widniało kilka z tego samego numeru stacjonarnego. Nie musiał sprawdzać. Odruchowo nacisnął na kontakt.

– Posterunek policji Dover, Vishnava Burkule, słucham.

– Inspektor David Redfern. Dzwonił pan do mnie.

– Tak, dzwoniłem, inspektorze. Nawet kilka razy – odparł mężczyzna z przekąsem. – Chodzi o to, że dziś rano znaleźliśmy zwłoki topielca. Nie znamy jego tożsamości. Jest to mężczyzna, około czterdziestu lat, jasne...

– Co to ma wspólnego ze mną? – przerwał wyliczankę Redfern.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak pan sam zobaczy.

ROZDZIAŁ II

Poniedziałek, 7.10.2013

Obudził go ból. Przez ledwo uchylone powieki spojrzął na zegarek. Mała wskazówka zbliżała się do czwórki. Z rozdrażnieniem pomyślał, że te dwie godziny snu będą musiały wystarczyć na cały długi dzień.

Podniósł się na drżących ramionach. Czuł się, jakby jego ciało było zanurzone w bardzo gęstej, gorącej cieczy, która sprawiała, że nawet powolny ruch rozpalał ogień w każdym stawie. Z trudem sięgnął do szafki nocnej i chwycił leżący na niej blister. Próbę wydobycia tabletki okupił bólem porównywalnym do rozerwania podkurczonych ścięgien. Łyknął dwa naproxeny i opadł na łóżko. Wiedział, że zbliżająca się zima będzie dla niego ciężka.

Pół godziny później stał w łazience. Lodowate płytki ziębiły mu stopy. Opierając się o ścianę, usiłował się wysikać. Ciemnożółty strumień o wstrętnym zapachu upewnił go, że nerki znów wzięły sobie urlop. Spuścił wodę i ze złością spojrzął na wannę. Dziś zabiegi higieniczne będzie musiał zawęzić do umywalkowego minimum: miejsca strategiczne plus zęby. Jeśli utrzyma szczoteczkę.

Gdy splotkiwał pianę z pasty, czuł, że ból gaśnie. Włożył przygotowane wieczorem ubrania i teraz pewnymi ruchami zapinał guziki. Powoli odzyskiwał humor, ale wciąż nie miał ochoty na śniadanie. Trzy gryzy suchego chleba tostowego zapite kawą z mlekiem uznał za sukces ściśniętego nerwami żołądka. Wyciągnął

jeszcze z zamrażarki kurczaka i włożył do lodówki. Wieczorem wsadzi go na butelkę piwa i upiecze tak, jak lubi.

Był gotowy zmierzyć się z dniem.

Wychodząc z kuchni, potknął się o stojący w korytarzu karton. Tak jak kilkanaście innych, czekał na rozpakowanie. Redfern nie miał serca tego zrobić. To by oznaczało kapitulację, ostateczne uznanie, że Woking jest jego domem.

Silnik mrucał jak pieszczony za uchem kot. Przesiąknięte wilgocią poranka wnętrze samochodu powoli wypełniało ciepłe powietrze z dmuchawy. Redfern zdjął kurtkę i rzucił na tylne siedzenie. Przypiął telefon do uchwyty i ustawił nawigację na podany przez oficera z Dover kod pocztowy. Szykowanie się zajęło mu dłużej, niż zakładał, ale trasa była pusta. Miał czas, by wykonać pierwszy telefon w sprawie Sokolińskich.

Na stronie Wizzair znalazł numer, pod którym można było uzyskać informacje lub zmienić rezerwację. Po odsłuchaniu kilku cykli usypiającej melodii połączył się z operatorką. Dość długo i szczegółowo musiał tłumaczyć, kim jest i po co mu dane lotu państwa Sokolińskich. Gdy się rozłączał, wiedział już, że mieli osobne rezerwacje, a ich pobyt miał się zakończyć za dwa dni, a to oznaczało, że Mariusz Sokoliński może pojawić się na lotnisku.

Po kilku sekundach na ekranie wyświetlił mu się koszt rozmowy: dziewiętnaście funtów i sześćdziesiąt trzy centy. Zerwał telefon razem z uchwytem i z wściekłością przyglądał się kwocie. Przeklęty Wizzair, pomyślał i przytwierdził aparat z powrotem do szyby. Wrzucił bieg i wolno wytoczył się na zasnutą mgłą Constitution Drive.

Google Maps nie przewidziały, że szare pasma nie ustąpią aż do Surrey Hills, zmuszając Redferna do znacznie ostrożniejszego operowania gazem. Powinien od razu zadzwonić do Knighta, ale przez ostatnie dwadzieścia kilometrów skupiał się wyłącznie na tym, by nie wypaść z krętej i wąskiej drogi.

Buczenie zestawu głośnomówiącego przerwał zaspany głos szefa.

– Mam nadzieję, że to ważne – burknął. – Nie gadam o pierdołach przed wschodem słońca. Nawet z tobą, Redfern.

– Potrzebuję pół dnia wolnego – zaczął bez powitania.

– Nie ma mowy. Nie teraz, David.
– W Dover mają nieznane zwłoki, topielec.
– Nie nasza sprawa.
– Może jednak nasza. – Nie dawał za wygraną. – Facet miał w kieszeni coś, co należało do mnie. Muszę to sprawdzić.
– Mamy śledztwo na własnym podwórku. Niech przyślą, co mają. Jak skończymy z Sokolińskimi, to możesz sobie nawet zamieszkać w Dover. Gównu mnie to obchodzi, a teraz bierz dupę w troki i zajmij się sprawą.
– Za późno, widzę już klify – wypalił. – Weź na siebie ambasadę, OK?

– Niech cię szlag, Redfern! – W głosie komisarza słychać było wściekłość pomieszana z paniką. – O czternastej zwołuję naradę. Jeśli cię na niej nie będzie, odbieram ci to śledztwo.

– Nie będę płakać.

– Ty zawsze wygrywasz, co?

Rozłączył się, nie odpowiadając. Jedyne pytanie, które go teraz obchodziło, leżało na stole sekcyjnym w kostnicy przy Ladywell Lane w Dover. I nie, nie zawsze wygrywał. Tak naprawdę wycieczka do Dover była swoistym wywieszeniem białej flagi. Od kilku miesięcy tkwił w zapyziałym Woking, taplając się w jego małomiasteczkowym smrodku. Wszyscy wiedzieli, kim on jest, ale on nie poznał tu jak dotąd nikogo. Zespół, poza sierżant Lindą Wall, nie dawał żadnych dobrych rokowań i Redfern nie miał zamiaru się dla niego wysilać. Miał za to przeczucie, że powinien teraz jechać do Dover, oraz nadzieję, że najwyżej za pół roku będzie mógł poprosić o przeniesienie gdzieś na północ. Może nawet wróci do rodzinnego Edynburga.

Przyspieszył.

Dochodziła siódma. Triumph od ponad godziny sunął po M25 i powoli zbliżał się do pierwszych zabudowań Maidstone. Redfern podkoloryzował, by zagrać na nosie Knightowi. Do klifów zostało jeszcze czterdzieści mil. Jeśli nie utknie przy zjeździe z trasy, powinien zdążyć na ustaloną z Vishnavą godzinę, a jak dobrze to rozegra, na czas stawi się na zebranie.

Dziesięć po ósmej zaparkował w małej uliczce między posterunkiem a ratuszem, który zdecydowanie bardziej przypominał stare opactwo niż siedzibę władz miasta.



Prześcieradło uniosło się z niemal zmysłowym szelestem atlasowej sukni. Nie skrywało jednak ciała wytwornej damy, lecz nabrzmiałą, siną bryłę, która w jakiś makabryczny sposób uformowała się w ciało człowieka. Redfernowi zaschło w gardle, a żołądek ścisnął mu potężny skurcz. Smród był nie do zniesienia. Napuchniętą, szarą twarz ofiary przecinało kilka granatowych blizn. Tę na brodzie zrobił mu sam, a o tej za uszami dowiedział się podczas zabawy w „pytanie czy wyzwanie” na zielonej szkole. Pod paznokciami zalegały czarne paski brudu, które widywał, kiedy pomagali jego siostrze, Patricii, przekopywać ogródek. Obce mu były tylko odrapane, pełne strupów dłonie, do których zdążyły się wedrzeć larwy. W obklejone piaskiem długie włosy i brodę denata zaplątały się morszczyń i kilka źdźbeł trawy morskiej. Gdyby nie pet, który utknał w tej mozaice, Redfern mógłby go wziąć za woskową figurę Trytona. Tymczasem patrzył na zjawisko paranormalne. Przeczucie go nie zawiodło, leżący na stole człowiek to z pewnością była jego sprawa.

– Inspektorze? – Burkule złapał go za ramię.

– Tak? – wydusił z siebie.

– Czy rozpoznaje pan tego mężczyznę?

Redfern milczał chwilę, usiłując zapanować nad drzeniem głosu.

– Nie.



Czekając na oficera, pomyślał, że Vishnava Burkule będzie zajmował biuro z widokiem na morze. Tymczasem okno wychodziło na ponurą uliczkę oddzieloną od budynku ogrodzeniem zwieńczonym trzema rzędami drutu kolczastego. Za nim Redfern dostrzegł kilka wiktoriańskich domów. Przy jednym z nich ciemnoskóra kobieta wieszła pranie, nie zważając na nadciągające nad miasto chmury.

– Czy potrafi pan wyjaśnić, skąd to się wzięło przy naszym samobójcy?

Burkule zamknął za sobą drzwi. Na wyciągniętej dłoni trzymał plastikowy woreczek, w którym znajdował się mały, błyszczący przedmiot. Redfern nie miał wątpliwości, co przyniósł policjant i że łgarstwo musi osiągnąć najwyższy poziom. Przez folię prześwitywał wygrawerowany na złotej blaszce napis:

st. insp. David Redfern
Policyjna Nagroda za Odwagę
2010

– To część mojej nagrody.

– Wiem. – Policjant nie krył irytacji. Usiadł za biurkiem i położył torebkę przed sobą. – Mam nadzieję, że wyjaśni mi pan, inspektorze, co to robiło w kieszeni denata.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, jak znalazło się przy zwłokach, natomiast mogę powiedzieć, jak rozstało się ze mną. – Redfern uśmiechnął się nieporadnie. Granie idioty to była jedyna tarcza, którą miał, i zamierzał z niej korzystać do bólu. Kurczowo trzymał się dawno zasłyszanej prawdy, że podstawą dobrego kłamstwa są dobrze dobrane proporcje z prawdą i brak szczegółów.

– No więc?

– Niedawno się przeprowadzałem – wyznał zgodnie z prawdą, po czym gładko przeszedł do kłamstwa: – Gdy wypakowywałem rzeczy w nowym mieszkaniu, zobaczyłem, że na jednej z nagród brakuje tabliczki.

– Zatrudnił pan do tego firmę?

Tak, do cholery, oczywiście, że zatrudniłem firmę. Jak inaczej miałbym przewieźć cały ten majdan? – pomyślał. Nie zamierzał

jednak marnować czasu na ślepe tropy.

– Bez przesady. – Machnął ręką. – Miałem raptem parę kartonów. Wie pan, jak to jest, życie singla można spakować do pudełka: trochę płyt, książek i kilka szklanek. No i ta nieszczęsna nagroda. Tabliczka musiała się gdzieś zawieruszyć.

– I nie dziwi to pana, panie inspektorze, że znalazła się w tak dziwnych okolicznościach? – Vishnava Burkule nie wyglądał na zadowolonego z postawy Redferna. Najwyraźniej spodziewał się pchnięcia śledztwa do przodu.

– Oczywiście, że dziwi, ale rozumiem, że facet sam się zabił, i proszę mi wierzyć, nie mam bladego pojęcia, skąd on to wziął. – David wskazał na woreczek. – Równie dobrze mógł to być bezdomny, który szukając złomu, znalazł to w śmietniku.

– Będę z panem szczery. – Mężczyzna oparł łokcie o blat i zetknął czubki palców. – To nie jest zwykłe samobójstwo.

Jakbym nie wiedział, pomyślał Dave.

– Zwrócił pan uwagę na jego dłonie?

– Pełno na nich ran.

I nie ma linii papilarnych.

– To też. – Oficer podniósł się z krzesła i przeszedł przed biurko. Z sięgającymi brody wąsami i łysą głową wyglądał jak tybetański mędrzec. – Nie udało nam się zdjąć odcisków palców, bo dopilnował, by nie dało się tego zrobić. Co więcej, mężczyźnie brakuje zębów. Wszystkich. Musi pan przyznać, inspektorze, że musiało mu bardzo zależeć na ukryciu swojej tożsamości.

– W takim razie może miał tego dość i skoczył? – Redfern widział, że rozmowa zmierza w złym kierunku i za chwilę usłyszy coś, czego usłyszeć nie chciał.

– Problem polega na tym, że on na tym moło nie był sam.

Kobieta za oknem powiesiła ostatnią poszewkę i schyliła się po kosz, zupełnie nieświadoma, że po murze za jej plecami przebiegł szczur.



Wydostanie się z Dover w południe graniczyło z cudem. Ciasne uliczki zostały całkowicie zablokowane przez ludzi szukających miejsca na lunch. Redfern podziękował sobie, że przed wyjazdem otworzył dach triumpha i mimo ogólnej nerwówki mógł teraz delektować się jesiennym słońcem i zapachem morskiego powietrza. Modyfikacja nadwozia kosztowała go dużo pracy i pieniędzy, ale radość z połączenia zrywności GT6 z linią kabrio od Spitfire była nie do przecenienia.

Pogoda nad morzem zmieniała się szybko. Niedawne chmury wiatr przepchnął daleko nad horyzont. David dałby sobie rękę uciąć, że zbierają się nad Woking. Sunął wolno, odtwarzając w głowie rozmowę z oficerem.

– Może pan odgrywać przede mną idiotę, inspektorze. Obaj wiemy, że ta blaszka to nie przypadek.

A jakże, Sherlocku.

Bliźniaków było w rzeczywistości trzech: David, Adrian i jego siostra, Patricia. Jak w taniej operze mydlanej Redferna i najmłodszą z Bonesów połączyło uczucie, które, jak się później okazało, nie było niczym więcej jak przekroczeniem granicy przyzwyczajenia.

Choć zawsze trzymał się na uboczu, a w jego domu trudno było znaleźć którąkolwiek z otrzymanych za zasługi nagród, Bones był legendą Scotland Yardu. Byle kogo nie brali do Narodowej Agencji do spraw Przystępności, a zwłaszcza do osławionego Departamentu do spraw Osób Zaginionych. Sam Bones bardziej był zainteresowany Departamentem Cyberprzystępności. Jednak tam od gliniarzy z aspiracjami woleli doświadczonych hakerów, choć Bonesowi nie można było odmówić ani wykształcenia, ani smykałki do cyberświata. Studia na University College London i policyjne doświadczenie zaowocowały jedną z najnowocześniejszych baz danych osób zaginionych. Dzięki niej jednostka zajmująca się zaginięciami była w stanie porównywać i dopasowywać informacje o tych osobach z danymi o ciałach. Bones sądził, że połączone siły

obu wydziałów mogłyby skutecznie przeciwdziałać handlowi żywym towarem.

Redfern nie miał okazji się o tym przekonać. Patricia kategorycznie zażądała przeprowadzki do Guildford, gdzie mieszkała cała jej równie apodyktyczna rodzina. Policjant miał poczucie, że porzuca wspaniałą ścieżkę kariery i przyjaciół. Co oczywiście w niczym nie przeszkadzało jego dziewczynie po roku kopnąć go w dupę.

A potem był rok dwa tysiące dziesiąty i Dover. Bones pojechał sprawdzić cynk o zaginionej studentce z Exeteru. Tego dnia w porcie rozpętało się piekło. Firma promowa P&O za jednym zamachem zwolniła ponad tysiąc osób. Wybuchły zamieszki. Bones dołączył do kolegów walczących z demonstrantami. Zrobiło się gorąco. Padły strzały, a po nich również jeden z protestujących. Bones zeznał wtedy, że zauważył, jak tamten mierzy do policjantów. Niestety nikt tego nie widział, a sama broń rozplynęła się w powietrzu. To był koniec Adriana Bonesa, od zakończenia śledztwa kompletnie zdziwaczał. Nikomu nie ufał i mało komu otwierał drzwi domu przy Batchelor Street. W końcu przeprowadził się do siostry, do Guildford, skąd rozpoczął drogę ku ostatecznemu zatraceniu. Według Davida Patricia wspaniałomyślnie mu w tym pomagała.

Kilka miesięcy przed śmiercią rodzina załatwiła Adrianowi miejsce w szpitalu w Knaphill. Redfern z początku chętnie go odwiedzał. Jednak Bones, szprycowany środkami uspokajającymi, postawił wokół siebie mur, przez który do świata zewnętrznego docierały urywki zdań. Najczęściej z przerażeniem mówił o tych, którzy wciąż go obserwowali i czyhali na jego życie. Podczas ostatniej wizyty David zastał przyjaciela śpiącego. Nie chcąc go budzić, podszedł cicho do łóżka i położył na nocnym stoliku małą, mosiężną tabliczkę.

– To powinno być twoje, bracie – powiedział wtedy. – Do zobaczenia.

Nie podejrzewał wtedy, że następnym razem spotkają się na schodach katedry w Guildford.

Tak jak przypuszczał, na wysokości Send poczuł na skórze pierwsze krople deszczu. Zjechał w przypadkową boczną uliczkę, by rozłożyć dach. Wielogodzinne trzymanie kierownicy sprawiło, że

zesztywniałe dłonie z trudem przypinały napy do metalowego szkieletu.

Gdy tylko opuścił granice Dover, mógł przycisnąć gaz, dzięki czemu miał teraz pół godziny na zebranie myśli. Siedział w ciepłym samochodzie i rozmasowywał sine palce, zastanawiając się, co powie na zebraniu.

Faktem było, że nie posunął śledztwa Sokolińskich ani o milimetr. Tymczasem Linda, McMahon i Puszka pewnie stawali na rzęsach, by wyciągnąć ze szczątkowych informacji, co tylko się da. Sokolińscy zrobili sobie krótki wypad do Anglii, do Woking. Trzeba znaleźć odpowiedź, dlaczego nie do Londynu. Surrey było pięknym hrabstwem, ale nie tak atrakcyjnym turystycznie jak stolica. Były tu urokliwe zakątki, ale z pewnością niewymieniane na pierwszych stronach przewodników. Żeby je znaleźć, trzeba tu mieszkać i samemu je odkrywać. Jeśli chce się zasmakować w zapierających dech w piersiach widokach, zdecydowanie lepiej udać się do Snowdonii. Co zatem przyciągnęło polskich turystów do Woking? Co przyciągnęło Adriana Bonesa do Dover? Redfern nie mógł się skupić, przed oczami wciąż miał zwłoki przyjaciela. Usiłował sobie przypomnieć każdy szczegół jego ciała. To, co zauważył w pierwszej chwili, to budowa ciała Adriana – nie był wychudzony. Miał też dość zadbane paznokcie u stóp. Nie mógł być zatem bezdomny. W jaki sposób przez ostatnie trzy lata życia zdobywał pieniądze na utrzymanie? Redfern zastanawiał się, czy mógł w tym stanie pracować. Tymi pytaniami usiłował zagłuszyć najważniejsze: kogo zastrzelił w katedrze w Guildford?

Krople, uderzając o naciągniętą skórę dachu, wybijały coraz szybszy i głośniejszy rytm, a ciemnoszary melanż przetaczał się po niebie, zwiastując powrót prawdziwego angielskiego października.

Chcąc nadrobić stracony czas i nie wyjść na totalnego ignoranta, Redfern wybrał numer do Matta, technika kryminalistyki. Ten krótko zreferował mu swoje ustalenia. Przynajmniej będzie miał co opowiedzieć na zebraniu.

Uruchomił silnik i zawrócił szybko, zahaczając o podjazd jednego z eleganckich domów. Wciąż pogrążony w myślach, nie zauważył rowerzystki przecinającej mu drogę. Ostro zahamował. Auto wpadło

w lekki poślizg, ale zatrzymało się pół metra przed nią. Podniosła rękę z uniesionym środkowym palcem i odjechała. Przeklął głośno i wałnął pięścią w kierownicę. Musiał wziąć się w garść.



Przez drzwi konferencyjnej dochodził go szum rozmowy. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Na chwilę wszyscy umilkli – z wyjątkiem Tinneya, który pochylony nad ekranem laptopa nie zauważył Redferna.

– Pracowała jako nauczycielka w gimnazjum w miejscowości... – Zawiesił głos, próbując przeliterować nazwę. – Mstów, w Polsce. Mariusz Sokoliński jest koordynatorem działu IT w Mercedesie w Legnicy. Z tego, co widzę, to dość daleko od siebie. Ona mieszka... Kurwa, gdzie? W... – Znów usiłował poskładać długi rząd liter. – Częstochowa... No i mają dorosłą córkę.

– I to wszystko masz z bazy? – zdziwił się McMahon.

– Tak jakby. – Puszka odchylił się na krześle i założył ręce za głowę. – Ludzie wybebeszają się na Facebooku w żenujący wręcz sposób. O, cześć David.

– Cześć. Co mamy?

– Całkiem sporo – odezwał się sucho Knight, który usiadł w kącie sali jak wizytator z kuratorium oświaty i takim z samym zainteresowaniem przyglądał się policjantom. – McMahon dużo wykopał z internetu. Puszka zajął się przesłuchaniem świadków z Pyle Hill, ale niestety nikt niczego nie widział. Sokolińska z całą pewnością nie była gościem żadnego z nich. Dzwoniłem do ambasady – podkreślił. – Kontakt z rodziną zostawiamy im. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Ted się odzywał?

– Jeszcze nie. Obiecał zadzwonić po południu.

– A tobie jak poszło? – wtrącił się McMahon. – Nie było cię w komendzie.

– Dowiedziałem się, że para powinna wylecieć z Luton za dwa dni, mieli osobne rezerwacje – powiedział Redfern. – Możliwe zatem, że Sokolińskiego złapiemy na lotnisku. Dzwoniłem do straży granicznej, będą obserwować terminal. Od Matta natomiast wiem, że samochód był czysty, nie ma śladów krwi. Zebrał kilka włosów. Trzeba je porównać z tymi znalezionymi przy ofierze. W pokoju nie było niczego niezwykłego. Niestety sprzątaczką zajęła się nim, zanim zdążyliśmy coś zrobić. Zmieniła pościel, wytarła środkiem antybakteryjnym każdy kąt. Ciężko będzie o daktyle czy jakiegokolwiek inne ślady. No i wciąż brakuje nam dokumentów.

– Linda, co z hotelem?

– Dowiedziałam się, że były na nich dwie skargi. Goście z pokoju obok zgłosili, że państwo Sokolińscy – zawiesiła głos, jakby szukała odpowiednich słów – dość intensywnie uprawiali miłość. W pierwszej chwili sąsiedzi myśleli, że to awantura. Słyszeli wyzwiska i uderzenia.

– Chwalili się, po co przyjechali?

– Nie, ale byli w bardzo rozrywkowym nastroju, jak to określiła recepcjonistka – odparła policjantka. – A, i pamiętała, że jednego dnia mąż był bardzo elegancko ubrany i miał ze sobą aktówkę.

– Dobra robota, Linda. Draż dalej. Trzeba znaleźć tę teczkę. No i gościa, który się skarżył. – Redfern przesadnym entuzjazmem usiłował ukryć zażenowanie własną bezproduktywnością. Prawda była taka, że oni pracowali pełną parą, a on robił sobie wycieczki i po raz kolejny udowadniał, że nie jest częścią zespołu. – Co z mieszkańcami Pyle Hill?

– Nikt nie rozpoznał ofiary. Nikt też jej nie widział tego wieczora. – Tinney był poirytowany. – To ślepy zaułek. Na moje oko została na Pyle Hill przywieziona.

– A zatem monitoring z hotelu Travelodge – podsumował Redfern. – Znamy tylko dwa miejsca pobytu ofiary i na razie tego się trzymajmy. Linda, skoro od początku zajmujesz się hotelem, weźmiesz przejrzenie nagrań. Puszka ci pomoże.

Spodziewał się od niej jakiegoś komentarza, ale policjantka tylko robiła notatki, wyprostowana i skupiona jak stenotypistka.

– Okej – rzuciła krótko, nie odrywając wzroku od zeszytu. Długopis w jej dłoni lekko drżał.

– Zadzwoń do tej córki Sokolińskich i spróbuję się dowiedzieć, dlaczego przyjechali do Woking. McMahon, tobie zostawiam ściskanie za jaja laboratorium.

– Do jutra Ted powinien się uporać z sekcją, więc możemy się spotkać o ósmej – odezwał się Knight.

Redfern doskonale wiedział, dlaczego szef uczestniczył w naradzie, ale miał gdzieś tę demonstrację braku zaufania. Malcolm mógł sobie odgniać tyłek na każdym zebraniu, jeśli tylko na tym ma polegać jego rola. Był jak matka, która siedzi na ławce i ukrywa swój czujny wzrok za robótką ręczną lub gazetą. Pilnuje, by bawiące się dzieci nie zaczęły w siebie rzucać kamieniami.



Biuro powoli pustoszało. Z korytarza coraz rzadziej dobiegały stłumione „cześć” i „do jutra”. Jednak żadna głowa nie wsunęła się w szparę uchylonych drzwi, by życzyć Redfernowi dobrej nocy. Od kilku minut wpatrywał się w zanotowane na kartce numery. Oba telefony powinien wykonać już dawno temu, ale na żaden nie miał najmniejszej ochoty. Ostatecznie postanowił, że do Isabelle Bones nie zadzwoni wcale. Nie zamierzał burzyć jej spokoju, jeśli w ogóle taki istniał. Ona już pochowała syna i odkrycie, że Adrian leży teraz w zakładzie medycyny sądowej w Dover, niczego nie zmieni. Nie powie jej, póki sam tego nie wyjaśni.

Z kieszeni marynarki wyciągnął mały woreczek i przyjrzał się połyskującej złotem zawartości. Drugi raz nie da się nabrać. Całe szczęście Vishnava Burkule nie był zbyt spostrzegawczy i Redfern z łatwością wyrwał z głowy topielca kilka włosów. Z materiałem porównawczym będzie miał jeszcze mniej problemów. Z tą myślą podniósł słuchawkę i wybrał drugi numer.

– Halo? – usłyszał po chwili.

– Pani Marta Sokolińska?

– Tak, przy telefonie.

– Inspektor David Redfern, policja Woking. Chciałbym...

– Gratuluję refleksu! W ambasadzie powiedziano mi, że policja natychmiast się ze mną skontaktuje. Co, wy tam herbatkę popijaliście? Jest dziewiąta wieczorem! – Potok słów zalał Redferna tak, że nie mógł wydobyć z siebie żadnej riposty.

– Przepraszam, ale byliśmy zajęci śledztwem...

– O, czyli mam rozumieć, że znaleźliście mordercę mojej matki? – znów mu przerwała.

– Nie – odparł sucho. – I będzie pani musiała odpowiedzieć na kilka pytań.

– Doskonale, bo ja też mam kilka pytań do was. Jutro mam samolot do Luton, a koło piętnastej trzydzieści będę w Woking. A tymczasem proszę wybaczyć, ale muszę się pakować.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę się zastanawiał, co właściwie usłyszał. Zanim zadzwonił, długo układał sobie w głowie, co ma powiedzieć, jak pocieszyć i jakiego zestawu zapewnień użyć, ale Marta Sokolińska jednym ruchem zburzyła tę misterną układankę. Spodziewał się zrozpaczonej lub chociaż udającej załamanie kobiety, ale usłyszał tylko pretensje i rozkazy. Polka zachowywała się tak, jakby śmierć matki była jakąś procedurą, schematem do wypełnienia. Po tylu latach służby Redfern zdawał sobie jednak sprawę, że równie dobrze ta postawa mogła być maską.

Taką samą, jaką przywdział Adrian Bones, by ukryć się przed światem. David usiłował sobie przypomnieć, jak nazywał się ośrodek, do którego trafił jego przyjaciel. Wpisał w Google zlepek słów: „ośrodek”, „Knaphill” i już pierwszy wynik przyniósł odpowiedź. Po chwili na ekranie zobaczył uśmiechniętą twarz mężczyzny i hasło „Better together”, które dziwnie go zakłuło. No jasne, że razem lepiej, pomyślał cierpko. Gdyby był razem z Adrianem, nie doszłoby do tego wszystkiego. Teraz było już za późno i Redfern miał poczucie, że dwa razy przegapił szansę, by pomóc Bonesowi – w ośrodku i w katedrze. Naszła go myśl, że znów coś spieprzył. Gdyby powiedział Burkulemu prawdę, przestałby być, jak mu to delikatnie wyłożył Knight, zabójcą brata od broni. Isabelle

Bones nie miałyby mu czego wybaczać i znów mógłby mieć rodzinę. Odzyskałby życie. Adrian Bones nie wyznaczył mu jednak ścieżki na skróty, a Redfern podskórnie czuł, że choć bardziej kręta, to jest to droga bezpieczniejsza.

Przejrzał stronę w poszukiwaniu jakiegoś kontaktu do człowieka, ale natrafił tylko na numer infolinii i bezduszny formularz. Szpital tak drogi, że nawet zdjęcia miał kupione ze stocka. Postanowił zadzwonić tam po spotkaniu z Martą Sokolińską.

Wrócił do Google i wpisał frazę „Mayford map”. Otworzył mapę, która wyświetliła się na ekranie, i wydrukował ją. Rozrywający ciszę trzask drukarki uświadomił mu, że biuro opustoszało. Położył jeszcze ciepłą kartkę na biurku i czerwonym długopisem zaznaczył miejsce znalezienia zwłok oraz miejsce ataku. Odchodząca od Pyle Hill Guildford Road wiodła do dzielnicy Westfield. Prześledził ją, wodząc skuwką po mapie. Nic. W tej skali widział szkołę podstawową, sklep ogrodniczy i stację Worplesdon. Żadnego punktu zaczepienia. Wrócił do komputera i powiększył mapę, zmieniając przy tym ustawienia na widok satelitarny. Na ekranie zobaczył dwa małe niebieskie kwadraciki narysowane wzdłuż Guildford Road. Najechał na jeden z nich kursorem. Na menu kontekstowym wyświetliło mu się „35max”. Redfern chwycił za telefon i wybrał numer Teda.

– Jaka firma autobusowa obsługuje Woking? – zaczął, zanim patolog wylał z siebie falę narzekania.

– Zależy, którą linię – powiedział.

– 35max.

– Zdaje mi się, że White Bus albo Stagecoach – odparł Ted. – A nie, czekaj! Już wiem, Arriva. To z pewnością będzie Arriva. Ich niebieski autobus zatarasował rondo, gdy wczoraj do was jechałem. Długo gapiłem się w to trzydzieści pięć, zanim mogłem go ominąć.

– Dzięki, Ted. Mam wrażenie, że wiesz o tym mieście wszystko.

– Żebyś wiedział – zarechotał i się rozłączył.

Redfern pomyślał, że dobry humor starego kumpla jest podrasowany procentami. Inspektor znalazł stronę firmy i interesujący go rozkład. Na przystanku Mayford Maybourne Rise ostatni autobus zatrzymywał się o dwudziestej zero dwie.

Podejrzewając, że żaden z członków grupy nie będzie zachwycony telefonem o tej porze, napisał do wszystkich wiadomość, że zebranie odbędzie się o dziesiątej. Musiał dać sobie rano czas na wizytę w siedzibie Arrivy.

Zamknął biuro i wyszedł tylnym wejściem wprost na pogrążony w mroku parking. Otoczony murem teren przywodził na myśl spacerniak ze *Skazanych na Shawshank*. Jedyna lampa, która jeszcze działała, ostatnimi mrugnięciami dawała znak, że jej koniec jest bliski. Między jednym a drugim rozbłyskiem Redfern dostrzegł ciemny kształt przy bramie. Ktoś go obserwował. Spod kaptura bluzy sączył się dym, a czerwony, żarzący się punkt oświeślał usta nieznajomego. Z tej odległości Redfern nie mógł go rozpoznać. Udając, że czegoś zapomniał, zrobił kilka kroków w jego stronę. Mężczyzna szybko się odwrócił i odszedł, wyrzuciwszy papierosa na ziemię. Iskrzący niedopałek potoczył się po bruku i zniknął na trawniku.

Zimny podmuch wiatru przeszył Redferna na wskroś. Po ciele przeszedł mu dreszcz, który lodowatym prądem wlał się do kości. Opatulił się szczelniej kurtką, ale wiedział, że ta noc będzie ciężka. Mimo to postanowił pojechać jeszcze do sklepu. Skręcając w prawo w Victoria Way, był pewien, że mignęła mu postać palacza.



Wszedł do domu i z miejsca poczuł, że coś jest nie tak. To nie była pewność, ale podskórny niepokój, jaki się odczuwa, nocując w obcym miejscu. I wcale nie chodziło o awarię ogrzewania, która zmieniła mieszkanie w piekło.

W koniec ciemnego korytarza wciniała się delikatna luna, jakby za kuchennymi drzwiami ktoś stał z latarką. Redfern sięgnął po jedyne narzędzie, którym jakkolwiek dało się bronić – długa metalowa łyżka do butów leżała w dłoni idealnie. Ledwo dosłyszalny szelest napiął

w nim wszystkie mięśnie. Nie czekając dłużej, rzucił się przez korytarz.

Wpadł do kuchni z wysoko uniesioną łyżką, ale wróg okazał się niewidzialny i broń przecięła powietrze. Oszołomiony zapalił światło. Szum przerodził się w nieznośne bzyczenie. Zemdliło go. Sam nie wiedział, od czego bardziej – od smrodu gnijącego mięsa czy od widoku wszędobylskich much.

Ktoś otworzył lodówkę, a owady wykorzystały ten fakt i rozpoczęły rozkład pozostawionego w niej kurczaka. Dave stał obiema nogami w żółtawej brei, która wypłynęła po rozmrożeniu sprzętu. Wiedział, że użycie środka owadobójczego w kuchni jest co najmniej złym pomysłem, ale miał to gdzieś. Wyganianie tego roju przez okno zajęłoby mu godzinę. Zanurkował pod zlew i wśród poprzewracanych butelek znalazł sprej, którym obficie spryskał wnętrze, zasłaniając usta i nos dłonią. Dysząc wściekle, ściągnął buty, by nie roznosić bałaganu po mieszkaniu. Nagle zatrzymał się zgięty wpół.

Już wiedział, co go zaalarmowało. Zapach, który cienką strużką przebijał się przez lodówkowy odór. Po chwili znał jego źródło. Na kuchennym blacie ktoś zgasił papierosa, zostawiając na nim czarny ślad. Tuż obok leżała duża, wypchana koperta, na której zapisano drukowanymi literami:

ODPUŚĆ.

ROZDZIAŁ III

Wtorek, 8.10.2013

Owiana złą sławą firma prawdopodobnie celowo ukryła adres swojego biura. Po raz kolejny w ciągu dwóch dni Redfern przekopywał się przez internet w poszukiwaniu namiarów. Na stronie, podobnie jak w przypadku szpitala Priory, był tylko formularz kontaktowy. Arriva poszła o krok dalej, można było sobie wybrać osobny formularz w każdej sprawie: reklamacji, zgubionych rzeczy, rozkładu jazdy i reklamy. Brakowało tylko zakładki: „Zgłoś zwłoki na trasie naszego autobusu”.

Po wpisaniu „arriva zajezdnia guildford” wyszukiwarka wypluła mu mapę wraz z adresem, pod który jechał teraz, pełznąć w niekończącym się korku. Deszcz, który od rana lał się z nieba szarymi strugami, miał na kierowców usypiający wręcz wpływ. Wreszcie po półgodzinie David mógł zaparkować przy Mary Road i osłaniając się od wody, szukać szyldu Arriva Bus.

Trudno było nazwać przepastny blaszany garaż siedzibą firmy. Na placu przed nim stało kilka znajomych autobusów w nietuzinkowym turkusowym kolorze. Gdy tylko Redfern przekroczył bramę, podszedł do niego mężczyzna w granatowych ogrodniczkach, sztormiaku i czapce wędkarskiej. Do pełnego rybackiego przebrania brakowało tylko woderów. Zamiast tego Fred Moseley – mechanik, bo tak było napisane na plakietce przypiętej do szelek, wybrał kolorowe japonki. Redfern zauważył, że między palcami jego stóp przelewała się woda.

– W czym mogę pomóc?

– Inspektor David Redfern, policja Woking, chciałbym porozmawiać z kimś z biura.

– Policja? – Moseley powoli podrapał się po głowie, ale po chwili się ożywił. – Już prowadzę. Ciekawe, co też ściągnęło policję – powiedział, gdy mijali autobus z otwartą maską. Pod nią Redfern zauważył młodszą kopię mężczyzny. – Proszę wybaczyć wścibskość, ale nie mamy tu gości zbyt często.

– Może to dlatego, że się ukrywacie.

Mechanik przystanął, ale David nie zamierzał mu niczego tłumaczyć. Minął go i wszedł do hali. Wewnątrz panowało dojmujące zimno. Redfern pomyślał, że gdyby tu pracował, to choroba już dawno by go zabiła, a przynajmniej mocno okaleczyła. Metaliczny zapach smarów, który natychmiast wypełnił mu nozdrza, nie pozwalał o sobie zapomnieć nawet po zamknięciu drzwi biura.

Zza wysokiego kontuaru Redfern zobaczył burzę rudych włosów. Kobieta siedząca przy biurku zapalczywie stuknęła w klawiaturę. Ubrana w kurtkę, rękawiczki bez palców i nauszники uroczo marszczyła piegowaty nos, intensywnie nad czymś pracując. Inspektor pomyślał, że musi skrobać jakiegoś soczystego maila do niezadowolonego klienta. Jednak metodyczność jej ruchów i kolorowe odbicie w oknie zdradziło, że ognistowłosa gra w jakąś strzelankę. Odchrząknął, przebijając się przez CB radio, które buczało gdzieś blisko.

– Co tam, Bruce? – rzuciła, nie odrywając się od wirtualnej walki.

– Dzień dobry, Muireann – odpowiedział, zerkając na jej kubek z imieniem ozdobionym irlandzką trójlistną koniczyną.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi, niemal przewracając krzesło.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – wyrzuciła z siebie automatycznie.

– Potrzebuję informacji o ostatnim kursie trzydzieści pięć, który odbył się przedwczoraj – powiedział, kładąc przed rudą swoją legitymację.

– Zaraz sprawdzę. – Zamknęła pospiesznie grę, ukrywając zażenowanie za zniewalającym uśmiechem. – Popołudniową zmianę

miął wtedy Kieran Bamhara.

– Jeździ dzisiaj?

– Nie – odparła. – Jest na chorobowym, dzwonił, że złapał paskudną jelitówkę. Pamiętam, że zgłosił dyspozytorowi przez radio opóźnienie, bo musiał się zatrzymać, by... No wie pan.

– A może mi pani powiedzieć, gdzie się wtedy zatrzymywał?

– Sprawdzę. System namierzania zarejestrował, że Kieran zatrzymał autobus na Guildford Road i stał jedenaście minut.

– Autobus przewożący ludzi stał tyle czasu na przystanku?

– To ostatni kurs tego dnia, zwykle jeździ pusty na tym odcinku.

A zatem było wtedy około piętnaście po ósmej, obliczał Redfern. Nawet jeśli Kieran Bamhara siedział w krzakach, to mógł coś widzieć tej nocy. Musiał jak najszybciej do niego dotrzeć.

– Czy dowiem się, dlaczego pan pyta o to wszystko? – Dziewczyna nie kryła ciekawości.

– Oczywiście – odparł. – W okolicy, w której zatrzymał się pani kolega, doszło do zabójstwa.

– Tak, czytałam w necie, straszna historia. – Pokręciła głową ze smutkiem. – Taka dobra dzielnica. Kto by pomyślał? – Nagle złapała się za usta i cicho pisnęła. – Czy to znaczy, że podejrzewacie Kierana?

– Możliwe, że Kieran był świadkiem czegoś, co rzuci światło na tę sprawę – wyjaśnił spokojnie.

– Rozumiem. Kieran to jeden z fajniejszych kierowców u nas. – Uśmiechnęła się do Redferna. – Prawie taki miły jak pan.

– Da mi pani jego adres?

– Jasne. – Dziewczyna usiadła i przepisała z komputera dane kierowcy. Wychodząc z zajezdni, Redfern zauważył, że równe pismo na końcu ozdobiła serduszkami. Uśmiechnął się w duchu i wsiadł do samochodu.

Nawet nie spostrzegł, jak minął duże rondo i wjechał na wpadającą do Woking Eagly Road. Zganił się za jazdę na autopilocie. Myślami wciąż był w swojej małej, pełnej muszych trupów kuchni. Żółta maź zdążyła wsiąknąć w skarpetki, ale on tego nie czuł. Siedział nieruchomo przy stole i wpatrywał się w zawartość koperty – dwadzieścia tysięcy funtów w nieużywanych pięćdziesiątkach,

dziesięć plików związanych żółtymi gumkami recepturkami. Tyle było warte jego milczenie.

Wziął do ręki jedną z czerwonych paczuszek. Z awersu zerkała na niego Elżbieta II Windsor, z drugiej – zatroskany Matthew Boulton, a pod nim jego słynne słowa: *„I sell here, Sir, what all the world desires to have – power”*. Redfern zaśmiał się w duchu. Co za ironia. Nagle sobie przypomniał słowa Sir Bacona: *„Knowledge is power”*. Dwieście lat różnicy i dwa różne znaczenia słowa „moc”. Tyle że David jej nie miał, nie wiedział nic. Mężczyzna, którego Redfern nazwał Palaczem, miał świadomość, że inspektor jest na właściwym tropie i że wkrótce ta wiedza może komuś bardzo zaszkodzić. Komuś, kogo stać na taki wydatek. Redfern był pewien, że mężczyzna jest jedynie posłańcem, ale od niego będzie musiał zacząć.

Wciąż przyglądał się banknotom. Widniejący obok przemysłowca James Watt odpowiadał, jakby czytał w myślach Redferna: *„I can think of nothing else but this machine”*. Tyle że wynalazca nie mógł przestać myśleć o tej parowej, a Redfern – o maszynie kłamstw napędzanej pieniędzmi, w której tryby będzie musiał włożyć solidny kij.



Tuż przed dziesiątą wjechał na parking komendy. Cieszyła go myśl, że prawdopodobnie miał świadka, a przynajmniej punkt zaczepienia, który pozwoli im ruszyć z miejsca. Wchodząc do budynku, poczuł wibracje w kieszeni. Puszka wysłał mu ostrzegawczego SMS-a, że Ted stawiał się na zebraniu, więc trochę sobie posiedzą. Młody policjant napisał też, że to trochę dziwne, że patolog siedzi z nimi w konferencyjnej zamiast w swojej pieczarze w Guildford. Redfern uśmiechnął się w duchu. Lubił Chrisa.

Chwycił za klamkę i prawie zderzył się z biegnącą Lindą. Zdążył zauważyć na jej trupio bladej twarzy kropelki wody, jakby spryskała

się zapachową mgiełką.

– Nie idziesz na zebranie? – zdziwił się.

– Przepraszam, David, ale córka mi zachorowała i muszę ją odebrać ze szkoły – odparła pospiesznie, nie zwalniając kroku. – Puszka opowie ci o nagraniach.

– Jasne – rzucił. – Trzymaj się!

Nie sądził, by go usłyszała, ale ucieszył się, że zwróciła się do niego po imieniu. Oznaczało to ocieplenie stosunków albo chwilowe zapomnienie się. W drzwiach usłyszał jeszcze, jak policjantka z piskiem opon odjeżdża z parkingu.

Tak jak napisał Tinney, Ted siedział już w konferencyjnej i zabawiał resztę tyleż suchymi, co sprośnymi żartami. Na widok Redferna udawany śmiech ucichł, a w oczach członków zespołu pojawiła się wyraźna ulga. David omiótł wzrokiem salę, ale nigdzie nie dostrzegł Knighta.

– Cześć wszystkim – zaczął i zajął swoje miejsce.

Odpowiedział mu zmęczony pomruk.

– Mam parę rewelacji, ale żeby niepotrzebnie nie zatrzymywać Teda, zaczniemy od niego.

Ted wyglądał jak król na imieninach. Ostentacyjnie wydobyl spod krzesła teczkę, otworzył ją i wyjął z niej plik kartek, który rozłożył przed sobą. Wreszcie odchrząknął i zwrócił się do Redferna.

– Dzięki, że szanujesz mój czas, Dave – rzucił beztrosko. – I tak byłem w Woking. W każdym razie postaram się nie marnować waszego. – Wziął jedną z kartek. – Ofiara, tak jak podejrzewałem, była przed śmiercią maltretowana. Wskazują na to liczne otarcia i siniaki. Część z nich powstała podczas wleczenia po polu. Kobieta usiłowana również zgwałcić. Na zdjęciach – Ted wyciągnął z teczki kilka fotokopii, które podał siedzącemu obok McMahonowi – widzicie wybroczyny na udach. Co ciekawe, nie doszło do penetracji. Niestety brak materiału genetycznego. Sprawca był przygotowany, użył prezerwatywy. Wskazuje na to talk w okolicach krocza ofiary. Na twarzy miała ślad po taśmie klejącej, ale techniczni jej nie znaleźli. Bezpośrednią przyczyną śmierci było przecięcie aparatu fonacyjnego, to znaczy krtani, ostrym narzędziem. Ofiara wykrwawiła się w wyniku uszkodzenia tętnicy tarczowej górnej. Kąt przecięcia,

a także ślady na kolanach wskazują, że klęczała przed napastnikiem, który był praworęczny.

– Broniła się?

– Tak, ale rozległy ślad na głowie sugeruje, że była przez jakiś czas ogłuszona.

– Jakieś niespodzianki? – McMahon obojętnym gestem przekazał zdjęcia dalej.

– To już od was zależy.

– To znaczy?

– Pod paznokciami ofiary znalazłem naskórek, który, o dziwo, udało mi się zidentyfikować. Dla mnie to była niespodzianka, bo najwyraźniej ofiara broniła się przed... – zrobił teatralną przerwę – ... mężem.

Po sali przemknął szmer. Pierwszy odzyskał głos Redfern.

– Jakim cudem masz trafienie?

– Też się zdziwiłem. Okazało się, że pan Sokoliński był zatrzymany pod zarzutem napaści seksualnej w dwa tysiące jedenastym roku. Podczas konferencji Low Carbon Vehicles w Northamptonshire doszło do bardzo nieprzyjemnego zdarzenia. – Ted relacjonował jak spiker w publicznej telewizji. – Po pokazach w jednym z pokoi hotelowych ktoś zgwałcił jedną z uczestniczek. Kobieta nie bardzo pamiętała napastnika, ale wskazała Sokolińskiego. Pobrano DNA, ale to nie był on. W każdym razie dzięki nowej ustawie materiał pozostał w bazie.

– Co Sokoliński robił na tej konferencji? – spytał McMahon.

– Pracował dla Jaguara w Meksyku, a cały ten cyrk organizują właśnie angielskie marki.

– Nie podoba mi się takie rozwiązanie – rzucił nagle Tinney. – To się nie trzyma kupy ani dupy. Po co miałby ją mordować akurat tutaj? W Polsce nie miał okazji?

– Może liczył na to, że kropnie ją u nas i zwieje? – zastanawiał się Ted.

– Może, ale skłaniam się ku temu, o czym mówi Puszka – rzekł Redfern. – To jest za proste. Widzieliście miejsce zbrodni. Tak nie morduje mąż.

Po twarzach policjantów przebiegł cień zamyślenia, jakby się zastanawiali, czy jest jakiś złoty przepis na małżeńską zbrodnię i czy podejrzenie gardła się w niego nie wpisuje.

– Co mamy na monitoringu? – spytał McMahon.

– W dniu śmierci około godziny siedemnastej oboje wychodzą z hotelu. W kamerze widać, że przyjechał po nich samochód. Portierka mówi, że nie zamawiali taksówki. Być może był to wynajem z kierowcą, sprawdzam Galaxy i Abco.

– A dni przed morderstwem?

– W piątek rano Sokoliński wychodził elegancko ubrany, tak jak mówiła kobieta z recepcji. Sokolińska godzinę później pytała o możliwość wypożyczenia roweru.

– Roweru? – zdziwił się Redfern. – Oryginalnie.

– Recepcjonistka pomogła jej zarezerwować w Brompton Bike i Sokolińska poszła do punktu przesiadkowego koło stacji. Miejski monitoring to potwierdza.

– Mówiła, dokąd jedzie?

– Podobno do Brookwood. – Tinney zajrzał do leżącego przed nim notesu.

– Przecież tam nic nie ma – odezwał się McMahon. – A już na pewno nic, dla czego warto byłoby telepać się pięć mil rowerem z kołami wielkości talerzyka deserowego. Dziura i tyle.

– To trzeba się przyjrzeć tej dziurze – odparł Redfern. – O której wrócili do hotelu?

– Ona koło trzeciej, a on po piątej. – Policjant znów zerknął do do notatek. – Wieczorem nigdzie nie wychodzili, zamówili chińszczyznę do pokoju.

– Czy cokolwiek wam się rzuciło w oczy?

– Linda powiedziała, że trudno jej uwierzyć w te skargi na głośne zachowanie. Sokolińscy na tych nagraniach wyglądają na kulturalnych ludzi, on ją przepuszcza na schodach, otwiera drzwi do samochodu, chodzą pod rękę jak na torze w Ascot.

– Pozory myślą – zaśmiał się Ted. – Nawet sobie nie wyobrażacie, co te kulturalne jednostki robią za zamkniętymi drzwiami! Słyszałem kiedyś...

– A co nam powiedziały media społecznościowe? – przerwał mu Redfern, zwracając się do McMahona.

– U niego zdjęcia aut i lans na konferencjach, u niej rozterki przekwitającej panny-już-niemłodej, czyli myśli głębokie jak kałuża. Coelho czy inny paralytyk umysłowy – dodał kwaśno. – Plus kilka ciotkowych wpisów typu: „Życzę miłego dnia”, „Kawka z rana najlepsza” i „Opublikuj, jeśli kochasz swoją córkę, pralkę czy menopauzę”. Ostatni wpis brzmi: „W przeszłość po przyszłość”.

– Ambitnie – rzucił Ted, dłubiąc w zębach.

Redfern widział, że zebranie kulało. Zamiast wniosków słyszał tylko zgryźliwe komentarze. Zakiszeni latami w policyjnej brei robili się cierpcy i w gruncie rzeczy ślepi. Brakowało mu Lindy. Wiedział, że jej wrażliwe kobiece oko wychwyciłoby to, czego nie pozwalały im dojrzeć klapki stereotypu. Z tych internetowych wypocin wydobyłaby obraz Sokolińskiej i pchnęła wszystko do przodu.

– Jakies wspólne mianowniki? – dopytywał.

– Znalazłem parę zdjęć z wakacji, wyłącznie klasyki, Turcja, Tunezja, południowe Włochy. W znajomych ma kilkanaście osób, głównie rodzinę.

– Jakies zwrotki z ogłoszeń parafialnych?

– Zgłaszają się same oszołomy. Miałem nawet jednego, co twierdził, że widział, jak się Sokolińska w lesie wieszala. Na fejsie tylko wyrazy współczucia dla rodziny i groźby pod adresem sprawcy.

– OK. Kop dalej – zachęcił go Redfern. – I przyjrzyj się tej aferze na konferencji. Musimy się skupić na znalezieniu Mariusza, a to może być jakiś trop. O piętnastej przyjeżdża córka zamordowanej, więc jest nadzieja, że ruszymy z miejsca. Jeśli nie, to poproszę Elbę o *hue-and-cry*.

Oficjalne poproszenie lokalnej ludności o pomoc wydawało mu się w tej chwili najsensowniejszym wyjściem.

– Ja to bym już teraz posłał za nim list gończy – powiedział z przekąsem Ted. – Nie wiem, dlaczego zwlekasz.

Poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach. Jeśli Sokoliński faktycznie jest mordercą, to każda minuta zwłoki może kosztować Redferna stanowisko. Postanowił jednak zaufać swojej intuicji.

– Mówiłeś o jakichś rewelacjach – wtrącił nagle Tinney.

– A, tak. Dowiedziałem się, że w noc morderstwa przejeżdżał tamtędy ostatni autobus do Woking. Kierowca miał przymusową przerwę w okolicach przystanku przy Pyle Hill. Możliwe, że coś widział. – Redfern spojrział na zegarek. Było po dwunastej. – Puszka, nie dam rady się z nim spotkać przed przyjazdem córki Sokolińskich. Przesłuchasz świadka, OK?

– Dobra. Podeślij namiary.

– Czy możemy się spotkać o szóstej? – zapytał, ale nikt nie odpowiedział. – Skoro nie ma sprzeciwu, to widzimy się po południu. Mam nadzieję, że do tego czasu Linda zorganizuje opiekę dla córki.

Bardzo na to liczył, choć zdawał sobie sprawę, że może nie zobaczyć policjantki jeszcze przez kilka dni. Sam nie miał dzieci, ale wyobrażał sobie, jak musi wyglądać godzenie rodzicielstwa z pracą policjanta. Może gdyby nie poddali się z Patricią, dziś siedziałby przy łóżeczku z rysunkiem Świnki Peppy i próbował przekonać małe usta do wzięcia syropu.

W pokoju został tylko Tinney, który ociągał się z zebraniem papierów.

– Mówiłeś, że Linda ma kłopoty z córką – zaczął, nie odrywając wzroku od blatu.

– No, a wiesz coś więcej?

– Wiem tylko tyle, że obie córki są z jej mężem w Stanach. – Spojrzał Davidowi w oczy, czekając na reakcję, po czym dodał: – Podobno jego matka walczy z rakiem.

– Jesteś pewien?

– Pamiętam, że mieli kłopoty, żeby to załatwić ze szkołą, ale się udało i miesiąc temu Linda odwoziła ich na lotnisko.

– Musiała mieć ważny powód, żeby skłamać. – Wzruszył ramionami, udając, że nic go nie obchodzi brak szczerości podwładnej. – Wybiegła bardzo zdenerwowana, więc chyba faktycznie musiało się coś stać. Zadzwonię do niej, jak znajdę chwilę.

– Spoko, tak ci tylko mówię. – Tinney schował rzeczy do jeansowego plecaka i podszedł do drzwi. – Podczas oglądania nagrań też była roztrzęsiona, więc może zadzwoń teraz.



Uzupełnił i uporządkował papiery dla Elsy i wysłał jej maila. Spodziewał się otrzymać za chwilę bogatą w okrągłe słowa odpowiedź, że liczyła na więcej. On też. Dzisiejsze zebranie, mimo pozornego przełomu, nie wniosło do sprawy nic. Mimo nagłego zniknięcia mąż w żaden sposób nie pasował mu do sprawcy, który musiał przecież wcześniej znać Pyle Hill.

Ciało zostawione na środku pola jak na arenie cyrkowej, element makabrycznego przedstawienia – wszystko to sugerowało zaplanowaną zbrodnię kogoś, kto doskonale znał przedmieścia. Mariusz Sokoliński nigdy wcześniej nie odwiedzał Woking. Bożena musiała gdzieś zetknąć się z mordercą. Z wyjątkiem jednego popołudnia cały czas towarzyszyła mężowi. Redfern usiłował sobie przypomnieć, co takiego znajduje się w tej miejscinie, że Sokolińska postanowiła ją odwiedzić.

Ciszę przerwała pozostawiona na biurku komórka, która zaczęła podskakiwać w rytm wygrywanej przez siebie melodii. Redfern dotknął wyświetlacza.

– Co masz, Matt? – odezwał się.

– Same duperele, ale pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

– Jasne, dawaj.

– Mam analizę odcisku buta. Gość był dość lekki, jak na ten rozmiar. Po odliczeniu masy denatki daje jakieś sto trzydzieści funtów. Nie znam zbyt wielu chudzielców noszących dziewiątkę.

– Kobieta?

– Niewykluczone. Nike Waffle Racer mają bardzo charakterystyczną podeszwę, ale identyczną dla męskich i damskich modeli. Od razu skojarzyłem, bo mój dzieciak w takich śmiga. Wydałem w Sports Direct majątek na najnowszy model.

– Co jeszcze?

– Krew znaleziona na trawie i krzakach należy do ofiary, więc nie ma zaskoczenia. Deszcz zatarł nam obraz, ale na moje oko ona

została przywieziona w tamto miejsce. Pies zgubił trop przy śladach krwi.

– Jakież fanty?

– Mnóstwo, ale bez związku.

– Prezerwatywa? Ted mówił o próbie gwałtu.

– Nie, żadnych takich, Dave – odparł Matt. Redfern słyszał, jak wypuszcza z płuc dym. – To była czysta robota. Gość przywiózł ofiarę, oprawił ją lekko przy wylocie Pyle Hill, a potem zaciągnął na pole, by dokonać reszty.

– A komórka Sokolińskiej? Namierzyliście ją?

– Wyłączona. Widziałem, że ostatnie logowanie miało miejsce w zasięgu przekaźnika w Mayford. To samo Sokoliński.

– Dobra robota – powiedział David, starając się ukryć rozczarowanie. – Dzięki.

Matt rozłączył się bez pożegnania. Redfern został ze szczątkowymi informacjami. Wpisał w wyszukiwarkę model butów podany przez technika. Wyświetliło mu milion zdjęć. Mężczyzna miał rację – buty miały podeszwę, której nie dało się pomylić z żadną inną. Wzór utworzony z kwadratowych wypustek miał służyć sportowcom, amortyzując uderzenia stóp o podłoże. Nie było sensu zagłębiać się w szczegóły.

Słońce przeszło już na stronę jego biura i świeciło prosto w ekran laptopa. Śliska i błyszcząca matryca odbijała każdy promień, uniemożliwiając czytanie. David wstał, by zaciągnąć roletę. Jego wzrok przyciągnęła idąca wzdłuż ulicy Approach Station kobieta. Ciągnęła za sobą małą walizkę, która podrygiwała na nierównościach czerwonego bruku. Turystka miała na sobie wojskową kurtkę, jeansy i trampki. Kręcone brązowe włosy niespecjalnie dały się okiełznać gumce i stworzyły wokół jej twarzy ramkę z podskakujących sprężynek. Pewny chód złożony z małych kroków podpowiedział mu, że kobieta idzie do niego. Nie czekając, aż zniknie w budynku komendy, wrócił do biurka. Otworzył jedną z szuflad i jednym gestem zrobił na nim względny porządek. Zostały tylko laptop, telefon, lampka i setki odbitych kółek po kubkach kawy. Musiało wystarczyć.

Pięć minut później w progu stała kobieta przed trzydziestką, o urodzie niedorównującej może Miss World, ale z pewnością zwracająca uwagę. W drodze do biura musiała uwolnić kosmyki, bo teraz każdy zdawał się cieszyć wolnością, tworząc wokół piegowatej twarzy brązową aureolę. Wyglądała jak potomkini wikingów.

– David Redfern, jak zgaduję? – zapytała, zamykając za sobą drzwi. Gdyby nie to, że był na nią szczególnie wyczulony, to wschodnioeuropejska nuta byłaby prawie niedosłyszalna w akcencie kobiety.

– Tak – odparł. – A pani to pewnie Marta Sokolińska. Proszę usiąść. – Wskazał jej miejsce przed biurkiem, a gdy spoczęła, dodał: – Chciałem zacząć od kondolencji. Jest mi ogromnie przykro z powodu pani straty...

– W porządku – powiedziała sucho. – Już się otrząsnęłam. Chciałabym z tatą jak najszybciej zabrać matkę do Polski.

– Rozumiem, że chce pani wrócić do kraju, ale będzie nam pani potrzebna tu, na miejscu.

– Chciałabym się na coś przydać, ale nie miałam z mamą zbyt dobrych układów. – Nie rezygnowała z obojętnego tonu. Jej wzrok uciekł w stronę regału z dokumentami. Gdyby żuła gumę, wyglądałaby jak zbuntowana nastolatka na dywaniku u dyrektora.

– Nie szkodzi – rzekł Redfern pojednawczo. – Nawet z drobiazgów możemy złożyć tę sprawę do kupy. Często decydują szczegóły. Na przykład to, że powiedziała pani przed chwilą, że chciałyby z ojcem zabrać matkę do kraju. Czy to znaczy, że ma pani z nim kontakt?

– Myślałam, że wy macie, że jest w jakimś szoku czy coś i dlatego nie odbiera telefonów. Nikt w ambasadzie nie chciał mi nic powiedzieć. – Kręciła głową.

– Niestety nie znamy miejsca jego pobytu. Przypuszczamy, że między nim a pani matką mogło dojść do jakiegoś nieporozumienia.

Twarz Marty Sokolińskiej stężała, a oczy skupiły się na policjancie.

– Nie bardzo rozumiem.

– Powiem wprost: pani ojciec jest jak na razie jedynym podejrzanym. Jego zniknięcie nie ułatwia sprawy. Dlatego muszę wiedzieć wszystko. Między innymi to, po co przyleciał do Anglii.

Kobieta zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Redfern pomyślał, że jej wyobrażenie o pobycie w Woking najwyraźniej nie dobrało się w parę z rzeczywistością. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, po czym rzekła:

– Tata miał rozmowę kwalifikacyjną w McLarenie na stanowisko szefa działu zakupów – mówiła rzeczowo. – Po wszystkim dzwonił do mnie, bardzo zadowolony z jej przebiegu. Był przekonany, że dostał tę pracę, choć na odpowiedź musiał poczekać do poniedziałku. Wściekał się tylko na agenta, który, jak to ujął tata, sabotował tę aplikację. Gdyby tata sam nie zadzwonił do siedziby McLarena, jego CV zostałoby wrzucone do niszcarki.

– Kiedy to było?

– W piątek po południu. Musiało być koło szóstej polskiego czasu, bo pamiętam, że wychodziłam z pracy.

– Pamięta pani, jak nazywał się ten agent?

– Tata nie wspominał nazwiska. Wiem tylko, że reprezentowała go agencja Hays.

Redfern, nie chcąc otwierać zagraconej szuflady biurka, sięgnął do drukarki po parę kartek i zaczął notować kluczowe słowa.

– Później się nie kontaktował?

– Nie.

– A mama?

– Pojechała z nim dla towarzystwa. – Marta Sokolińska uśmiechnęła się pierwszy raz, odkąd weszła. – Dzwoniła do mnie w sobotę i opowiadała o locie oraz o tym, że byli z ojcem na spacerze wzdłuż jakiegoś kanału. Od rozwodu częściej spędzali ze sobą czas, jakby obrączki były niepotrzebnym balastem.

– Byli po rozwodzie? – Redfern napisał wielkimi literami słowo „rozwód” i parokrotnie zatoczył długopisem koło wokół niego.

– Tak. Rozwiedli się cztery lata temu po prawie dwudziestu trzech latach małżeństwa.

Redfern szybko obliczył w głowie, że dziewczyna musi mieć około dwudziestu pięciu, dwudziestu siedmiu lat.

– W takim razie musiało być coś, co ich poróżniło – kontynuował.

– Ścieżki kariery, zmęczenie sobą – odparła obojętnie. – Nie jestem pewna, czy nie chodziło o sprawy łóżkowe, ale o takich rzeczach nie

rozmawia się z dziećmi. Nawet dorosłymi.

– A wie pani może, po co matka pojechała do Brookwood?

– Gdzie?

– Brookwood to taka niewielka miejscowość obok Woking. Może macie tam rodzinę? Ostatecznie pani matka miała angielskie obywatelstwo.

– Urodziła się tutaj, ale dziadkowie byli Polakami. Dziadek służył chyba nawet dla waszej armii, ale nigdy się o tym nie mówiło u nas w domu.

– Mam wrażenie, że niewiele się u was mówiło – wyrwało się Redfernowi.

– Zdaje się, że o komunie to pan słyszał tylko w radiu, co?

Pudło, dziewczyno, pomyślał. Spojrzał na swoje odbicie w szklanej witrynie, w której rysowały się mocno skręcone włosy i wydatne wargi. Dopiero na myśl o szarych oczach poczuł nieміłe ukłucie w żołądku. W tym tygodniu nie był u dziadka.

– Nie tylko – odparł po polsku.

Po twarzy kobiety przebiegł zabawny grymas, dokładnie taki, jaki ksiądz często widzi na twarzach najmłodszych wiernych podczas mszy dla dzieci. Jej policzki mocno się napięły, a usta zwężyły do cienkiej kreski. Wreszcie nie powstrzymała śmiechu i wybuchła:

– Ale pan jest...

– Czarny – dokończył z uśmiechem. – Cieszę się, że pani zauważyła. Moja mama była Polką, a ojciec Jamajczykiem lub, jak kto woli, szkockim Jamajczykiem – wyjaśnił. – Czy naprawdę nie przychodzi pani do głowy, dlaczego matka pojechała do Brookwood?

– Nie – ucięła, a rozbawienie zniknęło z jej twarzy. – Skoro pan prowadzi śledztwo, to będę potrzebowała pana zgody na wydanie zwłok. Taką informację dostałam w ambasadzie.

– To prawda. – Pokiwał głową. – Ale nie mogę jej wydać do momentu zakończenia postępowania wyjaśniającego.

– Ale koroner już wydał zgodę na transport! – wykrzyknęła.

– To nie jest takie proste. Kiedy prokurator otrzyma mój raport, podejmie ostateczną decyzję.

– Ile to może potrwać?

– Trudno stwierdzić – powiedział, choć miał ochotę szczerze wyznać, że wszystko będzie zależeć od humoru i ilości czasu Dużej Elsy.

– Gorzej niż w Polsce – westchnęła ciężko Sokolińska. – Najpierw musiałam dostać zgodę od prezydenta miasta, potem konsula, koronera, a teraz waszą. Zwariować można.

– Spokojnie. Prokurator nie lubi niepotrzebnie przedłużać procedur.

– Co z moim tatą? Macie pomysł, gdzie on może być?

– Wiemy, że w sobotę wieczorem oboje wyszli z hotelu, skąd zabrał ich czarny samochód. Raczej nie była to taksówka. Ich komórki ostatni raz zalogowały się w Mayford, czyli w miejscu znalezienia zwłok pani matki. Sądzę, że pani rodzice przebywali w Woking nie tylko ze względu na rozmowę kwalifikacyjną. Proszę na spokojnie się zastanowić, czy przed wyjazdem któreś z nich nie powiedziało czegoś, co panią zastanowiło, czy nie było w ich zachowaniu czegoś dziwnego. Spotykamy się jutro. Gdzie się pani zatrzymała?

– W hotelu Double Tree.

– W takim razie podjadę po panią jutro koło ósmej, dobrze? Proszę wypocząć.

– OK. – Wstała i poprawiła pomiętą kurtkę. Podeszła do drzwi, ale zanim je otworzyła, rzuciła ostro: – Nie wierzę, że mój tata jest mordercą.

Ja też nie, chciał powiedzieć, ale zamiast tego tylko skinął głową. Kobieta odpowiedziała tym samym i wyszła, ciągnąc za sobą walizkę. Po chwili usłyszał stukot małych kółek o bruk. Został sam ze swoimi myślami, które teraz skupiły się na słynnej firmie samochodowej. Sokoliński miał ciekawą ścieżkę kariery: Jaguar w Meksyku, Mercedes w Polsce, a teraz chcieli go na najwyższej półce w McLarenie. Zastanawiał się, czy tam znajdzie odpowiedź na pytanie, co stało się z biznesmenem. Postanowił poczekać z tym do jutra, gdy Marta Sokolińska złoży oficjalne zeznanie. Jak dotąd zachowanie kobiety wydało mu się bardzo dziwne.

Słońce zniknęło za budynkami Approach Station, pogrążając gabinet w przygnębiającej szarudze. Do zebrania została jeszcze godzina, którą postanowił wykorzystać na telefon do Lindy, ale nagły

skurcz żołądka przypomniawszy mu, że od śniadania nie miał nic w ustach. Uznał, że może do niej zadzwonić z baru. Włożył komórkę do kieszeni spodni i wyszedł z komendy.

W pubie The Sovereigns panował względny spokój. Kilku amatorów steków w milczeniu raczyło się posiłkiem. Z głośników sączyła się senna muzyka. Zamówił burgera i ulubione ember inns pale ale, które produkowano na miejscu. Z pomocą znakomitego browaru Black Sheep stworzyli świetne lekkie piwo z mocnym goryczkowym wykończeniem, które teraz wypełniało mu usta. Raczył się każdym łykiem, rozmyślając o kopercie, którą zostawił w kuchni. Powinien z nią coś zrobić – przekazać na cel charytatywny albo zwyczajnie wyrzucić. W każdym razie musi zacząć działać, ale ostrożnie. Paraliżowało go przeświadczenie, że jest obserwowany. Nawet teraz czuł na sobie czyjś wzrok, choć zdawał sobie sprawę, że Palacz nie jest amatorem i nie narażałby się bez potrzeby. Redfern porządnym haustem piwa przegonił myśl o nim. Na razie musiał trzymać zespół w kupie i doprowadzić sprawę Sokolińskich do końca.

Gdy w szklance została tylko piana, wybrał numer Lindy. Odczekał kilka sygnałów, ale nikt nie podniósł słuchawki. Każdą kolejną próbę połączenia zbywała poczta głosowa. Redfern nabrał podejrzeń, że Puszka może mieć rację, i uznał, że sam powinien mocniej zainteresować się tym, co dzieje się z policjantką. W tym momencie rozbrzmiał dzwonek komórki.

– Co się z tobą dzieje?! – zaatakował, myśląc, że mówi do Lindy.

– Nic – odparł Tinney zaskoczony. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że kierowca z Arrivy się ulotnił.

– Jak to ulotnił?

– Nie ma go pod tym adresem. To znaczy wynajmuje pokój w Kingfield Lodge, ale współlokatorzy twierdzą, że od paru dni go nie widzieli. No i mam tutaj pewien problem. – Tinney mocno zaakcentował ostatnie słowo. – Co robimy?

– Zaraz tam będę. Daj znać reszcie, że widzimy się jutro o dziesiątej.

– OK.

Redfern zostawił trochę drobnych na stoliku i wybiegł na ulicę. Wziął triumpha z policyjnego parkingu i po dziesięciu minutach

zatrzymał się koło auta Tinneya w dzielnicy Kingfield. Inspektor przebiegł ruchliwą Vicarage Road i znalazł się na wąskim chodniku. Budynek z dwiema wieżami bardziej przypominał zamek niż dom. W ceglane ogrodzenie ktoś wmurował czarną marmurową tablicę, jakby Kingfield Logde zmarł, a życiem swym zasłużył na szereg złotych liter.

Na wysypanym grysem podjeździe czekał na niego Puszka wraz z wysokim, brodatym mężczyzną w garniturze. Podchodząc, Redfern usłyszał strzęp rozmowy o braku uprawnień. Domyślił się, że Tinney rozmawia z pomysłodawcą tablicy, równie elastycznym jak ona.

– Dzień dobry. Inspektor Redfern – rozpoczął tubalnie, usiłując przekrzyczeć przejeżdżającą obok ciężarówkę.

– Dzień dobry – odpowiedział brodacz i wyciągnął rękę sztywno jak facet z agencji nieruchomości. – Nazywam się Martin Lewis i jestem zarządcą Kingfield Lodge.

– Doskonale się składa! – Redfern ucieszył się sztucznie.

Puszka odwrócił się, by ukryć uśmiezek.

– Doprawdy? – zdziwił się zarządca. – Pan Tinney przedstawił mi swoje racje, ale prosi mnie o rzecz niemożliwą. Chce zajrzeć do pokoju jednego z wynajmujących. Bez nakazu nie mogę się na to zgodzić. Moja agencja w życiu by sobie nie wybaczyła, gdyby...

– Kieran nie jest jakimś tam świadkiem, jak zapewne przedstawił to oficer Tinney, tylko podejrzanym. – Redfern przerwał mu ten pompatyczny wywód. – W tym przypadku obowiązują zupełnie inne procedury – łąał jak z nut, wywołując u Lewisa stan na granicy hipnozy. – Liczymy na pełne zaangażowanie i współpracę obywateli, a pan wygląda na porządnego obywatela. Chodzi o morderstwo – dodał konspiracyjnie.

– Oczywiście. – Brodacz otrzeźwiał i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Przełożył w palcach kilka z nich i po chwili wskazał na właściwy. Podał go Redfernowi. – Proszę, to ten.

– Obawiam się jednak, że pana obecność jest niezbędna. – Inspektor bezradnie rozłożył ręce.

Lewis wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

– Wolałbym się w to nie mieszać... – odparł zakłopotany.

– Skoro pan poszedł na takie ogromne ustępstwo, to niech policja zrobi krok w stronę obywatela – podjął Tinney. – Napiszę w raporcie, że był pan cały czas obecny przy oględzinach. Zgoda?

– Będę zobowiązany – odparł mężczyzna, przestępując z nogi na nogę. – Po prostu zaprowadzę panów do środka i już mnie nie ma.

Dom pachniał jak wnętrze zatęchłego namiotu z domieszką curry i przypalonych ziemniaków. Redfern i Tinney szli szerokim korytarzem, do którego ścian poprzyklejane były surowe drewniane drzwi. Jedyne światło, jakie oświetlało im drogę, dochodziło z otwartej łazienki, którą minęli pospiesznie. Jak na tę porę dnia było wyjątkowo cicho. Martin Lewis wyjaśnił im, że większość mieszkańców pracuje na zmiany, więc byłby wdzięczny, gdyby nie robili hałasu.

Po chwili stali w małym, dusznym pokoju, którego wyposażenie składało się z niezaścielonego łóżka, stolika z krzesłem i szafy z naderwanym zawiasem. Tinney podszedł do niej i uchylił drzwi. Poupychane ubrania tworzyły chaos, w którym odnaleźć się mógł co najwyżej właściciel. Oficer pociągnął jedną z koszulek. Efekt domina zadziałał bezbłędnie i po sekundzie u ich stóp leżała sterta odzieży. Redfern, który przeglądał zawartość kartonów na stole, obrzucił kopiec niechętnym wzrokiem. Nie lubił bałaganiarzy.

– Nie wiem, jak to zmieścisz z powrotem, ale nie może tu zostać po nas ślad – powiedział do Tinneya. – Elsa urwałaby mi łeb przy samej dupie, gdyby wiedziała, co robimy.

– No to się przygotuj. – Młody policjant odwrócił się z tajemniczą miną. Nie mówiąc nic więcej, rozpostarł przed Redfermem koszulkę. Inspektor patrzył na wgryzające się w biel brunatne smugi i nie miał wątpliwości, że są to ślady krwi.



Przekręcał klucz ostrożnie i po cichu. Wstrzymał nawet oddech, gotowy na atak, ale nic takiego nie nastąpiło. Stał w oświetlonym

mizerną żarówką przedpokoju. Zapach zepsutego kurczaka zdążył wywietrzeć i zniknąć całkowicie. W przeciwieństwie do koperty, która uparcie leżała na kuchennym stole.

Wieczór na dobre rozgościł się w Woking, obejmując szarym ramieniem każdą z dzielnic. Redfern patrzył przez chwilę, jak w sąsiednich budynkach zapalają się światła. Przez okno widział, jak ludzie celebrują wieczór – jedni przed telewizorem, inni szykując dzieciom kolację, a jeszcze inni prasując ubrania. W nagim oknie poczuł się jak nakryty podglądacz. Powinien się zacząć urządzać – kupić jakieś zasłony, dywan czy żyrandol. Może w przyszłym tygodniu znajdzie czas.

Przygotował sobie kolację – tosty z serem i surówkę coleslaw marki Asda. Nie miał siły na więcej, awantura z Dużą Elsą zakończyła się pyrrusowym, choć jednak zwycięstwem. Najmocniej oberwał Puszka, który nie wiedział, gdzie oczy podziać, gdy Martin Lewis wygłaszał tyradę na temat wątpliwych metod angielskiej policji. Bente Hansen zagroziła, że jeszcze jeden taki numer, a Puszka wróci do doglądania krów w Old Woking. Ostatecznie ekipa Matta zebrała materiał do analizy. Trzeba było czekać.

David pozmywał i powycierał naczynia, układając w głowie, co powinien zrobić w pierwszej kolejności. Kiedy skończył, usiadł w salonie i włączył laptopa.

Wydawało mu się, że skądś zna Kierana Bamharę. Gdy zalogował się do systemu i wrzucił jego nazwisko, wiedział już dlaczego. Swoją karierę rozpoczął od kradzieży dwóch tysięcy funtów z kasy TK Maxx, w którym pracował jako stażysta. Do dwa tysiące piątego był zamieszany w kilka rozbojów, bójek i napadów, aż wreszcie za próbę gwałtu na nieletniej skazano go na trzy lata więzienia. Skorzystał z programu resocjalizacyjnego, który pomógł mu wyjść na prostą, i rok później znalazł pracę w Arrivie. Od czterech lat kartoteka Bamhary była czysta. Redfern ze smutkiem pomyślał, że jeśli krew znaleziona na koszulce należała do Mariusza Sokolińskiego, oznaczać to będzie, że Kieran wrócił na starą ścieżkę.

Wynotował najważniejsze fakty z życia mężczyzny i poszedł zrobić sobie herbatę. Gdy wrócił, odnalazł numer do szpitala Priory i wystukał go na ekranie komórki. Przez myśl przeszło mu, że

siódma pięćdziesiąt może być kiepską godziną na dzwonienie w takie miejsce. Po kilku sygnałach usłyszał w słuchawce pozbawiony życia kobiecy głos. Otworzył usta, by się przywitać, ale w porę się zorientował, że to automat. Machinalnie wybrał zero, by po chwili połączyć się z centralą. Wyłożył pokrótce powód, dla którego chce odwiedzić ośrodek. Ku jego zaskoczeniu recepcjonista nie stawiał oporu i umówił go z dyrektorem na czwartek.

Zanim odłożył telefon, przedzwonił do Lindy. Brak odpowiedzi skomentował na poczcie głosowej, dodając ostrą prośbę o kontakt. Przez dwadzieścia lat kariery trzy razy wziął urlop na żądanie – na pogrzeb matki i w dzień, w którym dziadek miał zawał. Tylko raz pozwolił sobie, by za jego nieobecnością stała przyjemność. Doskonale pamiętał swoje trzydzieste urodziny, gdy z rana pognali z Patricią na Heathrow i wybrali najbliższy lot. Padło na Barcelonę. Pani z British Airways, która sprzedawała im bilety, skwitowała ich szczeniacki chichot surowym spojrzeniem. Identycznym z tym, którym szef obdarzył go, gdy się dowiedział, gdzie Redfern był i co robił. Z samej Barcelony niewiele pamiętał, poza hotelowym łóżkiem i dyskretnym pokojowym, który cały weekend zostawiał im pod drzwiami zamówione jedzenie. Po powrocie oboje z Patricią byli zdziwieni, że z tego wyjazdu nie wrócili jako rodzice. Dziś z lekkim żalem pomyślał, że być może miałyby teraz więcej powodów, by brać urlop na żądanie.

Z tą myślą wstał i rozejrzał się po pokoju. Ustawione pod ścianą kartony przypominały klocki Duplo, niedbale ułożone przez trzylatka. Sam się dziwił, ile szpargałów nazbierał przez te lata. Po chwili wypatrzył ten, którego szukał.

Wnętrze pudła wypełniał zapach, za którym nieświadomie tęsknił, a którego świadomie nienawidził. Wyciągnął na stół ramkę na zdjęcia, czytnik e-booków, magnes przedstawiający kościół Sagrada Familia oraz puzderko pełne bibelotów. Na dnie zostało parę szmat, pusty flakon perfum i kilka przyborów toaletowych. Chwilę przyglądał się misternie wykonanej szczotce do włosów. Wreszcie wydobył z niej kilka złotych, cienkich jak jedwabna przędza nitek i włożył je do przygotowanego wcześniej woreczka. Jutro poprosi

laboratorium o analizę porównawczą. Musiał mieć pewność, że mężczyzna z Dover to Adrian Bones.

Poczuł sztywniejący ból w rękach. Poszedł do sypialni i łyknął dwa naproxeny i dodatkowy prednisolone. Wiedział, że na niewiele się to zda i noc spędzi w pozycji siedzącej, usiłując przekładać zbolałymi palcami kartki kolejnej książki. Czasem miał wrażenie, że to one lepiej niż jakikolwiek immunosupresant uśmierzały ból, a przynajmniej odciągały od niego uwagę. Na nocnej szafce leżał egzemplarz *Jeziora tajemnic* Petera Maya, do którego David wsunął dwa woreczki z włosami. Odłożył książkę. Do końca zostało mu trochę ponad pięćdziesiąt stron. Z żalem pomyślał, że na kolejną powieść mistrza, *Wyspę powrotów*, będzie musiał poczekać aż do piątego grudnia.

Ze snu podszytego wspomnieniami wyrwało go dzwonienie domofonu. Poszedł do przedpokoju i na wpół świadomie podniósł słuchawkę.

– David, otwórz – usłyszał znajomy kobiecy głos i natychmiast nacisnął przycisk zwalniający elektromagnes.

Wizyta Patricii Bones była ostatnim, czego mógł się spodziewać o czwartej nad ranem. Nie zapalając światła, czekał, aż kobieta wejdzie na górę. Chciał przejrzeć się w lustrze, ale jedyne, co dostrzegł, to białka swoich oczu. Nierówne kroki na klatce schodowej stawały się coraz głośniejsze. Kiedy wycieraczka wytłumiła stukot obcasów, otworzył drzwi i stwierdził, że się pomylił.

W progu stała przemoczona inspektor Linda Wall.

ROZDZIAŁ IV

Środa, 9.10.2013

Posadził ją w fotelu w salonie i poszedł zaparzyć herbatę. Nie dla Lindy, dla siebie. Musiał dać sobie czas na zastanowienie. Czekając, aż woda się zagotuje, próbował uspokoić myśli. Z pokoju obok dochodziło go ustawiczne mamrotanie i szelest, jakby ktoś maszerował w ortalionowej kurtce. Linda była na totalnym haju. Usiłował się dowiedzieć, co brała, ale nie potrafiła powiedzieć. Biorąc pod uwagę stopień pobudzenia, stawiałby na kokainę albo amfę. Przyszło mu do głowy, że powinien zadzwonić na pogotowie albo chociaż spróbować się skontaktować z mężem policjantki. Oba pomysły odrzucił.

Nagle w drzwiach kuchni stanęła Linda. Kompletnie naga opierała się o futrynę.

– Skoro nie chcesz mi dać pieniędzy, to może zarobię – powiedziała.

– Co lubisz, Dave? Obciągnąć ci czy wolisz ostre rżnięcie?

– Ubierz się – rozkazał. – Natychmiast!

– Nie podobam ci się, inspektorze? – Podeszła do niego na tyle blisko, że poczuł jej oddech. Najwidoczniej podkład z dragów podlała jeszcze alkoholem. Znał ten numer. Kokainiści obniżali w ten sposób ciśnienie tętnicze.

Palcem wskazującym musnęła jego usta i powoli przesuwając dłoń w dół. Kiedy dotarła poniżej paska, zaczęła rozpinać rozporek. David chwycił ją za nadgarstek i odepchnął. Źle oszacował siłę i kobieta

uderzyła plecami o ścianę. Bał się jej reakcji, ale ona tylko się uśmiechnęła i rzuciła wyzywająco:

– A więc tak to załatwimy. – Odwróciła się tyłem i wypięła mocno, po czym zwróciła twarz w jego stronę. – Możesz mnie mieć na ostro, inspektorze.

Jej ciało było blade i wychudzone, jakby jedyne, czym żyła w ostatnim czasie, to wódka i narkotyki. W tej pozie działała na Redferna odpychająco. Minał ją obojętnie i poszedł do łazienki. Gdy wrócił, opatulił ją przyniesionym stamtąd szlafrokiem.

– Co robisz? – spytała zaskoczona. – Chcę kasy! Chcę pieniędzy, pieprzony glino!

– Uspokój się! – wrzasnął. – Ubierz się i doprowadź do porządku!

– Ty gnoju!

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Linda porwała z blatu nóż do steków i wystrzeliła w stronę Redferna. Zamroczona narkotykami była wolniejsza od inspektora, który z łatwością wytrącił jej narzędzie z ręki. Popchnął ją tak mocno, że upadła na plecy. Przygniótł ją do podłogi i jednym silnym ruchem przewrócił na brzuch. Jej ciało było mokre i śliskie jak tułów ryby. Siedząc na niej okrakiem, jedną dłonią złapał mocno za chude nadgarstki, a drugą wyciągnął pasek ze spodni. Zwinnym ruchem związał jej ręce. Linda miotała się i wrzeszczała, rzucając przekleństwa. Redfern pomyślał, że powinien ją zakneblować, ale ostatecznie zrezygnował. Podniósł kobietę z podłogi i w pochylonej pozycji zaprowadził do sypialni. Usiłowała się wyrywać, ale był od niej silniejszy. Położył ją na łóżku i przykrył kocem.

– Ty kutasie złamany! – dyszała wściekle, wyrzucając z siebie nadmiar śliny. – Przyszłam do ciebie jak do człowieka! A ty co? Nie staje ci, pedale jeden?

– Zamknij się – powiedział ostro. – Jak będziesz się zachowywać, to uwolnię ci ręce, a na razie masz słuchać. Zadzwonię teraz po lekarza, a ty tu grzecznie poczekasz.

Dopiero teraz zauważył, że oprócz kataru z nosa leci jej krew. Podszedł do kobiety i usiłował wytrzeć jej twarz, ale się odwróciła.

– Gorąco mi – rzuciła i pociągnęła nosem.

Redfern ściągnął z niej koc, była spocona i drżała. Nie miał pewności, czy może zostawić ją choć na chwilę samą, ale musiał zadzwonić po pomoc. Wpisał w wyszukiwarkę hasło „odtruwanie” i w ułamku sekundy wyświetliła mu się lista ośrodków świadczących takie usługi. Wybrał pierwszy z nich. Operator zalecił monitorowanie zachowania i obiecał przysłać lekarza w ciągu trzydziestu minut.

Redfern wpadł w panikę. W jego łóżku była naga, zakrwawiona kobieta związana skórzanym paskiem. Poszedł do salonu i zebrał ubrania Lindy. Przemoczoną kurtkę powiesił na wieszaku nad wanną, a resztę rzeczy przewrócił na prawą stronę i zaniósł do sypialni. Linda leżała nieruchomo i oddychała płytko.

– Lekarz jest w drodze – oznajmił. – Teraz cię ubiorę.

– Zostaw mnie! – wymamrotała i straciła przytomność.

– Linda! – Dopadł do niej i zaczął klepać ją po policzku.

Wyciągnął spod łóżka butelkę wody i chlusnął kobiecie w twarz. Bez rezultatu. Uwolnił jej ręce i starał się utrzymać ją w pozycji siedzącej, nie przestając do niej mówić. Była gorąca jak piec. By nie dopuścić do udaru, mógł zrobić tylko jedno. Wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki. Wsadził kobietę pod prysznic i polewał obficie zimną wodą. Złapał ją za przegub i sprawdził tętno. Ponad sto dziesięć.

Niech ten cholerny lekarz się pospieszy, myślał gorączkowo.

Jak na zawołanie odezwał się domofon. Redfern zakręcił wodę i pobiegł do przedpokoju. Po chwili w drzwiach stał ubrany w garnitur siwy mężczyzna. W ręku trzymał większą od standardowej teczkę lekarską. Z jego ostrych rysów twarzy i stalowych oczu można było wyczytać, że widział niejedno.

– Gdzie pacjentka? – Wszedł zdecydowanym krokiem i rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Tam – odparł Redfern i zaprowadził gościa do łazienki. – Staraniem się ją schłodzić.

– Doskonale – skwitował bez emocji lekarz. Podeszedł do Lindy i zbadał jej ciśnienie. Następnie wyciągnął z torby jakiś sprej, którym dwukrotnie psiknął kobiecie pod język. – Proszę ją położyć na jakimś łóżku.

Redfern usiłował dźwignąć Lindę, ale nie było to łatwe, mokre, wiotkie ciało wyslizgiwało mu się z rąk. Po kilku próbach wreszcie dotarł do sypialni. Ułożył kobietę ostrożnie i czekał na dalsze instrukcje.

– Proszę mi przynieść jakąś miskę, a potem zostawić samego – zakomenderował lekarz.

Słońce wzniosło się nad horyzont, odsłaniając krajobraz jak po bitwie. W rannym świetle Redfern dostrzegł plamki krwi na podłodze w kuchni, w przedpokoju było pełno wody. Przebijając się z mokrej piżamy, zobaczył, że nie zebrał wszystkich ubrań Lindy. Pod stołem obok wybebeszonej torebki leżała brudna czerwona skarpetka.

Usiadł w fotelu i czekał. Słyszał, jak Linda wymiotuje. Odczuł ulgę, że jest przytomna. Po blisko godzinie w progu stanął lekarz. Redfern zorientował się, że nawet nie wie, jak się nazywa. Wstał i w milczeniu poszli do sypialni. Śmierdziało w niej potem i wymiocinami. Linda spała, przykryta kołdrą. Miała mokre włosy, które oblepiały jej zaczerwieniony policzek. Z brzegu łóżka zwisała jedna ręka, na której pojawiła się sina bransoleta.

– Zrobiłem jej sondowanie żołądka – rzekł sucho lekarz, mierząc Redferna wzrokiem. Najwyraźniej wyrobił już sobie opinię na temat całej tej sytuacji. – Dostała chloropromazynę, żeby nie szalała, oraz przeciwwgorączkowo diazepam. Będzie spała ładnych parę godzin – uprzedził. – Gdyby coś się działo, proszę dzwonić, ale radzę panu odwieźć ją do ośrodka dla uzależnionych. W jej stanie detoksykacja w warunkach domowych może być wyjątkowo trudna. Na razie, proszę dbać o jej nawodnienie. Podałem jej kroplówkę, ale musi pan dopilnować, żeby dużo piła. Woda z cytryną i odrobiną soli będzie dobra.

– Oczywiście. – Chciał coś dodać, ale zrezygnował. Cokolwiek by w tej sytuacji powiedział, pograżyłyby się jeszcze bardziej. Zamiast tego podszedł do kartonu przy ścianie i wyciągnął z niego granatową książeczkę Lloyds Bank. – Czy przyjmuje pan czek?

– Przykro mi, ale preferuję gotówkę.

– Ile?

– Trzysta pięćdziesiąt funtów.

Choć doskonale wiedział, że nie ma takich pieniędzy, Redfern pewnie sięgnął po leżący na stole portfel. Czując na sobie wzrok lekarza, wertował parę dwudziestek i piątek. Niezręczność chwili podkreślała nieznośnie brzęcząca mucha, która krążyła po pokoju. Z mieszaniną ulgi i przestrochu Redfern przypomniał sobie, czemu zawdzięcza jej wizytę.

– Proszę zaczekać – powiedział i poszedł do kuchni. Starając się nie hałasować, otworzył szafkę pod zlewem. Sam nie wiedział, dlaczego uznał, że to dobre miejsce na kopertę od Palacza. Sięgnął po nią i wyciągnął jeden z plików banknotów. Odliczył potrzebną kwotę i wrócił do przedpokoju, wciąż przekonując się w myślach, że postępuje słusznie.

Podał lekarzowi pieniądze. Mężczyzna przyjął je i wyszedł bez słowa, zostawiając Redferna z milionem pytań.

Stał jak porażony. Dopiero dzwoniąca w sypialni komórka przywróciła go do życia. Budzik ustawiony na siódmą wygrywał spokojną melodię. Zły na siebie, że mógł obudzić Lindę, Redfern rzucił się, by go wyłączyć. Policjantka nawet się nie poruszyła. Mimo to, wychodząc, zamknął za sobą drzwi niemal bezdźwięcznie.

W salonie opadł na fotel. Adrenalina powoli odpuszczała, ustępując miejsca zmęczeniu i bólowi. Czuł się, jakby klatkę piersiową zgniatał mu wielki głaz. Próbował wciągnąć powietrze do płuc, ale żebra nie chciały się poruszyć. Z szuflady małego stolika wyciągnął ketonal i łyknął jedną tabletkę. Potem zaaplikował sobie fostair i duszność ustąpiła. Zastanawiał się, czy ponownie nie przełożyć zebrania. Za godzinę powinien być na komendzie, a musiał jeszcze podjechać do Double Tree po Sokolińską. Nie miał na to siły.



Redfern zostawił triumpha na frontowym parkingu. Wysiadając, pomyślał, że fasada Double Tree przypominała różowawy kupon loterii Euromillions. Zupełnie inaczej prezentował się hall.

Przestronny, z niezliczoną ilością stolików i foteli w różnych, ale pasujących do siebie stylach przywodził na myśl hotele z lat trzydziestych. Kontuar z trzema stanowiskami obsługi wskazywał, że w sezonie hotel miał komplet gości. Redfern był tu pierwszy raz i uśmiechnął się w duchu, że gdyby ktoś robił ankietę uliczną, to na pytanie, w jakim przybytku w swoim mieście nigdy nie był, obok aresztu i biblioteki ludzie wymienialiby hotel.

– W czym mogę pomóc? – zagadnął mężczyzna w recepcji.

– Byłem umówiony z Martą Sokolińską. Jest państwa gościem.

– Powiem, że pan przyszedł. – Recepcjonista podniósł słuchawkę telefonu i wybrał trzycyfrowy numer. – Pan?

– Redfern.

– Pani Sokolińska? – zapytał, gdy uzyskał połączenie. – Pan Redfern czeka w hallu.

Sokolińska nie kazała na siebie długo czekać. Po kilku minutach drzwi windy się rozsunęły i kobieta wkroczyła pewnym krokiem do hallu. Ubrana w podkreślające kształty jeansy i zwiewną bluzkę w kolorowe pióra przyciągała uwagę. Kasztanowe loki swobodnie opadały na ramiona, na których wisiał skórzany plecak. Nie była chuda, jak początkowo sądził, ale te siedem, może osiem kilo nadwagi doskonale ulokowało się w najbardziej zmysłowych miejscach. Swą tajemniczą urodą przywodziła na myśl dziką indiańską prerię.

– Jaki pan punktualny. – Wskazała brodą zegar nad głową recepcjonisty. – Ale chyba wiele to pana kosztowało. – Otaksowała go wzrokiem.

– To była ciężka noc – odparł i poprowadził ją do wyjścia.

W wiszącym na ścianie lustrze zobaczył, że miała rację: bladą i zmęczoną twarz wątpliwie zdobiły przekrwione, podkrążone oczy, a obrazka dopełniał stary, wymięty podkoszulek i jeansy.

Podszedł do auta i otworzył kobiecie drzwi.

– Ładny sprzęt – zdziwiła się, wsiadając. – Angielska policja nieźle sobie radzi.

– To triumph GT6 – wyjaśnił, śmiejąc się w duchu. – Mk III. Zaprojektowany przez samego Michelottiego.

– Kogo?

– Giovanni Michelotti, projektant takich aut, jak ferrari czy maserati. – Redfern odpalił silnik i włączył się do ruchu na Victoria Way.

– Super – pochwaliła, choć Redfern nie był pewien, czy kobieta pije do samochodu, czy do jego wiedzy o nim.

– Trochę tak, ale jak na czterdziestolatka nieźle sobie radzi – ciągnął, czując że trafił wreszcie na dobrego słuchacza. – Dziesięć sekund do setki.

– Chyba z przepaści – rzuciła. Redfern zdawał sobie sprawę, że triumph GT6 był niekochanym dzieckiem motoryzacji, ale akurat on zapalał do niego wyjątkowym uczuciem, które teraz Marta Sokolińska deptała swoimi niewyszukanymi komentarzami.

Redfern wbił wzrok w sygnalizator nad jezdnią. Gdy tylko zapaliło się żółte, wrzucił jedynkę i auto wystrzeliło jak z procy. Dwulitrowy silnik z łatwością rozpędził lekkie *coupe* do pięćdziesięciu mil na godzinę.

– Niech się pan już nie boczy – powiedziała po chwili.

– Nie boczę się, ale jesteśmy już spóźnieni na zebranie.

– Nie szkoda było panu ciąć tego dachu?

– Co?

– Nie było GT6 kabrio, to modyfikacja.

– Skąd pani wie? – Redfern z wrażenia prawie wjechał w tył hondy, która przyhamowała, by skręcić w prawo.

– Nie ma większego fana motoryzacji od mojego taty, zwłaszcza angielskiej. Kiedyś spędzaliśmy razem dużo czasu i to on sprawił, że kocham samochody. Wiedział pan, że pracował dla Jaguara?

– Tak, a także dla Mercedesa.

– Przyznaję, że jak zobaczyłam pana w tym aucie, to pomyślałam, że jest pan takim trochę szpanerem. Często z ojcem spotykamy takich na wystawach motoryzacyjnych. Ojciec jest mistrzem demaskacji pozerów. Samochody są jego życiem – powiedziała w zadumie.

Albo były, pomyślał.

Przemknęli pod mostem Victoria Arch i skręcili w prawo za lecznicą dla zwierząt, gdzie zatrzymał ich niewielki korek. Sokolińska nie odezwała się do samej bramy komendy. Gdy zaparkowali,

Redfern przez chwilę siedział w aucie. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że kobieta gra i nawet nie próbuje tej gry ukryć. Wiedział, że zespół też to zauważy i śledztwo pójdzie w złym kierunku.

– Zanim wejdziemy, muszę pani zadać jedno pytanie.

– Tak? – Zwróciła w jego stronę piegowatą twarz.

– Dlaczego ta śmierć pani nie obeszła? – zapytał. – Pani matka została brutalnie zamordowana, a pani wydaje się zupełnie tym nie przejmować.

– Proszę mnie nie oceniać – odparła twardo. – Moja matka nie była święta, a dzieciństwo miałam dalekie od ideału. Zresztą nic pan o mnie nie wie. – Pospiesznie wyszła z auta i trzasnęła drzwiami.

W swojej pracy spotykał się w różnymi reakcjami na śmierć bliskich: od rozpacz po śmiech, ale obojętność, którą okazywała Marta Sokolińska, była zastanawiająca. Nie wiedział, czy wyznanie o fatalnym dzieciństwie jest prawdziwe. Roboczo przyjął, że nie.



W konferencyjnej nie zastał nikogo. Wskazał Sokolińskiej miejsce i w milczeniu usiedli. Po chwili zjawili się Puszka z McMahonem, wyraźnie czymś rozbawieni. Ten drugi trzymał w ręku kubek z kawą. Redfern z utęsknieniem wciągnął do płuc jej aromat. Przedstawił Sokolińską zaskoczonym policjantom i ulotnił się, by zaparzyć sobie espresso. W korytarzu spotkał Knighta, który wzburzony rozmawiał przez komórkę. Na migi dał mu znać, że nie przyjdzie na zebranie.

Włączając ekspres w kantynie, zdał sobie sprawę, że nie zaproponował kobiecie nic do picia. Na wszelki wypadek włożył do urządzenia drugi kubek i nacisnął na wyświetlaczu symbol małej filiżanki. Gdy wszedł do sali, przesłuchanie już trwało.

– Czy ojciec się odzywał? – McMahon przejął rolę prowadzącego.

– Nie. Ma wyłączoną komórkę. Tak samo matka – powiedziała wilgotnym głosem Sokolińska. Redfern nie był pewny, czy to katar, czy emocje jednak wzięły górę. – Czy znaleźliście jej rzeczy?

– Poza walizką z hotelu niczego nie mamy – powiedział Tinney. – Przy pani matce była tylko karta do pokoju.

– Dziwne. – Sokolińska się zamyśliła. – Matka nigdy nie rozstawała się z komputerem. Nie było go w hotelu?

– Nie. Jest pani pewna, że brała go ze sobą w podróż?

– Jasne. Przed wyjazdem pożyczyłam jej mój neoprenowy pokrowiec z pacyfką.

Redfern postawił przed kobietą kubek z kawą, na co ona rzuciła krótkie „dziękuję”. Chciał usiąść obok, ale ostatecznie zajął miejsce koło Tinneya, który notował zeznania. W rubryczce „Data urodzenia” wpisał tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty. Inspektor zdziwił się, że kobieta była od niego odrobinę starsza. Szybko przeliczył, że Bożena Sokolińska urodziła Martę, gdy miała jakieś dziewiętnaście lat. To mogło tłumaczyć jej stosunek do dziecka.

– Czy na nagraniu widać, że ofiara ma ze sobą jakąś torbę?

Tinney wyszperał z leżącej przed nim teczki wydrukowane kadry z filmu z hotelu i wyciągnął jeden z nich, pokazując reszcie.

– Wsiadając do samochodu, trzymała w rękach coś czarnego. Wyglądało na plecak.

– Nie jestem pewna, czy to jej. – Sokolińska upiła łyk kawy. – Co to za samochód?

– Nie wiemy. Jak pani widzi, kamera hotelowa jest ustawiona na wejście. Widać tylko bok auta i z analizy wynika, że to audi A4.

– A miejski monitoring macie? – dopytywała.

Policjant poruszył się niespokojnie na krześle, co nie uszło to uwadze Redferna. Marta Sokolińska wyszła z roli świadka, zamieniając się w prokuratora, a na to McMahon nie chciał pozwolić.

– Mamy, ale ani razu nie udało się zarejestrować tego auta – odparł. – Prawdopodobnie po wyjechaniu z parkingu pojechali White Rose Lane, a tam już nie ma kamer.

– Co z moim ojcem? Przecież nie zapadł się pod ziemię.

– Teren wokół miejsca zbrodni został dokładnie przeszukany. Obstawiliśmy też lotnisko i port, bo może będzie chciał wrócić do kraju.

– Robicie obławę? Mój tata nie zabiłby matki! – wybuchła Sokolińska. – Wzięliście pod uwagę, że mógł zostać porwany przez tego świra, co...

Drzwi do sali się otworzyły. Matt wsunął głowę i skinął na Redferna, który natychmiast wstał i wyszedł za technikiem.

– Co masz?

– Na koszuli tego kierowcy autobusu jest krew Sokolińskiego.

– O cholera! – Redfern złapał się za głowę. – Dzięki, Matt!

– Nie ma sprawy – odparł tamten. – Swoją drogą wygląda, jakby gość czołgał się w niej po fabryce smarów. A co to za imprezę tam urządzacie?

Z sali dochodziły podniesione głosy McMahona i świadka.

– Przyleciała córka Sokolińskich i mamy zgryz, bo baba, nie wiedzieć czemu, stawia opór. Stwierdziłem, że w krzyżowym ogniu pytań przybliży nas do swoich rodziców, ale mam wrażenie, że osiągamy odwrotny efekt.

– Spoko, nie zatrzymuję.

Redfern wrócił do konferencyjnej. Sokolińska piorunowała wzrokiem McMahona, podczas gdy on, kompletnie ją ignorując, udawał, że przegląda notatki. Tinney podtrzymywał rozmowę neutralnymi pytaniami, o które musiał uzupełnić raport. David usiadł na swoim miejscu i zastanawiał się, co zrobić. Nie mógł powiedzieć kobiecie, że tysiąc pięćset metrów od miejsca zbrodni znaleziono ślady krwi jej ojca. Musiał szybko zakończyć przesłuchanie. Postój autobusu nie był spowodowany chorobą kierowcy. Na Guildford Road musiało się wydarzyć coś, co spowodowało, że Bamhara zapadł się pod ziemię. Mógł już przekroczyć granicę, a oni siedzą, rozkładając na czynniki pierwsze nieistotne szczegóły.

Jego rozmyślania ponownie przerwało otwarcie drzwi. Tym razem pojawił się w nich Knight. Redfern pomyślał, że pewnie Matt był u niego i przekazał mu swoje rewelacje.

– Gdzie Linda? – spytał w progu i rozejrzał się po zebranych.

– Z dziećmi. – Tinney wyprzedził Redferna i rzucił mu znaczące spojrzenie.

Knight zmieszał się, jakby opieka nad potomstwem była najgorszym, czym można się zajmować, i zamknął drzwi. Redfern nieznacznie skinął głową i wszedł w słowo Tinneyowi, który doszedł do pytań o Brookwood.

– Panowie, mamy kontakt z kierowcą autobusu – skłamał.

– Jakiego autobusu? – wtrąciła się kobieta.

– Niedaleko miejsca zbrodni przejeżdżał nocny autobus. Możliwe, że kierowca coś widział. Nie znaleźliśmy miejsca jego pobytu, ale sam się do nas zgłosił.

– Rozumiem. Możemy się spotkać później, nie spieszy mi się. Póki nie dostanę zgody na wydanie zwłok matki, jestem uziemiona. – Wbiła wzrok w inspektora. – No i fajnie by było, jakbyście znaleźli mojego ojca. – Zrzuciła brązowymi lokami i wyszła.

Pierwszy odzyskał głos Tinney.

– Straszna jest, co?

– Cięta jak osa – podchwycił McMahon. – A ty co tam masz? Wyglądasz jak worek treningowy.

– Plama na koszulce z Kingfield Lodge to krew Mariusza Sokolińskiego – oznajmił Redfern.

– Mamy drania! – Tinney zacierał ręce. – Trzeba wydać list gończy za Kieranem Bamharą.

– Pewności nie ma, ale trzeba zawiadomić Dużą Elbę. Puszka, ty to załatwisz.

Chris Tinney wyglądał, jakby właśnie się dowiedział, że do końca życia będzie sprzątał klatki tygrysów w tajskim zoo. Bez uprzedniego wyprowadzania kotów. Redfern poklepał go po ramieniu.

– Coś tak zbladł? Nabierzesz doświadczenia w kontaktach z prokuraturą. Przyda ci się, jak do nas przejdiesz.

Polubił Puskę jeszcze latem, gdy pracowali przy serii włamań w Old Woking. Teraz, widząc jego zaangażowanie, nabrał pewności, że wiosną zaproponuje jego kandydaturę na oficera policji. Jednak słowa Redferna miały skutek już teraz.

– Spoko, przecież mnie nie zje. – Tinney uśmiechnął się, wyraźnie promieniejąc.

– OK. McMahon, szukaj Kierana w necie, sprawdź, gdzie logowała się jego komórka. Ja tymczasem idę do Knighta, a potem jadę do

Arrivy. Mam nadzieję, że wyposażyli swoje autobusy w kamery samochodowe. Działamy, panowie.



– Dlaczego nie powiedziałeś o Lindzie? – wypalił Redfern, zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że krótka wizyta Knighta w konferencyjnej nie była przypadkowa, a tym bardziej grymas, który wywołała odpowiedź Puszki. Komendant siedział przy swoim biurku i pisał na klawiaturze, od czasu do czasu zerkając na klawisze.

– A co konkretnie? – Knight nie przestawał stukać.

– Nie udawaj głupiego. – Redfern czuł, że zaraz wybuchnie. – Linda ćpa.

Stukanie ustało.

– Jak się dowiedziałeś? – Komendant wbił wzrok w policjanta, jakby chciał go przeświecić. Zacisnął przy tym szczęki, sprawiając, że jego twarz nabrała ostrych rysów i jednocześnie zrobiła się prawie fioletowa. Redfern pierwszy raz widział u przełożonego taką reakcję. Został przyłapany, a inspektor nie zamierzał mu niczego ułatwić.

– Może stąd, że przyszła dziś do mnie w nocy na totalnym haju?

Knight wyglądał, jakby z pomieszczenia wypompowano nagle cały tlen. Wytrzeszczył oczy i otworzył usta, próbując zrozumieć, co właśnie usłyszał.

– Nie rób jaj! Od dawna jest czysta – odparł, usiłując odzyskać sztuczny luz. – Gdzie teraz jest?

– Śpi u mnie w domu. W nocy był u niej lekarz. Jest po wstępnym detoksie, ale powinna trafić na odwyk. Natychmiast – dokończył dobitnie.

Malcolm pokiwał głową, zastanawiając się nad czymś. W Redfernie wrzało, ale nie dał się wytrącić z równowagi.

– To dlatego nie dałeś jej tej sprawy? – odezwał się w końcu.

– Zgadza się.

– Powinna iść na odwyk. – Redfern nie ustępował.

– Była i wszystko wskazywało na to, że jest czysta.
– Powinieneś coś z tym zrobić. Wysłać na bezpłatny urlop. Jeśli tego nie zrobisz, to ja to zrobię. Ostatecznie jestem jej bezpośrednim przełożonym.

– Linda dobrze sobie radzi – wtrącił Knight.

– Radziła. Musiałbyś ją widzieć.

– Wyjdzie na prostą, zobaczysz.

– Cholera, Malcolm! – Redfern nie wytrzymał. – Nie rozumiesz, co mogło się stać? Ty sobie dyrygujesz zza biurka i jak ci się batuta omsknie, to zespół wyrówna, ale Linda jest na pierwszej linii i zagraża ludziom. Wyobrażasz ją sobie z bronią?

– Daruj sobie te metafory! – Knight wstał gwałtownie. – Myślisz, że nie wiem? Ryzykuję więcej, niż ci się wydaje, ale Linda potrzebuje tej roboty. To jedyne, co jej zostało.

– Ma rodzinę, pomogą jej...

– Miała – wtrącił komendant. – Rozwód jest w toku i mam przecucie graniczące z pewnością, że sprawę o opiekę nad dziewczynkami przegra z kretelem. My jesteśmy teraz jej jedyną rodziną. Jak się obudzi, zawieziesz ją do mnie. Razem z żoną się nią zajmiemy.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. Linda nas teraz potrzebuje, a my nie zostawiamy swoich.

Redfern był skołowany. Knight miał rację; kryjąc Lindę, ryzykował wszystko. Pomysł zawiezienia jej do domu komendanta David uważał za co najmniej absurdalny. Jednocześnie wzruszyła go jego postawa, niewielu ludzi zdecydowałoby się wziąć sobie obcą narkomankę na głowę. Naszła go refleksja, że być może Malcolm Knight wiedział o rodzinie najwięcej z nich wszystkich. Nie zamierzał dłużej dyskutować.

– Matt był u mnie. – Knight błyskawicznie przełączył się na tryb oficjalny. – Chyba mamy sprawcę.

– Oby – uciał Redfern. Wciąż nie mógł się uspokoić i nie chciał tego dać po sobie poznać. Powoli też do głosu dochodziło potworne zmęczenie, które zaczynał odczuwać w stawach. Pod powiekami czuł gryzący piasek. Marzył, by choć chwilę się zdrzemnąć.

– Jaki masz plan?

– Jadę do siedziby Arrivy i przejrzę materiał z kamery samochodowej. Wystąpiliśmy o list gończy.

– Jeśli nie przekroczył granicy, znajdziemy go.

– Jasne – rzucił i skierował się do drzwi, ale komendant zatrzymał go w progu.

– Czekaj. Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak poszło w Dover.

– Falszywy alarm. – Wzruszył ramionami. – Jakiś bezdomny dobrał się do moich śmieci i przytulił starą policyjną nagrodę.

– Rozumiem. – Malcolm pokiwał głową i wrócił do klepania w klawisze. – Przywieź Lindę jak najszybciej.

Redfern szedł korytarzem do biura, poważnie rozważając drzemkę. Postanowił, że usiądzie i zamknie oczy na chwilę, by zebrać myśli, a przede wszystkim siły. Z tą wizją otworzył drzwi gabinetu. Widok, który zastał w środku, natychmiast go otrzeźwił. Sokolińska spokojnie siedziała przy biurku i przeglądała coś na komórce. Gdy wszedł, podniosła głowę i wsunęła telefon do kieszeni kurtki.

– Jadę z panem – oznajmiła bez pardonowo.

– Gdzie?

– Po tego kierowcę, rzecz jasna. Muszę wiedzieć, co stało się moim ojcem. Może go widział?

– Mowy nie ma! – Redfern zamknął za sobą drzwi. – Zresztą nie jadę do niego.

– Chodzi o tę naćpaną policjantkę u pana w domu?

– Skąd pani wie? – Redfernowi przewróciło się w żołądku.

– Te biura nie są dźwiękoszczelne. – Wskazała brodą na drzwi.

– Pani jest bezczelna!

– Ciszej, bo jeszcze ktoś usłyszy. – Uśmiechnęła się i podniosła się z krzesła. – Idziemy?

– Nie ma żadnego kierowcy – wyznał zrezygnowany.

– Jak to nie ma? Nie istnieje?

– Istnieje, ale gdzieś się ukrył. Podejrzewamy, że to on stoi za zniknięciem pani ojca.

– I co teraz?

– Teraz pani idzie do hotelu, a ja sporządzam raport z przesłuchania świadka. Jesteśmy w kontakcie. – Otworzył szeroko

drzwi i zamaszystym gestem wskazał kobiecie drogę. – Żegnam.

W milczeniu przeszła obok. Redfern słyszał, jak oburzona wypuszcza powietrze nosem, niemal fukając.

Wreszcie został sam. Opadł na krzesło i przetarł zmęczone oczy. Zastanawiał się, czy najpierw powinien jechać po Lindę, czy do siedziby firmy komunikacyjnej. Spojrzał na zegarek. Była prawie jedenasta. Ze złością stwierdził, że Sokolińska zmarnowała jego czas na odpoczynek. Czuł, że powinien najpierw jechać do domu, ale jeśli lekarz się nie pomylił, Linda powinna jeszcze pospać parę godzin.



O tej porze droga do Guildford była czystą przyjemnością. Zwykle zakorkowane ronda dziś nie zatrzymały go ani na chwilę i w niecały kwadrans był na Mary Road. Chroniąc się przed lodowatą ulewą, przemknął przez jezdnię i wbiegł do hali Arrivy.

Muireann siedziała w swoim biurze i tym razem wypełniała w skupieniu jakieś papiery. Na widok Redferna rozpromieniła się i przywitała.

– W czym teraz mogę pomóc stróżowi prawa? – zagadała wesoło.

– Potrzebuję nagrania z wideorejestratora z samochodu Kierana Bamhary.

– Jasne – odparła nieco rozczarowana. Musiała być zła, że zignorował karteczkowy flirt, bo wyrecytowała: – Proszę chwilę poczekać, muszę sprawdzić, gdzie jest auto, którym tego dnia jeździł. – Włączyła monitor i zaczęła klikać myszą, mrużąc oczy. Po chwili się odezwała: – Jego autobus jest w trasie.

– A nie mają państwo nagrań w jakiejś bazie?

– Nie, w autobusie jest twardy dysk, na który ściągane są nagrania ze wszystkich kamer. Jeśli nie ma żadnych incydentów, zgrywamy je pod koniec tygodnia i przechowujemy dwa lata.

– Trochę to archaiczne.

– Ale tańsze. – Wzruszyła ramionami.

– Czy może pani ściągnąć autobus tutaj?

– Nie, to raczej niemożliwe – odparła. – Autobus nie może ot tak wypaść z kursu – wyjaśniła.

Jasne, jakbym z wami nie jeździł, pomyślał. Myśl musiała się odbić na jego twarzy, bo dyspozytorka dodała:

– Zaraz wywołam kierowcę przez radio. – Wstała i przeszła do pomieszczenia obok, którego Redfern wcześniej nie zauważył. Wyraźnie słyszał całą rozmowę, autobus miał niedługo być w zajezdni w centrum Guildford. Mimo protestów kobieta kazała mu zjechać na bazę i zakończyła rozmowę. Wychyliła głowę przez drzwi i powiedziała: – Niedługo tu będzie, ale zgrywanie materiału zwykle trochę trwa.

– A nie mogę obejrzyć go tutaj?

– Nie ma sprawy – wyraźnie się ucieszyła. – Może pan zająć pokój obok. Jest tam też komputer. Zaraz zaparzę kawę, jeśli pan lubi.

– Bardzo lubię. – Uśmiechnął się. W przeciwieństwie do Lindy i Puszki, którzy musieli spędzić cały dzień na oglądaniu nagrań z hotelu, on dokładnie wiedział, którego momentu ma szukać. Filmy automatycznie podzielone na pliki opisane miejscem kamery (przód, tył), datą i pełną godziną dodatkowo ułatwiły mu zadanie. Szybko odnalazł interesujący go katalog z przedniego urządzenia i włączył. Jednak na ekranie nie wyświetliła mu się droga, ale wewnątrz autobusu.

– Co to jest? – zawołał do Muireann, która zjawiała się przy nim z kubkiem kawy.

– Nagranie z kamery przemysłowej – odparła spokojnie.

– Miał być wideorejestратор – powiedział poirytowany.

– Nasze autobusy ich nie posiadają. Jest tylko monitoring. Myślałam, że o niego właśnie panu chodzi.

– Ale z nagrania z wewnątrz autobusu niczego się nie dowiem.

– Nie byłabym taka pewna. – Muireann wskazała na monitor.

Rybie oko kamery rejestrowało również kabinę kierowcy. Oboje patrzyli teraz, jak mężczyzna gwałtownie wychyla się do przodu, niemal uderzając klatką piersiową o kierownicę. Ostre hamowanie zatrzymało autobus. Widać było, jak Kieran schyla się pod siedzenie. Po chwili otwiera drzwi kabiny i wybiega z pojazdu, trzymając coś, co

w mniemaniu inspektora mogło być łomem albo rurką. Znika z pola widzenia na kilka minut. Redfern i rudowłosa niecierpliwie gapili się w ekran. Wreszcie zobaczyli, jak mężczyzna wraca i nerwowo szuka czegoś w kokpicie. Redfern pomyślał, że papieru toaletowego, ale po chwili Kieran Bamhara wziął do ręki coś, co do złudzenia przypominało znaną w jego domu koszulkę. Ponownie wybiega z pojazdu, ale po minucie znów się pojawia i łapie za radio. Widać, że coś mówi, ale kamera nie zarejestrowała dźwięku. Sekundę potem, jak gdyby nigdy nic, wrzuca bieg i odjeżdża. Wszystko trwało jednaście minut.

Redfern zatrzymał film.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwała się Muireann.

– Ja też nie.



Jadąc z Guildford, zjechał na uliczkę Pyle Hill. Deszcz nie przestawał padać, strugami zalewając przednią szybę. Redfern zatrzymał auto spory kawałek przed przystankiem i wysiadł. Szedł, starając się przypomnieć sobie, gdzie mniej więcej zatrzymał się autobus. Na nagraniu w pewnym momencie widać było lekki rozbłysk w górnym rogu. Redfern lustrował okolicę. Przy Maybourne Rise zobaczył lampę. To musiało być to. Przyspieszył kroku, nie przestając przyglądać się jezdni. Nie liczył na ślady krwi, ale na jakiś szczegół, który podpowie mu, co stało się tamtej feralnej nocy. Niestety poza kilkoma połamanymi gałązkami i resztkami sierści rozjechanej wiewiórki niczego nie znalazł. Wsiadł do auta całkowicie przemoczony i zły.

W mieszkaniu smród wymiocin mieszał się ze szpitalnym zapachem. Redfern natychmiast otworzył wszystkie okna. Wchodząc do sypialni, poślizgnął się na wciąż mokrej podłodze i prawie uderzył głową o kant łóżka. Złapał się komody, zrzucając stojącą na niej lampę. Żarówka roztrzaskała się z brzękiem, ale Linda przewróciła

się tylko na drugi bok, nie otwierając oczu. Była spocona, a jej oddech – urywany i nieregularny. Mimowolne skurcze raz po raz wykrzywiały jej twarz. Mruczała, jakby śniła jakiś koszmar.

Poszedł do salonu, odszukał wizytówkę lekarza i zadzwonił pod widniejący na niej numer. Mężczyzna odebrał po dwóch sygnałach. Nie był zadowolony z tego, co usłyszał od Redferna, i obiecał przyjechać w ciągu godziny. Linda potrzebowała kolejnej kroplówki, aby się nie odwodnić, a najlepiej – szpitalnego łóżka.

Redfern zamiótł potłuczone szkło, a potem przygotował sobie lunch – jajka na bekonie i fasolę w sosie pomidorowym. Jadł bez apetytu, przeglądając Facebooka. Zdjęcie Kierana Bamhary wisiało już na stronie policji Surrey. Ludzie są czujni i jeśli podejrzany nie przekroczył granicy, tak jak powiedział Knight, to szybko się znajdzie.

Odstawił naczynia do zlewu, ale nie miał siły pozmywać. Mimo że było dopiero po czwartej, zmierzch podkradł się pod okna. Redfern poszedł do salonu z zamiarem przejrzenia strony miasteczka Brookwood, ale przegrał ze zmęczeniem. Z letargu wybudził go dzwonek domofonu.

Lekarz przywitał się chłodno i od razu wszedł do sypialni. Usiadł na stołku koło łóżka i wyciągnął kilka przedmiotów z torby. Przystawił do głowy Lindy termometr czołowy, który zapiszczał złowieszczo i wyświetlił na czerwono trzydzieści osiem przecinek dziewięć. Mężczyzna znalazł w torbie zestaw do wlewu i z wrażliwością lodołamacza wkłuł się w żyłę kobiety. Pstryknął kilka razy w komorę kroplową i przesunął delikatnie zacisk rolkowy. Lampa podłogowa posłużyła za stojak. Redfern przypuszczał, że lekarz musiał jej użyć już ostatnio, bo powiesił butelkę odruchowo.

– Nadal uważam, że terapia w domu nie jest dobrym rozwiązaniem – zwrócił się do Redferna.

– Jestem policjantem i staram się...

– Wiem, kim pan jest – przerwał mu. – Pracowałem w ośrodku Priory parę lat temu. Widywałem tam pana, kiedy odwiedzał pan kolegę. Potem opuścił szpital, prawda?

– Zgadza się – odpowiedział David lekko zmieszany i szybko zmienił temat: – A wracając do Lindy, to chcę ją zawieźć do miejsca,

w którym będzie miała dobrą opiekę, zapewniam.

– Mam nadzieję – odparł sucho lekarz. – Dziewczyna powinna się niedługo obudzić i dobrze by było, gdyby ktoś przy niej wtedy był. Proszę wystawić czek i wysłać na adres kliniki, dobrze?

Redfern zdziwił się, że lekarz zmienił zdanie co do przyjmowania czeków, ale nie skomentował tego. Najwyraźniej udało mu się zetrzeć pierwsze złe wrażenie.

– Oczywiście – zapewnił i odprowadził mężczyznę do przedpokoju, gdzie się pożegnali.

Nie zapalając światła, usiadł na brzegu łóżka i patrzył na Lindę. Oddychała spokojnie, ale reszta ciała pozostawała nieruchoma. Z jej twarzy zniknął niezdrowy rumieniec i była dużo chłodniejsza. Redfern zachodził w głowę, jak świetna policjantka, żona i matka mogła się wpakować w takie szambo. Nie była już nastolatką, która, chcąc zaimponować wszystkim na imprezie, wciągnęła kreskę. Miała rodzinę, przyjaciół, była lubiana, a jednak coś sprawiło, że sięgnęła po drugi. Znał mechanizm uzależnienia i wiedział, że mogły za nim stać stres, poczucie winy czy trauma z przeszłości. Zanim jednak zacznie rozliczać Lindę, sam musi odważnie spojrzeć w lustro. Zdawał sobie sprawę, że stoi na skraju tej samej przepaści, łykał coraz więcej środków przeciwbólowych, które przynosiły coraz krótsze okresy ulgi. Powinien przerzucić się na zastrzyki paliatywne, ale patrząc na Lindę, wołał o nich nie myśleć.

Gdzieś z mieszkania dobiegł go dźwięk komórki. Wiedział, że Linda się nie obudzi, więc spokojnie wstał, poszedł do kuchni i odebrał.

To był Knight.

– Czego się dowiedziałeś w Arrivie? – zaczął bez powitania.

– Że jest jakiś związek między Bamharą a Sokolińskim, ale za cholere nie wiem jaki.

– Co widać na nagraniach?

– Że Bamhara coś widzi, zatrzymuje autobus – Redfern wymieniał szybko – wybiega z niego, wraca, bierze szmatę, znów wybiega, a potem odjeżdża.

– Widzi Sokolińskiego na przystanku i morduje?

– Na to wygląda, ale jaki to ma związek z Sokolińską? I gdzie są cholerne zwłoki?

– To już twoje zadanie – odparł Knight – i radzę ci je wykonać szybko, bo Elsa robi się nerwowa.

– Robimy, co możemy.

– Wiem. – W słowach komendanta zabrzmiała nuta zrozumienia. – Wycisnęłaś coś z tej ich córki?

– Poza tym, że brakuje komputera Bożeny, to nic. A tak na marginesie, z czym kojarzy ci się Brookwood?

– Oprócz skrzyżowania, z którego nie ruszysz bez ręcznego, to jeszcze z cmentarzem.

– Cholera, faktycznie. – Redfern pacnął się w czoło.

– A czemu pytasz?

– Sokolińska tam się podobno wybierała.

– Po co miałyby jechać na cmentarz?

– Marta wspominała, że jej krewny walczył tu w czasie wojny, a tam przecież jest polski memoriał! Dziadek z matką mnie tam zabrali, jak byłem mały.

– Słaby trop, ale musimy łapać się wszystkiego.

Rozłączył się i nie odkładając komórki, sprawdził numer do hotelu. Zadzwoił i po krótkiej rozmowie z recepcjonistą usłyszał głos Marty Sokolińskiej.

– Przepraszam panią za tamto – zaczął. – Ta sprawa wszystkich nas wytrąca z równowagi.

– Nie należę do osób, które długo żywią urazę – odparła. – Z czym pan dzwoni?

– Chciałbym się z panią wieczorem spotkać.

– Jak wieczorem, to proszę mi mówić Marta, OK?

Redfern wyczuł, że kobieta się uśmiecha.

– OK, w takim razie do zobaczenia o ósmej, Marto.

Odłożył telefon. Miał nadzieję, że do tego czasu Linda się obudzi i uda mu się przewieźć ją do Knightów. Jak na zawołanie usłyszał ruch w sypialni. Wszedł i zobaczył, że kobieta nie śpi. Nie zareagowała jednak na niego, tępo wlepiając wzrok w sufit.

– Linda?

– Pić – powiedziała ochryplym głosem. – Przynieś mi coś do picia.

Podał jej szklankę i usiadł obok, ale niepotrzebnie, bo Linda wypija jej zawartość jednym haustem i dała znać, że chce jeszcze. Wziął

z kuchni butelkę mineralnej i wrócił na miejsce.

– Jak się czujesz?

– Jak worek gówna, a jak mam się czuć? Podaj mi moje ciuchy. Spadam stąd.

Próbowała wstać, ale zatoczyła się i opadła na łóżko. Redfern chciał ją złapać, ale jej nagość jakoś dziwnie go powstrzymała. Usiadła zrezygnowana i oparła łokcie o kolana. Twarz ukryła w dłoniach. Jej wychudzone piersi zwisały smętnie, prawie dotykając sinych, niemal pozbawionych mięśni ud.

– Jak tylko dojdiesz do siebie, pojedziemy do twojego mieszkania.

– Otulił ją kocem. – Zabierzesz swoje rzeczy i zawiozę cię do Knighta.

– Po co? – Podniosła głowę.

– Nie możesz być sama w takim stanie.

– Jak będę w domu, to szybciej wrócę do formy.

– Nie mam czasu cię niańczyć – rzucił ostro. – Pojedziesz do Knightów i pozbierasz się do kupy.

– Po co? – powtórzyła. – Dla wszystkich byłoby lepiej, gdybym zaćpała się na śmierć.

– Przestań pieprzyć i uważać się nad sobą – rzucił. – W nikim współczucia nie wzbudzisz.

– Psycholog się znalazł!

– Udało ci się oszukać zespół, ale widać twoja rodzina nie jest ślepa. Założę się, że próbowali ci pomóc, ale ujechałaś to na całej linii – atakował, nie bacząc, jak wielki szok wywołuje to na twarzy kobiety. – Teraz masz szansę to naprawić. Możliwe, że ostatnią. Za osiem tygodni sąd wyznaczył rozprawę o dzieci. Zbierz więc dupę w troki, ubierz się i jedziemy. Nie mam czasu na pierdoły – rzucił i wyszedł.

– Nie mam siły wstać – oznajmiła.

– Gówno mnie to obchodzi. Za dziesięć minut widzę cię ubraną i gotową do wyjścia.



Linda Wall uparcie patrzyła przez szybę, całą drogę nie wypowiadając ani słowa. Kiedy minęli rzeźbę wielkiego drewnianego pegaza – dar Horsell Common dla Woking – odezwała się:

– Nie każdy dostaje drugą szansę tak jak on.

– Co?

– Wyrzeźbiono go z dwustuletniego dębu powalonego przez tornado.

– Skąd wiesz?

– Puszka mi powiedział – odparła i wyciągnęła z kurtki paczkę papierosów. Jednego z nich wsadziła sobie do ust i lustrowała deskę rozdzielczą w poszukiwaniu zapalniczki.

– W tym aucie się nie pali – pouczył ją.

– Pieprz się! – Wściekle wyszarpnęła sobie papierosa z ust, a całą paczką cisnęła o podłogę.

Podjechali pod dom Knightów. Nie był okazały, ale dzielnicą i fakt, że nie był przyklejony do żadnego innego, świadczyły, że Malcolm zapłacił za niego fortunę. Wyróżniał się na tle pozostałych ukwieconym podjazdem i otynkowaną fasadą. Przy garażu obok forda mustanga, którego cicho zazdrościł przełożonemu, Redfern zobaczył starą toyotę yaris przystosowaną do osób niepełnosprawnych. Gospodarze mieli gościa lub wezwali kogoś do pomocy, pomyślał.

Linda też to zauważyła i inspektor był pewien, że jej zacięty do tej pory wyraz twarzy nieco złagodniał.

– Wsiadaj – rzucił, kiedy skończył parkować.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Jako kto?

Nie będę usprawiedliwiał twojego wyglądu i smrodu, pomyślał ze złością.

– Dupek z ciebie, wiesz? – Wsiadła i trzasnęła drzwiami z takim impetem, że triumph się zakółsał.

Redfern poczekał, aż Ruth Knight otworzy i Linda wejdzie do środka, po czym napisał wiadomość do Malcolma i odjechał.

W drodze na komendę męczył go moralny kac. Nie chciał tak traktować koleżanki, ale z doświadczenia wiedział, że było to jedyne

wyjście. Osoba uzależniona musi wiedzieć, że ma wsparcie w wychodzeniu na prostą, ale nie w kombinowaniu. Pamiętał swojego ojca i jego ciągi alkoholowe, gdy tygodniami pił na umór. Rzadko bywał agresywny, ale sam widok zapijaczonej twarzy wzbudzał w małym Davidzie strach i niczym nieuzasadnione poczucie winy. Bał się, że zbyt głośne odstawienie kubka, huk przy opuszczeniu klapy w toalecie czy zrzucony z brzękiem wazon w końcu wywołają przemoc.

Ojciec w swym picciu był schematyczny. Zaczynało się od lekkiego rauszu, który już drugiego dnia przechodził w wielkie pijaństwo. Mimo błagań matki ojciec wymykał się z domu, by po paru godzinach wrócić kompletnie nawalony. Antonina Redfern wykrzykiwała wtedy najgorsze wyzwiska, niejednokrotnie zalewając się łzami. Ojciec ignorował to kompletnie i albo kładł się spać, albo szedł pić dalej.

Kres przychodził wraz z delirium. David pamiętał z tego dwie rzeczy – wrzaski zamroczonego ojca i zasikane przez niego łóżko. Po wszystkim przeproszał na kolanach syna i żonę i błagał o przebaczenie. Potem następowała sielanka, podszyta podskórnym lękiem, że w końcu znów usłyszą nieskładne kroki na klatce schodowej. Zwykle nie musieli czekać dłużej niż kwartał.

Matka starała się to usprawiedliwić. Wmawiała wszystkim, a przede wszystkim sobie, że Dabhaidh Redfern jest chory i trzeba się nim zajmować. Chodziła za niego do pracy, by kajać się przed jego szefem, załatwiała sprawy, którymi normalnie powinien się zająć pan domu. A on za każdym razem, gdy matka okazywała mu serce, pokazywał jej, jakim jest potworem.

Kiedy David podrośł, zrozumiał, że ślizgający się na czyichś plecach alkoholik nie ma poczucia odpowiedzialności. On niczego nie musi, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto go wyręczy i świat będzie się kręcił nadal. Dlatego po śmierci matki odciął się od ojca, zostawiając go samego z tym syfem.



Gdy tylko przekroczył próg swojego biura, dopadł go Tinney. Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy, ale Redfern nie komentował jego wymiętej koszuli i potarganych włosów. Sam nie prezentował się lepiej.

– Mamy dużo telefonów w sprawie naszego delikwenta – zakomunikował entuzjastycznie.

– Jakies konkrety?

– Większość twierdzi, że widziała go w okolicy Sheerwater. Wysłałem tam patrol. Może wychyli łeb?

– Dobra robota. – David pochwalił inicjatywę, ale nie podjął rozmowy, marząc o chwili odpoczynku. Jednak Tinney zamknął za sobą drzwi i spojrzał na niego z poważną miną.

– Co z Lindą?

– Jest mocno przeziębiona, to wszystko – Redfern udał, że przegląda jakieś papiery na biurku.

– Może jeszcze nie miałeś okazji zauważyć, że Linda czasem ma przypały – zaczął ostrożnie Tinney. – No wiesz, odjeżdża totalnie. Albo się wścieka, albo wpada w deprechę. McMahon powiedział, że kiedyś czuć było od niej alkoholem.

– Puszka, czasem każdy ma gorszy dzień – bagatelizował Redfern. – Jak przepracujesz tyle, co ona, to zrozumiesz. Linda złapała paskudnego wirusa, ma śpik do pasa i ledwo mówi. Dzięki, że kryłeś ją przed Knightem. Nie przejmuj się tym więcej, OK? – Ostatnie zdanie wypowiedział tak, by nie zostawić wątpliwości, że temat jest zakończony.

– Jasne. Po prostu się martwię – powiedział Puszka i zostawił inspektora samego.

Ja też, pomyślał David.

Domknął drzwi i wyciągnął z kieszeni telefon. Kłamstwo, które sprzedał przed chwilą Puszce, należało dobrze zakotwiczyć w rzeczywistości. Napisał do Knighta SMS-a: „Trzeba załatwić Lindzie zwolnienie”. Odpowiedź przyszła, zanim zdążył schować aparat: „Już o tym pomyślałem”.

Trochę spokojniejszy zasiadł przed komputerem i zaczął szukać informacji o cmentarzu w Brookwood. Odkrył, że był to swego czasu największy cmentarz na świecie, a dziś – w zachodniej Europie. Pamiętał z opowiadań dziadka, że w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku parlament podpisał ustawę, która pozwoliła na zakup od Lorda Onslowa ponad dziewięćuset hektarów. Było to konieczne ze względu na gwałtowny rozrost Londynu. Skala przedsięwzięcia była tak wielka, że pociągnięto specjalną linię kolejową do obsługi nekropolii, a na jej terenie zbudowano aż dwie stacje. Na stronie znalazł wiele informacji o cmentarzu militarnym, między innymi, że został utworzony w tysiąc dziewięćset siedemnastym, ale o jego polskiej części było niewiele. Nawet liczebność nagrobków była nieznana. Dopiero z witryny tracewar.com Redfern się dowiedział, że jest ich osiemdziesiąt trzy, w tym pięć cywilnych. Żadnych szczegółów czy chociaż listy poległych. Nic. Doszedł do wniosku, że bez wycieczki na cmentarz się nie obejdzie. Spojrzał na zegarek w rogu ekranu. Dochodziła ósma.



Marta Sokolińska z typową polską gościnnością przygotowała się na spotkanie – na stoliku zobaczył napoje i przekąski. Z reklamówki na parapecie dochodził zapach hinduskiego jedzenia, który przypomniał Redfernowi, że prawie cały dzień nic nie jadł.

– Siadaj, siadaj – zachęciła go. – Zaraz podam jedzenie.

Ubrana była w dres i puchate skarpetki, a stroju dopełniał turban z ręcznika. Ten totalny luz zrobił wrażenie na Redfernie. Usiadł na fotelu przy oknie i obserwował, jak kobieta otwiera opakowania.

– Wolisz pikantne czy zajebicie pikantne? – zapytała.

– Pikantne wystarczy – odparł.

Podawała mu kartonik wypełniony makaronem z mięsem i warzywami, a sama zajęła miejsce na łóżku, krzyżując nogi po

turecku. Oboje przez chwilę jedli w milczeniu.

Po chwili Redfern wyciągnął z tylnej kieszeni spodni notes.

– Czyli jednak przesłuchanie? – spytała kobieta, patrząc nieufnie na czarną okładkę.

– Nie chcę, by coś mi umknęło.

– To o co chciałeś zapytać?

– Potrzebuję informacji o twoim dziadku.

– Niewiele o nim wiem, poza tym, że nazywał się Lucjan Biernat i został zamordowany przez bezpiekę – powiedziała.

– Przez bezpiekę?

– Służba Bezpieczeństwa. Wiesz, taki urząd, który pielęgnował w naszym kraju komunizm. Metodami, od których włos się jeży na głowie. Siatka tajnych współpracowników przenikała wszędzie, każdy był podejrzany i każdy, a zwłaszcza tacy jak mój dziadek, był pod lupą.

– Co się z nim stało?

– Jakiś czas przebywał w Anglii, gdzie urodziła się moja matka. Wrócili, ale nie zdążyli się nawet dobrze rozpakować, kiedy dziadek został zamordowany. Wraciał z pracy. Jego zwłoki znaleziono nad rzeką w naszym mieście. Podobno był totalnie zmasakrowany, ale milicja uznała, że to był napad rabunkowy. Parę miesięcy po zakończeniu śledztwa do babci przyszedł sąsiad i powiedział, że widział, jak dziadka aresztują.

– Czyli nie został pochowany w Brookwood – podsumował Redfern.

– Nie, leży na cmentarzu w Rudnikach. – Wzięła do ust kawałek mięsa i na chwilę zawiesiła głos. – Wiele razy odwiedzałam z babcią jego grób. Podobno był dobrym, pogodnym człowiekiem. Mam nawet po nim pamiątkę. Nóż z piękną, inkrustowaną rękojeścią.

– Nie zastanawiałaś się, dlaczego dziadek został zamordowany?

– Wiele razy, ale jak już ci powiedziałam, w domu się o tym nie rozmawiało. – Postawiła pojemnik z jedzeniem na łóżku i ściągnęła z głowy ręcznik.

Kaskada ciemnych kosmyków opadła jej na ramiona. Redfern pomyślał, że była to najseksowniejsza rzecz, jaką widział od paru lat. Do rzeczywistości przywrócił go głos Sokolińskiej.

– Myślałam nawet, żeby zajrzeć do Instytutu Pamięci Narodowej, ale jakoś nigdy się nie złożyło. Poza tym niczego by to nie zmieniło, prawda?

– Prawda – odparł niemrawo.

– Teraz interesuje mnie tylko, gdzie jest tata. Mam mocne przeczucie, że żyje.

– Ja też – skłamał i odłożył puste opakowanie na stolik. Pomyślał, że z Marty uleci cały entuzjazm, jeśli zdradzi, co naprawdę sądzi o tej sprawie. Gdyby Mariusz został porwany dla okupu, porywacz już by się z nimi skontaktował. Jeśli porwał go w innym celu, Redfern wolał nie myśleć, co się z nim teraz dzieje. Wspomnienie widoku martwej Sokolińskiej mu wystarczyło.

– Naprawdę nie przychodzi ci do głowy, po co pojechała do tej wsi?
– przerwał milczenie.

– Uczepiłeś się tego Brookwood. Wzięła rower i wybrała się na przejażdżkę. Nie znałaś mojej matki. Zresztą nikt jej tak naprawdę nie znał. Była wolnym duchem, miała setki znajomych, ale żadnego przyjaciela. Kochana przez wszystkich, ale ona sama nikogo nie ukochała tak do końca – mówiła beznamyślnie Sokolińska. Wstała i rozpakowała ciastka, częstując siebie i Redferna. – Jak miała ochotę na lody w środku nocy, to zakładała płaszcz, szła na stację benzynową i kupowała ich pięć rodzajów. Babcia mówiła, że matka kiedyś wymyśliła sobie, że będzie kierowcą ciężarówki i zrobiła prawo jazdy. Oczywiście nigdy nie zatrudniła się w zawodzie. Innym razem wydała tomik poezji dla dzieci, chociaż nie miała o nich pojęcia. Mieszkała chyba we wszystkich miastach Polski. Nie znałam jej, ale zupełnie mnie nie dziwi, że wsiadła na rower i pojechała, żeby zobaczyć, jak rośnie trawa w tym Brookwood.

Redfern widział, jak lód, który kobieta nosiła w sobie, powoli zaczyna topnieć. Cały ten wykład o życiu matki mógł być zarówno pretensją, jak i manifestacją niewyobrażalnej tęsknoty. Marta odwróciła głowę, jakby chciała uciec od spojrzenia policjanta, i szybko wytarła oczy wierzchem dłoni. Żeby jej dłużej nie męczyć, inspektor zmienił temat.

– Wróćmy na chwilę do tej rozmowy kwalifikacyjnej. Mówiłaś, że ojciec się denerwował na agenta.

– Tak, były jakieś przepychanki między łowcami głów. – Marta sięgnęła po ciastko i ugryzła je. – Rozmawialiśmy o tym parę tygodni temu, kiedy mnie odwiedził. Tata pomyślnie przeszedł wstępne testy i był pewien, że zostanie zaproszony na rozmowę, ale tak się nie stało. Zadzwoił do agenta, bo tamten nawet nie pierdnął dla orientacji. To był okres wakacyjny. W międzyczasie znalazł się drugi agent, który przepchnął całą procedurę i tata dostał datę rozmowy. Wtedy obudził się ten pierwszy i wybuchła chryja, która zakończyła się uwaleniem sprawy. On jest jednak uparty. Zadzwoił do siedziby McLarena i okazało się, że jego aplikacja tajemniczo gdzieś się zapodziała w dziale HR. Wszystko zostało odkręcone, a on prawdopodobnie dostał tę pracę.

– A co z agentami? Z tego, co wiem, prowizje za pracowników kalibru twojego ojca mogą sięgać nawet dziesięciu tysięcy funtów.

– Niech się chwytają za łby. – Wzruszyła ramionami, ale wyraźnie spoważniała. – Myślisz, że to któryś z nich?

– Każdy trop może okazać się tym właściwym. Jutro zadzwonię do Haysa i wypytam o tych agentów.

– To wszystko za wolno się dzieje – denerwowała się Marta.

– Rozumiem, ale śledztwo to nie film sensacyjny. Nie przeczę, że zdarzają się spektakularne zwroty akcji, ale bardzo sporadycznie. Zwykle to żmudna, mrówcza praca, a najczęściej irytujące czekanie.

– To jest najgorsze. I ta niewiedza – westchnęła, powstrzymując łzy.

– Mówiłaś, że masz słaby kontakt z rodzicami, ale może mieli jakichś znajomych, którzy mogliby rzucić światło na ich ostatnie miesiące? – Redfern wstał i nalał sobie coli.

– Nie. Matka była freelancerem i pracowała z domu, więc nie miała żadnych koleżanek z pracy. Ojciec siedział w Legnicy w Mercedesie i rzadko się spotykaliśmy.

– A ty?

– A ja się do nich nie garnęłam – ucięła. – Co najwyżej widywaliśmy się przy okazji wystaw motoryzacyjnych.

– Raczej chodziło mi o to, czym się zajmujesz – wyjaśnił. Stawiał na to, że poszła w ślady matki i jest wolnym strzelcem. Jednak nie widział jej pochylonej nad kolumnami liczb. Z tym

bezpretensjonalnym luzem mogła być specem od reklamy albo ilustratorką.

– Jestem celnikiem na lotnisku w Pyrzowicach – odparła.

– Żartujesz? – Prawie zachłysnął się colą. – Mundurowa?

– A co? Brakuje mi czegoś? – Udała oburzenie.

– Nie, skąd! – zaprzeczył gorliwie. – Po prostu ciężko mi wyobrazić sobie siebie na służbie.

– Chyba łatwiej niż w Hiltonie, w starym dresie.

– Chyba tak – zaśmiał się.

– A z tobą jak jest?

– To znaczy?

– No wiesz, raczej wymykasz się schematowi brytyjskiego obywatela.

– Przejeżdź się metrem, to zobaczysz, że takiego schematu już dawno nie ma – odparł. – Moja matka przyjechała tu po wojnie i poznała mojego ojca, Murzyna.

– To trochę niebezpieczne używać takich słów. Przy obecnej nagonce...

– Murzyn? – zdziwił się. – Czasy mamy tak dziwnie tolerancyjne, że mnie wolno, a tobie nie.

– Masz rodzinę? – zmieniła temat.

– Mama i młodsza siostra nie żyją – odparł. Wcale nie miał zamiaru tego powiedzieć. Bał się, że Marta zacznie pytać albo, co gorsza, współczuć, więc szybko dodał: – Ale został mi polski dziadek, który jest wolontariuszem w Centrum Historii Surrey, tu, w Woking, i brat robiący karierę w Australii.

– Bezpieczna odległość między rodzeństwem – podsumowała. – Też mam brata i z całego serca życzę mu kariery w Australii.

– Jak podoba ci się Anglia?

Mogłabyś zostać tu na dłużej i pokarmić moją fascynację tobą? Powiedz, że tak.

– Jakoś nie miałam okazji się rozejrzeć – odparła.

– Masz rację, przepraszam – rzekł zgaszony, ale Marta nie wyglądała na przejętą, co nie uszło jego uwadze. Uwierała go ta beztroska, niczym rzeza w oku, i sprawiała, że obraz kobiety był

niepełny. Rozważania zagłuszył jej głos. Powiedziała coś, co w mniemaniu Redferna mogło wyjść tylko z jej ust:

– Wielu rzeczy tu nie ogarniam, na przykład tego waszego ekologicznego borderline. Z jednej strony zaoraliście kopalnie, bo trują, a z drugiej nie ocieplacie domów i nie dbacie o ich ergonomię. Świrujecie z segregacją odpadów, a chipsy pakujecie w małe paczuszki, które następnie wkładacie do dużej. – Wzięła ze stołu żółte opakowanie chrupek serowych i otworzyła, na dowód pokazując jego wnętrze. – Każdy ogórek, rzodkiewka czy seler w plastiku. Nie naprawiacie starych rzeczy, tylko dajecie na szmelc i biegniecie po nowe. Kultura gotowania zdechła. Zapewne na chorobę wieńcową spowodowaną otyłością.

– Zgniły Zachód, co?

– Trochę, ale macie też dobre strony. – Rozpakowała jedną z paczuszek i sięgnęła po chrupkę.

– Na przykład?

– Na przykład te quaversy! Są obłędne – zamruczała z zadowolenia i podała Redfernowi paczkę.

– Muszę trzymać dietę – zaprotestował, łapiąc się za brzuch, który ostatnimi czasy lekko mu się zaokrąglił.

– Daj spokój – prychnęła. – Lepiej być puszystym niż podobać się byle komu! – Roześmiała się i wpakowała sobie garść chrupek do ust, chrupiąc głośno.

Gdyby każdy puszysty miał jej figurę, dietetycy straciliby robotę, pomyślał. Włosy zdążyły jej wyschnąć, na nowo skręcając się w ocean kasztanowych fal. Bez makijażu wyglądała świeżo i naturalnie, jakby wyszła z rajskiego ogrodu, i tak też pachniała. Zwyczajna jak dziewczyna z sąsiedztwa, a jednak niezwykła. Ten widok przełamał w nim wszelki sceptycyzm, co chyba zauważyła. Nagle przeprosiła i wyszła do łazienki. Redfern odwrócił się w stronę okna, pogrążając się w zadumie. Patrzył na panoramę Woking, które wyglądało, jakby przykryło się gwiazdzistym kocem. Pomyślał, że może gdyby miał kogoś, kto wypełniłby to miasto, polubiłby je tak, jak kiedyś Londyn.

Zaniepokoiła go przedłużająca się cisza. Wstał i zrobił parę kroków w stronę łazienki. Wciąż niczego nie słyszał. Chciał zapukać do

drzwi, ale te otworzyły się gwałtownie. Zapłakana, czerwona twarz była żywym dowodem na to, że chwila radości kosztowała Martę zbyt wiele. Zawstydzona sobą usiadła na łóżku.

– Gdzie on może być? – mówiła łamiącym się głosem. – Minęło tyle dni, a on ciągle milczy. Im dłużej to trwa, tym bardziej zyskuje pewność, że on nie...

Nie dokończyła. W kieszeni spodni Redferna zadzwoniła komórka. Wydobył ją z trudem i nie patrząc na ekran, odebrał. W słuchawce usłyszał głos McMahona, który rozwiał wątpliwości:

– Mamy Sokolińskiego.

ROZDZIAŁ V

Czwartek, 10.10.2013

Las wyglądał, jakby przetaczała się nad nim nawałnica. Niebieskie światła raz po raz rozświecwały zarośla, dając Redfernowi sygnał, że policja pracuje na wysokich obrotach. Zaparkował wzdłuż ścieżki przy Eagly Road, tuż obok forda McMahona, i wszedł do lasu. Noc była chłodna i nad poszyciem unosił się lodowaty, nieprzenikniony jak wata opar. Inspektora dochodziły rozproszone pokrzykiwania zespołu. Gdyby nie oświetlony namiot techników, miałby problem z ich znalezieniem. Potykając się o wystające korzenie, po paru minutach dotarł na miejsce.

– Ale balet, co? – zagadnął Ted.

– Tak bym tego nie nazwał – powiedział ponuro Redfern, zakładając kombinezon i ochraniacze na buty. – Jest Elsa?

– Kręci się tu gdzieś i ciska gromy. Dostało się już McMahonowi i Puszce, że jaja sobie robią ze śledztwa, że gówno zrobiliście przez te trzy dni, ale prawdziwego szału dostała, jak się dowiedziała, że Linda jest na chorobowym.

– Możesz podać jakieś szczegóły? – wskazał na zwłoki, puszcżając wywody Teda mimo uszu. Cokolwiek by teraz powiedział, z pewnością dotarłoby do prokuratorki lotem koszącym. Ted był impregnowany na dyskrecję.

– Chciałbyś! Wezmę go do siebie, to dowiem się więcej. Na wstępie mogę ci jedynie powiedzieć, że gość jest zdrowo połamany, ale detale

dopiero na stole.

– Dzięki. Idę się przyjrzeć mu z bliska.

Zwłoki Mariusza Sokolińskiego leżały na brzuchu. Redfern przyglądał się im, usiłując zrozumieć, czego brakuje. Po chwili już wiedział – na nagraniu z hotelu mężczyzna miał na sobie kurtkę. Teraz leżał przed nim ubrany w koszulkę, jeansy i jednego zagniecionego na pięcie adidasa.

Na prawym policzku inspektor dostrzegł potężny siniak. Gdyby nie odgryzione palce i część śródrečza, można by pomyśleć, że mężczyzna leży tu od niedawna. Natura jednak zaczęła już recykling i sinobrazowe kikuty zajęły larwy. Redfern kucnął przy zwłokach. Dziękował w duchu za jesień, w cieplejsze dni przy tym stopniu rozkładu smród byłby nie do zniesienia. Z bliska przyjrzał się ranie, rozległej, jakby Sokoliński dostał czymś dużym i twardym. Zdecydowanie za wcześnie było na wnioski, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że miał do czynienia z zupełnie innym sprawcą.

Zaczął się podnosić, ale zamarł w połowie ruchu. W pierwszym momencie wydawało mu się, że zmęczone oczy płatają mu figla. Zmrużył powieki, by przeniknąć mrok, po chwili jednak nie miał już wątpliwości. Na podeszwie adidasa Sokolińskiego zobaczył coś, czego nie dało się pomylić z niczym innym. Charakterystyczne kwadratowe wypustki nie pozostawiały marginesu na domysły.

Nagle z daleka dobiegł go znajomy głos.

– Proszę mnie natychmiast przepuścić! Tam jest mój ojciec!

Zobaczył, jak Marta wyszarpuje się jakiemuś policjantowi i biegnie ku niemu. Wybiegł jej na spotkanie i złapał ją mocno w ramiona. Eksplozja adrenaliny nadała jej siły, jakiej się po niej nie spodziewał. Ledwo mógł ją utrzymać.

– Nie powinnaś tego oglądać.

Spojrzała na niego przerażonymi oczami. Redfern nie wiedział, co powiedzieć. Pokręcił tylko głową. Nagle Sokolińską wstrząsnął szloch, a las wypełnił przejmujący krzyk.

– To nieprawda! Tylko nie on!

Dla Redferna stało się jasne, że Martę z ojcem łączyły zupełnie inne stosunki, niż to przedstawiała.

Wciąż obejmując ją ramieniem, odprowadził ją do samochodu i poprosił, by zaczekała. W milczeniu pokiwała głową. Kiedy odchodził, drżącymi dłońmi wycierała nos chusteczką. Zaczął z powrotem przedzierać się między drzewami. Zaczepił ramieniem o gałąź i rozdarł kombinezon. Zatrzymał się i przeklinając cicho, oceniał straty. Nawet nie zauważył, jak stanął przy nim McMahon. Półmrok nie był w stanie ukryć zmęczenia na jego twarzy.

– I co myślisz?

– Nie wiem, cholera. Widziałeś buty?

– Pasują do śladów znalezionych przy Sokolińskiej, ale to nie ma sensu. Wyobrażasz sobie, że Sokoliński zawozi byłą żonę na Pyle Hill, podrzyna jej gardło, a potem biegnie półtora kilometra, by dostać łopata w łeb?

– On tu przybiegł?

– Matt mówi, że ślady ciągną się od Eagly Road.

– A dalej?

– Na razie nic nie znaleźliśmy. – Matt wyłonił się z ciemności i podszedł do nich. Jego też noc nie oszczędziła. – Przyjąłem, że przybiegł tu najkrótszą drogą z Pyle Hill.

– Zbadajcie drogę od przystanku przy Guildford Road.

– Przecież to dużo dalej i przez gęste chaszczki, a on nie ma zadrapań na ciele. Przynajmniej nie tyle.

– Tam jest stara ścieżka publiczna, może przeszedł tamtędy? – zasugerował Redfern. – Słuchajcie, coś wydarzyło się przy tym przystanku, jestem pewien. Możliwe, że widział śmierć żony i uciekał przed mordercą.

– Sugerujesz, że z Guildford Road przedarł się przez ten pas zieleni i ruchliwą Eagly, a morderca go gonił? – dopytywał Matt.

– Mniej więcej – Widząc minę technika, Redfern się zorientował, że nie miał pełnego obrazu sytuacji.

– Wszystko super, ale on tu przybiegł sam. Nie ma innych śladów. Co więcej, ostatnie parę metrów pokonał, czołgając się.

– Drugi but?

– Szukamy.

– OK. Daj znać, jak coś odkryjecie.

Matt zostawił ich samych, odchodząc w stronę drogi.

– Mam mętlik w głowie – wyznał zmęczonym głosem McMahon.
– Ja też. Zanim Ted nie określi czasu i przyczyny zgonu, będziemy zgadywać.

– Po co ją tu przywiozłeś? – rzucił policjant.

Redfern spojrzał na McMahona zdziwiony.

– Przyjechała za mną taksówką.

– Trochę to dziwne, nie uważasz?

– Słyszała przez telefon, jak podawałeś lokalizację. – Redfern poczuł się atakowany i wybrał najlepszą i zarazem najgłupszą metodę obrony: szczerłość.

McMahon wydał się zaskoczony, ale nie zadał żadnego z nasuwających się w tej sytuacji pytań. Za to dodał:

– I jeszcze ta szopka przed chwilą. Najpierw twierdzi, że w dupie ma starych, teraz to – ciągnął. – Śmierdzi na kilometr – powiedział i odszedł za Mattem.

Redfern odgonił ciemne myśli, które znów zgromadziły się wokół Marty. Ta rodzina była pełna tajemnic i niedopowiedzeń, ale nie mógł sobie wyobrazić, że jedną z nich było morderstwo. Mimo to napisał do Lindy SMS-a: „Przydaj się na coś i dowiedz się, kiedy Marta Sokolińska przekroczyła naszą granicę”.

Wrócił do ciała, przy którym klęczał Ted, próbując przewrócić je na plecy. Patolog przerwał właśnie wielką ucztę i spod zwłok we wszystkich kierunkach uciekały larwy. Koszulka Sokolińskiego nie była dla nich żadną przeszkodą i teraz, obżarte i brudne od zaschłej krwi, jedne pełzając, inne biegnąc, starały się ukryć przed światłem latarki Teda. Ziemisty i mdły smród sprawił, że Redfern ukrył twarz w rękawie kombinezonu. Z marnym skutkiem – zimna fizelina oplotła mu usta i nos, ale nie powstrzymała odoru. Czuł, że zaraz zwymiotuje.

– Trochę tu poleżał. Zdecydowanie dłużej niż dwadzieścia cztery. Te maleństwa powiedzą mi wszystko. – Ted wskazał na dziurę w brzuchu Sokolińskiego, w której kotłowały się jakieś pędraki. – Teraz do worka. – Gestem przywołał swoich dwóch asystentów, którzy natychmiast zjawili się przy nim.

Redfern szedł wzdłuż ścieżki, zastanawiając się, co powiedzieć Marcie. Musiał ją jak najszybciej odwieźć do hotelu. Gdy zbliżał się

do auta, poczuł, że coś jest nie tak. Samochód był pusty, a drzwi otwarte. Inspektor rozejrzał się nerwowo wokoło, ale nigdzie nie zobaczył znajomej sylwetki. Raz po raz drogą przejeżdżał tir, tworząc podmuch, który popychał Redferna do tyłu. Usiłując przekrzyczeć hałas, zawołał kilkakrotnie imię kobiety.

– Miałeś rację – krzyknął Matt, wychodząc z lasu po przeciwnej stronie drogi. Machnął do niego torebką, w której spoczywał drugi adidas.

Redfern wykorzystał przerwę między jadącymi samochodami i przebiegł do szefa techników.

– Gdzie to było?

– Tak jak przewidziałeś, na ścieżce. Mamy też kilka rozprysków.

– A przystanek?

– Ślady krwi zaczynają się w połowie ścieżki. Na jezdni i wokół czysto. To wszystko jest cholernie dziwne.

– Też tak myślę. – Redfern podskoczył na dźwięk głosu Bente Hansen. Nie zauważył, kiedy prokuratorka przekroczyła ulicę i stanęła za nim. – Mogę z panem porozmawiać na osobności, panie Redfern?

Matt popatrzył na inspektora ze współczuciem i odszedł w stronę lasu, w którym wciąż migwały latarki techników.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje z Lindą Wall – wypaliła Bente.

– Z tego, co mi wiadomo, jest na zwolnieniu lekarskim do końca roku.

– I mam uwierzyć, że nie dopytał pan podwładnej dlaczego.

– Dostarczyła do kadr zwolnienie i o ile się nie mylę, prawo zabrania mi dociekać przyczyn.

– Znam prawo, panie Redfern, proszę ze mną nie pogrywać. Na jego podstawie można zwolnić panią sierżant. To nie jest pierwsza taka nieobecność, a zważywszy na okoliczności – wskazała ręką w stronę namiotu techników – mam podstawy, by...

– Nie ma jej dopiero parę dni, a poza tym chyba nie do prokuratury należy zwalnianie pracowników.

– Zwracam tylko uwagę, że macie braki kadrowe, śledztwo Sokolińskiej stoi w miejscu, a pan jeszcze przywozi świadka, a może

nawet podejrzaną na miejsce zbrodni – mówiła ostro. – Którą z tych okoliczności uważa pan za łagodzącą przy uwalaniu śledztwa?

– Nie przywiozłem świadka, a sierżantka Wall wróci do pracy – odparł ze złością, ale Bente Hansen nie słuchała, zajęta szukaniem czegoś w kieszeni. Wyciągnęła chusteczkę, w którą wytarła zaczerwieniony nos.

– Ze swoich źródeł wiem, że od kilku miesięcy w waszym biurze leży podanie pewnej policjantki. Miała zacząć pod koniec lata, ale zjawił się pan. – Zaakcentowała ostro ostatnie słowo, po czym dodała: – Już rozmawiałam na ten temat z Malcolmem Knightem.

– Sierżant Linda Wall wróci – cedził przez zęby.

– Wątpię i radzę zaakceptować ten fakt. A teraz do pracy, panie Redfern.

Prokuratorka Bente wsiadła do zaparkowanego wzdłuż drogi samochodu i niespiesznie włączyła się do ruchu.

Redfern wrócił na drugą stronę ulicy, gdzie asystenci Teda właśnie wkładali zwłoki Sokolińskiego do furgonetki. Szelest worka sprawił, że nie usłyszał, jak podszedł do niego patolog.

– Coś taki zielony? – zagadał.

– Nic mi nie mów – Redfern pokręcił głową z rezygnacją.

– Sprawy się komplikują – skwitował Ted, zamykając z hukiem drzwi vana.

– Żebyś wiedział – odparł inspektor, nie mając na myśli śledztwa.

Musiał się dyskretnie dowiedzieć, kim jest policjantka, która poprosiła o przeniesienie, i dlaczego Bente Hansen tak bardzo zależało na usunięciu Lindy Wall ze stanowiska. Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewał.

– Słyszałem waszą rozmowę – powiedział McMahon, podchodząc do nich. – Udało ci się wkurzyć Dużą Elbę, brawo.

– To ja was, dziewczyny, zostawiam – zaśmiał się Ted i wsiadł do samochodu.

Kiedy czerwone światła zniknęły za zakrętem, Redfern się odezwał:

– Wiedziałeś, że ktoś czeka na przydział?

– Coś mi się obilo o uszy – odparł McMahon, ziewając. – Sierżant Winter z Croydon.

– Ze stołecznej tutaj? – zdziwił się Redfern, który najchętniej nawet w tej chwili zamieniłby się z policjantką miejscami.

– Masochistka, co? Na szczęście zjawiłeś się ty i nie musimy się użerać z chartem wyścigowym z Londynu.

Redfern nie wiedział, czy ma to odczytywać jako komplement, czy uwagę na temat jego metod pracy. Następne zdanie McMahona odarło go ze złudzeń.

– Zleciłem już Tinneyowi i reszcie rozpytanie mieszkańców. Podzielili się robotą i rano mają zacząć.

– Dzięki – rzucił, choć cisnęło mu się na usta, by McMahon przestał odgrywać rolę jego zastępcy.

W oddali słyszeli trzaśnięcia drzwi kolejnych radiowozów i szum opon, jakby pobłyskujące nad lasem pierwsze promienie słońca dały sygnał, że można zejść ze służby.

– Chyba nic tu po nas – rzekł zadowolony z siebie Greg i odszedł.

Po beztrójce w głosie policjanta Redfern wywnioskował, że McMahon nie miał pojęcia, co się dzieje z Lindą. Wziął to za dobrą monetę. Zdawał sobie sprawę, że jeśli McMahon coś wie, to wiedzą o tym wszyscy.

Wsiadł do samochodu i włączył silnik, po czym rozłożył siedzenie, na którym rozsiadł się możliwie wygodnie. Dmuchawa ustawiona na najniższe obroty zaczęła wydmuchiwac przyjemnie letnie powietrze. Redfern czuł, jak narastające zmęczenie rozsada mu mięśnie i stawy, a palce u rąk przechodzi bolesny skurcz. Wiedział, że w tej chwili nie może prowadzić. Wyciągnął ze schowka tabletki i na sucho połknął trzy. Rozpuściły się błyskawicznie, zostawiając w ustach okropnie gorzki posmak. Czekając na efekt, Redfern zastanawiał się nad śledztwem. Otworzył na telefonie mapę i starł się odtworzyć przebieg wydarzeń. Miejsce znalezienia zwłok Sokolińskiego, Pyle Hill, gdzie leżała Sokolińska, i przystanek autobusowy tworzyły niemal równy trójkąt o boku długości około kilometra, na planie którego nie było nic poza lasem i kilkoma zabudowaniami. Patrząc na ekran, Redfern próbował zrozumieć, co zaszło tamtej nocy. Przybliżał i oddalał mapę, ale nie znalazł odpowiedzi na dwa najważniejsze pytania: co sprawiło, że Sokolińscy się rozdzielili, i skąd wzięli się tak daleko od centrum miasta, które teraz stalową

koroną świtu jaśniało na horyzoncie. Wcinający się w niebo budynek hotelu przypomniał mu o Marcie. Redfern poprawił szybko siedzenie i odjechał.



Jadąc do Woking, Redfern próbował dodzwonić się do hotelu. Chciał się upewnić, że Marta szczęśliwie do niego dotarła. Od recepcjonisty uzyskał informację, że nie ma jej w pokoju. Komórka również uparcie milczała.

Zaczęło padać. Zanim minął centrum ogrodnicze w Mayford, lekka mżawka przerodziła się w solidną ulewę i wycieraczki ledwo nadały ze zbieraniem zalewającej szyby wody. Światła triumpha rozbijały się o ścianę deszczu i widoczność spadła niemal do zera. W tych warunkach trudno mu było się rozglądać, ale ze wszystkich sił wyteżał wzrok, lustrując pobocze.

Zmęczenie podkradło się niezauważone i wbiło w niego swoje pazury, rozrywając każdy nerw. Mijając bloki przy Constitution Hill, gwałtownie zahamował i zjechał w prawo, w swoją ulicę. Prawie zderzył się z nadjeżdżającym z naprzeciwka volkswagenem. Kolejna nieprzespana noc sprawiła, że nie mógł dalej trzeźwo pracować.

Nie pamiętał, kiedy ani jak trafił do łóżka. Zasnął tak, jak stał, w butach i kurtce.

Dźwięk telefonu docierał do niego jak spod wody. Półprzytomny nacisnął zieloną słuchawkę i przystawił aparat do ucha. Dyżurna miała głos niewiele mniej zaszpany od Redferna.

- Jak ci coś powiem, to padniesz.
- Powiedzmy, że już leżę. Co masz?
- Stawił się u nas Kieran Bamhara.

Redfern usiadł na łóżku i natychmiast oprzytomniał.

- Sam przyszedł?
- Technicznie rzecz biorąc, tak.
- Błagam, Deborah, do brzegu.

– Pod restauracją Lettuce & Slughorn wywiązała się awantura. Kilku podrasowanych drinkami kogutów chciało spróbować swych sił w walkach ulicznych. Trafili jednak na lepszych zawodników od siebie. Poskładali się jak damskie scyzoryki. Zwłoki trafiły do nas i odsypiają na apartamentach. Jeden z nich to nasz Kieran.

– Jaki debil chodzi po knajpach, będąc poszukiwanym?

– Nie czepiaj się, dziadku. Chłopak chciał odreagować stresy, a przy okazji ułatwił nam robotę. Zajrzysz do firmy?

– Zaraz będę – odparł Redfern, pocierając zaropiałe oczy. Głowę rozsadzał mu ból.

– Spokojnie, jeszcze przez parę godzin nie będzie z niego pożytku.

– Dzięki, Deborah.

– Luz.

Wstał i usiłował utrzymać w pionie obolałe ciało. Był czwartek i jutro będzie musiał sobie zrobić cotygodniowy zastrzyk z methotrexatu, co oznaczało sobotę wyjętą z życiorysu. Wielu pacjentów szpitala St. Peters skarżyło się na mdłości i senność, ale u niego oznaczało to dzień z miską przy łóżku.

Pięć lat temu dostał diagnozę. Okazało się, że nadmierne zmęczenie, stany depresyjne i wykręcający ciało ból nie były wynikiem przepracowania. Toczeń układowy dotyczył głównie kobiety, a wątpliwe szczęście Redferna polegało na znalezieniu się w tych piętnastu męskich procentach. Od tamtej pory był stałym gościem poradni reumatologicznej i z lepszym lub gorszym skutkiem pozwalał testować na sobie kolejne terapie. Ta z methotrexatu jak dotąd dawała najlepsze rezultaty, choć okupował je wymiotami i bólem głowy. Wiedział, że wskazówki zegara są w połowie tarczy, pacjenci nie przeżywali więcej niż dekadę od diagnozy, ale po cichu liczył, że zabójcza statystyka go ominie.

Nie ominęło go za to zderzenie z rzeczywistością. Kolejny telefon wprawił w wibracje jego komórkę. Choć numeru nie było na liście kontaktów, Redfern rozpoznał go bezbłędnie.

– Sierżant Burkule, nie przeszkadzam?

– Nie – odparł zdecydowanie za szybko Redfern. Nie wiedzieć czemu, czuł na sobie świdrujący wzrok policjanta.

– Chciałem pana poinformować, że nasz NN zostanie jutro pochowany na cmentarzu komunalnym.

– Udało się wam coś ustalić?

– Nie, a panu?

– Też nie – wyrwało mu się. Zmęczenie odbierało mu bystrość umysłu. – To znaczy nic nie próbowałem ustalić. Nie znam tego człowieka.

– Rozumiem. Gdyby się panu coś przypomniało, wie pan, gdzie mnie szukać.

– Jasne – mruknął obojętnie, choć rozmowa z sierżantem wywołała w nim poczucie winy. Kłamstwo, które z taką łatwością mu przyszło, było automatyczną tarczą, instynktownie otwartym parasolem; miał go uchronić przed deszczem gówna, który za chwilę miał spaść.

Skulił się na łóżku i leżał w bezruchu, zastanawiając się, co zrobić w pierwszej kolejności. Szukanie Marty musiał odłożyć na później, ale był o nią dziwnie spokojny. Przez tę krótką chwilę zdążył się zorientować, że ma do czynienia z twardą sztuką, która w takich chwilach potrzebuje przestrzeni dla swojej samotności. Linda nie raczyła odpowiedzieć na jego SMS-a. Kolejna dumna, urażona. Był ciekaw, jak sobie z nią radzi pani Knight. Skoro Malcolm jeszcze do niego nie dzwonił, to znaczy, że jest chyba całkiem nieźle. W myśl starej maksymy cieszył go ten brak wiadomości.

Rozprostował się i sięgnął po leki. Naproxen natychmiast rozpuścił się na języku, sprawiając, że Redfernem wstrząsnął odruch wymiotny. Był kwadrans po dziewiątej i nie miał już czasu czekać, aż lek zacznie działać. Ból nie wyłączał u niego uczucia głodu, więc podniósł się i pokuśtykał do kuchni, by zrobić sobie śniadanie.



Kieran Bamhara siedział w sali przesłuchań, którą wypełniał smród przetrawionego alkoholu i niemytego ciała. Od zaszczutego zwierzęcia odróżniała go tylko poplamiona koszulka od Hilfingera

i wymięte garniturowe spodnie. Zgarbiony, zerkał na drzwi przerażonymi oczami, a na jego ciemnym czole połyskiwały kropelki potu.

– Ten człowiek wlaźł prosto pod koła – tłumaczył. – Wybiegłem z samochodu, ale jego tam nie było. Wołałem, ale on rozplynął się w powietrzu.

– Skąd zatem krew na twojej koszulce?

– Chciałem wytrzeć autobus z krwi. Myślałem, że to był jakiś pijak i pewnie w amoku wypadł na jezdnię. Skoro uciekł, to znaczy, że nic mu nie było, co nie? Ale krew na zderzaku to krew na zderzaku. Bałem się, że w bazie zaczną zadawać pytania i będę miał problemy. Jasna sprawa, nie?

– Nie – odparł McMahon. – Bo tak się składa, że ten twój pijak nie przeżył.

– Niemożliwe! – zakrzyknął Bamhara. – Przecież uciekł!

– Najpewniej był w szoku – tłumaczył Greg McMahon. – Miał krwotok wewnętrzny, przebiegł pięćset metrów i zmarł. To oznacza, że sąd będzie miał z tobą więcej roboty. Nieumyślne spowodowanie śmierci, nieudzielenie pomocy, ucieczka z miejsca wypadku. Długa lista.

Redfernowi nie podobały się techniki McMahona, ale liczył na szybki efekt, więc pozwolił mu przejąć ster.

– Ale on się pojawił znikąd! Nie miałem szans zareagować! Nie sposób zatrzymać rozpędzony autobus w miejscu.

– No właśnie, rozpędzony – wycedził McMahon. – Tam jest dwadzieścia na godzinę, a Sokoliński miał obrażenia, jakby zderzył się z rollercoasterem.

– Spieszyło mi się, sraczkę miałem, nie? Tam jest droga jak stół, nie wiem, skąd te dwie dychy. Ten facet wybiegł prosto pod koła. – Bamhara prawie płakał.

– Skąd wybiegł?

– Co?

– Z której strony wybiegł?

– Nie wiem.

– Skup się! Z prawej? Z lewej?

– Wydaje mi się, że z tej bocznej drogi. Maybourne Rise czy jakoś tak.

Tinney wysłał tam patrol. Nikt wtedy nie rozpoznał Sokolińskich, pomyślał Redfern.

– Po co zabrałeś ze sobą saperkę?

– A wiesz, ile jest napadów na autobusy? Ćpuny, małolaty, cwaniaki, co nie chcą płacić. Zanim dyspozytor wyśle gliny, to mnie już dawno wyciągną z kabiny i skopią na śmierć. To sobie wożę coś do samoobrony, nie?

– I po potrąceniu człowieka też ze sprzętem pobiegłeś?

– A pewnie! To mogła być prowokacja!

– Opowiem ci moją wersję tego, co się zdarzyło tamtej nocy. – McMahan tracił zimną krew. – Zobaczyłeś Sokolińskiego na poboczu, zatrzymałeś gwałtownie autobus i wyskoczyłeś z samochodu. Dopadłeś faceta i przywaliłeś mu saperką. Gość zwiął i zszedł pięćset metrów dalej. Mam tylko problem z motywem.

– Ludzie, ja nie znam tego waszego Sokolińskiego! Nie znam go!

– Posłuchaj! – McMahan pacnął w leżącą przed nim teczkę. – Wiem, że jesteś na warunkowym. Byłeś też zamieszany w próbę gwałtu, a za chwilę wrócisz za kraty za zabicie niewinnego człowieka. Asymilacja na całego.

Redfern odchrząknął znacząco. McMahan się zagalopował. Policja musiała być wolna od uprzedzeń na tle rasowym i narodowościowym – i nawet jeśli Gregory myślał inaczej, to nie powinien był tego mówić w pokoju przesłuchań. Anglia od kilku lat przeobrażała się na ich oczach, a oni musieli się do tej zmiany przystosować. Do pomocy dostali poprawność polityczną i tolerancję ponad rozsądek. Z niepokojem patrzyli na konflikt syryjski, który już niebawem przyniesie pod ich próg kolejną falę uchodźców. O ile nikt normalny nie miał nic przeciwko przyjęciu rodzin z dziećmi, o tyle przerażenie wzbudzał napływ młodych, roszczeniowych mężczyzn, którzy zamiast walczyć o swój kraj, przybywali tłumnie po zasiłki. W tym wszystkim rodził się podskórny lęk, że wielu z nich mogło współpracować z Państwem Islamskim.

– Módl się, żeby lekarz znalazł dowody na wersję z potrąceniem – ciągnął McMahan – chociaż sam nie wiem, czy ci to pomoże.

Kieran Bamhara dyszał wściekle, ale nie powiedział nic. Redfern wiedział, że popełnił błąd, oddając przesłuchanie McMahonowi. Konfrontacja właśnie dobiegła końca. Inspektor odsunął się na krzesło, dając sygnał do wyjścia. Greg podążył za nim.

– Co ty odwalasz? – naskoczył na podwładnego David, gdy tylko znaleźli się na korytarzu. Redfern nie domknął drzwi, upewniając się, że tylko jedna para uszu będzie słyszała ich rozmowę. – Schowaj sobie w kieszeń te uprzedzenia!

– Nie mam żadnych uprzedzeń – odparł McMahon. – Nie widzisz, że skurwiel coś kręci? Przejrzałeś w ogóle jego kartotekę? Imigrant pieprzony!

– Chyba przejrzałem dokładniej niż ty, bo tam jak wół stoi, że Kieran urodził się tutaj.

– Wiesz co, Dave? – Policjant zmrużył oczy, a na jego policzkach pojawiły się fioletowe wypieki, czego Redfern nigdy wcześniej u niego nie widział. – Kotka mojej matki okociła się w oborze. Powiedz mi, czy jej młode nazwiesz krowami?

– Nie, ale myślę, że łapią myszy lepiej niż cielaki. – Redfern otworzył drzwi i wszedł do sali przesłuchań, zostawiając Grega na korytarzu.

Inspektor wykorzystał psychologiczny trik i usiadł obok Bamhary, dając mu podświadomy znak, że jest po jego stronie. Nie zważając na wściekłość mężczyzny, rozłożył przed sobą teczkę, którą przyniósł McMahon, i w milczeniu przeglądał dokumenty. Szybko pominął akty oskarżenia i zatrzymał się dopiero na notatkach z programu resocjalizacyjnego.

– Imponujące. – Wskazał palcem na wzmiankę o wolontariacie przy York Road Project, który pomagał bezdomnym w Woking i okolicach. Dopiero teraz zauważył, czym Kieran się tam zajmował.

– Tylko to potrafię robić – powiedział Bamhara, gładząc się po czarnej brodzie. – Poza kierowaniem autem, co nie?

– Strzygłeś bezdomnych – oznajmił Redfern, kiwając głową.

– Do CV tego raczej nie wpiszę, nie? – odparł Kieran. – Zresztą co za różnica? Zabiłem człowieka i trafię do pierdła.

– Na razie jesteśmy na etapie śledztwa – rzekł uspokajająco inspektor. – Wiemy, że potrafiłeś Sokolińskiego, ale musimy znać

okoliczności. Wszystkie. Musimy wiedzieć jak najwięcej, Kieran. Dlatego powiedz mi, czy widziałeś coś lub kogoś przy zjeździe na Guildford Road?

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

– Nie wiem, czy to ważne – zaczął ostrożnie. – Przy tym zaułku, co prowadzi do Pyle Hill, stał samochód. Zdziwiłem się, bo ludzie parkują tam tylko w ciągu dnia. Wypakowują rowery i jadą na stację w Woking, bo tu się nie płaci za postój, nie? Nigdy nie widziałem tam auta w nocy.

– Jaki to był wóz?

– Jakiś van. Nie zauważyłem marki.

Cholera, pomyślał Redfern. Sokolińskich spod hotelu zabrała osobówka.

– Kolor?

– Niech pan nie żartuje! Było ciemno jak w dupie!

– Im więcej sobie przypomnisz, tym lepiej dla ciebie.

– Jasny. Biały albo srebrny. Może jasnoniebieski.

Redfern zanotował w milczeniu i znów zwrócił się do Kierana:

– Czy obok kręcili się jacyś ludzie?

– Nikogo nie widziałem.

– Jesteś pewien?

– Przecież wiem, co mówię – odparł już mniej pewnie.

– Jasne, rozumiem – rzucił inspektor i wstał. Zaczął się zbierać, ale Bamhara zatrzymał go w pół kroku, mówiąc:

– Jeszcze jedno. – Odchylił się na krześle, wyraźnie rozluźniony skończonym przesłuchaniem. – Ten van miał coś pokombinowane ze zderzakiem.

– Nie bardzo rozumiem.

– Taki przerośnięty był, co nie? Nieseryjny.



Redfern zarządził zebranie na późne popołudnie i zamknął się w biurze. Wierzył, że do tego czasu Ted upora się z sekcją i zyskają pełniejszy obraz obu spraw. Nie mógł znaleźć zależności między tymi zabójstwami, poza wspólnym nazwiskiem i wycieczką na Wyspy. Sokoliński miał oczywisty powód pobytu w Woking, motywy jego byłej żony pozostały nieznane. Na wyciągniętej z biurka kartce napisał oba imiona, jego po prawej stronie, jej – po lewej. Pod Bożeną zapisał „cmentarz”, pod Mariuszem – „McLaren”. Obydwa tropy pozostawały niesprawdzone i równie nieprawdopodobne. Włączył komputer i sprawdził kontakt do agencji rekrutacyjnej Hays, która zatrudniała łowców głów. Konflikt Sokolińskiego z jednym z nich wydał mu się słabym motywem, ale nic innego nie miał. Po krótkiej rozmowie z konsultantką dostał numer do Dominica Shippa, który był agentem Polaka.

– Dzień dobry. Nazywam się Redfern i jestem inspektorem z policji w Woking. Dzwonię w sprawie pana Sokolińskiego. Czy to pan przedstawił jego kandydaturę do McLarena?

– Tak, ja – odparł wyniośle agent. – Pan Sokoliński ma do podpisania kontrakt. Od kilku dni próbuję się z nim skontaktować.

– To znaczy, że otrzymał tę posadę?

– Oczywiście. Doskonale poradził sobie na rozmowie kwalifikacyjnej. Jeśli zaakceptuje warunki McLarena, to od listopada zaczyna pracę.

– A co mi pan powie na temat konfliktu między panami?

Odpowiedziała mu cisza. W tle słyszał zapowiedź pociągu na stacji kolejowej.

– Nie było żadnego konfliktu. Pan Sokoliński nie do końca zrozumiał reguły panujące na naszym rynku pracy. To było zwykłe nieporozumienie. W każdym razie zagwarantował sobie dwuletni kontrakt z firmą McLaren.

– Rozumiem. Czyli jak zadzwonię do McLarena, to potwierdzą pańską wersję?

– Oczywiście – rzucił Shipp. – Proszę wybaczyć wścibskość, ale pan dzwoni z policji, więc muszę zapytać, czy pan Mariusz ma kłopoty.

– Już nie – odparł Redfern i podziękował za rozmowę.

Reguły panujące na naszym rynku pracy, powtórzył w myślach. Nie było żadnych reguł, a jedynie zdeptywanie jednych przez drugich. Kasa, jaka kręciła się w agencjach rekrutacyjnych, nie mieściła się w głowie przeciętnemu zjadaczowi chleba. Za dobrego pracownika z branży IT agenci dostawali tysiące funtów. Gdy już jednego obsiedli, to nie dawali mu żyć. Przepychanki między łowcami głów były na porządku dziennym – każdy chciał upolować najlepszą zwierzynę.

Wciąż trzymając komórkę w ręce, wybrał numer Tinneya, który pracował w terenie, rozpytując mieszkańców Maybourne Rise. Redfern miał świadomość, że Puszka podąża ślepym tropem. Kieran Bamhara z pewnością nie zabił Bożeny, choć z drugiej strony mógł blefować.

– Jak ci idzie? – zapytał, gdy uzyskał połączenie.

– Kiepsko – odparł zakłopotany policjant. – Tu jest ze trzydzieści willi. W połowie nikogo nie zastałem, a druga połowa nic nie wie. Jakaś staruszka widziała w noc zabójstwa taksówkę czekającą naprzeciwko jej domu. Powiedziała, że auto stało parę minut, po czym odjechało.

– Co to był za samochód?

– Babcia mówiła, że duże i ciemne, czarne albo granatowe.

– Van?

– Raczej osobówka, ale babcia nie zna się na autach – referował Tinney. – Orka na ugorze. W dodatku to całe Maybourne Rise na początku odchodzi od Pyle Hill, a potem znów w nią wpada, a Pyle Hill ciągnie się aż do Sutton Green. Stary, setka domów...

– Uszy do góry, Puszka. Wszyscy siedzimy w tym gównie po pas.

– Ale na was przynajmniej nie leje deszcz!

Rozbawiony ripostą David odsłonił roletę – za oknem faktycznie przewalały się ciężkie chmury, niosące grube sznury deszczu. Współczuł Tinneyowi dzisiejszej wyprawy. Liczył, że chociaż w jednym domu zaproponują mu kubek ciepłej herbaty.

Redfern wziął się do ulubionej części swojej pracy – wypełniania papierów. Kolejną łapówką, którą kupował sobie prokuratorów, były dokumenty dostarczane na czas. Nie silił się na zbytnią finezję, starał się spisywać raporty w żołnierskich słowach. W południe miał

gotowy mail do Elsy. Kiedy wciskał na klawiaturze enter, zadzwoniła komórka.

Cholera, przebiegło mu przez myśl. Na śmierć zapomniał. Złapał szybko za aparat i odebrał.

– Dawidek? Tu dziadek! – usłyszał.

Gdy był nastolatkiem, wkurzało go, że mama i staruszek zwracali się do niego polską wersją imienia. Teraz czuł ciepło w sercu.

– Cześć – rzucił entuzjastycznie. – Przepraszam, że nie wpadłem w tym tygodniu. Mam masę roboty.

– Wiem, czytałem – odparł mężczyzna. – Węszysz?

– Węszę, ale chyba potrzebuję nosa starego psa.

– Zajrzyj, jak będziesz miał chwilę, pomogę.

– Jasne, do zobaczenia.

Bohdan Siwiaszczyk sprowadził się do Anglii w dziewięćdziesiątym pierwszym, by pomóc Antoninie w opiece nad dziećmi. Był samotnikiem, a genezę tej samotności David poznał całkiem niedawno, kiedy pewnego wieczora powściągliwość dziadka została rozcieńczona wyborną cherry.

Z niedoszlą pierwszą żoną rozdzieliły go wrocławskie wydarzenia roku pięćdziesiątego szóstego. O tym, że była w ciąży, dowiedział się z listu. Gdy tylko nadarzyła się okazja, pojechał do niej. Kazia mieszkała z córką na Hammersmith w małym domku, który pomogło jej wynająć Zjednoczenie Polskie. Studiowała ukochaną historię na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, a Londyn najwyraźniej jej służył.

Tak jak i jego córce, którą znał tylko ze zdjęć. Pięcioletnia Tosia od razu go poznała. Zarzuciła mu małe rączki na szyję z okrzykiem „Tata!”. To był jeden z najszcześniejszych i najmroczniejszych dni jego życia. Gdy tylko mała zasnęła, zostali sami z bagażem pytań, który przywiózł ze sobą. Mimo wielu przesłuchań, które przeprowadził w swojej milicyjnej karierze, indoktrynujących rozmów z esbeckimi przełożonymi, czuł się tej nocy zupełnie rozbrojony. Cała hardość nabyta w pracy stopiła się pod naciskiem spojrzenia Kazimierzy, które powiedziało to, czego najbardziej się obawiał. Wiedział, że nie wrócić do Polski. On sam też nie mógł zostać. Obiecał, że będzie

pisać i jeśli tylko sytuacja w kraju pozwoli – przyjeżdżać. Pozwoliła tylko cztery razy, ale mimo to udało im się utrzymać kontakt.

W siedemdziesiątym siódmym otrzymał zaproszenie na ślub Antoniny. Kazia przysłała mu wtedy paczkę z oryginalnymi adidasami, perfumami Chanel No5 i kilkoma innymi drobiazgami, normalnymi w normalnej Anglii, a będącymi przepustką do rajów w Polsce. Pani w biurze paszportowym, owiana intensywnym, słodkim zapachem, z uśmiechem wręczała mu paszport.

Bohdan nie był najszcześniejszy, że wybór padł na Szkota, ale bardzo chciał poznać zięcia. Gdy wylądował na Heathrow, zorientował się, że w listach Antonina zapomniała dodać, że był to szkocki Jamajczyk. *Scottish Jamaican*, czarny jak myśli, które nawiedziły wtedy Siwiaszczyka. „Co ludzie powiedzą” otwierało listę.

Ostatecznie Redfern okazał się równym facetem i wspaniałym mężem. Przynajmniej do czasu. Antonina urodziła w sumie troje dzieci, ale to David był oczkiem w głowie dziadka. Przy okazji kolejnej wizyty Davida w Częstochowie inspektor Siwiaszczyk oprowadził go po komendzie, zwanej troskliwie Trójkątem, i zabrał na strzelnicę. Z każdą wypadającą z okna wyrzutową łuską w chłopcu rosły pasja i nadzieja, że papierową tarczę w przyszłości zastąpi uciekający przestępca. Rozbiegany, pełen iskier wzrok był załączkiem czegoś, co pchnęło Redferna w szeregi londyńskiej policji, później do Krajowej Agencji do spraw Przystępczości, a ostatecznie za odrapane biurko w Woking.

Z zamyślenia wyrwał go huk. Odwrócił się nagle i zobaczył odbity na szybie znajomy kształt. Często, zwłaszcza po wizycie czyszcicieli okien, ptaki wpadały w okno jego gabinetu. Uderzając, zostawiały wyraźny szary ślad.

Całun turyński gołębia, pomyślał z rozbawieniem i wrócił do maila. Miał jeszcze ponad godzinę do spotkania w szpitalu Priory, więc przedzwonił do Marty. Po ośmiu sygnałach dał sobie spokój. Zadzwoił do hotelu i dowiedział się, że poranna zmiana nie widziała dziewczyny, a telefon w jej pokoju nie odpowiada.

Zabrał kurtkę i wyszedł z biura.

Deszcz przestał padać, więc spacer do hotelu Double Tree był przyjemny i podziałał orzeźwiająco. W recepcji Redfern przywitał się

ze znajomą recepcjonistką i wjechał windą na wskazane przez nią piętro. Pokój Marty znajdował się w samym końcu korytarza. Stał przed drzwiami i zapukał. Bez odpowiedzi. Już miał odejść, gdy wydało mu się, że słyszy coś w środku. Wrócił i załomotał.

– Odwalcie się! Nie chcę sprzątanania! – doszło go.

– Marta, to ja, David.

– Ty też się odwal, psie!

– Nie wygłupiaj się, otwórz.

Zamiast drzwi Marty otworzyły się te do sąsiedniego pokoju i wyjrzał zza nich szpakowaty mężczyzna w eleganckim szlafroku.

– Myślę, że pani nie ma ochoty na kontakty – odezwał się. – Najlepiej będzie, jak się pan oddali.

– A ja myślę, że najlepiej będzie, jak wsadzi pan z powrotem łeb do pokoju i nie będzie utrudniał pracy policji – warknął Redfern, pokazując legitymację.

Mężczyzna zniknął tak szybko, jak się pojawił. Szczęknął zamek i drzwi pokoju dwieście czternaście się uchyliły. W szparze zobaczył ubraną w podkoszulkę Martę, która kładła się do łóżka, przykrywając się szczelnie kołdrą.

– Nie mam ochoty na wizyty – powiedziała zakatarzonym głosem. Miała spuchniętą, czerwoną twarz, a włosy kleiły się jej do czoła. Na podłodze wały się mokre ubrania. Musiała wrócić piechotą.

– Martwiłem się – wyznał. – Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?

– Bo jeden z twoich kolegów uznał, że to mój ojciec jest mordercą. Aha, i dodał, że nasz romans zlasował ci mózg!

– Nasze co?!

– Słyszałeś, a teraz idź sobie. Jakbyś nie zauważył, muszę załatwić kolejny pogrzeb.

Zastanawiał się, czy powinien jej powiedzieć o butach i śladach znalezionych przy Sokolińskiej, ale skoro sam nie wierzył w winę Mariusza, postanowił to przemilczeć.

– Nie masz jeszcze pozwolenia na wydanie zwłok ojca – powiedział cicho.

– Gównu mnie to obchodzi! – wrzasnęła, a jej oczy niebezpiecznie załśniły. – Spierdalam z tego chorego kraju!

– Pomóż mi dorwać tego bydlaka.

– Nic nie rozumiesz – powiedziała twardo, zrzucając z siebie kołdrę.
– Mnie zupełnie nie obchodzi, kto ich zabił. Nie jestem żadną sprawiedliwości. W dupie mam sprawiedliwość. Chcę ich po prostu zabrać do domu.

– Zabierzesz – odparł. – Już niedługo. Najpierw jednak musimy się dowiedzieć, co twoja matka robiła na cmentarzu w Brookwood. To jedyny sensowny trop. Bądź gotowa o szesnastej. Przyjadę po ciebie, OK?

– Zobaczę.

Redfern po cichu zamknął za sobą drzwi i wyszedł na korytarz. Czekając na windę, oparł się o ścianę i przetarł dłonią zmęczoną twarz. Zastanawiał się, czy najpierw dać w mordę McMahonowi, czy jechać do Priory. Wybrał drugą opcję. Ryj policjanta mógł poczekać, audyencja u dyrektorki ośrodka – nie.



Wjazd do szpitala był zakamuflowany tak, że tylko zainteresowani zjeżdżali w wąską alejkę bez pisku opon. Mała, dyskretna tabliczka była łatwa do przeoczenia i Redfern o mały włos jej nie minął. Ostatni raz był tu pięć lat temu, niedługo po tym, jak Adrian Bones trafił na terapię. Początkowo dobrze funkcjonował i David chętnie go odwiedzał. Po kilku miesiącach zaczął się zmieniać, jakby wydarzenia z Dover wróciły do niego ze zdwojoną siłą. Wspominał strzelaninę, wysnuwając coraz to nowe i mniej prawdopodobne teorie. Kiedy na każdą wizytę w swoim pokoju Adrian zaczął reagować przerażeniem, lekarze zdecydowali się na zastosowanie bardziej radykalnych środków. Całkowicie otępiały Bones stracił kontakt z rzeczywistością. Wtedy też Redfern uznał odwiedzanie go za bezcelowe. Dziś ze złością myślał o tamtej decyzji. Bez lojalności przyjaźń jest tylko pustą deklaracją.

Podjechał pod szlaban odgradzający drogę od reszty posesji i wcisnął przycisk domofonu. Miękki kobiecy głos powitał go

uprzejmie. Redfern przedstawił się i przeprosił za spóźnienie. Odpowiedziała mu cisza, ale białe ramię uniosło się, wypuszczając go do środka.

Inspektor pamiętał, że ośrodek był szpitalem tylko z nazwy i bardziej przypominał jeden z pałaców, które w swym posiadaniu ma National Trust, ale i tak stał przez chwilę przed nim, przyglądając się imponującej architekturze. Po chwili na parking wjechał samochód i przypomniał mu, po co tu jest. Poprawił koszulę i wszedł do środka. Panowało w nim przyjemne ciepło i zapach, który Davidowi dziwnie kojarzył się z dzieciństwem. Być może był to jaśmin, który kwitł w jego rodzinnym domu w Edynburgu.

– Pan Redfern? – odezwała się idącą ku niemu kobieta. Była ubrana w doskonale skrojoną garsonkę i szpilki, które zdaniem inspektora mogła nosić jedynie osoba mająca doświadczenie w chodzeniu na szrudłach. Gdy zrównała się z nim, wyciągnęła rękę i przedstawiła się:

– Michelle Partner. Byłam opiekunką Adriana.

A ja jego zabójcą, pomyślał Redfern.

– Przyjaźniłem się z Adrianem – powiedział.

– Pamiętam, przyjeżdżał pan często. Jego śmierć to była taka tragedia.

Dla waszej reputacji z pewnością, przyznał w duchu.

– Co pana dziś sprowadza? – zapytała Partner.

– Na jaw wyszły nowe okoliczności jego śmierci i chciałbym usystematyzować naszą wiedzę na temat jego pobytu tutaj.

– A zatem służbowo?

– Jeszcze nie – powiedział dość cicho.

Przez twarz kobiety przebiegł ledwo dostrzegalny grymas. Redfern na to liczył. Zasiał w Michelle Partner niepewność, która sprawi, że się wycofa, pozwalając mu działać. Ośrodki takie jak ten za punkt honoru wzięły sobie prywatność swoich pacjentów, a dobra reputacja była celem nadrzędnym. Sprawa Adriana kładła się cieniem na szpitalu. Jego ucieczkę starano się przedstawić jako bezpodstawnie wydaną przepustkę. Najwidoczniej szybko otrząsnęli się po tej porażce, bo na parkingu Redfern widział wiele samochodów. Tak czy inaczej wizyta policji mogłaby przynieść plotki

i utratę klientów na rzecz konkurencji, która w Surrey była ogromna. Michelle Partner to wiedziała.

– Proszę w takim razie do mojego gabinetu. – Odwróciła się i poszła wzdłuż korytarza, kołysząc wąskimi biodrami. Redfern podążył za nią.

Biuro dyrektorki szpitala zmieściłoby cztery biura Redferna i o tyle samo przekraczało jego budżet na wystrój. Zdecydowanie bardziej przypominało pokój dzienny niż gabinet. Ogromne okno wychodziło na sięgającą horyzontu łąkę.

Inspirująca przestrzeń, pomyślał Redfern.

– Co pana konkretnie interesuje? – spytała Partner, zasiadając za biurkiem. Była przygotowana na spotkanie. Otworzyła leżącą przed nią teczkę i przebiegła wzrokiem zawartość.

– Właściwie wszystko – odparł szczerze.

Za sprawą swojej matki Bones trafił tu z podobnego ośrodka leczenia uzależnień i depresji Life Works w Old Woking. Redfern nie mógł zrozumieć, dlaczego Isabelle Bones tak bardzo zależało na tym przeniesieniu. Na pytanie o powody enigmatycznie stwierdziła, że jej syn źle znosi pobyt tam. Wtedy nie drażył. Teraz musiał.

– Adrian Bones cierpiał na schizofrenię niezróżnicowaną lekooporną – zaczęła kobieta. – Z tego, co widzę w karcie, otrzymywał klozapinę. Nieznane są mi początki choroby. Możliwe, że były poprzedzone paragnomenem.

– Czym?

– Matka Adriana Bonesa wspominała, że zanim trafił do ośrodka Life Works, by leczyć się z alkoholizmu, zastrzelił niewinnego człowieka. Możliwe, że był to paragnomen, czyli zachowanie wbrew oczekiwaniu, które często jest pierwszym objawem choroby psychicznej.

– Nie byłem wtedy blisko z Adrianem. Prawdopodobnie wyglądało to tak, jak pani mówi. Czy po podaniu leków miewał lepsze dni?

– Oczywiście. Nawiazywał tu znajomości, wychodził też na przepustki. Generalnie był przygaszony i strachliwy, ale miał dobry kontakt z personelem i innymi pensjonariuszami.

– Nie zapadło pani w pamięć nic szczególnego w jego zachowaniu?

– Mówi pan o osobie chorej – odparła. – Było mnóstwo szczególnych zachowań. W momentach emisji choroby panicznie się bał. Mam wrażenie, że odkąd do nas przybył, towarzyszył mu strach, który nie opuszczał go nawet po podaniu leków.

– Czyli możliwe, że był racjonalny?

– W schizofrenii nic nie jest oczywiste, panie inspektorze. Równie dobrze mógł to być współtowarzyszający zespół lękowy. Był głęboko w nim zakorzeniony. Z wywiadu medycznego wynika, że miał trudne dzieciństwo. Apodyktyczni, zamożni rodzice, których widywał tylko przy okazji reprimendy. Nie zaznał czułości, a jedynie żołnierską musztrę – przeczytała notatkę. – Praca w policji też mogła uruchomić w nim odziedziczone predyspozycje.

Miał wrażenie, że Michelle Partner jest telewizyjną gadającą głową. Chciał konkretów, a otrzymywał jedynie hasła z Wikipedii.

– Powiedziała pani, że Adrian nawiązywał znajomości w ośrodku. Pamięta pani, z kim się najmocniej przyjaźnił?

– Adrian był lubiany, ale celowo użyłam słowa „znajomości”, bo jego relacji z innymi kuracjuszami nie można było nazwać przyjaźniami. Mamy tu grupy wsparcia, zajęcia plastyczne i on chętnie w nich uczestniczył, ale z dystansem. Wydaje mi się, że najbliżej był z siostrą. Była u niego co dwa, trzy dni i dużo rozmawiali.

Jakbym nie wiedział, pomyślał ze złością.

– Chciałbym jeszcze wrócić do dnia ucieczki.

– To nie była ucieczka, inspektorze. – Michelle spięła wszystkie mięśnie. – Nikt tu nikogo pod pistoletem nie trzyma.

– Państwo Bones zapłacili wam duże pieniądze, żebyście się opiekowali ich chorym synem – wycedził. – Mieliście tylko jedno zadanie, chronić go przed nim samym. Miał tu być bezpieczny. Wszedł stąd i nie wrócił. Jak pani myśli, czyja to jest wina?

– Pan chyba powinien wiedzieć najlepiej – odparła sucho, miażdżąc go wzrokiem.

Redfern siedział nieruchomo. Szumiało mu w uszach, a w gardle poczuł szorstką kulę, której za nic nie mógł przełknąć. Michelle Partner może i była świetnym psychiatrą, ale to techniki zadawania psychicznego bólu miała dopracowane do perfekcji. Od początku

wiedziała, kim jest Redfern i co zrobił, i zostawiła sobie ten oręż w pogotowiu.

– Mój czas przeznaczony na tę rozmowę dobiegł końca – usłyszał jak przez ścianę. – Proszę wybaczyć, ale muszę wracać do pacjentów.

Michelle Partner odprowadziła go do recepcji i bez wylewnego pożegnania zniknęła w jednym z korytarzy

Chciało mu się palić. Nie robił tego od czasów studenckich i nie wiedział, skąd ten nagły głód nikotynowy. Opierając się o maskę triumpha, patrzył na budynek szpitala, gdy nagle sobie coś przypomniał. Zajrzał do wnętrza auta i znalazł rzuconą na wycieraczkę paczkę papierosów Lindy. Żałował, że w starym kabrio nie było gniazda zapalniczki. Zawiesił papierosa na wardze i przeszedł do bagażnika w poszukiwaniu zapalek.

Wielka postać przysłoniła słońce, zaciemniając mu pole widzenia.

– Ognia? – usłyszał za sobą niski głos.

– Jasne – odparł. Podniósł głowę i wziął od nieznajomego zapalniczkę.

Doskonale zbudowany ciemnoskóry mężczyzna uśmiechał się pogodnie. Zielony uniform opinał jego umięśnione ramiona i klatkę piersiową, sprawiając, że przywodził na myśl striptizera w stroju pielęgniarza. Redfern dostrzegł na złotej plakietce nazwisko: Adekunle Fowora.

– Przejdziemy się? – zaproponował.

– Jasne – odpowiedział zaskoczony Redfern i odpalił papierosa, po czym mocno się zaciągnął.

Czuł się fatalnie. Gryzący dym nie był w stanie przepchnąć kulki, która utknęła mu w gardle. Zamiast tego zakręciło mu się w głowie, a krew odpłynęła z twarzy. Szedł wolno obok milczącego mężczyzny, zastanawiając się, dlaczego ten do niego zagadał. Minęli gmach i precyzyjnie się między ogrodzeniem z tui a ścianą budynku gospodarczego. Gdy zniknął im z oczu parking, Adekunle się zatrzymał.

– Szuka pan informacji o Adrianie, prawda?

– Zgadza się.

– Opiekowałem się nim, kiedy był naszym gościem, i muszę panu coś powiedzieć. To był pacjent specjalnej troski.

- To chyba oczywiste, zważywszy na to, gdzie się znajdujemy.
- Pan nie rozumie. Adrian Bones miał tu ochronę. Nikt nie mógł go odwiedzać bez zapowiedzi. Wydaje mi się, że wizyty autoryzowała jego matka.
- Wiem o tym. Chłopak potrzebował spokoju. Nie doszukiwałbym się sensacji.
- Ale wybuch gazu w jego rodzinnym domu to już raczej jest sensacja.
- Adrian chciał popełnić samobójstwo. To też wiem.
- Oficjalnie Adrian targnął się na swoje życie, wysadzając domek dla gości w posiadłości Bonesów. A nieoficjalnie ktoś chciał go zabić.
- Brednie.
- To może zacznę od początku. Adrian Bones trafił do nas praktycznie w katatonii, co jest normalne przy tego typu schizofrenii. Szybko doszedł do siebie, ale jego stan to była sinusoida. Dopiero gdy zamieszkał obok niego inny pacjent, zupełnie się wyciszył. Szybko stali się przyjaciółmi, a na moje oko to nawet kimś więcej. Wie pan - Fowora uśmiechnął się, jakby go zawstydziły jego własne słowa - blond włoski, opalenizna, podobnie się ubierali, dłonie wypielęgnowane - wymieniał. - Pani Bones chyba nie chciała tego zaakceptować, bo zaczęła o nich mówić „bracia”.

Redfern słuchał w milczeniu, raz po raz kiwając głową. Był w stanie uwierzyć, że tak właśnie nazywała nowego znajomego Adriana. Ukłął go lekki żal, że przestał odgrywać tę rolę w jego życiu.

Dla Davida nie było żadną niespodzianką, że Adrian był gejem. Wiedział o tym od podstawówki, kiedy podczas jednej z zabaw przyjaciel usiłował go pocałować. Obaj wtedy bardzo się spieszyli, ale szczeniaki potrafią nad wszystkim przejść do porządku dziennego, jeśli tylko kumpel jest fajnym człowiekiem. To dzieci powinny uczyć rodziców tolerancji, a nie odwrotnie.

- W każdym razie... - snuł swoją opowieść pielęgniarz, wyciągając z kieszeni spodni paczkę złotych marlboro. Zgrabnym ruchem odpalił jednego i nosem wydmuchał dym. Redfern musiał wyglądać przy nim jak młodszy popalający kolega. - Nathan Wood był częstym gościem w domu Bonesów.

– Na co się leczył? – przerwał mu policjant. Zdusił swojego chesterfielda o pobliski śmietnik i wrzucił go do środka.

– Na to samo – odparł szybko. – Do tego paranoja alkoholowa.

– Jaka?

– Tak zwana paranoja z zazdrości. Wood był alkoholikiem, a choroba przerodziła się w kolejną. Był podejrzliwy, nieufny, łatwo wpadał w szał.

– Rozumiem. – Redfern zaczął się niecierpliwić.

– Kilka dni przed wybuchem Adrian pojechał do rodziców – kontynuował mężczyzna. – Odebrała go siostra. Czuł się dobrze i miał spędzić w domu parę tygodni na próbę. Wood nie mógł tego znieść i wyszedł ze szpitala. Od tamtego czasu nikt go nie widział. Natomiast Adrian wrócił do nas jako zupełnie inny człowiek. Pomijając blizny po oparzeniach i licznych operacjach, zachowywał się jak nie on.

– Od pani dyrektor dowiedziałem się, że schizofrenia ma różne oblicza. Skąd w ogóle przypuszczenia, że za tym wybuchem stały osoby trzecie?

– Musiałby pan słyszeć, jak Isabelle Bones wrzeszczy na dyrektorkę. Wykrzyczała wtedy, że ktoś musiał się dowiedzieć, że Adrian będzie w domu, że ktoś zdradził. Po pół roku znów był u nas, a po kilku miesiącach leżał martwy na schodach katedry. Zniknięcie Wooda też nie było przypadkowe. Proszę tego tak nie zostawiać. – Wyciągnął z kieszonki uniformu wizytówkę i podał Redfernowi. – Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić.

– Jeszcze jedno: czy ten Wood miał jakąś rodzinę? Ktoś go odwiedzał?

– Był rozwiedziony, a z tego, co pamiętam, do ośrodka przywiozła go matka.

– Rozwiedziony gej?

Mężczyzna wzruszył ramionami i wypuścił z płuc niebieską chmurę.

– Moim zdaniem w alkoholizm wpędziło go to, że był kryptogejem. Żona, dzieci, istna sielanka, a w człowieku rozpacz. Mało takich?

– Oby jak najmniej.

– Święte słowa, człowieku. Za dużo na świecie nieszczęścia. Za dużo. – Rzucił fajkę pod nogi i zdeptał.

Redfern patrzył na oddalającego się pielęgniarza, próbując ogarnąć umysłem to, co przed chwilą usłyszał. Mnóstwo czasu spędził w tamtej posiadłości, a imprezy urządzone w domku dla gości przeszły do historii. I choć z niektórych niewiele pamiętał, to jednego był pewien: w domku nie było instalacji gazowej.



Mur cmentarza Brookwood zdawał się nie kończyć. David i Marta jechali betonowym wąwozem dobrych kilka minut, zanim dotarli do wysypanej żwirem zatoczki.

Redfern zatrzymał auto przy północnej bramie. Stojąca koło niej tablica informowała, że znajdują się w militarnej części cmentarza. Wyszli z auta i skierowali się do wejścia. Minęli szpaler dumnie wyprostowanych sosen i dotarli do celu podróży. Budynek obsługi nekropolii, wyłożony białym jak kości kamieniem, przypominał nieco dworek szlachecki, który David widział kiedyś na jednym z obrazów w Galerii Narodowej w Londynie. Miedziany dach pokryła patyna, a wsparty na dwóch jońskich kolumnach portyk zwieńczony był płaskorzeźbą bobra. Redfern zorientował się, że muszą znajdować się przed memoriałem kanadyjskim.

Inspektor złapał za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Zapukał kilka razy i odczekał chwilę. Marta wzruszyła ramionami i wspinając się na palce, zaczęła zaglądać przez ciemne okna.

- Chyba przyjechaliśmy za późno – stwierdziła zrezygnowana.
- Biuro powinno być czynne jeszcze ponad godzinę.
- Więc najwyraźniej ktoś urwał się do domu.
- Chyba tak.
- Może chociaż zobaczymy cmentarz?
- Jeśli chcesz. – Redfern nie miał ochoty na spacer.

Zmierzch podchodził pod cmentarz, zasnuwając go trupim trenem mgły. Wilgoć przeniknęła przez kurtkę inspektora, który najchętniej zakopałby się teraz pod kocem z kubkiem ciepłej herbaty.

Zostawili w tyle biały budynek i wkroczyli na teren amerykańskiej części nekropolii. Równo ustawione białe krzyże przypominały okładkę płyty zespołu Metallica, której nazwy Redfern nie mógł sobie przypomnieć. W oddali świeciła łysina kopuły memoriału. Trawa przycięta jak od linijki zdawała się nie zwracać uwagi na zaawansowaną jesień, jej źdźbła mimo wieczornej szarówki kipiały zielenią. Skręcili w prawo i znaleźli się w mniej uporządkowanej części obiektu. Minęli niewielki cmentarz czechosłowacki, którego strzegł zwrócony w lewo lew z dwoma ogonami. Płaskorzeźba była ładnie wkomponowana w marmurowy pomnik.

Spokoju polskich żołnierzy pilnował orzeł z orderem Virtuti Militari. Tuż za nim przycupnęły dziesiątki marmurowych nagrobków, na których wyryto nazwiska i stopnie wojskowe. Redfern szybko policzył – sześćdziesiąt sześć, czyli strona zawierała błąd.

– Dlaczego on taki skulony? – spytała Marta.

– Kto skulony?

– No orzeł. Polski orzeł ma dumnie rozpostarte skrzydła, nie podkurcza ich w jakiejś jamie – mówiła przejęta. – Polska w bezpiecznym alianckim schronie czeka, aż minie niebezpieczeństwo – dokończyła ze złością.

Nie zwrócił na to uwagi. Pomnik faktycznie wyglądał jak grotę, w której skrył się ptak, ale nie dopatrywał się w tym ukrytej symboliki.

– Czepiasz się – skwitował, ale Marta nie dawała za wygraną.

– Jeszcze patrzy w górę, jakby się bał, że coś nadleci. Co to w ogóle jest?

Nie odpowiedział.

– To chyba tamten. – Marta wskazała po chwili na marmurową płytę w trzecim rzędzie, przy której stał jedyny w zasięgu wzroku znicz. Z daleka nie mogli dostrzec napisu.

Podeszli bliżej i zaczęli czytać. Pod ich stopami spoczywał Feliks Biernat.

– To twój krewny?

– Nazwisko się zgadza, ale nie mam pojęcia, jak miał na imię wujek mojej mamy. – Schyliła się i sięgnęła po znicz.

– Nie ruszaj!

– Dlaczego? – Kobieta gwałtownie się odwróciła i zdziwiona patrzyła, jak Redfern wyciąga z kieszeni kurtki dwa woreczki. Jeden z nich naciągnął na dłoń, a do drugiego wsadził szklany lampion.

– Dlatego. – Uniósł torebkę na wysokość twarzy. – Trzeba ściągnąć odciski palców. Wcale nie jest powiedziane, że ten znicz zostawiła twoja matka.

– Morderca?

– Albo ktoś, kto może nam powiedzieć coś więcej.

Szli alejką i przesuwali wzrokiem po nagrobkach, czytając pobieżnie nazwiska. Trzy płyty różniły się nieco kształtem od pozostałych i Redfern domyślił się, że mogły należały do cywili, o których czytał w internecie.

Gdy byli przy wyjściu, zauważyli, że w biurze świeci się światło. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo i podeszli do drzwi budynku, które, o dziwo, natychmiast się otworzyły. Stojący w progu starzec wyglądał jak element wystroju cmentarza. Jego twarz przypominała obciążoną pergaminem czaszkę. Oczy były tak głęboko osadzone, że Redfern miał wrażenie, że patrzą na niego puste oczodoły.

– W czym mogę pomóc, serduszka? – odezwał się mężczyzna głosem tak ciepłym, że inspektor poczuł się nieswojo, nie mogąc dopasować dźwięku do obrazu.

– Inspektor David Redfern, policja Woking. Poszukujemy pewnej kobiety. Pan tu jest zarządcą?

– Nie, chłopcze – zaśmiał się staruszek. – Raczej opiekunem. Doglądam cmentarza, załatwiam drobne sprawy.

Marta wyciągnęła z torebki telefon, wyszukała zdjęcie i podetknęła mężczyźnie pod nos.

– To moja matka – powiedziała. – Prawdopodobnie była tutaj w sobotę. Widział ją pan?

– Serduszko kochane, zbliża się Wszystkich Świętych, więc ostatnio jest tu dużo ludzi.

– Ona ma teraz zielone włosy. – Redfern próbował naprowadzić mężczyznę na właściwy trop.

– Niebieskie – poprawiła Marta. – Kobieta z niebieskimi włosami na polskim cmentarzu. Może pan pamiętać?

– A tak, kojarzę. To faktycznie musiała być sobota, bo przyjeżdżała firma przycinająca krzaki. Wpuściłem ich południową bramą i w drodze powrotnej widziałem, jak szła jedna taka.

– Ktoś z nią był?

– Nie, sama spacerowała. Ale wie pan co? – Twarz staruszka jakby się rozjaśniła. – Wydaje mi się, że słyszałem, że za bramą rozmawia z kimś po polsku.

– Za tą bramą? – Redfern wskazał na żelazne skrzydła wyjazdu.

– Nie, za bramą wewnętrzną. Za nią ciągnie się właściwy cmentarz Brookwood.

– Właściwy cmentarz? – powtórzyła zaintrygowana Marta.

– A tak, serduszko. Teraz jesteśmy na cmentarzu wojskowym, który należy do Komisji Wspólnoty Brytyjskiej do spraw Cmentarzy Wojennych. Dopiero za bramą mamy The London Necropolis Company.

– A to nie jest jedno i to samo?

– Nie – odparł staruszek i zasepił się. – Tych dwieście hektarów jest własnością Londynu.

– Dwieście? – zdziwił się Redfern. – Strona internetowa mówi o tysiącu.

– To było kiedyś. Potem The London Necropolis Company zaczęło sprzedawać parcele. Wszystkie domy postawione w Knaphill i St. John's stoją na cmentarnej ziemi, tfu!

– Widział pan, z kim rozmawiała ta kobieta? – Redfern postanowił nie przedłużać historycznych wycieczek staruszka.

– Nie, odwrócony byłem, bo zamiatałem chodnik.

– To była kobieta czy mężczyzna? – spytał policjant.

– Chyba kobieta albo dwie. Sam nie wiem.

– A jak rozmawiali? Głośno? Kłócili się? – wtrąciła niecierpliwie Marta.

– Nie wiem, serduszko. Język polski to w ogóle brzmi jak jedna wielka kłótnia. Może się kłóciły, a może serdecznie witały? Chciałbym pomóc, ale naprawdę nie wiem.

Podziękowali za rozmowę i wyszli z cmentarza. Przy samochodzie Marta się zatrzymała i w zamyśleniu patrzyła na zapalające się wzdłuż alei lampy. Na ich mlecznym tle odcinały się pulsujące sylwetki nietoperzy. Kobieta wyglądała, jakby nie chciała opuszczać tego miejsca. Wreszcie odezwała się ożywiona:

– Widmowy starzec powiedział, że była to polska kobieta.

– Kto?

– No widmowy starzec. Wyglądał jak zrobiony z mgły, nie uważasz? Ciarki mnie przeszły, jak zaczął tak tiutać.

– Co robić? – Redfern nie znał takiego słowa.

– No tiutać, czyli tak słodko mówić. Wiesz, jak do dziecka albo ofiary – dodała, a potem zaczęła udawać głos mężczyzny: – Wejdz, serduszko, do mojego domu, a zamuruję cię żywcem w piwnicy.

Roześmiała się, a Redfern dostał kolejną cenną lekcję. To nie była gra. Marta zaśmiewała swój strach. Każdy jej żart i sarkastyczny tekst był próbą przedrzeźniania rozpacz. Na tym polegała jej siła.

– I co teraz?

– Oddam Mattowi znicz i zobaczymy, co z tego wyniknie.

– A ten kierowca autobusu? Nie powiedział nic więcej?

– Nie. Tinney przepytuje mieszkańców Maybourne Rise, ale bez rezultatów. Nikt tego wieczora nie widział twoich rodziców.

– To wydaje się niemożliwe, żeby od wyjścia z hotelu po moment znalezienia mamy nikt ich nie zauważył, ani monitoring miejski, ani mieszkańcy Woking.

– Musimy się zatem trzymać tego, co mamy. Trzeba się dowiedzieć, kim była osoba lub osoby, z którymi spotkała się tu twoja matka. Mam pewien pomysł – powiedział Redfern i wrócił do budynku obsługi cmentarza.

Starszy mężczyzna wciąż stał w portyku, uważnie im się przypatrując.

– Czy wie pan, kto opiekuje się polską częścią cmentarza? Towarzystwo Opieki nad Cmentarzem Brookwood?

– Nie, oni nie. Już mówiłem: Komisja Wspólnoty Brytyjskiej do spraw Cmentarzy Wojennych.

– Ma pan jakiś zamiar na nich?

– Tak, mam w biurze ich numer. Kiedyś jacyś Polacy interesowali się tamtymi grobami. Ich historia jest, no wiesz, serduszko, jakaś taka zawoalowana. Ale we Wszystkich Świętych przychodzi wielu Polaków. Piękne to. Przyprawdzają dzieciaki i opowiadają, modlą się. Potem zapalają świecika. Wszędzie ciemno, tylko na tych polskich mogiłach tak ładnie.

Weszli do małego kantorka. Przy ścianach stały metalowe szafki, a w rogu – stare drewniane biurko, pod którym coś się poruszyło. Do patykowatych nóg staruszka przylgnął szczeniak, prosząc o choć chwilę uwagi. Zamiast tego mężczyzna odepchnął go stopą i skarcił. Mimo to pies posłusznie człapał za panem, gdy ten przeszukiwał pokój.

– Skaranie boskie z tym psem – warknął. – Jakiś dowcipniś mi go podrzucił parę dni temu. Chciałem go nawet oddać, ale w Królewskim Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami nie mają już miejsc. No i został.

– Jak się wabi? – zapytała Marta. Cmoknęła, a piesek natychmiast do niej podbiegł. Kucnęła i zanurzyła palce w jego puchatej sierści, lekko ją czochrając. Szczeniak odwzajemnił pieśczętę, liżąc dłoń kobiety.

– Nie ma imienia – burknął staruszek i podszedł do regału. Zaczął w nim szperać i po chwili wręczył Redfernowi dużą ulotkę.

– Czemu pan mówi, że ta historia jest tajemnicza? – spytał policjant, przyglądając się kartce.

– Mam wrażenie, że nikt nie chce się tym zajmować. Wie pan, dokumentować, pamiętać. Tym, co zmarli do czterdziestego szóstego, jeszcze ładne mogiły wystawili, a potem... – Machnął ręką, jakby chciał przegonić natrętną muchę. – Brookwood odcięło się od tej części cmentarza, a przecież tam leży kawał historii, prawda?

– Prawda – przytaknęła gorliwie Marta i wstała. – Może moja mama po to tu przyjechała? Żeby rewitalizować to miejsce? To byłoby w jej stylu.

– Gdyby założyć, że spotkała się z kimś w tej sprawie...

Zaczęli przesuwac się w stronę wyjścia, a staruszek podreptał za nimi, przysłuchując się rozmowie.

– Ktoś z tej komisji? – zamyśliła kobieta.

– Nic więcej nie mamy – rzekł Redfern i gdy stanęli przy drzwiach, zwrócił się do staruszka: – Dziękuję. Bardzo nam pan pomógł.

– Drobiazg, chłopcze. – Mężczyzna uśmiechnął się bezzębnie i zniknął w głębi domu.



Z rogu sali dochodził dźwięk kapiącej wody. Kurtka Tinneya zwisała smętnie jak flaga na maszcie, który niedawno smagał sztorm. Puszka suszył włosy ręcznikiem papierowym przyniesionym z kantyny, co jakiś czas przerywając sobie kichnięciem. Redfern zaczął się obawiać, że jeśli straci kolejnego członka zespołu, położą to śledztwo. W uchylonych drzwiach stanął McMahon. Trzymając dwa kubki gorącej herbaty, wślizgnął się do środka. Jeden z nich postawił przed Chrisem, drugi podał Davidowi i zajął miejsce.

– Jest późno, więc będę się streszczał – powiedział Redfern i upił łyk herbaty. – Dzwonił do mnie Ted. Nie mamy żadnych sensacji. Bezpośrednią przyczyną śmierci Sokolińskiego był uraz głowy. Facet był mocno połamany, żebra, lewa noga i kości przedramienia. Wszystko wskazuje na to, że Kieran mówił prawdę i Sokoliński został potracony. W dodatku był mocno pijany. Zginął cztery do pięciu dni temu, a zatem przyjmujemy wersję Bamhary, że wylazł pod koła. McMahon, aby to potwierdzić, pojedziesz jutro do Arrivy z Mattem i zdejmiesz ślady z autobusu. Zajmiesz się doprowadzeniem tej sprawy do końca. Przy okazji dasz Mattowi to. – Redfern postawił na biurku zapakowany znicz.

Obaj policjanci wpatrywali się w torebkę, czekając na ciąg dalszy.

– Ten znicz najprawdopodobniej zostawiła na jednym z grobów w Brookwood Sokolińska – wyjaśnił. – Chociaż równie dobrze mógł to zrobić ktoś, kogo tam spotkała. Ciec z cmentarza słyszał w ubiegłą sobotę, jak Sokolińska z kimś rozmawia po polsku. Niech laboratorium się temu przyjrzy.

– OK. – McMahon schował znicz do torby, którą miał przewieszoną przez oparcie krzesła. – Co do tych targów motoryzacyjnych, to sprawa rozeszła się po kościach, bo laska już wcześniej taki numer odstawiła. Upiła się i nie pamiętała, komu dała. Sokoliński po prostu źle trafił.

– W takim razie zostawmy to – odparł Redfern, któremu coraz trudniej szła walka ze zmęczeniem. – Puszka, ty masz wracać do domu i dowiedzieć się wszystkiego o tej komisji od cmentarzy wojennych. Czy w ostatnim czasie kontaktowała się z nimi Sokolińska lub inny Polak, kto konkretnie dba o ten kawałek cmentarza. Aha! I zostaw mi listę mieszkańców Maybourne Rise. Chcę się jej przyjrzeć. Możesz już iść.

Pociągając nosem, Tinney zebrał swoje rzeczy i wyszedł. McMahon nie poruszył się, czekając na dalsze dyspozycje.

– Co to miało znaczyć? – rzucił ostro Redfern.

– Nie rozumiem. – McMahon zmarszczył czoło.

– A dręczenie świadka rozumiesz?

– Bamhara nie jest święty – bronił się Greg.

– Nie chodzi o Bamharę. To już sobie wyjaśniliśmy – uciął. – Po co polazłeś do Sokolińskiej? Mało ma problemów? I co ci w ogóle strzeliło do łba z tym romanssem?!

– David, nie wiem, co bierzesz, ale zmień dilerę. Poza tą salą nie rozmawiałem z Sokolińską i nie przypominam sobie, żebym wtedy sugerował jakiś romans – mówił dobitnie. – I choć uważam, że spędzanie czasu ze świadkiem jest cholernym błędem, to trzymam mordę na kłódkę.

– Jak to? Mówiła mi, że był u niej jeden policjant i nagadał jej tak, że jej w pięty poszło.

– I pomyślałeś o mnie. Super. – McMahon wstał i podszedł do drzwi. – Nazywasz to zaufaniem do zespołu?



Mucha najwyraźniej cierpiąca tej jesieni na bezsenność obijała się z brzękiem o sufit gabinetu. Redfern nie wiedział, czy dobrze postąpił, oddelegowując McMahona do sprawy Bamhary. Ktoś jednak musiał ją dokończyć i chciał, żeby pracę drogówki i Elsy wsparł funkcjonariusz, który wie o niej najwięcej. Sam przed sobą musiał jednak przyznać, że było w tym trochę prywaty – na chwilę odsunął Gregory’ego McMahona od śledztwa.

Usiłując nie zamknąć ciężkich jak ołów powiek, przeglądał spis przygotowany przez Puskę. Abram, Smith, Miller, O’Brien, McKenzie wirowali mu przed oczami. Same stare angielskie lub szkockie nazwiska, pomyślał. Nie było się czemu dziwić. Domy przy tej ulicy stanowiły jedne z droższych w regionie. Mało który imigrant mógł sobie na nie pozwolić. Puszka przy domach, w których udało mu się zastać lokatorów, stawiał ptaszka i dodawał krótki komentarz o tym, czego udało mu się dowiedzieć. Niewiele tego było. Jeden z mieszkańców Maybourne Rise widział, jak Millerowie pakowali walizki do samochodu, co oczywiście w połowie października nikogo nie dziwiło. Prywatne szkoły zaczęły już jesienne ferie i wiele ludzi poleciało na egzotyczne wakacje, usiłując przez tydzień czy dwa poudawać, że są rodziną. Potem opaleni i zmęczeni sobą wrócą – starsi do korporacji, które zapewniają ich pociechom prywatne szkoły z internatem, a młodszy do tychże internatów. Każde z nich szczerze zamknie za sobą drzwi, z niesmakiem myśląc o zbliżających się świętach i kolejnej szopce odstawianej w kostiumach od Lacoste czy White Company.

Redfern jeszcze przez chwilę przyglądał się liście, a gdy dojechał do Beckettów, zamknął teczkę i wyszedł z biura.

Lampa, która jeszcze nie tak dawno sączyła blade światło, dokonała wreszcie żywota, pogrążając parking w czarnej żałobie. Księżyc skrywały gąbczaste chmury, których nie mógł odkleić od niego nawet wiatr. Redfern poczuł się nieswojo. Mijał z wolna puste miejsce parkingowe, licząc je, niczym przedszkolak, który właśnie odkrył w sobie supermoc liczenia. Kątem oka dostrzegł pod murem ruch. Szybki i zdecydowany. Pokonując strach, odwrócił się nagle i zobaczył biegnącego chodnikiem szczura. Zganił się w myślach, że

zmęczenie brało górę nad rozsądkiem. Wsiadł do auta i zdecydował, że pewne sprawy dłużej nie mogą czekać.

ROZDZIAŁ VI

Piątek, 11.10.2013

– To jest, kurwa, skandal! – Po korytarzu niósł się głos Malcolma Knighta. – Jak, do ciężkiej cholery, mogłeś to przegapić?

– Przyniósł go jakiś gówniarz – bronił się dyżurny. – W dodatku to się kupy nie trzymało...

– Co się kupy nie trzymało? Że mamy dwoje martwych Polaków, a ty masz w depozycie portfel jednego z nich? A może to, że cię zatrudniłem, mając świadomość, że w twojej głowie jest szambo zamiast mózgu?

– Portfel był pusty – mówił cicho młody policjant. – Tylko jakieś bilety...

– Mogłeś chociaż gębę otworzyć! Pierdnąć dla orientacji! Nie wiem, kurwa, gołębia pocztowego wysłać do Redferna!

David stał już przy drzwiach biura, ale na dźwięk swojego nazwiska i gołębia wrócił. Podszedł do gabinetu szefa i zapukał.

– Nie przeszkadzam?

– A jak myślisz? – wydyszał Knight. – Wiesz, co się rano stało?

– Myślę, że wszyscy w promieniu trzech mil już wiedzą. O co chodzi z tym portfelem?

– W poniedziałek rano był u nas chłopak, na oko z piętnaście lat. – Dyżurny zdawał raport prawie na baczność, starając się nie patrzeć na czerwoną twarz Knighta. – Powiedział, że znalazł portfel, a właściwie taką okładkę, trochę większą od tej, jaką dostaje się od

Kolei Państwowych. Nie było w niej nic wartościowego, dwadzieścia funtów, jakieś kartki i bilety.

Redfern wziął z biurka Knighta portfel i otworzył. W jedno z trzech przezroczystych foliowych skrzydełek włożony był bilet kolejowy. Podróżny miał jechać we wtorek do Kirkcaldy. W drugim znalazł granatowy banknot z Adamem Smithem, a w ostatnim – bilet do Clapham i kartonik z logo Wizzair. Sokolińska najwyraźniej odprawiała się na lotnisku w Katowicach.

– Mówił, gdzie to znalazł?

– Nie. Zostawił i wyszedł – odparł mężczyzna.

– Zjebałeś, młody, ale nie ma co się roztrząsać. Jest kolejny trop, a to najważniejsze – usiłował załagodzić Redfern.

Twarz Knighta przybrała bardziej ludzki wyraz, ale tylko chwilowo. Gdy tylko policjant zamknął za sobą drzwi, wystrzelił:

– A ty nie lepszy! Zebrań nie robisz, ludzie snują jak smród po gaciach, a śledztwo stoi jak chuj o poranku.

– Zebranie było wczoraj wieczorem. Widziałeś nas przecież – powiedział spokojnie Redfern. – Ludzie mają zadania, a śledztwo się posuwa jak dziwka w Amsterdamie, jeśli już przy chamskich porównaniach jesteśmy.

– Sorry, Dave. – Z Malcolma uszła cała złość. – Ciężka noc za mną.

– Linda?

– Też – westchnął. – Powiadomiliśmy polską ambasadę o śmierci Sokolińskiego i góra siedzi mi na karku. Co do Lindy, to po przyjeździe było całkiem OK. Wpadła moja córka. Kiedyś mocno się przyjaźniły.

Redfern już wiedział, dlaczego sierżantka Wall uśmiechnęła się na widok toyoty zaparkowanej pod domem Knightów.

– Pogadaliśmy, powspominaliśmy stare czasy – ciągnął Malcolm. – Zanim umarł jej ojciec, byliśmy z Wallami bardzo blisko – dodał. – W każdym razie Ruth dołożyła motywacyjną gadkę o dzieciach, moja córka opowiedziała, jak sobie radzi na wózku, i Linda obiecała wziąć się w garść. A dzisiaj próbowała się wymknąć. Wywiązała się awantura. – Zrobił pauzę, jakby nie potrafiąc udźwignąć tego, co stało się w jego domu. – Ale ja nie mogę odpuścić, Dave. Ona jest jakby moją czwartą córką.

– Wiadoma rzecz. – Redfern pokiwał głową. – Stary Wall był świetnym gliną.

– Najlepszym. – Knight zamyślił się, po czym dodał: – Pójdę pogadać z tym młodym. Przecież to jeszcze dzieciak.

– Zaczekaj chwilę – poprosił Redfern. – Czy wiesz coś o przydziale jakiejś Winter?

– Widzę, że pogadałeś sobie z Dużą Elsą. Faktycznie, zgłosiła się do nas sierżant Summer Winter, ale miasto nie zgodziło się na zwiększenie kadry. Mając do wyboru twoje doświadczenie i jej zapał, wybrałem to pierwsze. Poza tym, nie czarujmy się, Woking jest słabym startem dla młodych. Większą szansę pani Winter ma w Londynie niż u nas. Popatrz na Puskę.

– A jednak z jakichś powodów ktoś ją do nas skierował.

– Sama się zgłosiła – odparł komendant. – Nie przejmuj się tym tak bardzo. Póki ja tu jestem, nic nie może się zmienić.

Knight wstał zza biurka i ciężkim krokiem podszedł do wyjścia. Redfern ze smutkiem pomyślał, że Malcolm bardzo się ostatnio zestarzał, i nie świadczyły o tym tylko siwe włosy czy plamy wątrobowe na rękach. Wydawał się oderwany, łatwo było go wyprowadzić z równowagi, wiele rzeczy wypadało mu z pamięci. Może David zauważył tę nagłą zmianę dlatego, że służył w Woking dopiero kilka miesięcy.

Zdawał sobie sprawę, że pracuje z policyjną legendą i przełożony miał prawo być zmęczony. Duet Knight i Wall podobno nieraz dowodził, że w pełni zasługiwał na swój etat w Scotland Yardzie. Tylko głuchy by o nich nie słyszał.

Pokolenie starych, dobrych psów powoli przykrywał kurz, przyznał w myślach Redfern i poszedł do swojego biura.

Wszedł do siebie z nową energią. Nazwa Kirkcaldy odbijała mu się echem w głowie. Włączył komputer i wpisał ją w Google Maps. Miejscowość znajdowała się w hrabstwie Fife, daleko za Edynburgiem, i nie było w niej absolutnie nic godnego uwagi.

Nikt nie porywa się na siedmiogodzinną podróż z kilkoma przesiadkami tylko po to, by podziwiać widoki, pomyślał Redfern. Musiał się dowiedzieć, kto lub co znajdowało się w tym miasteczku.

Spojrzał na tajemniczo uśmiechnięty profil Adama Smitha. Redfern wydobył banknot z portfela i mruknął:

– Wiem, że się tam urodziłeś, ale Sokolińska raczej nie ciebie tam szukała.

– Gadasz z królową? – Usłyszał za sobą.

Oparty o futrynę Tinney nie krył rozbawienia. Podeszedł do biurka i zajął miejsce naprzeciw przełożonego. W jednej ręce trzymał podwójnego tosta z chipsami, a drugą starał się położyć papiery na blacie.

– Co ci się stało w palce? – zapytał.

– Montowałem w nocy rolety w oknach – odparł Redfern.

– Masz pomysły – skwitował Puszka. – Wracając do sprawy, łatwo nie było, ale skontaktowałem się z tą całą komisją od cmentarzy. Oczywiście dbają o groby i inne tam pierdy. Mają też u siebie w archiwach Feliksa Biernata, to był polski spadochroniarz.

– I co dalej?

– No nic.

– Jak to: nic? Jak zginął? Gdzie służył?

– Mają tylko tyle. – Wzruszył ramionami i przeczytał z kartki: – Podporucznik Feliks Biernat. Urodzony w tysiąc dziewięćset trzecim roku, zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym.

– Tyle to ja widzę na ich stronie, Puszka. Kontaktowała się z nimi Sokolińska?

– Jeśli chodzi o telefon, to nie są w stanie sobie przypomnieć, a żaden mail od niej nie wpłynął. Czarna dziura. A tobie jak idzie?

– Też czarna dziura, dosłownie, bo z niczym innym nie kojarzy mi się Kirkcaldy.

– Tam to chyba tylko na emeryturę – podsumował policjant.

– Na emeryturę – powtórzył zamyślony Redfern.

– Tobie to jeszcze nie grozi – zażartował Tinney, ale widząc zadumę szefa, wycofał się do wyjścia. – Dam znać, gdy dowiem się czegoś więcej o Biernacie.

Redfern został sam. Wciąż dzwoniło mu w głowie słowo McMahona – zaufanie. Skoro nie obdarzył nim zespołu, to nie mógł oczekiwać tego od nikogo. Adrian też mu nie ufał. W przeciwnym razie Redfern wiedziałby dziś więcej. Usiłował sobie przypomnieć, przy jakich

sprawach pracował przyjaciel, ale natrafiał na pustkę. Pamiętał zaginięcie studentki, dla której Bones pojechał do Dover. Zrezygnowany sięgnął po telefon i wyszukał na liście numer, którego nie wybierał od paru lat.

– Zheng? – zapytał, niepewny, czy dobrze się dodzwonił.

– No niech mnie na miejscu szlag trafi! – usłyszał. – Słynny pan inspektor! No co tam słyhać na zadupiu?!

– Z szacunkiem do wyższego stopniem, Coh, z szacunkiem! – odparł z rozbawieniem.

– Już nie, cwaniaczku! Usadzili mi dupę awansem, wyobrażasz sobie?

– Usadzili? Chyba uskrzydłili?

– Ta, jasne. Jakbyś nie wiedział, w co się gra. Siedzę w jednej celi z prokuratorem albo innym oszołomem i spowiadam się gęsciej niż podejrzany. No, ale koniec tych czułości. Musiało cię zdrowo przysrać, żeby zadzwonić do starego kumpla. Wal!

– Chodzi o Adriana.

– Cholera, straszna wtopa. – Coh wyraźnie przygasł. – Trzymasz się jakoś?

Nikogo wcześniej to nie interesowało. Przez parę miesięcy był pod ostrzałem zupełnie innych pytań i dawał odpowiedzi, których nikt nie chciał słuchać. Argument o obronie koniecznej odbijał się od faktu, że mógł strzelić w ramię albo w nogę. Do żadnego z wewnętrznych nie docierał głos o drugim napastniku i o tym, że Redfern spudłował. Sekcja wykazała, że kula, która utkwiała w sercu Adriana, pochodziła z broni Davida, a z tym już nie było dyskusji. Przyjęto wersję o działaniu w obronie własnej i pozwolono mu wrócić do pracy. Po miesiącu poprosił o przeniesienie i trafił do Woking, nie trzymając się zupełnie. Czasem czuł, że wariuje od myślenia, czy naprawdę ktoś za nim stał, czy może tylko chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia wiarą w to, że to nie on zabił kumpla.

– Trzymam się, spoko. Dzwonię, by rozwiać kilka wątpliwości. Pomożesz?

– Pewnie, ale przy piwku!

– Stawiam!

– No ja myślę! Tanio się nie sprzedam. Słuchaj, w niedzielę zawożę dzieciaki do Thorpe Parku. Mnie tam rollercoastery bawią jak szczerbatego suchary, a to w sumie niedaleko Woking. Dasz radę się wyrwać?

– Jasne. O jedenastej w O'Neill's?

– Pasuje.

Rozłączył się i zobaczył, że ma nieodebrane połączenie od Matta. Nacisnął zieloną słuchawkę i po chwili połączył się z technikiem.

– Dave? Mam dla ciebie niespodziankę. Buty Sokolińskiego nie pasują do śladów znalezionych przy tamtej kobiecie.

– Ale wzór się zgadza.

– Bo to też były waffery, ale inny model. Żeby było ciekawiej, to wcale nie są jego trampki.

– Jak to nie jego?

– Były dwa rozmiary za małe. I teraz twoje zadanie, księżę, polega na tym, by znaleźć Kopciuszka.



Jak na osiemdziesięciolatka po dwóch zawałach, Bohdan Siwiaszczyk był niezwykle sprawny. Siedząc w kuchni przy Princess Road, David przyglądał się, jak dziadek przygotowuje dla nich kanapki i herbatę. Pasztet z kogutkiem i ogórki kiszzone z Krakusa stanowiły podstawę diety staruszka i mieszanina tych dwóch zapachów wypełniała małe pomieszczenie.

– Jak śledztwo? – zapytał, stawiając talerz z kanapkami przed wnukiem. Sam usiadł naprzeciwko i sięgnął po jedną.

– Dość wolno, ale do przodu.

– Czytałem, że to Polacy. Jakiś nawiedzony nacjonalista?

– Innych nazistów nie znam – rzucił David, wgryzając się w chleb. Mocna, doprawiona cytryną i cukrem herbata parzyła go w usta, ale nie mógł się od niej oderwać. Przez chwilę czuł się jak w domu rodzinnym, gdzie matka często podkreślała, że herbatę z mlekiem

piją tylko kobiety w ciąży i pod jej dachem takiej się pijać nie będzie. Uśmiechnął się do tego wspomnienia.

– No więc macie kogoś? – dopytywał dziadek, któremu najwyraźniej dziś dopisywał apetyt, bo po pierwszej kanapce nie było śladu. – Słyszałem, że kogoś tam aresztowaliście.

– Porażka na całej linii. Sprawa jest dziwna. Mam dwa trupy. Jeden brutalnie zamordowany, drugi, jak się wydaje, zginął zupełnie przypadkowo, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że oprócz tego, że byli do niedawna małżeństwem, ich śmierć łączy coś jeszcze.

– Zazdrosny mąż poderznął żonie gardło, a Pan Bóg zrobił swoje i gość wpadł pod autobus?

– Tyle że ślady jego butów nie pasują do tych, które znaleźliśmy przy ofierze.

– Wepchnęła go pod autobus, a sama uciekła i znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? – rzucał hipotezami dziadek.

– Za proste.

– Proste nie znaczy złe, Dawid.

Nawet jako niespełna czterdziestolatka Redferna wzruszało, że dziadek zwracał się do niego polską wersją imienia. Czuł się wtedy jak w domu w Edynburgu, kiedy wszystko zdawało się mieć swoje miejsce.

– Muszę cię o coś zapytać. Wiesz coś o polskich spadochroniarzach w Anglii?

– W Anglii to może nie, ale w Szkocji to już tak – droczył się Siwiaszczyk, który odkąd zaczął wolontariat w Centrum Historii Surrey, stał się ekspertem od nowożytności. – Jak spadochroniarze, to generał Sosabowski. Z tego, co pamiętam, to szkolił ich właśnie w Szkocji. Brali udział w słynnym desancie w Arnheim lub, jak kto woli, w Driel w czterdziestym czwartym. Sosabowski podobno jeździł na damskim rowerze i zagrzewał do walki, krzycząc: „*Follow me!*”. Co nie zmieniło faktu, że to była klęska.

– Wiesz, gdzie to było? Gdzie odbywały się te szkolenia? – Redfern czuł, że trafił w sedno. To nie mógł być przypadek.

– Dawidek, nie żartuj sobie. Mam prawie sto lat i pamięć jak durszlak. Całe szczęście, że jeszcze pamiętam chodzić za potrzebą.

A skoro przy tym jesteśmy... – Staruszek przeszedł w stronę drzwi i zamierzał wyjść.

– W Kirkcaldy może? – podsunął z nadzieją David.

– Naprawdę nie wiem.

Sięgnął po telefon i wyszukał w Wikipedii generała Sosabowskiego. Przejrzał pobieżnie artykuł, ale nie znalazł Kirkcaldy. Jego wzrok wyłapywał kolejne miasta: Warszawa, Paryż, Londyn i Largo, gdzie zbudowano słynny „małpi gaj”, w którym trenowali spadochroniarze. Znalazł też odnośnik do holenderskiego Arnhem, ale ani słowa o mieście, do którego miała się udać Sokolińska. Ślepy zaułek.

Bohdan Siwiaszczyk wrócił z talią kart w ręce. Wyraźnie ucieszony, zaproponował:

– Kanasta czy remik?

– Rozdaj do remika – skapitulował Redfern.



Redfern wracał do domu w doskonałym nastroju. Pozwolił starymu milicjantowi wygrać całą partię remika i dziadek tryskał energią. Przy tym świetnie im się rozmawiało. W potoku słów starannie omijali ostre skały przeszłości, o które mógłby się rozbić cały nastrój. Pamiętał, że kiedyś często się kłócili i wizyty kończyły się trzaskaniem drzwiami. Dziadek uważał, że śmierć, która zebrała żniwo w ich rodzinie, powinna ich łączyć, a nie stawiać naprzeciw sobie. Im David był starszy, tym lepiej to rozumiał. Gdyby myślał podobnie do Bohdana, to być może dziś nie siedziałby w aucie sam.

Na rondzie przy markecie Asda zamiast pojechać prosto na Constitution Hill, skręcił w prawo w stronę centrum. Na tle granatowego nieba odcinały się światła Double Tree. Zaparkował z tyłu hotelu, obok eleganckiego masseratti, przy którym triumph wyglądał jak resorak z kiosku.

Stojąc przed przeszklonymi drzwiami, wybrał numer.

– Przejdziemy się? – zaproponował.

– Daj mi kwadrans.

Szli wolno, delectując się wyjątkowo ciepłą nocą. Sam nie wiedział, kiedy minęli bramę parku, w którym spacerowało wiele osób, chcących jeszcze choć na moment przywołać atmosferę minionego dawno lata. Obudzone chwilową łaską natury owady również świętowały i urządziły sobie karnawał wokół mlecznych lamp.

– Wiesz coś o generale Sosabowskim? – zapytał Redfern.

– Kto by nie wiedział – odparła Marta. – W obliczu odrodzenia haseł „Bóg, Honor, Ojczyzna”, wszechobecnych koszulek i sandałów z Polską Walczącą i Żołnierzami Wyklętymi, ktoś, kto nie zna daty i miejsca urodzenia rotmistrza Pileckiego, koloru oczu Andersa oraz rozmiaru buta Wojtka Omyły, nie może się nazywać Polakiem. Sosabowski nie jest tu wyjątkiem, a jak, zdrajco, Sosabowskiego nie szanujesz, to od dresa przyjmiesz buta na ryj.

– Twój krewny najpewniej był jego podkomendnym. – Redfern był nieco oszołomiony wykładem Marty, ale nie pociągnął tematu. Domyślał się, że dziewczyna przedstawiła mu mocno przerysowaną karykaturę swojego kraju. – Może matka szukała jakichś informacji o nim?

– Pytanie tylko, po co? Była wojna, nie on jeden tu zginął. Nie ma chyba w tym żadnej tajemnicy.

Minęli korty tenisowe, na których jakiś dzieciak pod okiem ojca lub trenera ćwiczył serwy. Usiedli na ławce i obserwowali, jak młody raz za razem posyła piłki na drugi koniec boiska.

– Może ma to związek ze śmiercią twojego dziadka? Przecież też tu jakiś czas był, a twoja matka wybierała się do Kirkcaldy w Szkocji. Chcę tam jutro jechać.

– Chyba zwariowałeś.

– Możliwe, ale niedługo mija tydzień od śmierci twoich rodziców, a my wciąż tkwimy w miejscu. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Chcę, żebyś jechała ze mną.

– Przykro mi, ale jestem już z kimś umówiona – odparła, zakładając kosmyk za ucho.

– Jasne, rozumiem.

– Ale ty jesteś łatwowierny! – Marta się roześmiała. – Pewnie, że pojedę! Nie mogę sobie odmówić jazdy osiem godzin gruchotem bez

klimatyzacji, zawieszenia i miejsca na nogi!

– Chyba nie będziesz musiała się aż tak poświęcać, bo biorę auto z firmy. Ford focus to nie to, co mój triumph, może zaspokoi twój głód luksusu.

– Niech będzie. – Udała zrezygnowanie. – W takim razie trzeba się zbierać.

Wstała i rozprostowała spódniczkę.

– Mieszkam przy parku. Może wpadniesz na kawę? – zaproponował. Nie miał oczekiwań co do tego wieczoru. Po prostu nie chciał być sam.

– Słabe to, panie inspektorze, słabe okrutnie. – Pokręciła głową. – Ale niech będzie. Skoro godzę się na focusa, to i mogę dać się zaciągnąć do męskiej jaskini.

Przekręcił klucz w zamku i puścił Martę przodem. Zdjęła płaszcz i buty i przeszła dalej, robiąc miejsce Redfernowi.

– Śmiało, na końcu korytarza jest kuchnia – zachęcił.

– Wiadomo, jak baba, to do garów. – Dziewczyna nie traciła humoru, choć David zauważył, że jest spięta.

Żeby dać jej czas na rozgoszczenie się, wszedł do łazienki umyć ręce i twarz. Kiedy odkręcił wodę, drzwi otworzyły się z hukiem.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz?!

W progu stała rozsierdzona Marta. W ręku trzymała jakieś sztywne obrazki. Redfern w sekundę zrozumiał, co przedstawiają.

– Marta, posłuchaj!

– Nie mam czego, ty chory pojebie! To dlatego tej policjantki nie ma w pracy?! – krzyczała, ubierając się.

– Nic nie rozumiesz. – Redfern poszedł za nią do przedpokoju i chwycił za ramię. – Ktoś mnie szantażuje.

– Ciekawe. Mnie to wygląda na trofeum. Cała lodówka jest tym wyklejona – podsumowała i rzuciła mu zdjęciami w twarz. – Mnie też zamierzałeś tak potraktować?

Wybiegła, zostawiając go oszołomionego. Słyszał jeszcze kroki na schodach i uderzenie drzwi wyjściowych. Chciał za nią podążyć, ale wiedział, że się z tego nie wytłumaczy. Patrzył na lodówkę, do której ktoś przyczepił kolorowymi magnesami zdjęcia z Lindą. Na jednym z nich naga kobieta wypinała się, a on stał za nią. Perspektywa

zrobiła swoje. Kolejne nie zostawiało już pola dla wyobraźni – siedział okrakiem na policjantce i zaciskał pasek na jej nadgarstku. Przyglądał się fotografiom i próbował wydedukować, skąd je zrobiono. Obracał się bezradnie po kuchni, aż wreszcie wyrzwał przez okno. Po chwili miał pewność, że fotograf stał na dachu bloku naprzeciwko.

Ze strachem pomyślał o tym, co się stanie, jeśli te zdjęcia trafią do prasy albo na komendę. Nikt mu nie uwierzy w dobre intencje. Zerwał z wściekłością fotografie i rwał je na kawałki. Nagle znieruchomiał. Na odwrocie jednej z nich dostrzegł znajome pismo:

MASZ OSTATNIĄ SZANSE.

ROZDZIAŁ VII

Sobota, 12.10.2013

O czwartej Redfern był gotów do drogi. Odpuścił sobie zastrzyk z methotrexatu, choć świadomość, że popełnia błąd, ciążyła mu jeszcze, gdy schodził po schodach. Zmęczony przystanął na półpiętrze i zastanawiał się, czy nie powinien wrócić. Odganiając ciemne myśli, wyszedł na ulicę. Miał nadzieję, że spacer na komendę trochę go otrzeźwi. Od galopu myśli bolała go głowa i ścisnęło w żołądku. Wizja upublicznienia zdjęć przerażała go nie mniej niż to, że Palacz zna każdy jego krok. I o ile łapówka go zdenerwowała, o tyle szantaż uznał za zbyt daleko idące posunięcie. Musiał jak najszybciej się dowiedzieć, kto za tym stoi.

Odebrał wóz i o wpół do piątej wyskoczył na M25. Z każdą milą nabierał pewności, że decyzja o wyjeździe była najlepszą z możliwych. Oddalając się od Palacza, uwalniał się od mrocznego poczucia osaczenia. Po blisko czterech godzinach jazdy postanowił zrobić sobie przerwę. Zjechał na jedną z wielu mijanych po drodze stacji, pełnych knajpek i sklepów spożywczych. Zadzwoił do Knighta i powiedział o swoich planach. Przełożony dał mu zielone światło i polecił meldować o postępach. Redfern obiecał odezwać się po południu. Wszedł do Costy i z lady chłodniczej wybrał tosta z cheddarem i bekonem. Zamówił kawę i poprosił o podgrzanie kanapki.

Siedział przy szybie i obserwował nadciągające od północy chmury. Jeśli spadnie deszcz, jego droga się wydłuży. Żałował, że nie ma przy nim Marty. Wзяł do ręki telefon i sprawdził dostępne miejsca noclegowe w Kirkcaldy. Szału nie było. Za czterdzieści pięć funtów zarezerwował dwuosobowy pokój w The Beveridge Park Hotel, który znajdował się w samym centrum.

Słońce zdążyło minąć zenit, kiedy wjechał do miasteczka. Pierwsze kroki skierował do Kirkcaldy Centre & Art Gallery, gdzie miał zamiar dowiedzieć się czegoś więcej o żołnierzach służących na tych terenach. W spodniach zadzwieczyła mu komórka. To była wiadomość od Marty: „Spadochroniarze byli w Leven. Sprawdź Largo House”. Zastanawiał się, co powinien odpisać. „Dziękuję” uznał za wystarczające. Nacisnął „wyślij” i wrócił do samochodu.

Nazwa miasteczka rzuciła mu się w oczy już wcześniej, gdy analizował drogę do Szkocji. Znajdowało się pięć kilometrów na północ od Kirkcaldy i nie miało połączenia kolejowego. Plan podróży Sokolińskiej wydał mu się teraz oczywisty.

Zaparkował przy dworcu autobusowym i rozejrzał się za znakiem informującym o limicie postoju i opłatach. Z sympatią pomyślał o Szkocji, która nie czyha na każdego pensa obywatela. Zostawił forda i wślizgnął się w pierwszą, najbardziej urokliwą uliczkę. Nie miał pomysłu, gdzie powinien zacząć, ale ten pojawił się na horyzoncie zaraz po opuszczeniu centrum. Nad płaską zabudową wznosiła się wieża kościoła. Ku zdziwieniu Redferna pragmatyczni Szkoci wzbogacili ją o zegar, łącząc *sacrum* z *profanum*. Jeśli miasteczko nie dysponowało ratuszem, funkcje informacji turystycznej, kartoteki i centrum rozrywki z powodzeniem pełniła parafia. Z nadzieją przekroczył próg kamiennego budynku. Gdy wzrok przyzwyczaiał się do półmroku, w pierwszej ławie dostrzegł modlącego się człowieka. Nie chcąc mu przeszkadzać, usiadł cicho na krześle postawionym pod ścianą.

Wnętrze kościoła nie różniło się od tych, które Redfern odwiedzał w młodości – sklepienie z ciemnego drewna, bielone ściany, a nad ołtarzem trzy skromne witraże. W nozdrza gryzła znajoma woń starości. Główna różnica polegała na odczuciach, które miał, kiedy wchodził w uświęcone mury. Jako młody człowiek czuł w nich boską

się – wzmocniona modlitwą, przynosiła ulgę. Pamiętał, że po wyjściu z niedzielnego nabożeństwa serce wypełniała mu dziecięca lekkość. Dziś rozglądał się po pomieszczeniu, czując jedynie pustkę, jaka zakrada się do umysłu turysty, którego oczekiwania spotkały się z rzeczywistością. Czasem się zastanawiał, czy swoim policyjnym życiem jeszcze chwali Pana czy już skazuje się na piekielny kocioł.

Mężczyzna skończył się modlić i bezszelestnie minął Redferna.

– Przepraszam – zaczął policjant. – Czy wie pan może, gdzie znajdę księdza?

– A co dzisiaj mamy? – Ubrany w wełniany płaszcz starszy człowiek się odwrócił. Przypominał nieco stróża z Brookwood, tyle że zamiast zapadłych oczodołów na Redferna patrzyły dwie piłeczki pingpongowe ozdobione jasnymi jak islandzki lód źrenicami.

– Sobotę – odpowiedział.

– To na rybach ze starym Muirheadem. Wróci wieczorem. A kawaler co? Do ślubu mu spieszo?

– Nie, szukam informacji o polskich spadochroniarzach, którzy stacjonowali tu w latach czterdziestych.

– To nie do księdza, bo on to już im ostatnią posługę dawno temu wyświadczył. Na E Links mieszkają Youngowie, Janet i Peter. Starsi ode mnie, że ho ho, ale Peter ma łeb nie od parady. On tu wszystkich zna, a w czterdziestym czwartym to nawet w Largo House służył. Będzie pamiętał Polaków, będzie pamiętał.

Na dźwięk Largo House Redfern się ożywił. SMS od Marty o tym wspominał, więc trop mógł być właściwy.

– Mamy tu nawet dwa pomniki na ich cześć – ciągnął staruszek i skierował się do wyjścia, a Redfern podążył za nim. – Pójdzie pan teraz kawałek prosto, a potem w lewo, tak jak droga prowadzi. Dalej prosto aż do końca E Links. Na końcu po lewej jest dom Youngów, nie da się nie trafić.

Mężczyzna miał rację. Dom państwa Young wyróżniał się nie tylko umiejscowieniem, ale i wyglądem – jako jedyny spośród dziesiątek typowych dla E Links budynków z piaskowca był otynkowany i pomalowany na biało. Równy przystrzyżona trawa i niski murek zachęcały swą nienachalną elegancją.

Redfern nacisnął dzwonek, który wypełnił wnętrze domu donośnym gongiem. Drzwi otworzyła mu staruszka o pogodnej, pomarszczonej twarzy, okolonej doskonale ułożonymi srebrnymi włosami. Na nosie miała okulary w złotych oprawkach i przywodziła na myśl czytającą dzieciom babcie. Uśmiechnęła się promiennie.

– W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, nazywam się David Redfern i jestem inspektorem policji w hrabstwie Surrey.

– Policja? U nas?

– Proszę się nie niepokoić. Szukam informacji o polskich żołnierzach z Leven. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci dwóch osób i wszystkie tropy prowadzą właśnie tam.

– W takim razie zapraszam. – Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła Redferna do środka. – Uprzedzam tylko, że mąż jest po wylewie i łatwo się męczy. Proszę mieć to na uwadze.

Redfern skinął głową.

Obszerny hall wyłożony puszystą, kremową wykładziną pochłaniał każdy dźwięk. David chciał zdjąć buty, ale Janet Young stanowczo mu tego zakazała i poprowadziła go do salonu.

Po opowieściach nieznanego z kościoła spodziewał się zobaczyć schorowanego i uschniętego mężczyznę. Tymczasem siedział przed nim żołnierz, dumny i wyprostowany, który jakby dla żartu przywdział niepasującą maskę starca. Przez nią przebijały się oczy, dzikie i błękitne jak morze, którego szum docierał teraz przez otwarte okno.

– O, mamy gości – ucieszył się. – Doskonale! Janet, kochanie, przynieś, proszę, wino, a pan, młody człowieku, niech siada i opowiada.

– Peter, to jest pan policjant z Surrey. – Kobieta starała się ostudzić zapał męża. – Chce zapytać o polskich żołnierzy.

– W takim razie wino nie jest tu uprzejmością, lecz koniecznością!
– Klasnął w dłonie i zwrócił się do Redferna: – Proszę nie odmawiać! Najwyżej Janet pana odwiedzie do Surrey – zaśmiał się perliście. – Bo muszę panu powiedzieć, że moja żona, mimo osiemdziesięciu siedmiu lat, to jest kierowca, jakich mało! No, ale do rzeczy!

Redfern rozsiadł się na kanapie obitej grubym sukniem w pasujące do zasłon kwieciste wzory. Nad granitowym kominkiem rozciągała się półka, na której stały ramki ze zdjęciami. Patrzyli na niego bardzo młodzi ludzie, niektórzy w mundurach, inni w strojach sportowych. Było też parę zdjęć z uroczystości rodzinnych. Na jednym z nich Peter Young, ubrany w strój do krykieta, trzymał ogromną dmuchaną dziewięćdziesiątkę.

– Patrzy pan na zdjęcia – zauważył staruszek i podszedł do półki. – To moje dzieci. Czwórka, a od niedawna trójka. Najmłodszą zabrał mi rak. Latający lekarz w Australii, najlepszy pilot, jakiego znałem, uwierzy pan? – Zamyślił się i wskazał inne zdjęcie. – A tu moje wnuki, złota siódemka. Trójka jest w Cambridge lub już ukończyła, a reszta Oxford. Na The Boat Race mieliśmy w rodzinie ubaw, nie ma co.

– Peter, nie zanudzaj pana – ofuknęła męża Janet, wchodząc do salonu z tacą pełną przekąsek i trzema kieliszkami. Postawiła ją na stole przed mężczyznami i spytała Davida: – Woli pan białe czy czerwone?

– Czerwone, proszę, jeśli to nie problem.

– Żaden problem – odparła staruszka i zniknęła w drzwiach.

Kiedy wróciła, podała mężowi zakurzoną butelkę i korkociąg i usiadła koło starego żołnierza. Sądząc po etykiecie, wino musiało być doskonałej jakości, o czym Redfern przekonał się, gdy tylko jego usta dotknęły szkarłatnego płynu.

– Służył pan w Ringway – zaczął, kiedy tylko wino rozgrzało mu żołądek.

– Służyłem to dużo powiedziane. Byłem młokosem po szkole, gdy tam trafiłem – odparł skromnie. – Trochę polatałem.

– A czy pamięta pan z tamtego okresu jakiegoś Biernata?

– Którego?

– Nie rozumiem...

– Biernatów, proszę pana, było w Leven trzech.

– A tak, mój był spadochroniarzem.

– W takim razie musi chodzić o Feliksa. Doskonale pamiętam, ciężko trenował w Largo House. Jeden z lepszych. Zginął w Arnheim, jak pozostała osiemdziesiątka chłopaków. Jego brat, Lutek, bardzo

to przeżył. Mówił, że został zabity przez jednego z kolegów, który strzelił mu w plecy zaraz po wylądowaniu w Driel. Doprowadziło to do otwartego konfliktu między nimi. Wpieprzył mu tak, że z naganą został odesłany... nie pamiętam gdzie.

– Co Lutek mówił konkretnie?

– Feliks i tamten nienawidzili się okrutnie, ponoć poszło o dziewczynę. Inni mówili, że chodziło o powstanie, które wybuchło w sierpniu. Różnice w poglądach, wie pan. W wojsku jednak nie ma czasu na personalne utarczki. W każdym razie z tego, co pamiętam, Lutek nie pochował brata z należnymi honorami. Chyba został na holenderskiej ziemi.

Redfern uniósł brew, ale odłożył pytania o Feliksa na później. Widział jego grób na cmentarzu w Brookwood, więc niemożliwe, by jego ciało spoczęło w Driel.

– A trzeci Biernat?

– Niestety nie pamiętam imienia.

– Też był spadochroniarzem?

– Nie, mechanikiem, ale jakie piękne noże robił, nie uwierzyłby pan! – Young przez chwilę rozводził się nad wzorami i atutami noży Biernata, po czym dodał: – W Polsce był kowalem, jak opowiadał, ale na maszynach też znał się jak nikt. Miał możliwość wstąpić do RAF-u w Ringway, ale on chciał do brata.

– Wróćmy na chwilę do Lutka. Co się z nim stało?

– Chyba jak większość zamieszkał w jednym z obozów dla imigrantów. Możliwe, że też wrócił do Polski. Wielu służących w Wielkiej Brytanii Polaków wróciło do ojczyzny. Powiem panu, że to byli wspaniali żołnierze i jeszcze wspanialszy ludzie. Chciałem, żeby zostali i służyli w naszych jednostkach. Tak się nie stało. Wrócili do zgliszcz, by z nich na nowo budować ukochany kraj. Naszego nie ukochali. Zresztą dlaczego by mieli? Wie pan, myślałem, że spalę się ze wstydu, gdy się dowiedziałem, że nie zaproszono ich na paradę zwycięstwa w czterdziestym szóstym. Wielu z nich to byli moi koledzy, ludzie, z którymi ramię w ramię walczyliśmy z nazistami. Ginęli za pokój w Anglii, a Anglia na nich nasrała. Tak, proszę pana, nasrała! – Staruszek trząsał się, nie mogąc opanować zdenerwowania.

Janet poruszyła się niespokojnie.

– A czy w jednostce były jakieś konflikty? Może z mieszkańcami?

– Były konflikty, pewnie. W Irvine o mało nie doszło do rozlewu krwi, a tu, w Leven, też władza się nie popisała. Jakieś pisma słała do Londynu, że mają dość imigrantów. Pisali o tym w polskim dzienniku. Wstyd, ale co się dziwić? Wojna się skończyła, ale nie zabrała ze sobą przerażenia. Ludzie byli głodni i zmęczeni, rosło bezrobocie. Każda dodatkowa gęba do wyżywienia oznaczała mniejszą porcję na talerzu. Doszły mnie nawet słuchy, że chciano zbombardować obóz koło Thrusley, ale w to bym akurat nie wierzył.

– Jaki obóz? – zainteresował się Redfern, który słuchał wszystkiego w ogromnym napięciu. Niewiele wiedział o tym, co działo się w czasie wojny. Historia jakoś nigdy go nie interesowała, aż do dziś, gdy stała się żywym słowem.

– To akurat pan powinien wiedzieć, bo to z pana podwórka. Obóz Tweedsmuir, w Surrey. Polacy, ale nie tylko oni, udawali się do takich obozów, nie mogąc wrócić do kraju. Czekali na znak, ale ten nie nadchodził. Oliwy do ognia dołało nieuznanie rządu polskiego przez Zachód. Ich obecność się przedłużała, a niektórzy Brytyjczycy byli bardzo niechętni imigrantom.

– Myśli pan, że bracia Biernat dotarli do tego Tweedsmuir?

– Bardzo możliwe. – Pokiwał z przekonaniem głową.

– Grób Feliksa Biernata znajduje się w Brookwood, w Surrey.

– To bardzo dziwne, ale wie pan... wojna to wojna. Pod Driel zaginęło ponad sto siedemdziesiąt osób. Straszny kocioł tam był. Może Lutkowi coś się pomyliło...

– Mówił pan, że Feliks był z kimś skłócony, a Lutek twierdził, że to z jego ręki zginął. Jak się nazywał tamten drugi?

– Niech mnie pan zabije, ale nie pamiętam. – Young pociągnął duży łyk z kieliszka. – Ciągłe przekręcali jego nazwisko. Kołacze mi się po głowie, że jako jeden z niewielu został wcielony do Armii Brytyjskiej, ale pewności nie mam. A mogę pana o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Po co panu to wszystko wiedzieć? To są zdarzenia sprzed siedemdziesięciu lat. Jaki jest sens w tym grzebać? – Odstawił pusty kieliszek i napełnił go ponownie.

– Ktoś szukał informacji o Biernatach i zginął – odparł szczerze Redfern. – Policyjny nos mówi mi, że na coś się natknął i dlatego go zabito. Sprawa jest delikatna, bo patrzy nam na ręce polska ambasada.

– *Robore prudentia praestat* – powiedział w zadumie Young, wskazując na obraz wiszący nad jego głową. – Rozwaga nad siłą.

Dopiero teraz Redfern zauważył kraciastą tkaninę i wyszyty na niej emblemat przedstawiający złotego gryfa z mieczem. Całość okolona była połyskującym pasem, na którym widniało motto szkockiego klanu Youngów. Przesuwał wzrokiem po ścianie i natrafiał na kolejne dowody, że nie siedzi przed nim zwykły żołnierz, lecz legenda. I nie świadczyło o tym zdjęcie z prezydentem Carterem na tle flagi NATO. Redfern dostrzegł fotografię młodego mężczyzny w mundurze, stojącego przy concorde, a dalej osobiste podziękowania od królowej dla sir Petera Younga.

– Szkoda, że już nie latają – skomentował mężczyzna ze smutkiem. – Razem z Janet byliśmy pierwszymi pasażerami lotu do Laponii. Tam stoją jeszcze kieliszki od szampana, które otrzymaliśmy po rejsie. – Wskazał na przeszkloną komodę, gdzie Redfern zobaczył zdobione grawerem i złotem kryształły. – Ach, co za czasy.

– No już, już, staruszk. – Janet z czułością poklepała męża po kolanie. – Zaparzę nam herbaty. – Wstała i wyszła z salonu.

– Wie pan, co jest najgorsze w jesieni życia? – zapytał Peter cicho, by głos nie mógł dotrzeć do małżonki. – Świadomość nadchodzącej zimy. Zamarzniętych stawów, zamarzniętych myśli i wspomnień, które za nic nie chcą się przypomnieć.

Zamarzniętych stawów, powtórzył Redfern w głowie, kiedy szedł pogrążonymi w wieczornej mgle uliczkami. Wiedział, że takich ludzi jak Youngowie jest niewielu i wciąż ich ubywa – ludzi z klasą i elegancją, bez zadęcia. W ustach wciąż czuł cierpkość doskonałego wina, a pod powiekami dziwnie go paliło.

Dopiero gdy wsiadał do samochodu, zdał sobie sprawę, że zostawił w nim komórkę. Przyczepiona do uchwyty, błyskała wściekle zieloną diodą. Milion nieodebranych. Aby dawkować sobie falę opieprzu, która miała na niego zaraz spłynąć, oddzwonił najpierw do Tinneya.

– No wreszcie! Myśleliśmy, że cię szlag w tej Szkocji trafił! Knight przeszedł w międzyczasie ze dwa zawały!

– Nic mi nie jest. Zostawiłem komórkę w aucie.

– I nie ukradli? Sporządzili ci Szkoci – zarechotał.

– Słuchaj, potrzebuję informacji o obozie w Tweedsmuir, który funkcjonował niedaleko Woking w latach pięćdziesiątych. Potrzebna mi lista mieszkających tam ludzi, co się z nimi stało...

– Dobra, da się załatwić – zbył go Puszka. – A teraz słuchaj, bo mam petardę: wiemy, gdzie Sokolińscy spędzili ostatni wieczór. Byłem w tym domu, ale zastałem wtedy tylko jakiegoś chłopaczka, który w ogóle nie wiedział, o co chodzi, i...

– Puszka, do cholery!

– Okazało się, że jego starzy byli na wakacjach, ale przed wyjazdem gościli Sokolińskich. To jest jakiś matriks. Matka tego chłopaka spotkała Bożenę gdzieś w Woking. Pogadały sobie i okazało się, że mają mnóstwo wspólnych tematów, no i tamta zaprosiła ich do siebie. Odebrała spod hotelu, zawiozła na Maybourne Rise. Wypili parę drinków i wyszli jakoś po ósmej. Tak ich te drinki rozgrzały, że Sokoliński kurtkę zostawił.

– Przesłuchałeś ich?

– McMahan u nich był.

– No i co?

– No i wszystko już wiesz.

– A taksówka, którą widziała ta babcia z naprzeciwka?

– Nie zauważyli żadnego samochodu. Ogólnie porządni ludzie, on jest prezesem jakiejś ważnej spółki, a ona też jakiś interes kręci. Bogaci, że hej!

– Polacy?

– A Teresa i Walter Miller brzmią ci na Polaków?

– Nie sprawdziłeś?!

– A ty każdego świadka prześwietlasz? Spisałem dane z dowodu osobistego. Brytyjskiego, jeśli cię to interesuje – obruszył się.

– Sorry, Puszka. Ta sprawa zaczyna mnie męczyć.

– Co ty nie powiesz? Jest sobotni wieczór, a ja zamiast wywijać na parkiecie z przyszłą żoną, przepisuję zeznania Millerów, jak jakiś uczeń czy inny inspektor.

– Nie wiedziałem, że taka się w twoim życiu pojawiła. No, no, gratuluję – powiedział z przekąsem Redfern.

– Nie pojawiła i nie pojawi, jak będę tu siedział i gadał z tobą o pierdołach – marudził Tinney. – A, Matt kazał ci przekazać, że odciski ze znicza należą do Sokolińskiej, ale w obecnych okolicznościach to raczej oczywistość. No i na autobusie faktycznie znaleźliśmy krew. Wszystko się zgadza, tylko nic nie pasuje.

– Masz rację – westchnął Redfern. – Knight żyje?

– Żyje, ale wkurwiają go te twoje metody rodem z Dzikiego Zachodu. Głędził coś o wieszaniu za jaja.

– W Teksasie wieszali chyba za szyję – usiłował obrócić wszystko w żart, choć czuł, że żołądek wypełniały mu kamienie. I nie chodziło o kontakt z Malcolmem. Dogada się z nim w minutę. Nieprzyjemne uczucie wywoływał fakt, że na liście połączeń nieodebranych zauważył numer Marty.

Wszedł do pokoju hotelowego i rozebrał się. Wyjeżdżając z Woking, nie pomyślał o wzięciu zapasowej bielizny. Nagi i zziębnięty wrzucił do umywalki majtki i skarpety, zalał wodą z mydłem i zostawił do odmoknięcia. Do rana z pewnością nie wyschną, ale wolał mokre gacie od brudnych. Tak jak podejrzewał, Knight spuścił z tonu, gdy usłyszał rewelacje od Youngów. Oprócz tego podzielił się złym przecuciem co do Millerów. Redfern nie chciał zbyt pochopnie wyciągać wniosków, ale czuł, że coś przegapili. Obiecał, że jutro po południu pojedzie na Maybourne Rise.

Siedział w samym ręczniku i burczało mu w brzuchu, ale wiedział, że o tej porze może liczyć co najwyżej na suche przekąski z baru. Dobre i to. Zadzwoił na recepcję i po kwadransie ze zdziwieniem przywitał dziewczynę, która przyniosła pachnącą ciepłą jagnięcinę z kopcem parujących ziemniaków. Przepraszyła, że tylko tyle mogła dla niego załatwić z kuchni. Kochani Szkoci.

Dokończył pranie i położył ubrania na kaloryferze, który, o dziwo, był lekko ciepły. Szansa na suche ciuchy rosła.

Położył się na łóżku i obracał w palcach telefon. Tak długo odwlekał kontakt z Martą, że pora zrobiła się nieprzyzwoita. Ostatecznie postanowił, że pojedzie do niej jutro. Nastawił budzik na drugą i momentalnie zasnął.

ROZDZIAŁ VIII

Niedziela, 13.10.2013

Gdy Redfern mijał kolorowe rondo Woking, po porannych korkach nie było śladu. Pod powiekami czuł drapiący gruz. O jedenastej miał się spotkać z Zhengiem w pubie w centrum. Przez natłok informacji nie ułożył żadnego planu tej rozmowy. Jak miał zacząć? Hej, Zheng, zastrzeliłem Adriana zeszłego lata, ale zmartwychwstał i pojawił się w Dover, o ironio, martwy?

Chińczyk chyba wyczuł Redferna, bo gdy tylko się przysiadł, rzucił na powitanie:

- Wyglądasz jak kupa gówna.
- Dzięki, ty też.

Barman postawił przed nimi dwa ghost shipy i zniknął na zapleczu. Nie musieli się obawiać wścibskich uszu. O tej porze schodziły się co najwyżej rodziny na *roast dinner*. Na tę myśl Redfern niemal poczuł w ustach smak pieczonych ziemniaków i plastra wołowiny.

- Mów, co jest. – Zheng, nie patrząc na niego, bawił się skroploną na szklance wodą.
- Powiem wprost: sprawa Bonesa nie daje mi spokoju...
- Jak nam wszystkim, Dave. To był świetny glina, ale odpadł. Doszło do nas, że świrujesz tak jak on. Podobno powiedziałeś wewnętrznym, że strzelał ktoś inny.
- Jestem tego więcej niż pewien.

– Ej, bo zamkną cię u czubków – rzucił poważnie kumpel. – Czopek, który mu zaaplikowałeś, był z twojej broni, nie zaprzeczysz.

– Posłuchaj, Zheng. – Redfern westchnął. Nie miał siły na gierki. – Wiem, jak to wygląda, ale ktoś oprócz mnie grzebie w tej sprawie.

– Skąd wiesz?

– Stąd. – Redfern pokazał mu w telefonie dwie fotografie: koperty i rewersu zdjęć Lindy. – Wlazł do mnie do domu i zostawił to, kiedy tylko zacząłem węszyć.

Zheng Cong Coh gwizdnął z udawanym uznaniem i upił łyk piwa.

– Wdepnąłeś w eleganckie gówno, to pewne. Zupełnie w twoim stylu, stary.

– Dlatego muszę wiedzieć, przy czym pracował Adrian przed strzelaniną w Dover. – Redfern zniżył głos do szeptu. – Pomożesz?

– Nie będzie łatwo, Dave. Po odejściu Adriana patrzą nam na ręce, jakbyśmy byli jakimś złodziejami... Do tego ten cholerny awans, jestem pod lupą, pod pieprzonym mikroskopem elektronowym.

– Pomożesz?

– No przecież mówię! – Policjant uśmiechnął się szeroko.

– Równy z ciebie kumpel, Zheng.

– Nie pieprz, tylko postaw browara. – Klepnął przyjacielsko Redferna w plecy. – No i opowiedz, czy nadal posuwasz młodą Bonesową.

Redfern puścił mimo uszu słowa Zhenga. Dawno przyzwyczał się do jego niewybrednych żartów i musiał przed sobą przyznać, że bardzo mu ich brakowało. Zamówili jeszcze po jednym piwie i przesiedli się pod okno. Zheng obiecał wykorzystać swoje dojścia i dyskretnie poszperać przy starych sprawach Adriana.

David z żalem stwierdził, że nie ma już czasu pojechać do Double Tree, chociaż popołudnie w pubie tchnęło w niego nową nadzieję. Pożegnał Zhenga pod komendą, gdzie policjant chciał jeszcze odwiedzić jakiegoś kumpla.



Dom Millerów nie miał numeru, jak większość przy tej ulicy. Mieszkańcy nazwali go Revilo, co wyróżniało się na tle standardowych nazw jak One Oak czy Apple Tree, które nosiły inne posiadłości. Rozłożysty bungalow przypominał raczej hotel z dużą recepcją po lewej i długą, wąską częścią gościnną po prawej. Na końcu dokleiono podwójny garaż. W przednim ogrodzie można by rozegrać ligowy mecz piłkarski, w którym głównymi kibicami byłyby wysokie sosny i krzewy rododendronów.

Otworzyła mu dziewczyna. Redfern był w tym wieku, że mógł ją uznać za dziecko. Miała mokre włosy i okrągłą, piegowatą twarz. Była dość zgrabna, ale Redfern odniósł wrażenie, że tylko młodość utrzymuje jej kształt i za parę lat będzie płakać przed lustrem. Gdyby zamiast mizdrzyć się do kolejnego selfika polubiła jakiegoś zbijaka czy kosza, jej instagramowe konto z pewnością by eksplodowało.

W milczeniu zaprowadziła go do salonu. Redfern szybko się przekonał, po kim córka odziedziczyła skłonność do tycia. Walter Miller wyglądał jak Bawarczyk na starej pocztówce z Oktoberfest. Siedział w skórzanym fotelu i pykał fajkę. Nie wstał, kiedy policjant przekroczył próg. Przywitał go niskim, impregnowanym tytoniem głosem.

– Żony nie ma, ale mogę odpowiedzieć na wszystkie pańskie pytania – rzekł, wskazując miejsce na kanapie. – Trochę dziwi mnie to całe zamieszanie wokół naszej rodziny. Państwo Sokolińscy spędzili u nas zaledwie wieczór.

– Wszystko może okazać się ważne, panie Miller. Zacznę więc od tego, gdzie pana małżonka spotkała panią Bożenę.

– Już mówiliśmy – westchnął – w miejskiej bibliotece.

– Wiem, że pan mówił, i większość moich pytań będzie taka sama jak te, które zadawał starszy sierżant McMahan, ale proszę mi wierzyć, to konieczność.

– No więc spotkały się w piątek w bibliotece. Moja żona usłyszała, jak Sokolińska prosi o książki i artykuły prasowe dotyczące powojennej historii Surrey. To ją zaintrygowało, bo sama jest historyczką.

– Co było dalej?

– Pogadały i moja gościnną żoną zaprosiła ich do nas na kolację. Przywiozła ich w sobotę koło siedemnastej.

– O czym państwo rozmawiali?

– Główną rozmówczynią była żona. Jak już mówiłem, jest z wykształcenia historykiem. Pracowała w Greenfield School. Bardzo ją interesuje tutejsza historia, a Sokolińska знаła mnóstwo ciekawostek. A my, jak to faceci, rozmawialiśmy o typowych męskich sprawach. Mariusz jest pasjonatem motoryzacji. Świetnie o tym opowiada.

Jest, wychwycił Redfern. A zatem nie wie, że Sokoliński nie żyje. Inspektor odnotował to sobie w pamięci.

– Coś jeszcze?

– Pytali o ceny domów, jak się tutaj żyje.

– A te historyczne ciekawostki? – zapytał, udając obojętność.

Nie zauważył, kiedy Teresa Miller weszła do pokoju. Redfern zapamiętał, że ma opieprzyć Puskę za błędne spisanie danych z dowodu osobistego. Kobieta stojąca przed nimi z pewnością nie zbliżała się do sześćdziesiątki – wysoka i szczupła, prężyła się w progu, uśmiechając się pogodnie. Perłowe zęby okolone były pełnymi ustami, nad którymi widniały zgrabny nos i zielone oczy. Pani Miller albo miała wspaniałe geny albo chirurga cudotwórcę. Ubrana w białą, dopasowaną garsonkę, kontrastującą z jej oliwkową cerą, wyglądała jak sekretarka na placówce dyplomatycznej. Lśniące blond włosy przerzuciła przez prawe ramię, z którego zwisała droga torebka. Wiek zdradzać mogła co najwyżej szyja, której czas nigdy nie omija.

Przywitała się i przysiadła na podłokietniku fotela blisko drzwi. Z nonszalancją zarzuciła rękę na oparcie i nie przestając się uśmiechać, nawiązała do ostatniego pytania Redferna.

– Kiedyś zbierałam informacje o żołnierzach pochowanych na cmentarzach wojskowych – powiedziała. – Bożena też się tym interesowała, bo w Brookwood leży jej wuj czy ktoś. Opowiadała o polskim Instytucie Pamięci Narodowej.

– Co to ma wspólnego ze starym grobem?

– Mówiła, że chciała dotrzeć do rodziny drugiego wuja, który podobno został po wojnie w Anglii.

– Jak miał na imię?

– Stanisław – odparła zdecydowanie. – Niestety nie umiałam pomóc. Dałam jej kilka namiarów na ludzi, którzy mogliby wiedzieć coś więcej na ten temat.

Dobrze zapamiętała tak trudne imię, pomyślał Redfern i zapisał to w notesie.

– O której państwo Sokolińscy się pożegnali?

– Dokładnie nie wiem, bo wyszłam na chwilę z domu.

– Dokąd?

– Skończył się lód i poszłam do sąsiadki, a gdy wróciłam, Sokolińskich już nie było. Przyznaję, że wizyta u niej się przedłużyła – wyznała przepaszająco Teresa. – Sąsiadka ma niepełnosprawnego syna i pomagałam jej położyć go do łóżka. Bywa nadpobudliwy.

– Dlaczego Sokolińscy wyszli w takim pośpiechu? – zwrócił się Redfern do Millera.

– Mariusz odebrał jakiś telefon.

– W sobotę wieczorem? W obcym kraju? – zdziwił się inspektor.

– Nie wyjaśnili mi. Wydaje mi się, że chodziło o coś związanego z McLarenem, bo Sokolińskiemu wymknęło się przekleństwo na agenta. W ogóle bardzo tajemniczy ludzie. Sympatyczni, to fakt, ale tajemniczy.

– Tak im się spieszyło, że zostawił kurtkę? – zauważył inspektor.

– Wie pan, wszyscy byliśmy podchmieleni – odparł z rozbijającą szczerością gospodarz.

Ty chyba najbardziej, pomyślał Redfern. Nalana, czerwona twarz Millera z minuty na minutę coraz mniej mu się podobała. Zastanawiał się, ile litrów i z kim musiał wypić, by podpisywać intratne kontrakty.

– Czy Sokoliński mówił, po co przyjechał do Woking?

– Tak. Był tu na rozmowie kwalifikacyjnej. Planowali się przenieść do Woking.

– Oboje?

– To chyba oczywiste.

No nie bardzo, pomyślał Redfern, ale zachował tę uwagę dla siebie.

- Dlaczego zgłosili się państwo dopiero teraz?
- W niedzielę lecieliśmy na tydzień na Dominikanę. Nic nie wiedzieliśmy o śmierci Bożeny. Dopiero po powrocie zobaczyliśmy kurtkę Mariusza na wieszaku. Były w niej dokumenty i zdziwiło nas, że się o nie nie upomniał. Pewnie teraz zechce ją odzyskać?
- Niewykluczone – odparł Redfern. – Zabiorę ją, jak będę wychodził. Czy ktoś jeszcze był u państwa w czasie wizyty Sokolińskich?
- Tak! Nie! – Usłyszał jednocześnie dwa głosy.
- To był ktoś czy nie?
- Sąsiadka wpadła na drinka – odparła lekko zażenowana Teresa, wymieniając z mężem porozumiewawcze spojrzenia.
- Ta od niepełnosprawnego syna? – upewnił się Redfern.
- Właśnie ta – potwierdził poirytowanym głosem Walter Miller.
- Ktoś jeszcze?
- Nasz syn – wtrąciła Teresa – ale nie widział Sokolińskich. Jest w tym wieku, że najlepiej wychodzi mu zaszywanie się w czeluściach pokoju i granie w gry, co też robił tamtego wieczora.
- Mogę z nim porozmawiać?
- Wrócił wczoraj do internatu – powiedział Walter Miller, a potem wygłosił formułkę typowego tyrana: – Niedługo zaczyna się semestr zimowy, a on ma sporo do nadrobienia.
- A dziewczynka, która otworzyła mi drzwi?
- To córka naszych przyjaciół. Mieszkają na Woodpecker Drive. Ellie często do nas wpada, by popływać w basenie.
- Czyli jednak walczy, pomyślał Redfern.
- Pływa w październiku?
- Basen jest podgrzewany, panie inspektorze – odparł Bawarczyk, nie kryjąc rozbawienia i wyższości.
- Czym się państwo zajmują?
- Chyba ma to pan już w swoich notatkach – rzucił Miller i wskazał brodą na notes Redferna.
- Prowadzę stadninę koni w Pirbright – wyrwała się z odpowiedzią Teresa. Zupełnie jakby chciała zatrzeć kompleks bezrobotnej żony bogatego męża. – Mam też bloga modowego dla dojrzałych kobiet, a w wolnym czasie szyję, biegam i udzielam się charytatywnie.

– A pan? – spojrzał na Millera.

– Jestem prezesem spółki zajmującej się obróbką stali, a także członkiem zarządu dwóch mniejszych firm z branży komputerowej, mam również inwestycje na Morzu Północnym. Jestem także radnym z ramienia Partii Konserwatywnej.

Redfern usłyszał trzaśnięcie drzwiami i tupot bosych stóp na płytkach. W progu stanęła dziewczynka, która wcześniej otworzyła mu drzwi. Na widok policjanta jej mokra twarz stała się czerwona jak róża Tudorów. Szybko odszukała wzrokiem Teresę.

– Ciociu, możesz mi pomóc?

Dopiero teraz inspektor zauważył, że ręcznik, którym owinęła się nastolatka, jest gdzieś poplamiony, a ona sama stoi w dość dziwnej pozycji, jakby coś ukrywała. Pani Miller uśmiechnęła się przepaszająco i zabrała dziewczynę. Redfern domyślił się, co się stało, i nie chcąc krępować osoby, która właśnie przestała być dzieckiem, wstał i pożegnał się. Przed wyjściem zostawił na stoliku wizytówkę. Na odchodne Miller wręczył mu skórzaną kurtkę Sokolińskiego, gestem, jakby była zrobiona z pokrzyw.

Nie podobała mu się wizyta u Millerów. Przedstawiciele elegancji nabytej mieli bardzo zgrabne odpowiedzi na każde pytanie. Skrojone na miarę i zakrywające wszystko jak kostium Teresy.

W oknie domu naprzeciwko dostrzegł ruch – monitoring wiejski działał bez zarzutu. Redfern postanowił z niego skorzystać.

Podczas gdy Millerowie nie zaproponowali mu nawet herbaty, Hazel Davies, żona pastora, jak się przedstawiła, uraczyła go wszystkim, co znalazła w kuchni.

– Pan pewnie chce spytać o tę taksówkę, co stała wtedy na ulicy? – Usiadła przy stole naprzeciwko Redferna i napełniła z imbryka dwie filiżanki. Jej pomalowane na ognistą czerwień usta były lekko rozciągnięte w uprzejmym uśmiechu. Dłonie zakończone wypielęgnowanymi paznokciami złożyła na blacie i inspektor był prawie pewien, że ma przed sobą Angelę Rippon, słynną brytyjską prezenterkę telewizyjną sprzed kilkadziesiątu lat. W jej srebrnych, doskonale ułożonych włosach tonęły promienie słońca.

– Tak. – Pokiwał głową i sięgnął po herbatnik. Skręcało go z głodu.

– Nic pani sobie więcej nie przypomniała?

– Właściwie to coś widziałam, ale wie pan, oczy już nie te i możliwe, że mi się przywidziało. – Podparła dłonią brodę i zastanawiała się, jak ubrać mgliste wspomnienie w słowa.

– Proszę mówić.

– Wydaje mi się, że widziałam jakąś postać znikającą w dole ulicy. Była jak duch.

– Kobieta?

– Tak sądzę, ale równie dobrze mógł to być cień poruszanej wiatrem sosny. Noc była taka jasna... – Zawiesiła głos, po czym dodała: – Chwilę potem usłyszałam hałas i przejeżdżający samochód.

– Taksówka?

– Naprawdę nie wiem. – Pokręciła głową zrezygnowana. Proszę się częstować. – Podsunęła Redfernowi paterę, a on, nie czekając na ponowne zaproszenie, sięgnął po największy kawałek.

– A co może pani powiedzieć o sąsiadach? – Wskazał głową na Revilo, gdy przełknął pierwszy kęs. Nie wiedział, czy jest tak głodny, czy ciasto faktycznie wyróżniało się na tle wszystkich, które do tej pory jadł, ale jego smak wprowił go w doskonały nastrój.

– Spokojni ludzie. Jeżdżą dużymi autami tam i z powrotem. Syna mają w prywatnej szkole, chyba w Gordon's School. Nie wadzą nikomu. Nie wiem za to, jak oni znoszą tych Arthursonów. Ci to dopiero są hałaśliwi!

– Myślałem, że to cicha dzielnica.

– No bo jest. W sumie ta Christine to bardzo miła kobieta, a że los ją pokarał mężem furiatem i niepełnosprawnym synem, to co innego.

– Furiatem?

– Tak, proszę pana, to wariat i alkoholik. Nie mieszka już z nimi, dzięki Bogu. Teresa pomogła załatwić formalności rozwodowe i zakaz zbliżania się, ale co tam sądy! Kiedyś tu przyjechał, ten cały Arthurson! Co tu się działo, to szkoda słów. Gonił biedną Christine z nożem czy pałką. Przyjechała policja i go zabrali. Jakiś czas był spokój.

– A teraz?

– Widziałam, jak się tu kręcił tamtego dnia, ale Christine nie było. Teresa zatrudniła ją w stadninie i pracuje całe dni. Mówi, że to błogosławieństwo, bo jej syn, Adam, może mieć kontakt z końmi, a to świetnie na niego wpływa. Pakują się rano i dawaj do Pirbright.

– A ten Arthurson? – zainteresował się Redfern. – Kiedy go pani widziała po raz ostatni?

– A zdaje się, że właśnie tego okropnego wieczora, ale wcześniej niż tę kobietę ducha.

Starowinka była doskonale poinformowana, stwierdził z uznaniem Redfern. Stanowiła nie tylko doskonały monitoring, ale i zestaw podsłuchowy całego osiedla. Sięgnął po kolejne ciastko i zadał ostatnie pytanie:

– A pan Miller?

– Nigdy go nie ma. Ale jak już jest, to zabiera chłopaków, znaczy swojego syna, Juliana, i Adama na mecze, zakupy czy na żaglówki do Ripley. On jest mocnym kandydatem do parlamentu w najbliższych wyborach. Szczerze mu kibicuję i mam nadzieję, że konserwatyści utrzymają władzę.

Redfern pożegnał się z kobietą, która na odchodne wręczyła mu wielki kawałek domowego *lemon drizzle*, tradycyjnego angielskiego ciasta nasączonego sokiem z cytryny. Przyjemny zapach w jednej chwili wypełnił forda i sprawił, że policjant poczuł się jeszcze bardziej głodny. Zaprzagnął natychmiast rozerwać papier i zjeść jego zawartość, ale pomyślał, że będzie ona doskonałym podarunkiem dla Marty. Z tą myślą odpalił silnik i pojechał do komendy.

Zostawił auto na policyjnym parkingu i szedł z wolna w stronę hotelu. Wbrew kalendarzowi w Woking zagościła prawdziwie wiosenna aura i przyjemnie ciepły wiatr unosił poły płaszcza inspektora. Spojrzał na kurtkę, którą zamierzał oddać Marcie. Kieszenie były puste, nic w nich nie znalazł. Analizował słowa Millerów, usiłując znaleźć lukę w ich zeznaniach. Przy tym miał wrażenie, że to, co mówiła Hazel Davis, wbijało się małym klinem w mur tej rodziny. Nie mógł tylko uchwycić jego istoty. Całe śledztwo składało się z cieniutkich niteczek, wątych i trudnych do złapania jak babie lato.

Zanim wszedł do hotelu, przedzwonił do członków zespołu i poinformował, że o jedenastej mają się stawić w konferencyjnej. Wierzył, że wspólnie połapią te pajęczki sieci.

O dziwo zastał Martę w recepcji. Trzymała w rękach płaski foliowy worek z pralni, przez który prześwitywał czarny strój. Tłumaczyła coś kobiecie za ladą. Ucieszył się, że nie musi jechać na górę. Chciał coś powiedzieć, ale dziewczyna go uprzedziła:

– Jutro kremacja – wyjaśniła sucho. – Zamówiłam już taksówkę.

– Usiądziemy? – Wskazał na jeden ze stolików w hallu.

Po incydencie w jego mieszkaniu nie chciał, żeby czuła się osaczona. Neutralny grunt wydał mu się najwłaściwszy do rozmowy, którą chciał przeprowadzić. Usiedli w rogu sali i przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Przyniosłem kurtkę twojego taty. – Podał jej czarny tobołek. – Pomyślałem, że chciałabyś ją odzyskać.

– Dziękuję – odparła Marta i schowała ubranie za siebie. Zapadła niezręczna cisza, którą zakłócał tylko szum klimatyzacji.

– Jestem ci winien wyjaśnienia – zaczął niepewnie David. – To, co powiedziałem u mnie w domu, to prawda. Pracuję nad pewną sprawą i komuś bardzo się to nie podoba. Posunął się do paskudnego szantażu.

– Czyli to fotomontaż?

– Nie – wyznał, a Marta skrzywiła się i opuściła głowę. Kasztanowe kosmyki zakryły jej twarz. – To nie fotomontaż, ale sprytna manipulacja. Linda faktycznie była tego wieczora u mnie. Kompletnie naćpana. Nie wiedziała, co robi.

– Za to ty wiedziałeś – dotarło do niego spod loków. Wolałby widzieć jej oczy, ale może tak było łatwiej.

– Tak, wiedziałem – odparł. – Spętałem jej rękę, żeby nie zrobiła krzywdy sobie i mnie. Potem zadzwoniłem po lekarza. Chcesz rachunek na dowód?

– Nie, David, nie chcę nic od ciebie. Nie jesteś mi nic winien. – Podniosła głowę i popatrzyła na niego zmęczonymi oczami. – Dzwoniłam, bo chciałam się pożegnać. Jutro jest kremacja mamy i we wtorek zabieram ją do domu. Na tatę poczekam już w Polsce.

– Marta, rozwiązanie sprawy jest bliskie. Mamy nowe tropy. W Szkocji dowiedziałem się dużo o twoich krewnych, jestem przekonany, że w tym jest odpowiedź.

– Nie mam już siły tu siedzieć. Chcę wrócić do kraju i jak najszybciej zapomnieć. Przez tę cholerną Anglię zginął mój dziadek, wuj, a teraz matka i ojciec. Może ja jestem następna?

O tym nie pomyślał i wściekł się za to na siebie. Szybko jednak się opanował i spytał:

– Czy mówi ci coś nazwisko Miller?

– Znów kartkówka z historii?

– Nie, chciałem zapytać, czy twoja matka wspominała kiedykolwiek to nazwisko.

– Już mówiłam, że matka nie mówiła mi o swoich poszukiwaniach, a Miller kojarzy mi się tylko z polityką. Był polskim premierem jakies piętnaście lat temu, ale nie wiem, czy o tego ci chodzi.

– Polskim? Miller?

– No. Myślisz, że w Polsce sami Kowalscy mieszkają?

– Racja. Ten mi w ogóle wygląda na Niemca. Do tego Walter ma na imię.

– To też nic nie znaczy. Mam w Częstochowie przyjaciela o tym imieniu. Niemiec z niego taki jak z koziej dupy trąba. Walter i Kasia Sławikowie. – Uśmiechnęła się do siebie. – Dobrze będzie wrócić do domu i znów się z nimi spotkać.

– Posłuchaj, Millerowie mają willę niedaleko miejsca zbrodni. Gościli w nim twoich rodziców – mówił entuzjastycznie. – Snobi tacy, że podobnych ze świecą szukać. Pan prezes i pani, co ma hobby. Filantropi, podgrzewany basen i dzieciak hodowany z bezpiecznej odległości. Myślę, że oni mogą pomóc w znalezieniu mordercy...

– To nie ma żadnego znaczenia – przerwała mu chłodno Marta i podniosła się z fotela. – Chcę mieć ten cyrk za sobą.



Redfern wszedł do mieszkania i zaparzył sobie herbatę. Usiadł w pokoju, popijając gorący napój, który z każdym łykiem pozwalał mu zapomnieć o głodzie. Nie miał siły na szykowanie kolacji. Targały nim sprzeczne uczucia. Rozumiał Martę i jednocześnie zupełnie nie mógł jej pojąć. Wiedział, że pobyt w pokoju hotelowym i oczekiwanie może zniechęcić do działania, ale on by nie odpuścił. Chciałby wiedzieć i zrobiłby wszystko, żeby tę wiedzę zdobyć. Wiedza działa oczyszczająco, uwalnia od domysłów i pozwala gładko iść naprzód. A może to psi charakter kazał mu podążać nawet najśłabszym tropem, póki ten nie doprowadzi go do zwierzyny?

Marta dała mu do zrozumienia, że wcale nie potrzebowała wiedzieć. Nie chciała prawdy i wolała jej nie znać. Może powinien przyjąć od niej tę kolejną cenną lekcję i dać sobie spokój z przeszłością Adriana Bonesa.

ROZDZIAŁ IX

Poniedziałek, 14.10.2013

Z wyjątkiem Lindy byli w komplecie. Chłopcy się spisali i przynieśli masę zapisanych papierów. Tinney dodatkowo przytaszczył laptopa. Redfern zreferował im krótko, czego dowiedział się od Youngów i że jego zdaniem Millerowie coś wiedzą. Zwłaszcza jeśli chodzi o niespodziewany telefon do Sokolińskiego. Polecił sprawdzić, czy z komórki Dominica Shippa dzwoniono na numer Mariusza.

Christopher zapisał nazwisko agenta pracy i odszukał notatki, które chciał przedstawić reszcie.

– Pogrzebałem trochę o tym obozie, ale nie ma za wiele materiałów – powiedział, gdy znalazł odpowiedni fragment. – Są jakieś wzmianki o otwarciu wystawy gdzieś w Farnborough, a na niej parę zdjęć, jakichś pamiątek. Ktoś napisał książkę, ale nie mogłem jej znaleźć w naszej bibliotece. Potrzebuję więcej czasu.

– W porządku. Skup się przede wszystkim na znalezieniu informacji o Lucjanie i Stanisławie. To może być ważne. Jest jeszcze jedna rzecz do sprawdzenia – powiedział Redfern, zwracając się do McMahona. – Wydaje mi się to nieco oderwane, ale musimy prześwietlić wszystko. Babcia z Maybourne Rise nie powiedziała nic na temat taksówki, za to dość niepochwlebnie wypowiadała się o sąsiadach Millerów. Podobno zgarnęliśmy faceta za awanturę domową jakiś czas temu, ale znów się pojawił. Nazywa się Arthurson.

– Nie trzeba sprawdzać – odrzekł Tinney. – Byłem przy jego aresztowaniu w styczniu. Nie sądziłem, że już wyszedł.

– Wiesz coś więcej?

– Mieszka w Worplesdon. Jako młody gnojek został skazany za gwałt, ze względu na okrucieństwo był sądzony jak dorosły, wyszedł po paru latach i chyba spokorniał, bo założył rodzinę. Póki mieszkał w Old Woking, miałem na niego oko, bo okładał żonę, ale w Worplesdon zniknął mi z radaru.

– Cholera, może to on? – odezwał się McMahon i spojrzał na Redferna. – Szukamy sobie duchów w Szkocji, a być może facet śmieje się nam w twarz?

– Nie znajduję motywu. Poza tym nadal nie wiemy, z kim rozmawiała Sokolińska na cmentarzu.

– Pieprzyć cmentarz! – Greg był wściekły. – Pajacujesz tylko z tą archeologią! Weźże, człowieku, to śledztwo za bary i zgarnijmy gnoja.

– Masz rację. – David oparł się o blat stołu i wypuścił głośno powietrze. – Masz rację. Ustalcie, gdzie przebywa Arthurson.



Gdyby nie subtelny połysk mahoniowych ław i wieniec ustawiony w rogu, Redfern pomyślałby, że znajduje się w poczekalni dworcowej. Marta siedziała przy samej szybie oddzielającej pokój pożegnań od pomieszczenia przygotowawczego, w którym stała kartonowa trumna.

Zrezygnowała ze stroju, który Redfern widział w hotelowym hallu. Miała na sobie sukienkę w geometryczne, kolorowe wzory. Włosy spięła w kok, całkowicie odsłaniając bladą twarz. Na dźwięk zamykanych drzwi się odwróciła. Spodziewał się pytań, ale ona tylko skinęła głową i wróciła do wpatrywania się w okno. Redfern usiadł obok. Po chwili zobaczyli elegancko ubranego mężczyznę, który podszedł do stołu, gdzie leżało ciało Sokolińskiej. Dopiero teraz David dostrzegł w ścianie małe stalowe drzwi, a pod blatem liczne

przyciski. Pracownik krematorium dotknął jednego z nich i trumna ruszyła.

Redfern poczuł na dłoni zimny dotyk Marty. Ścisnął lekko jej palce, a ona oparła o niego głowę. Trwali tak, dopóki trumna nie zniknęła za metalową grodzia.

– Żegnaj, mamó – szepnęła Marta.

Redfern zrozumiał, że ten jeden moment przetopił w niej lata rozgoryczeń na niewyobrażalny smutek. Zaskoczyła go ta zmiana. Pamiętał, że on nie zdobył się na choćby udawany żal po śmierci ojca. Na pogrzebie starał się przypomnieć sobie wszystkie szczęśliwe chwile spędzone z nim. Zebrani wokół grobu myśleli, że szkliste spojrzenie dwudziestoletniego Davida to ból po stracie. Tak naprawdę za gardło ścisnęła go świadomość, że nie doliczył nawet do pięciu.

Wyszli na zewnątrz, gdzie oślepiło ich popołudniowe słońce. Miał wrażenie, że nie stoją na terenie krematorium, tylko w ogrodzie botanicznym. Szpalery pnących róż i kolorowe kwietniki miały przypominać żyjącym, że ten świat poza cierpieniem ma im jeszcze wiele do zaoferowania.

– To potrwa parę godzin – odezwała się. – Odbiorę urnę przed zamknięciem krematorium.

Redfern milczał. Chciał coś powiedzieć, ale wszystko, co przychodziło mu do głowy, uznawał za nieodpowiednie. Szli w stronę furtki prowadzącej na parking.

– Nie przypuszczałam, jak szaro może skończyć się tak kolorowe życie – powiedziała Marta. – W całej tej złości na nią uciekło mi, że w gruncie rzeczy ją kochałam i chciałam mieć odwagę żyć tak jak ona.

– Ona nie miała odwagi. Cały czas uciekała. Przed tobą, przed trudami stabilizacji, przed ojcem. Każdy jej nowy pomysł wynikał ze strachu, że poprzedni się nie uda. Trzeba mieć pod skórą stal, by żyć tak jak ty, Marta.

– Nie można mówić źle o zmarłych.

– Nie powiedziałem nic złego, tylko prawdę.

– Bo tobie wyłącznie o nią chodzi, no nie? – Przystanęła i popatrzyła na niego gniewnie.

– Przepraszam. Chciałem ci tylko pokazać, że nie jesteś gorsza i nie musisz nikogo naśladować.

– Wiem, masz rację. Ale ona wcale nie wybrała źle, bo przecież lepiej gonić króliczka niż go złapać i sprawić – przyznała i lekko się uśmiechnęła.

– Nonsens – odrzekł. – Jak sprawisz króliczka, to potem można go zjeść, a to jest lepsze od każdej gonitwy.

– À propos jedzenia. Dzięki za ciasto, nigdy takiego nie jadłam. Coś jak babka cytrynowa, ale słodsze i kwaśniejsze jednocześnie. Rewelacja.

– Odwiozę cię do hotelu – zaproponował David, widząc, że ucieka przed uczuciami.

– Wiesz, jednak zostanę. – Spojrzała w stronę krematorium. – Mam parę spraw do przemyślenia.

– Mogę wpaść wieczorem?

– Muszę się spakować.

– Nie będę przeszkadzać.

– Szkoda. – Uśmiechnęła się, ale David wiedział, że banał to kolejna przykrywka smutku.



– Co ja tu robię? – Arthurson miał głos przypominający chrzęst łamanych kości. Szczurza głowa na żylastej szyi osadzona była na barczystym ciele. Mężczyzna musiał spędzać dużo czasu ze sztangą. Ozdobiona marnej jakości tatuażami skóra przypominała brudnopis krnąbrnego ucznia. Klasyki z więziennej celi: tam cipka, gdzie indziej wyprostowany środkowy palec, a na ramieniu kilka płonących czaszek.

– Złamałeś zakaz zbliżania się do Christine i Adama Arthursonów. To chyba wystarczy, by cię do nas zaprosić – powiedział Tinney.

– Niczego nie złamałem, ale zaraz mogę. Twój nos, piękniśiu – zarechotał. – My to się w ogóle znamy, co, nylon?

– Co robiłeś pod ich domem? – Greg McMahon wyprzedził Puskę, który cały czerwony właśnie otwierał usta.

– To jest także mój dom. Nie zapominaj o tym. – Mężczyzna wskazał palcem na McMahona, wbijając w niego swój sępi wzrok.

– Już nie, Arthurze, już nie. Przekreśliłeś swoją szansę, uderzając żonę – spojrzał w notatki – nogą od stołu, a potem wkładając jej rękę do wrzątku.

– Masz na myśli tę puszczałską zdzirę? Bardzo ciekawe. Mów dalej.

– Powtórzę jeszcze raz: co robiłeś na Maybourne Rise? Mamy zeznania świadka.

– Starucha czuwa czy chuda dziwka wam doniosła?

– Mów!

– Przechodziłem tamtędy. – Podłubał paznokciem w szerniałych zębach i pstryknął znaną w nich zawartością przed siebie.

Redfern wiedział, że nic nie ugrają. Arthurson nie bał się kolejnego roku w pace. Z akt wynikało, że regularnie tam trafiał. To było jego środowisko naturalne i odnajdywał się w nim doskonale. Gwałciciele mieli pod górkę, ale on szybko udowodnił, że żaden napakowany mięśniak nie będzie mu podskakiwał. Największemu z nich wbił ołówek w oko, czym przedłużył sobie pobyt o kolejne dwa lata i pozbawił się prawa do odwiedzania więziennej biblioteki.

– Czy rozpoznajesz tę kobietę? – Inspektor rzucił na stół zdjęcia Sokolińskiej z miejsca zbrodni. Miał nadzieję, że zrobią na Arthursonie jakieś wrażenie.

– Ładny naszyjnik – skwitował sine nacięcie pod brodą kobiety. Lubieżnie wpatrywał się w jedno ze zdjęć, po czym dodał: – Aż dziw, że języka nie wyciągnął. Robota profesjonalisty.

– Jak dla mnie, to twoja robota.

– Nie bawię się nożami.

– Wolisz tępe narzędzia? – Tinney nawiązał do *dossier* Arthursona, w którym Redfern znalazł zapis o biciu żony metalową rurką.

– Takie jak ty? – Arthurson się wyszczerzył, na co McMahon zerwał się z siedzenia. – Uważaj, klucha, bo mogę się załonić prawem do zachowania milczenia. – Zbir wbił wzrok w dyszącego Grega. – Swoją drogą musiało was nieźle przypilić, skoro aż trzech pedałów przyszło

do mnie na audiencję. No, chłopcy, mówcie, co tam macie, bo nie mam całego dnia.

– My za to mamy czasu pod dostatkiem – powiedział Tinney, wpatrując się w swój notes.

– Wątpię, śliczny. Wybiło wam niezłe szambo i trzeba szybko powycierać gównem, a zegar tyka.

– Czy rozpoznajesz tę kobietę? – znów odezwał się Redfern. Coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że godząc się na zgarnięcie Arthursona, działał zbyt pochopnie i ośmieszył się podwójnie: przed Elsą i przed samym sobą.

– Pewnie. Widziałem ją. Nawet parę razy.

– Gdzie?

– W gazecie, baranie! – Zakołysał się ze śmiechu, a gdy się uspokoił, powiedział: – Podobna nawet do mojej starej, nie? Kto to, trzecia siostra?

– Co ty bredzisz?

– O, widzę, że wam dużo umknęło z Millers Show. Jak tak prowadzicie całe śledztwo, to Kubę Rozpruwacza znajdziecie równie szybko jak... Kubę Rozpruwacza. Te dwie suki to siostry. One mnie tak załatwiły. Wyszkolone przez tatusia komandosa pizdy! W służbie Jej Królewskiej Mości, psia mać!

– Synthol wszedł ci za mocno? – spytał McMahon. – Jakie siostry, jaki komandos?

– Synek, odrób lekcje, a potem się do mnie zgłoś, dobra? A teraz się odpieprzcie, bo nic na mnie nie macie. Tej ze zdjęcia nie znam, a spacer po Maybourne uznajcie za dogłądanie trzody. Walcie się.

Porażkę, której jeszcze przed chwilą był pewien, Redfern zaczął powoli przekuwać jeśli nie w zwycięstwo, to w poczucie odzyskania gruntu pod nogami. Może nie złapał Millerów na kłamstwie, ale na pewno na ukrywaniu prawdy. Dlaczego Teresa zataiła przed nim fakt, że sąsiadka, do której poszła, to jej krewna? Siostra, a tym samym szwagier z taką przeszłością byli niewygodni. Przed znajomymi można narzekać na patologiczną sąsiadkę do woli, a nawet pokazać, że jest się ponad tym i z dumą opowiadać o gestach pomocy, ale przyznając się, że to nieudana siostra, Teresa podkopałaby swój autorytet, który tak trudno utrzymać na

salonach. Mówiąc: „To moja rodzina”, stwierdziłaby, że jest jej częścią, a stąd już blisko do towarzyskiego strzału w stopę.

Redferna bardziej jednak interesował ojciec komandos. Czy jego miała na myśli Teresa, mówiąc, że dała Sokolińskiej namiary na osoby, które miały jej pomóc odnaleźć wuja? Przyszedł mu do głowy pomysł, gdzie może znaleźć odpowiedź.



Wjechał główną bramą i zatrzymał się przed jedynym oświetlonym oknem w jednym z mnóstwa budynków. Ogromny plac Gordon's School okalały zabudowania, w których chłopcy i od całkiem niedawna dziewczynki kontynuowali edukację na najwyższym poziomie. Dzieci niezwykle zamożnych rodziców po tej szkole miały otwarte drzwi do każdego uniwersytetu w kraju.

Redfern przekroczył próg małego biura, gdzie za wysokim kontuarem siedział mężczyzna w mundurze ochroniarza. Inspektor pomyślał, że staruszek mógłby zatrzymać co najwyżej studentów uniwersytetu trzeciego wieku. Oczywiście jeśli atakowaliby pojedynczo.

– Pan do kogo? – zapytał mężczyzna uprzejmie.

– Inspektor David Redfern. Szukam jednego z uczniów tej szkoły, nazwiskiem Miller.

– Julian – odpowiedział portier. – Czy coś się stało?

– Nie, nic się nie stało. Muszę z nim porozmawiać. Julian jest świadkiem w sprawie.

– Rozumiem, zaraz po niego pójde. Jeśli będzie pan łaskaw wpisać się do księgi gości i poczekać...

– Sprawa jest dość pilna – przerwał mu. – Wolałbym od razu do niego iść.

Tak naprawdę nie chciał dać chłopakowi szansy na skontaktowanie się z matką. Angielskie prawo zezwalało na przesłuchanie dziecka bez pozwolenia i obecności rodziców, ale

Redfern był pewien, że Teresa Miller pojawiłaby się szybciej, niż zdążyłby zadać młodemu pierwsze pytanie, i przekreśliła szansę na uzyskanie szczerych odpowiedzi.

Portier zastanawiał się chwilę, po czym westchnął i poprowadził Redferna do dormitoriów, które znajdowały się w budynku na tyłach szkoły.

– Zgadzam się tylko dlatego, że w internacie nie ma innych uczniów – oznajmił, gdy wspinali się po schodach. Wąska drewniana konstrukcja trzeszczała przy każdym kroku.

– Doceniam i dziękuję – odrzekł Redfern.

W połowie korytarza zobaczyli światło padające spod drzwi. Słuchać było przytłumiony męski głos, którego rytm wydał się inspektorowi znajomy. Portier wyciągnął rękę, by zapukać, ale Redfern powstrzymał go gestem. Nie mylił się – w środku ktoś mówił po polsku. Starszy mężczyzna nie dał mu przetrwać tej informacji i zastukał do drzwi. Po standardowym okrzyku „Moment!” stanął w nich młody, wysoki blondyn.

– Dobry wieczór, Julianie. Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest ze mną pan policjant, który przyszedł zadać ci kilka pytań – zapowiedział ochroniarz i zniknął w ciemnym korytarzu.

– Policjant? Yyy – speszył się chłopak. – Jasne, niech pan wchodzi.

W pokoju panował półmrok. Jedynym źródłem światła była halogenowa lampka biurowa, która rzucała na blat lodowaty okrąg. Redfern myślał, że zastanie typowy dla chłopców bałagan, ale zapomniał, że znajduje się w szkole o silnych wojskowych tradycjach. Czuł się nieco skrępowany, siadając na idealnie zaścielonym łóżku. Julian Miller zajął miejsce przy biurku, na którym leżały tylko książka, notatnik i eleganckie pióro. Inspektor nie zauważył komputera ani innej elektroniki.

– Nazywam się David Redfern i jestem inspektorem policji – odezwał się po polsku, co wywołało na twarzy chłopaka niemały szok. Jednak poprawność, tak ostro szlifowana w szkole i w domu, nie pozwoliła mu niczego skomentować. Zamiast tego odpowiedział również w tym języku:

– Skąd pan wiedział?

– Słyszałem, jak rozmawiasz z kimś przez telefon.

– Tak, z mamą. – Uniósł się lekko na łokciu i wydobył komórkę z tylnej kieszeni, po czym położył ją równo na blacie. – Wcale się tym nie chwale.

– Chciałem zapytać o ubiegłą sobotę. – Redfern uznał, że na pytania o pochodzenie przyjdzie jeszcze czas. Musiał najpierw utwardzić grunt. – Pamiętasz tamten wieczór, kiedy przyszli Sokolińscy?

– Tak, przyjechałem na weekend do domu, ale ich samych nie widziałem. To znaczy chyba widziałem tę kobietę u nas w ogrodzie, koło basenu. Stała przy ogrodzeniu i paliła. Potem zgasiła papierosa i weszła do domu. Pewności nie mam, bo było ciemno – dodał. – Wiem tyle, że w którymś momencie zrobili się dość głośni.

– Kłócili się?

– Nie wiem, naprawdę. Mój pokój jest na końcu domu. Miałem zamknięte drzwi i włączoną muzykę. Szykowałem się do wyjścia.

– Mogę wiedzieć, dokąd się wybierałeś?

– Miałem jechać z Adamem do Guildford na imprezę.

– Na dziewczyny? – Daremna próba udawania luzaka spotkała się z kwaśną miną Juliana.

– Eee, nie. On to lubi starsze babki. Dziwne to trochę, ale każdy przecież ma jakieś zajawki.

– Słyszałem, że twój kuzyn jest niepełnosprawny – powiedział Redfern, wracając do właściwego sobie tonu.

– To znaczy, że ma nigdzie nie wychodzić i umrzeć w domu? – prychnął chłopak. Złość podkreślona niebieskawym światłem lampki sprawiła, że tym momencie był bardzo podobny do matki. – Niech pan nie będzie śmieszny! On jest całkiem fajny, może trochę dziecinny i mało inteligentny, ale spoko. Oczywiście póki się nie wkurzy – dodał. – Też bym się wkurzał, jakbym nie miał nóg. On czasem wpada w te swoje stany, a wtedy to tylko moja matka może go uspokoić. Dziwne, że mnie tak działa na nerwy, a Adam pokornieje przy niej jak baranek.

– To dlatego jesteś w internacie, zamiast spędzać ferie w domu – stwierdził Redfern, mając nadzieję, że uderza w odpowiednią strunę.

– Matka ma swoją wizję świata, której ja nie popieram. – Julian zaczął lekko obracać się na krześle, ćwierć obrotu w jedną stronę

i ćwierć obrotu w drugą. – Zrobiła mnie patriotą nie mojego kraju, wie pan? Bo co ja niby mam wspólnego z Polską? Babcię tam mam od strony ojca i paru kuzynów. Pan to powinien rozumieć. Pan to chociaż jednego z rodziców miał... – Otaksował wzrokiem karnację Redferna. – No w każdym razie bardziej stąd. Matka nauczyła mnie polskiego, ale jaki z tego pożytek? Nie jestem ani Polakiem, ani Anglikiem i zawsze za to obrywałem. Nawet w zeszłym roku na Euro nie wiedziałem, komu kibicować. Głupie, co? A matka mi wyjechała wtedy z tym Wembley w siedemdziesiątym trzecim. Żenada. W ogóle ona ma jobla na punkcie przeszłości. Udziela się w tej organizacji od starych grobów, jakby nic innego nie istniało. Latała nawet do Warszawy przeglądać jakieś papiery, a jak się pojawiła ta kobieta z Polski, to już w ogóle totalna szajba. Niech pan nie myśli, że jestem niewdzięczny i tylko obrażam rodziców. Nawet rozumiem matkę. Dziadek to był surowy, stary żołnierz i wierny Polsce jak pies, choć służył w Anglii. Wujek... – zawahał się – znaczy Arthur powiedział kiedyś, że to dzięki jego pracy matka i ciotka Christine mieszkają na Maybourne Rise.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Nazywał się Jafra. Dziadek zmarł, zanim się urodziłem, ale matka stale mi o nim przypomina.

Czyli to nie z nim miała się spotkać Sokolińska. David zapisał w notesie nazwisko krewnego chłopaka i przeszedł do pytań z innej puli. Jafre znajdzie w inny sposób.

– A twój wuj?

– Ten recydywista? Niech pan nawet nie pyta. Świr i tyle. To, że nie zabił ciotki Christine, to jakiś cud. Obijał przy każdej okazji ją i Adama. To podobno jego sprawka, że mój kuzyn się taki urodził. Dobrze, że moja matka zrobiła z nim porządek.

„Porządek”, zapisał Redfern i podkreślił parokrotnie.

– Wróćmy na chwilę do tej imprezy. Twoja matka wiedziała, gdzie się wybieracie?

– Oszalał pan? Obie z ciotką by nas zabiły, a ojciec podpaliłby nasze ciała i patrzył, jak płoną.

– To jak chcieliście się wymknąć niezauważeni?

– Adam powiedział, że ciotka trochę u nas wypła, więc mieliśmy nadzieję, że szybko pójdzie spać. Ja miałem luz, bo starzy byli zajęci gośćmi.

– Pojechaliście na tę imprezę?

– Nie. Adam wysłał mi wiadomość, że nie da rady.

– Widziałeś samochód pod waszym domem? Duży i ciemny?

– Jasne, sam zamówiłem taksówkę i kazałem kierowcy zatrzymać się dwa domy dalej, żeby starzy się nie skapnęli. Facet chyba musiał być wściekły, że mu przepadł kurs.

– A pamiętasz, jak zamówiłeś samochód?

– Tak, zadzwoniłem do Galaxy.

– Jesteś pewien, że nie widziałeś Sokolińskich tego wieczora?

– Nie, ale trochę mi za nich wstyd.

– Dlaczego?

– Wie pan, bo to taki stereotyp jest...

– Jaki stereotyp? – dopytywał Redfern, choć pomyślał o tym, że tego wieczora Sokoliński i Miller przesadzili z alkoholem.

– No o Polakach w Anglii...

– Mów jaśniej.

– Bo ten facet buchnął mi buty...

– Buty? – zdziwił się Redfern.

– No ja wiem, że w Polsce to się ludziom nie przelewa. – Julian się skrzywił, jakby przeproszał za każde słowo.

– Mówiłeś o tym mamie?

– Tak, ale się wściekła. Jeśli chodzi o naszych rodaków, to ona nie da sobie nic powiedzieć. Są święci.

Redfern pożegnał się z chłopakiem i myśląc o świętości, dochodził do wniosku, że im dłużej tkwi w tym śledztwie, tym więcej ma wątpliwości.

Semper fidelis, przeczytał na kutej bramie, kiedy otwierała się przed nim z piskiem. Jafra też zdawał się zawsze wierny, jak wyraził się jego wnuk, i nauczył tego swoje córki. Redfern opuścił Gordon's School zadowolony, choć spodziewał się, że niedługo odbierze telefon od wściekłej Millerowej. Smycz prawa trzymała jednak krótko takie mamuśki. Mógł bez jej zgody i wiedzy przesłuchać Juliana, ale szczerze liczył, że ona na to mocno zareaguje.

Wiedział, że wieczór w ich domu nie przebiegał tak, jak to przedstawiali Millerowie, a kłótnia, o której wspominał chłopak, mogła skrywać klucz do całej zagadki. Miał jednak wrażenie, że Julian powiedział coś bardzo ważnego i nie miało to związku z awanturą.

Mijając stację benzynową w Chobham, David zdał sobie sprawę, że jedzie do Marty z pustymi rękami. Powinien coś kupić, ale rozglądając się po sklepie, nie znalazł niczego sensownego. Nie mógł się zdecydować między olejem syntetycznym, małym kanistrem a choinką zapachową. Zrezygnowany wziął z półki *lemon drizzle* i paczkę quaversów i poszedł do kasy. Nagle zdał sobie sprawę, że patrzy na prezent idealny. Podał wszystko kasjerowi.

– Jeszcze to.

Sprzedawca odprowadził go do wyjścia zdziwionym wzrokiem. Nie zwracając na to uwagi, Redfern wsiadł do samochodu i odjechał w stronę Woking. Zastanawiał się, czy nie wygłupi się przed Martą z tymi prezentami, kiedy minął znajomy zielony szyld: „Longacres Garden Shop”. Zahamował ostro i zjechał do zatoczki. W domu w głębi placu świeciło się światło. Zachęcony tym Redfern wyciągnął ze schowka wizytówkę starego kwiaciarza i wybrał na telefonie jego numer. Okazja co prawda nie była weselem, o którym mówił staruszek, ale kto wie, pomyślał zadowolony z siebie Redfern.



– Kwiaty i przekąski to ja rozumiem. – Marta oglądała z rozbawieniem podarunek. – Ale mapa samochodowa Surrey?!

Spróbuj znaleźć oryginalny prezent na stacji benzynowej o dziewiątej wieczorem, zaśmiał się w duchu David, patrząc, jak zachwycona Marta wkłada do umywalki największy i najpiękniejszy bukiet, jaki widział w życiu.

– Pomyślałem, że dzięki niej jeszcze tutaj trafisz – powiedział, siadając na fotelu. Szafy były otwarte i prawie puste. W rogu pokoju

widział gotową do wyjazdu walizkę i poczuł lekki zawód.

– Za żadne skarby – wyznała. – Woking to trupia farma. Wiedziałeś, że ten cmentarz w Brookwood to była największa nekropolia w Europie? Większość postawionych tu domów stoi na cmentarzu. Jak u Stephena Kinga.

– Wiedziałem. Tyle że na tych ziemiach nigdy nie było cmentarza. Po prostu The London Necropolis Company sprzedawała ją, bo przeliczyła się co do liczby zwłok i nie potrzebowała aż tylu hektarów. Medycyna poszła do przodu...

– Jak zwał, tak zwał – weszła mu słowo kobieta. – Jak wchodzisz na cmentarz, to tam, gdzie nie ma nagrobków, mówisz, że to nie cmentarz? – Nie dała się przekonać. – A wiedziałeś, że tamto krematorium było pierwsze w Anglii i że zaszczytu jazdy testowej dostąpił koń?

– Tego akurat nie.

Zauważył jej zdenerwowanie i potok słów, którym usiłowała je zamaskować. Nie wiedział, jak jej dać do zrozumienia, że tak naprawdę przyszedł się nią nacieszyć.

– Widzisz, całe to Woking to truposzarnia – podsumowała i wyciągnęła z nocnej szafki butelkę wina. – Korkociąg kupiłam, ale nie mam kieliszków, więc będzie z gwinta. Dzisiaj już mi kompletnie nie zależy na kurtuazji.

– Mam pomysł. – Poszedł do łazienki i przyniósł dwie szklanki do mycia zębów, jakie zwykle bywają w porządnym hotelach. Przetarł je podkoszulką i postawił na stole. – Teraz będzie kurtuazja.

– Muszę z tym uważać, bo mnie do samolotu nie wpuszczą. – Wskazała na butelkę, z którą siłował się Redfern.

– Lecisz dopiero jutro wieczorem. – Stęknął i korek w końcu ustąpił, uwalniając lekko kwaśny aromat.

– No, ale jak im na kacu zarzygam pół lotniska, to raczej żadna linia lotnicza nie będzie mnie chciała gościć na swoim pokładzie.

David napełnił szklanki i uniósł lekko jedną z nich, chcąc wznieść toast, ale Marta go uprzedziła.

– Za ojców – powiedziała smutno, po czym wypita połowę zawartości. Redfern zrobił to samo.

Rzadko pił alkohol, toteż jego skutki odczuł natychmiast. Lekko zaszumiało mu w głowie, a w kolanach poczuł rozpieranie napływającej szybko krwi. Chciał opowiedzieć o sprawie Adriana i swoim wahaniu, o tym, że się boi, ale zamiast tego usłyszał, jak z jego ust popłynęła zupełnie inna opowieść.

– Ja też kiedyś kogoś straciłem – powiedział i opróżnił szklanę. – Siostrę. Miała dziewięć lat, a ja jedenaście. Było lato, a my spędzaliśmy z dziadkiem najpiękniejsze wakacje nad najpiękniejszym jeziorem w całej Anglii. Razem z bratem kąpaliśmy się, jedliśmy lody i graliśmy w karty na kocu. W pewnym momencie Dominique poszła do toalety. Nigdy z niej nie wróciła. Policjanci uznali, że musiała wejść do wody i się utopić, ale ja w to nie wierzyłem. Dlatego wspólnie z przyjacielem wstąpiliśmy do policji. Chcieliśmy ją odnaleźć. Myślę, że funkcjonariusze mieli rację, ale nigdy nie przestałem jej szukać. Chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło podczas tamtych wakacji, tak jak teraz chcę wiedzieć, dlaczego Adrian Bones musiał zginąć i dlaczego komuś tak bardzo zależy na tym, by mi przeszkodzić.

– Więc to jest ta sprawa, nad którą pracujesz?

Redfern w milczeniu pokiwał głową.

– Stałeś się łatwym celem – oznajmiła nagle.

– Jestem policjantem, więc chyba nie do końca.

– Nie chodzi o twój zawód, tylko o to, że nie masz nikogo, kto by cię osłonił, z kim mógłbyś wspólnie walczyć.

– Może, ale jednocześnie nikogo nie muszę osłaniać.

– Pieprzysz. Prosta rzecz. Myślisz, że jakbyś miał rodzinę, to tamten facet tak łatwo by się do ciebie dostał? Zabiłby się o jakąś zabawkę twojego dzieciaka albo został nakryty przez żonę, która wróciła do mieszkania, bo po raz setny zapomniała zabrać smoczek czy zapasową pieluchę. Oczywiście żartuję, ale wiesz, w czym rzecz. Zamiast się zastanawiać, jak dorwać skurczybyka, chciałbyś chronić bliskich i samego siebie. Zgłosiłbyś włamanie, a potem poszedłbyś do kumpli i prosił o pomoc. Ale ty nikogo nie masz i nikomu nie ufasz.

– A ty? – obruszył się. – Udzielasz mi rad, a sama co? Masz kogo chronić?

– Miałam, ale mój mąż uznał, że musi ochraniać młodszą i ładniejszą. – Upiła spory łyk. – Nawet go nie winię. Nie pasowaliśmy do siebie. Otoczyłam się przyjaciółmi, bo mam świadomość, że działając w pojedynkę, jesteśmy skazani na porażkę. Samotność, Dawid, to nie tarcza, ale biała flaga.

– To co, twoim zdaniem, mam teraz zrobić?

– Pokazać szefowi zdjęcia.

– Zwariowałaś?

– Musisz mieć jakiś dupochron – nalegała. – Zaufaj chociaż jednej osobie.

– Problem polega na tym, że mam przeczucie, że szantażysta to ktoś z mojego otoczenia.

– To kup sobie chociaż psa i wymień zamki – podsumowała i napełniła szklanki winem.

Późny wieczór niespostrzeżenie przeszedł w noc i David poczuł, że czas się pożegnać. Miał nadzieję, że Marta pod wpływem chwili zmieni zdanie i przełoży swój wyjazd. Obiecał sobie, że rano zadzwoni do koronera i zapyta, czy wystawił już zgodę na wydanie zwłok. Wtedy złoży na niej swój podpis i dopilnuje, by Mariusz Sokoliński wrócił do kraju. Tylko tyle mógł zrobić.

– Nie chcesz poczekać na ojca?

– Nie. – Wstała i zaczęła opróżniać szufladę szafki nocnej, unikając jego wzroku. – Muszę wrócić do pracy, zorganizować pogrzeb w kraju i jak najszybciej o tym wszystkim zapomnieć.

– Rozumiem cię.

– Wiem. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś. – Podeszła do niego i pogładziła go po policzku. Złapał za jej dłoń i pocałował jej wnętrze. Było ciepło i pachniało wiśniami. Siedząc, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Wtulił się w jej brzuch, a palce dziewczyny zatopiły się w jego włosach. Potem wstał, a ona obdarowała go pocałunkiem o smaku wina i łez. Zatopiła się w jego ramionach, a on każdym zmysłem chłonał jej ciepło i zapach. Stali tak dłuższy czas.

– Muszę się pakować.

– Wiem – odparł i przytulił ją jeszcze mocniej.

ROZDZIAŁ X

Wtorek, 15.10.2013

Obudził się z potężnym kacem – i zupełnie nie chodziło o ilość wypitego alkoholu. Był zły i na siebie, i na Martę. Powinien ją przekonać, żeby została do pogrzebu ojca i zabrała rodziców razem do domu. Niestety żadne logiczne argumenty, nawet te finansowe, do niej nie trafiały. Zyskał tyle, że pozwoliła się odwieźć na lotnisko. Podczas jazdy do Luton będą mieli jeszcze co najmniej godzinę.

Redfern spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Tinney pewnie już czeka na niego pod centrum. Odświeżył się i ubrał. Na śniadanie nie starczyło mu już czasu, więc wepchnął sobie suchą bułkę do ust i zapił wodą z kranu. Na taki brak szacunku jego żołądek odpowiedział potężnym skurczem. Odpuścił dopiero, kiedy David przechodził na drugą stronę Victoria Road.

Puszki nie było przed centrum, więc Redfern wszedł do środka. Spodziewał się zapachu starości, jaki zwykle panuje w takich miejscach, ale zamiast tego otoczyła go papierowa woń drukarni. Zza ogromnej lady uśmiechała się do niego kobieta w średnim wieku i z dużą nadwagą. Powiedział, że czeka na kolegę, ale wyjaśniła, że młody człowiek jest już w głównej sali i przegląda zamówione z archiwum dokumenty. David z uznaniem stwierdził, że Christopher z każdym dniem udowadnia, że zasługuje na przeniesienie.

Redfern wypełnił krótki formularz i po chwili trzymał w rękach kartę, która uprawniała go do wypożyczenia materiałów centrum.

Minął automatyczne drzwi, które otworzyły się z metalicznym chrzęstem, i znalazł się w ogromnej sali pełnej biurkom komputerowych. Przy kilku z nich zobaczył mocno skupionych ludzi, którzy rytmicznie stukali w klawiatury. Inni siedzieli przy dużych stołach i wertowali wypożyczone dokumenty. Ilekroć wracał z Morrisona i mijał budynek centrum, wyobrażał sobie je jako zapomniany, pusty skansen. Tym bardziej zaskoczyła go frekwencja. Dostrzegł, że po prawej stronie ustawiono przepastne stoły do przeglądania map, a w rogu półki z dziesiątkami segregatorów różnej grubości. Przy jednej z nich zobaczył Tinneya, który jeździł palcem po czarnych grzbietach, wyraźnie czegoś szukając. Redfern podszedł do kolegi i szepnął:

– Masz coś?

– Niewiele. Jak na razie udało mi się dokopać do daty śmierci Jana Jafry. Czwarty października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego. Jest nekrolog w gazecie.

– Coś jeszcze?

– Dopiero przyszedłem – usprawiedliwił się Christopher i wskazał brodą na biurko w końcu sali. Piętrzyły się na nim szare i zielone teczki. – Możesz zasiadać. Ja muszę sprawdzić jeszcze jeden rekord.

Z sufitu sączyło się światło jarzeniówek, które mruczały przyjemnie, tworząc tło dla cichych postukiwań w klawiatury. Redfern podszedł do stołu i poczuł się jak w drogiej restauracji, kiedy nie wiadomo, z których sztuczków skorzystać. Spojrzał na pracującą obok starszą kobietę, która w skupieniu przeglądała jakiś rękopis ułożony na grubej gąbce, strukturą podobnej do tej używanej przez florystów. Rozejrzał się w poszukiwaniu tego samego.

Z pomocą przyszedł mu Tinney, taszcząc cztery szare bloczki. Złożył je na kształt pulpitu pod mszał, wyglądając przy tym jak przerośnięty przedszkolak układający gigantyczne piankowe klocki. Na nich spoczęła zawartość najcieńszej teczki. Z pierwszej strony pożółkłej gazety patrzył na niego kardynał Hlond. Poważny kapłan siedział w otoczeniu uśmiechniętych księży, ale podpis pod fotografią, który mówił, że to ostatnie ujęcie duchownego, nie napawał optymizmem. Tytuł artykułu zmroził inspektorowi krew w żyłach – *Aresztowania wśród duchowieństwa polskiego.*

Zakonspirowany terror – nowa metoda bezpieczeństwa. Redfern spojrział na datę i tytuł periodyku: „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, dwudziesty szósty lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, czyli dopiero początek terroru, który na blisko pięćdziesiąt lat rozlał się krwawą plamą po Polsce.

Otwierali kolejno teczki z gazetami mającymi związek z polskimi emigrantami. Tinney wziął na siebie tytuły takie jak „Surrey Advertiser”, w którym znalazł informację o utworzeniu obozu Tweedsmuir. Wskazał Redfernowi palcem kilka ustępów, w których w oczy rzucały się takie słowa jak „niechęć” czy „burzliwa dyskusja”. Potwierdziło się to, o czym mówił sir Young – Anglicy niespecjalnie cieszyli się na nowych przybyszów. Podzielił się tą myślą z Chrisem.

– Wiesz – zaczął niepewnie młody policjant – to trochę tak, jakbyś poprosił sąsiada o przycięcie trawnika, a on po skończonej robocie zostaje u ciebie w domu.

– A co, jeśli sąsiadowi w czasie, gdy strzygł twój trawnik, spalił się dom albo załęgło się w nim robactwo?

– Wtedy pomagasz mu go odbudować.

Redfern tylko uniósł brew. Spotkał się już z takim stanowiskiem i wszelkie próby jego zmiany spełzały na niczym. Rozumiał argumenty o powojennym bezrobociu i związaną z nim niepewnością Brytyjczyków. Wiedział jednak, że w przeciwieństwie do innych krajów Anglia nie zmagала się w tym czasie z głodem, który wydobywa z ludzi najdziksze instynkty. Słyszał od rodziców ojca jedynie o racjonowaniu żywności i paczkach z puszkami brzoskwiń zza oceanu. Ale tu chodziło o coś zupełnie innego. Obcy pozostaje obcym, nie chcemy jego problemów na swoim podwórku, choćbyśmy mu zawdzięczali ocalenie tego podwórka.

– Tu nic nie znajdziemy. – Z ponurych przemyśleń wyrwał go szept Tinneya, który zawiązywał właśnie jedną z teczek. – Odniesiesz?

– Jasne – odparł, wciąż zamyślony.

Zebrał teczki w jeden stos i zaniósł do biurka w końcu sali. Za błyszczącym drewnianym blatem siedział łysawy mężczyzna w okularach. Jego strój bardziej pasował do biur *open space* na Canary Wharf i Redfern poczuł się głupio w swoich lewisach i wyświechtanej marynarce. Na widok policjanta starszy pan

uśmiechnął się szeroko, ale nic nie powiedział. Kiwając głową, jakby w myślach odtwarzał jakąś skoczną melodię, odebrał woluminy i ku zdziwieniu policjanta pojedynczo kładł je na wadze jubilerskiej. Wyciągnął z rynienki odpowiedni formularz i zanotował wynik. Na każdym dokumencie inspektor zauważył podpis Tinneya.

– Panowie jeszcze coś zamawiali, prawda? – szepnął staruszek.

– Tak – odparł niepewnie. – Chyba tak.

– Zaraz sprawdzę, czy materiały są gotowe. – Odwrócił się do regału za nim i przejrzał wszystkie przegródki.

– Proszę, tu jest reszta! – usłyszał za sobą Redfern.

Zupełnie nie zauważył, że ktoś do niego poszedł. Szczupła i wysoka Angielka uśmiechała się do niego, trzymając w ręku kolejne teczki.

– Nazywam się Di Stiff. – Odłożyła teczki na biurko i podała Redfernowi rękę. Miała zdecydowany uścisk i bardzo ciepłą dłoń. – Jestem dyrektorem centrum i archiwistką. Bardzo się cieszę, że interesują pana zbiory dotyczące Tweedsmuir.

Redfern przez chwilę się zastanawiał, czy zdradzać prawdziwy powód ich wizyty, ale ostatecznie się rozmyślił. Wiedział, że ludzie często są bardziej skorzy do współpracy, jeśli nie stoją na oficjalnych ścieżkach.

– W ostatnim czasie odwiedziła nas też jedna pani z Polski, którą bardzo interesowały materiały o obozie. Ktoś z jej krewnych mieszkał w Tweedsmuir i bardzo chciała się dowiedzieć, jak wyglądało życie tam.

Redfern nie miał wątpliwości, że chodzi o Bożenę. Dałby sobie rękę obciąć, że nie szukała informacji o obozowej codzienności, a to, co odkryła, zaprowadziło ją na Pyle Hill.

– Bo to bardzo ciekawa historia – odparł po chwili. – Przygotowuję się do napisania romansu na jej podstawie.

– Och, to wspaniale! – ucieszyła się kobieta, po czym zalała go potokiem podnieconego szeptu. – Niedawno przygotowaliśmy reportaż o Tweedsmuir. Jest tu wciąż kilku pasjonatów tego miejsca. Najwięksi to chyba bracia Rogalscy, Wies i Zen, którzy spędzili tam dzieciństwo. Wspólnie z nimi urządzaliśmy w ubiegłym roku wystawę w Tilford. Na otwarciu był nawet polski konsul...

– W którym to jest miejscu? – przerwał jej Redfern.

– Konkretnie w Rural Life Centre koło Farnham. Bardzo panu polecam wizytę tam, dużo pamiątek, zdjęć. Na pewno pana zainspirują!

Redfern wyciągnął notes z marynarki i zapisał usłyszane informacje. Z rozbawieniem stwierdził, że legitymacja pisarza działa dużo lepiej niż ta policyjna. Kilka osób z ciekawością odwróciło głowę w ich stronę. Reszta udawała, że pracuje, ale inspektor zauważył, że kartki są przekładane znacznie wolniej, a ołówki przestały śmigać po papierze. Di Stiff, nie przestając się uśmiechać, mówiła dalej, nie siląc się już na szept.

– Parę lat temu zebraliśmy kilka osób, które pamiętają życie obozowe, i nakręciliśmy reportaż. W ogóle powinien się pan skontaktować z Zenem Rogalskim. Wspólnie z bratem napisał książkę o obozie. Jest w naszych zbiorach.

– Czy mogę ją wypożyczyć, znaczy wziąć do domu?

– Do domu? – Kobieta wyglądała, jakby Redfern zaproponował jej wrzucenie książki do niszcarki. – Nie, przykro mi, ale to niemożliwe.

Przeszło mu przez myśl, żeby zakończyć te przebieranki i wyciągnąć blachę, ale ostatecznie powiedział:

– A film? Jest gdzieś dostępny w internecie?

Pytanie starło resztkę radości z twarzy dyrektorki.

– Nie, mamy go na płycie. Zaraz zlecę, by panu ją udostępniono – powiedziała, po czym zwróciła się do staruszka w nienagannym garniturze: – Dan, znajdź, proszę, płytę o Tweedsmuir i przygotuj stanowisko.

Mężczyzna kiwnął głową i szurając miękkimi kapciami o wykładzinę, poszedł w stronę głównego wejścia.

– Bardzo pani dziękuję.

– Żaden problem. – Niedawny uśmiech wrócił na twarz kobiety. – Tak jak mówiłam, powinien się pan skontaktować z Zenem. Nie jestem pewna, w jakiej jest teraz kondycji, ale jeśli napisze pan do niego maila, z pewnością chętnie odpowie. Musi się pan jednak uzbroić w cierpliwość. Gdyby pan czegoś jeszcze potrzebował, proszę się do mnie zgłosić. Mail Rogalskiego zostawię u Helen. – Wskazała brodą na recepcję i się pożegnała.

Po chwili wrócił Dan z kolejną teczką pod pachą. Poinformował krótko, że płytę przygotowuje informatyk, i zabrał się do ważenia teczek. Redfern w tym czasie podpisał *in blanco* kilka formularzy pobrania materiałów. Gdy staruszek wpisał ich wagę, policjant zebrał te czki i poszedł do Tinneya, który kończył składać ostatnią gazetę.

– No i jak?

– Same pudła. – Wzruszył ramionami. – Nie ma listy przebywających w obozie. Nie wiemy nawet, czy był tam Biernat.

– Nie wiemy – rzucił Redfern, rozsypując sznurkową kokardę. – Ale Bożena szukała tutaj o nim informacji i jestem pewien, że na coś trafiła.

– To co, kopujemy dalej? – spytał Chris, wyciągając kolejne papiery z teczek. Redfern zauważył jakieś certyfikaty i legitymacje. Ostrożnie wziął jedną do ręki, uważając, by płócienna czerwona okładka nie rozpadła się na kawałki.

Soldier's Service And Pay Book, przeczytał w myślach i rozłożył dokument, który przypominał mu stary dowód osobisty, którym posługiwał się kiedyś Siwiaszczyk. Był tylko trochę większy i w twardej oprawie pokrytej płótnem. Na pożółkłym papierze fantazyjnym pismem skreślono nazwisko żołnierza – Modzelan Edward, datę urodzenia – dwudziesty siódmy kwietnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku oraz, ku zdziwieniu Redferna, przynależność religijną. Narodowość rodziców zamazano czarnym tuszem i policjant w żaden sposób nie mógł jej odczytać. Przełożył kilka stron i natrafił na rozkaz wpisany przez dowódcę dywizjonu, którego nazwiska nie udało mu się rozszyfrować. Wydane przez niego dyspozycje też były dla Redferna niejasne – szereg cyfr poprzedzielanych ukośnikami i kolejna data, tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty.

– Dave, tu chyba nic nie znajdziemy – westchnął zrezygnowany Tinney.

– Nie w tych warunkach – odparł Redfern, po czym wstał i poszedł do lady przy wejściu. Siedząca za nią kobieta wodziła wzrokiem po monitorze, od czasu do czasu klikając myszką. Gdy tylko oparł

łokcie o blat, odgródzone od świata grubymi szklami oczy powędrowały w stronę inspektora.

– Chciałem zapytać o możliwość skserowania materiałów – zaczął.

– Kopia ma być czarno-biała czy kolorowa?

– Czarno-biała.

– Funt dwadzieścia za stronę. – Kobieta się uśmiechnęła, ale widok miny Redferna sprawił, że natychmiast spoważniała. Policjant spojrzał wymownie w stronę Tinneya, przed którym piętrzył się stos teczek. Skopiowanie każdego świstka równałoby się z bankructwem. Machina biurokratyczna była jednak doskonale naoliwiona i działała bez zarzutu.

– Och, zawsze może pan pracować tutaj albo wybrać tylko najpotrzebniejsze dokumenty – doradziła serdecznie, choć Redfern wyczuwał w tym kąśliwą nutę.

– Chyba ma pani rację. Dziękuję za radę – powiedział i jak niepyszny wrócił do Chrisa.

– Funt dwadzieścia za kopię, wyobrażasz sobie?! – szepnął, gdy zrównał się z policjantem.

– Dobrze, że są aparaty w komórkach. – Tinney rozciągnął usta w szelmowskim uśmiechu, rzucając przelotne spojrzenie na okalający ich mur z teczek.

– Puszka, z takim podejściem zostaniesz komendantem jeszcze w tej dekadzie.

Chris z szelestem przewrócił stronę gazety, udając, że nie usłyszał.

– Przerzuciliśmy tonę papierów, ale nie ma w nich nawet wzmianki o Biernacie, żadnego dokumentu świadczącego o jego życiu w obozie. Może Bożena szukała czegoś zupełnie innego?

Kątem oka Redfern zauważył, że zbliża się do nich Di z kolejną teczką. Mimo grubej wykładziny stukot jej obcasów wypełniał całą salę. Inspektor zdziwił się, że tak drobna osoba może tak tupać.

– Proszę. Tu jest książka braci Rogalskich. – Podała Redfernowi granatowy wolumin. – Znajdzie pan tu wspomnienia kilku mieszkańców obozu, a także jego historię oraz opis życia codziennego.

Inspektor wziął od niej książkę i położył na biurku. Na okładce ozdobionej polskim godłem narodowym oraz kolorowym ludowym

wzorem przeczytał: *The Polish Community in Tweedsmuir Camp, Thursley in Surrey*. Tak jak przypuszczał, autorzy książki o życiu polskiej społeczności w obozie, Wies i Zen, okazali się Wiesławem i Zenonem, którym po angielsku obcięto końcówki.

– Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić? – usłyszał ciepły głos dyrektorki.

– Właściwie to tak – odparł Redfern. – Przyznam, że poruszamy się z moim asystentem nieco po omacku. Mówiła pani, że odwiedziła was ostatnio jakaś Polka. Czy jest możliwość sprawdzenia, co oglądała? Bardzo by nam to ułatwiło zadanie, moglibyśmy wtedy szybciej dotrzeć do ciekawych informacji.

– Nie ma najmniejszego problemu. Zaraz sprawdzę rekordy i na jutro możemy wszystko przygotować. A tymczasem może pan już obejrzeć reportaż. – Wskazała dłonią komputer w końcu sali, zza którego machał do nich łysy mężczyzna.

Redfern usiadł w wygodnym fotelu i założył słuchawki. Informatyk wybrał odpowiedni plik i uruchomił go. Inspektor nawet nie zauważył, że został sam, kiedy popłynęły pierwsze takty Szopenowskiego *Preludium Des-dur*, a czarny do tej pory ekran rozświetlił tytuł po angielsku: *In their Own Words: The Polish Community in Tweedsmuir Camp, Surrey after WWII. Ich własnymi słowami: Polska społeczność obozu Tweedsmuir, Surrey po II wojnie światowej*. Reportaż rozpoczynał się od przypomnienia historii obozu. Redfern złapał za suwak i przesunął do miejsca, gdzie pojawili się bohaterowie filmu.

W luźnym reportażu oprócz faktów historycznych autorzy pokazali liczne zdjęcia i pamiątki związane z Tweedsmuir, uzupełniając je komentarzami dawnych mieszkańców. Szczególnie jeden przykuł uwagę inspektora. Wies Rogalski opowiadał o lekcji w angielskiej szkole, podczas której nauczyciel kazał dzieciom narysować ich dom. Kilkuletni wówczas chłopak mieszkał, jak większość imigrantów, w baraku w kształcie beczki, ale nie chciał, by inne dzieci się o tym dowiedziały. Przerysował więc pracę kolegi – ceglany dom z prostokątnymi oknami i trójkątnym dachem. Nauczyciel podszedł do niego, wziął pracę i ze śmiechem oznajmił, że przecież to nie jest jego prawdziwy dom. W Redfernie wezbrała fala gniewu na tę

podłość. Była to jednak jedyna smutna opowieść autorów. Wielu z nich otrzymało wsparcie od swoich pedagogów i każdy osiągnął mniejszy lub większy sukces: Elisabeth Hopkins została szefową siedmiu aptek, bracia Rogalscy – zasłużonymi nauczycielami, a Waldue Adamek – oficerem Royal Navy. David przypomniał sobie Petera Younga. Skończył oglądać film i wrócił do Puszki, który wciąż pochylał się nad starymi dokumentami.

– Co nam daje kłótnia sprzed siedemdziesięciu lat? – powątpiewał Tinney, kiedy usłyszał opowieść Redferna.

– Jeszcze nie wiem. Spróbujmy namierzyć tego Biernata. – Wskazał brodą na czytnik mikrofilmów.

– Nie tym razem, stary. – Tinney pokręcił głową. – Mikrofilmy się zamawia i czeka, aż ktoś je przygotuje. To nie biblioteka. Możemy spróbować jutro.

– Dobrze. Możesz to załatwić?

– Pewnie, a ty?

– Chcę wyjaśnić trochę późniejszą kłótnię.



Odkąd zobaczył go parę lat temu, klinkierowy biurowiec Capgemini napawał Redferna niepokojem. Budynek nigdy nie spał. Otoczony ramieniem wiaduktu Lockfield Drive pozwalał zaglądać do okien na najwyższych piętrach. Nawet późną nocą w mrocznej i posępnej ścianie odcinało się kilka rozświetlonych pomieszczeń, niczym okolicznościowe znaczki w klaserze – tu z postacią zgarbionego komputerowca, który ma czoło zroszone stresem i plecy przygniecione deadline’em. Redfern wzdrygnął się na samą myśl, choć w świetle poranka folwark Millera nie kojarzył się ze współczesnym niewolnictwem. Przeciwnie – mijali go sami uśmiechnięci, ubrani w eleganckie stroje ludzie. Połykani przez szklane drzwi, znikali w świetle, który Redfern z wiekiem przestawał rozumieć.

Biuro Waltera Millera miało chyba najładniejszy widok. Redfern napawał się nim przez chwilę, zanim gospodarz wskazał mu miejsce w fotelu ustawionym tyłem do okna.

– Prosiłbym, żeby pan się pospieszył z pytaniami. Za kilka minut mam zebranie.

– Oczywiście. To zajmie chwilę – odparł pojednawczo inspektor. – Chodzi mi o ten telefon, który rzekomo odebrał pan Sokoliński.

– Siedzieliśmy przy stole, kiedy zadzwoniła jego komórka. Mariusz wstał i wyszedł do kuchni, a za nim jego żona. Gdy wrócili, oboje byli wzburzeni i się kłócili. Nie wiem do końca, o co chodziło, ale wyrzucała mu, że nawet w weekend nie umie się odciąć. Chyba mieli jakiś większy problem.

– Problem polega na tym, że nie było żadnego połączenia na jego komórkę tego wieczora.

Miller przekręcił głowę jak kura próbująca dostrzec, co jest przed nią. Nie wydawał się jednak zaskoczony i spokojnie powiedział:

– Może to był dźwięk przychodzącego maila albo jakiegoś alarmu, nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Mówię panu tylko, że Sokolińscy wyszli od nas dość zdenerwowani.

– Co działo się potem?

– Bożena wyszła, a chwilę później wróciła moja żona. Próbowwała uspokoić Mariusza, ale stwierdził, że musi odszukać żonę i ją przeprosić. Wybiegł i więcej go nie widziałem.

– Co państwo zrobili?

– Położyłem się spać.

– A żona?

– Teresa poszła do salonu, by sprzątnąć ze stołu. – Znow wzduszył ramionami.

– Czyli nie wie pan, co robiła, zanim przyszła do sypialni?

– Wiem. Słyszałem, że przyszła do nas Christine i trochę pohłasowały.

– Pohłasowały?

– No wie pan, jak to dziewczyny. Dwa martini i wchodzi na wysokie C – wyjaśnił, choć Redfern nie do końca wiedział, co ma na myśli. – Nawet chyba miały zamiar trochę popływać, bo słyszałem, że się szykowały w domku basenowym. Cóż, moja szwagierka lubi

poszaleć przy weekendzie. – Miller zarechotał, ale Redfern nie widział w tym nic sympatycznego.

– A państwo Sokolińscy?

– Oni to raczej z tych mało rozrywkowych są, to znaczy byli. Oczywiście dobrze się nam rozmawiało, nie przeczę. Ona nawet taka trochę trajkotka, ale musiałby pan zobaczyć ich relacje, jak on jej ciągle docinał, jak na nią patrzył.

– Jak były małżeństwo? – zasugerował Redfern.

– Raczej jak przyszły morderca.



W drodze na komendę Redferna złapał deszcz. Zanim zdążył schować się w budynku, był kompletnie przemoczony. Zostawiając za sobą mokre ślady, poszedł do siebie. Miał nadzieję, że miał tam jakieś stare ciuchy. Na dnie szafy znalazł torbę sportową, której widok wywołał dyskomfort. Zupełnie jak wtedy, kiedy czujemy swąd spalenizny i w panice odkrywamy, że godzinę temu wstawiliśmy ziemniaki. Redfern uklęknął i rozsunął zamek torby. Przypomniał sobie, że jej zakup był poprzedzony zamówieniem karnetu na siłownię. W Nowy Rok.

Odgonił wierzące sumienie myśli o prokrastynacji i przebrał się w dres i oddychającą koszulkę. Ona również była noworocznym impulsem, co stwierdził, kiedy poczuł wrzynający się w plecy kartonik. Zamiast zdjąć T-shirt, sięgnął po nożyczki i usiłował odciąć metkę w najbardziej idiotycznej z możliwych pozycji.

W progu stanął Tinney, który właśnie kończył drugie śniadanie.

– Nie wiedziałem, że chodzisz na siłownię – zagadnął, przełykając ostatni kęs kanapki. Redfern zgromił go wzrokiem, a Chris natychmiast zmienił temat.

– Jak poszło?

– O to samo chciałem zapytać – wydyszał David, uwalniając się w końcu od metki, która po chwili wylądowała w koszu. Koszulka

opięła się mu na brzuchu, pod którym przebiegała szeroka guma spodni dresowych. Wyglądał jak radziecki zapaśnik na emeryturze.

– Nie mają nic o Janie Jafrze – referował Tinney. – Chyba nie było go w obozie, a internet milczy. Jakiś dziwny facet. – Zasepił się. – Arthurson twierdził, że był jakąś szychą w brytyjskim wojsku, a ja w żaden sposób nie mogę wpaść na jego ślad.

– Nie ma wyjścia, będziemy musieli przesłuchać jego córki. – Redfern podszedł do drzwi.

– Widziałeś gdzieś Knighta albo McMahona? Wszyscy się dziś zapadli pod ziemię – zadumał się Puszka.

Redfern minął go, ignorując pytanie. Stał w połowie korytarza i odwrócił się w stronę podwładnego.

– Jedziesz?



Elegancja domu Christine była odwrotnie proporcjonalna do wysiłku, który włożyła w urządzenie go. Liczba komódek, serwetek i bibelotów była tak przytłaczająca, że Redfern bał się iść szybciej, by czegoś nie potracić. Miał wrażenie, że siostróm bardzo brakuje równowagi – starsza z pomocą projektanta urządziła wnętrza przytulne i ciepłe niczym prosektoarium, a młodsza z powodzeniem – muzeum tandety.

Siedząc w słonecznej kuchni, obserwowali, jak Christine przygotowuje pudding. Rozbiła cztery jajka i zamaszystymi ruchami ubijała je w misce. Redfern wciąż nie mógł uwierzyć, że Christine urodziła się dziesięć lat po Teresie. Jedyne, co zachowała z rodzinnej puli genów, to szczupła figura i stalowy wzrok. Włosy w kolorze ubłoconego lnu spięła w niedbały kucyk, a twarz miała powleczoneą uwędzoną skórą słonia.

– Proszę, proszę, dotarliście też do mnie – odezwała się ochryplym głosem, który kołysał się w rytm jej ruchów trzepaczką.

– Byłem u pani parokrotnie – wyjaśnił Tinney. – Ale jakoś pani nie zastałem.

– Nie mam obowiązku otwierać każdemu, kto zapuka do moich drzwi. – Dodała do jajek szklankę mleka i tyle samo mąki.

– Co pani pamięta z wieczoru piątego października? – zapytał Redfern.

– Tyle, że byłam u siostry. – Wyciągnęła z szafki foremkę do muffinów i precyzyjnie nalała do każdego zagłębienia trochę oleju. Forma powędrowała do rozgrzanego piekarnika, a Christine usiadła na stołku przy blacie i odpaliła papierosa. – Byli u niej jacyś ludzie. Bardzo sympatyczni, jeśli o mnie chodzi. Wypiliśmy parę drinków i wróciłam do domu.

– O czym rozmawialiście?

– Same pierdoły, co u was, co u nas. Jak się żyje w Polsce, jak się żyje w Anglii. Pożartowaliśmy sobie i tyle tego.

– Widziała pani, by Sokolińscy się kłócili?

– Nie, dobrze się zachowywali. Może mój szwagier znowu się nawalił i odstawił szopkę? On to ruchałby wszystko, co się rusza – skwitowała i zaciągnęła się papierosem. – W każdym razie Teresa nic nie mówiła. Przyszła po lód.

– Z tych okien widać trawnik pani siostry. Czy tamtego wieczora widziała pani, jak Sokolińscy wychodzą albo biorą taksówkę? Może ktoś kręcił się koło domu?

– Mój stary chciał mnie odwiedzić dzień wcześniej, ale Walter mu nagadał i więcej go nie widziałam, ale kto wie? Może jeszcze przylazł, skurwiel jeden? Nikt inny się tu nie szwenda, to dobra dzielnica.

– A pani syn? Może on coś widział? – zapytał Tinney.

– Bardzo źle zniósł wizytę tatusia, jeśli o to ci chodzi. Sobotę miałam z głowy. Dopiero Teresie udało się go uspokoić. Spał w swoim pokoju.

Ten wieczór rozsypuje się na kawałki, pomyślał Redfern. Adam nie spał, a tym bardziej nie miał złego nastroju – szykował się na imprezę.

– Rozumiem. A czy z ust Bożeny padło nazwisko Biernat?

– Nie przypominam sobie. – Zmrużyła oczy, jakby faktycznie usiłowała odszukać w pamięci odpowiedni fragment rozmowy. – Tak

jak mówiłam, rozmawialiśmy o duperelach. Zresztą krótko tam byłam. – Machnęła ręką, jakby chciała trafić w locie natrętnego owada.

Christine wstała, włożyła rękawicę i wydobyła foremkę. Krótkimi ruchami naląła do każdego zagłębienia przygotowane uprzednio ciasto. Gdy tylko dotknęło oleju, zabuzowało i zaskwierczało, a po kuchni rozszedł się miły zapach. Christine wsadziła blaszkę z powrotem do piekarnika i nastawiła timer na dwadzieścia minut. Metaliczne tyknięcia przypomniały Redfernowi, że ma coraz mniej czasu na znalezienie mordercy.



W bryczesach, dopasowanej kamizelce i toczku wyglądała obłądnie. Teresa Miller dosiadała masywnego haflingera. Tinneyowi wymknęło się coś o zamianie ról z koniem, ale Redfern natychmiast przypomniał mu, że pani Miller mogłaby być jego matką. Stali przez chwilę przy ogrodzeniu i delectowali się jednym z najpiękniejszych widoków, jakie ludzkość podziwiała w swej historii. Koń szedł szybkim stępem, a kobieta płynnie podnosiła i opuszczała biodra w rytm jego kroków.

– O, panowie tutaj? – powiedziała, gdy zrównała się z nimi. Zeskoczyła ze zwierzęcia i oddała uzdę chłopcu stajennemu.

– Siostra powiedziała, że panią tu zastaniemy – powiedział Tinney.

Redfern zauważył, że przez twarz kobiety przebiegł cień zdenerwowania. Przeszła przez płot i zaprowadziła ich do biura stadniny. Kremowe ściany pokrywały niezliczone zdjęcia koni i ich jeźdźców. Pod oknem stało biurko z krzesłami dla petentów, ale Teresa wskazała im skórzaną kanapę. Naląła każdemu szklanek wody i usiadła naprzeciwko.

– Przejdę od razu do konkretów – zaczął Redfern. – Dlaczego ukryła pani przed nami, że jest Polką?

– A jakie to ma znaczenie dla pańskiego śledztwa, inspektorze? Urodziłam się w polskiej rodzinie, to fakt, ale tutaj, w Anglii. Mam brytyjskie obywatelstwo i nigdy nie miałam polskiego.

– A pani ojciec, Jan Jafra?

– Był Polakiem, to oczywiste, ale w czasie wojny wyemigrował do Wielkiej Brytanii i został tu aż do śmierci. Zresztą dlaczego interesuje pana mój ojciec?

– Powiedzmy, że śledztwo zatacza coraz szersze kręgi – wyjaśnił Tinney tonem rzecznika prasowego. – Proszę odpowiadać na nasze pytania. Oszczędzi pani sobie i nam czas. A zatem jak pani ojciec dotarł do Anglii i czym się tu zajmował?

– Mój ojciec był polskim żołnierzem, panie Tinney. Tuż po wojnie umożliwiono mu wstąpienie do Armii Brytyjskiej. Służył też w Sudanie. Został nawet odznaczony Medalem Imperium Brytyjskiego – referowała beznamiętnie jak licealistka. – Ciągłe podróżował. Kiedy byłam dzieckiem, kupił mały domek w Woking, gdzie zamieszkałam z mamą. Bardzo dbała, żebym nie zapomniała o swoich korzeniach. Byłam na studiach, kiedy ojciec otrzymał od królestwa ziemię i wybudował na niej domy dla mnie i siostry. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym został napadnięty na ulicy. Zmarł w szpitalu.

– Napad?

– Tak. Zabili go za marne szesnaście funtów, które miał w portfelu – powiedziała z goryczą. – Tyle było warte życie brytyjskiego żołnierza.

– Wiedziała pani, że ojciec Bożeny zginął w podobnych okolicznościach?

Twarz Teresy Miller stężała jak gips i przybrała jego barwę. Patrzyła szeroko otwartymi oczami i nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Nic nie mówiła – wydusiła szeptem. – Szukała wuja, który zaginął. Nie wspominała nic o tacie. Myśli pan, że nasi ojcowie zginęli z rąk tych samych ludzi? I ona... O Boże, a może oni chcą teraz...

– Nie, pani Miller – powiedział spokojnie Redfern. – Nie sądzę, żeby motywy zabójcy mogły sięgać aż tak daleko w przeszłość.

– To czemu pan o nią tak wypytuje? – zaatakowała wściekle, a jej policzki zabarwiła purpura. – Nawet mojego syna pan przesłuchiwał!

– Bo chcę się dowiedzieć, jaką ścieżką podążała Sokolińska i kogo na niej spotkała. Mamy kilka ciemnych plam podczas jej pobytu w Woking. Między innymi wieczór u państwa, a także jej wycieczkę na cmentarz wojskowy. Każdy ślad może być cenny.

– Pobyt u nas jest czarną plamą? – obruszyła się. – Przecież wszystko powiedzieliśmy.

– A to, że Sokolińscy się kłócili? Pani syn zeznał, że w pewnym momencie zrobili się głośni.

– Doszło do drobnej wymiany zdań – oznajmiła wciąż wściekła. – Mój mąż za dużo wypił i chyba przesadził z wylewnością wobec Bożeny. Mariuszowi się to nie spodobało i urządził scenę zazdrości. Zresztą sam był mocno wstawiony.

A zatem Sokoliński nie otrzymał żadnego maila, pomyślał Redfern. Dla każdego z uczestników ten wieczór nie ułożył się po jego myśli, ale tę uwagę inspektor zachował dla siebie. Wątpił, by imprezowa sprzeczka mogła doprowadzić do egzekucji. Odczekał chwilę, aż Teresa nieco się uspokoi. Kiedy jej niezdrowy rumieniec powędrował na szyję, zapytał:

– Na tyle pijany, by włożyć cudze buty?

– Nie rozumiem.

– Pani syn powiedział mi, że Mariusz zabrał mu buty. Sprawdziłem i faktycznie, trainersy, w których znaleziono Sokolińskiego, należały do Juliana. Zorientował się dopiero w internacie, że te, które mu pani spakowała, są za duże i nowsze.

– Tak, wiem – zgodziła się pogodnie Teresa. – Myślałam, że to nie ma znaczenia. Przed wyjazdem na wakacje w pośpiechu pakowałam syna i nie zauważyłam, co wkładam mu do torby. Syn ma kilkanaście par butów. Wie pan, w tym wieku zakupy robi się z ojcem albo samemu, więc trudno mi się połapać, co on tam ma. Do tego jeszcze Adam zostawia czasem swoje.

– W porządku – powiedział Redfern. – Co pani zrobiła, gdy Sokoliński się zdenerwował?

– Staralam się go uspokoić i chyba się udało, bo wrócili do salonu. Potem poszłam do siostry – powiedziała. – A gdy wróciłam, już ich

nie było. Może więc ten Sokoliński...

– Nic na niego nie wskazuje – wyrwało się Tinneyowi i Redfern przeklął w myślach.

– Czyli nie wie pani, co działo się z Sokolińskimi od momentu wyjścia z pani domu?

– Nie.

– A czy ktokolwiek poza państwem wiedział, że Bożena i Mariusz byli państwa gośćmi tego wieczora?

– Nie wiem. Raczej żadne z nas nie dzieliło się z nikim tą informacją.

Zastygłą między nimi ciszę przerwał dzwonek telefonu Christophera. Przeprosił pozostałych i wyszedł na korytarz, a gdy wrócił, na jego twarzy złość mieszała się z zaskoczeniem.

– David, muszę jechać do Centrum Historii Surrey.

– Coś się stało?

– To z pewnością jakieś nieporozumienie, muszę coś wyjaśnić – tłumaczył nieskładnie i Redfern nie naciskał. Pomyślał, że będzie musiał wezwać taksówkę. Gdy tylko Puszka opuścił biuro, inspektor zwrócił się do Teresy:

– Była pani wolontariuszką Komisji do spraw Cmentarzy Wojennych. Czym się pani konkretnie zajmowała?

– Kompletowałam dokumentację związaną z poległymi żołnierzami: czechosłowackimi, polskimi, włoskimi. W czasie dni otwartych prowadziłam po Brookwood wycieczki. Nic szczególnego.

– Czyli znała pani historię braci Biernatów?

– Niestety nie – odparła ze smutkiem Teresa. Jej nastrój się zmienił, ale Redfern nie mógł pozbyć się wrażenia, że była to zmiana dobrze obliczona. – Trudno znać każdego, kto został tam pochowany. Co ciekawsze historie są przekazywane z ust do ust, ale nie ma ich aż tak znowu dużo. Na przykład na cmentarzu Brookwood jest interesująca mogiła czechosłowacka. Pochowano tu repatriantów, którzy parę miesięcy po wojnie lecieli do Pragi. Wśród ofiar była Edita Sedláková, bardzo zasłużona dla Women's Auxiliary Air Force. Żeńska Służba Pomocnicza miała w swych szeregach wiele wspaniałych kobiet. W każdym razie Edita leciała wraz z mężem w podróż poślubną. Parę minut po starcie silnik stanął

w płomieniach i uderzył w ziemię, zabierając ze sobą dwadzieścia trzy osoby. Mimo zasług Edita nie została pochowana na wojskowym cmentarzu.

– Smutna historia.

– Innych pan tam nie znajdzie. Przedwczesna śmierć tamtych ludzi to szczęśliwe życie tych po drugiej stronie bramy.

– A instytucje takie jak Komisja Wspólnoty Bryjskiej nie pozwalają o tym zapomnieć – podsumował Redfern.

– Ma pan rację. – Teresa uśmiechnęła się smutno.

– Czy w takim razie mogę panią prosić o rozpytanie wśród jej członków o braci Biernat? Może ktoś sobie coś przypomni.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Wspaniale – powiedział z udawanym przekonaniem. Nie chciał studzić zapachu Millerowej. Jej zaangażowanie mogło się bardzo przydać. – Tak jak mówiłem, czarną dziurą pozostaje czas między wyjściem Bożeny z państwa domu a jej śmiercią.

– Ta sprawa w ogóle jest fascynująca, nie uważa pan? – rzekła, mrużąc oczy jak kot, którego ktoś obdarzył pieśczętą. Było w jej tonie coś, co sprawiło, że Redfern poczuł się nieswojo. Wewnątrz złotej bańki świata Millerów coś takiego jak morderstwo wydawało się tak odległe i nierealne, że aż pociągające. Stykając się ze złem na co dzień, Redfern nigdy nie uważał zbrodni za fascynującą i to, że Teresa Miller myślała inaczej, odpychało go od niej. Podziękował za rozmowę i wciąż nie mogąc się pozbyć złego przeczucia, opuścił biuro.

Wyszedł ze stadniny dziwnie przygnębiony tym, co o nekropolii mówiła Teresa. Dwa cmentarze oddzielone wysoką bramą, jakby ktoś chciał odgrodzić historię. Cmentarz-obóz, zupełnie jak Obóz Wojskowy Tweedsmuir, zamyślił się.

Dopiero widok znajomej twarzy przywrócił go do rzeczywistości, choć w pierwszej chwili nie mógł skojarzyć, gdzie ją wcześniej widział.

– Adam? – zawołał. – Adam Arthurson?

– O co chodzi? – Młody mężczyzna zatrzymał się i wpatrywał w podbiegającego do niego inspektora. Ubrany w kraciastą koszulę,

przypominał stracha na wróble, którego, jeśli nie liczyć ramion, ktoś bardzo skąpo wypchał słomą.

– Chciałem z tobą pomówić. – Podał rękę Adamowi i przedstawił pokrótce sprawę.

– Tak, pamiętam tamtą noc – wyznał chłopak, który dziwnie się skrzywił na dźwięk słowa policja. Silnie rozbudowane barki upodobiały go do ojca, ale chłód spojrzenia nie pozostawiał wątpliwości, do której rodziny należy. – Mieliśmy z Julianem jechać do Guildford. Nawet taksówkę zamówiliśmy. Tyle że matka odkryła nasz plan i wpadła w szał. Musieliśmy odpuścić.

– Widziałeś kogoś w pobliżu waszego domu?

– Nie bardzo. Tego wieczora głównie leżałem. Nogi mnie bolały od protez i chciałem odpocząć przed imprezą – wyjaśnił i poprawił się na wózku, który lekko zaskrzypiał. – Teraz też jestem zmęczony. Pan wybacz...

– Jeszcze jedno pytanie: jak mama się domyśliła, że masz zamiar wyjść tego wieczora?

– Właściwie nie mama, tylko ciotka. Weszła do mnie do pokoju i zobaczyła, że jestem ubrany i wypachniony jak dandys. Powiedziała matce, a ta się wściekła i tyle było z naszych baletów.

– Weszła do ciebie do pokoju? – zdziwił się inspektor, któremu nalot ciotki na pokój nastoletniego siostrzeńca wydał się czymś niespotykanym.

– Strasznie się rządzi u nas w chacie – powiedział cicho chłopak, zerkając ukradkiem na okno na piętrze. W jego spojrzeniu była nie tylko pretensja, ale coś, czego Redfern nie potrafił nazwać.

W tym momencie podjechała bagażówka. Kierowca wysiadł i przywitał się z Adamem jak ze starym znajomym. Chłopak wskazał na ścianę budynku, o którą oparty był spory podłużny pokrowiec. Mężczyzna zabrał go i włożył na tylne siedzenie auta, a następnie pomógł wsiąść Adamowi. Bez siedzącego na nim człowieka postawiony na środku podjazdu wózek wydał się Redfernowi jeszcze bardziej przygnębiający. Ponure rozmyślenia przerwał mu taksówkarz, który sprawnie złożył sprzęt i wpakował do bagażnika, a potem z hukiem zamknął klapę. Adam Arthurson wbił wzrok

w deskę rozdzielczą i nie oderwał go, dopóki samochód nie zniknął za zakrętem.



Puszka usiłował się do niego dodzwonić, ale on nie miał ochoty na wyciąganie telefonu z kieszeni tylko po to, by powiedzieć, że zaraz będzie. I bez tego wiedział, że jest spóźniony. Taksówka minęła market Morrison's i Redfern z daleka zobaczył kolegę. Telefon wciąż dzwonił, ale Puszka nie miał aparatu przy uchu. Gdy David zapłacił za kurs, wydobyl komórkę i zobaczył, że dzwoni Knight. Odebrał, wysiadając.

– David, potrzebuję twojej pomocy – rzucił nerwowo szef. – Jak szybko możesz być u mnie?

– Góra dziesięć minut.

– Pospiesz się.

– Linda?

Odpowiedziała mu cisza. Podbiegł do Tinneya, który wymownie wskazał na zegarek.

– Zmiana planów, Puszka – rzucił pośpiesznie. – Zawieziesz mnie do Knighta.

– Co jest?

– Wyjaśnię ci po drodze, OK?

Wsiedli do zaparkowanego wzdłuż drogi citroëna i odjechali. Gdy Redfern skończył opowiadać, Tinney nie mógł wydobyć z siebie słowa. Do Davida doszło kiedyś, że policjant miał jakieś osobiste problemy z powodu narkotyków, ale nie zagłębiał się w temat. Gdy tylko zaparkowali w Horsell, polecił młodemu zadzwonić do siebie wieczorem.

Otworzył mu Malcolm. Miał sine usta i twarz w kolorze alabastru. Trzęsły mu się ręce, kiedy usiłował przekręcić klucz w zamku.

– Co się stało?

– Linda... Linda próbowała się powiesić...

– Cholera! – krzyknął Redfern, nie zdając sobie sprawy z siły przekleństwa. Dopiero gdy zobaczył pełną poczucia winy twarz Knighta, zrozumiał, że powinien zareagować inaczej. Zły na siebie, zapytał cicho: – Jak to się stało?

– W łazience. Nie wiedziała, że wróciłem do domu. Wspiąłem się na piętro i zobaczyłem otwarte drzwi do jej pokoju. Zwykle są zamknięte. Wszedłem tam, ale jej nie było. A potem szarpnąłem za klamkę od łazienki i odpowiedziała mi cisza. Wołałem, ale nie odpowiadała. Wyważyłem więc drzwi i... ona tam była...

– Gdzie teraz jest?

– Z moją żoną, w jej pokoju. Chcesz do niej iść?

Redfern nie miał najmniejszej ochoty oglądać kobiety. Znał ten stopień desperacji. Samobójstwo było wołaniem o pomoc, ale inspektor wiedział, że nie może ona przyjść w postaci klepania po ramieniu i uzalania się nad Lindą. Gdyby to zrobił, stałoby się dokładnie to samo, co z jego ojcem – zaczęłaby jeszcze bardziej pogrążyć się w nałogu. O ile w ogóle było to możliwe.

– Jasne. Zrobię, co w mojej mocy – odpowiedział po chwili i podszedł do drzwi.

– David, co dalej? – Kąciki ust Malcolma opadały tak mocno, że wyglądał jak niemowlę, z którego gardła za sekundę wydobyłoby się rozpaczliwy szloch. Inspektor starał się nie patrzeć mu w oczy. Bał się, że przełożony odkryje jego zakłopotanie i bezradność. Na szafce z butami dostrzegł zaległą pocztę. Kilkanaście kopert rozsunęło się po niej szarym wachlarzem. Redfern zrozumiał, co powinien zrobić.

– Jest tylko jedno wyjście. – Wyciągnął z kieszeni portfel i odszukał mały kartonik. Przejechał po nim kciukiem, zastanawiając się chwilę, po czym wystukał w komórce nadrukowany na nim numer. Po kilku sygnałach uzyskał połączenie.

– Pan Fowora? Tu David Redfern. Pana również miło słyszeć. Mówił pan, że gdybym potrzebowałem pomocy, to mogę zadzwonić. Nie mogę powiedzieć. To nie jest rozmowa na telefon. Jest pan w pracy? Aha, oczywiście, są ferie. Czy może pan do mnie przyjechać? Wspaniale. Podaję adres... To do zobaczenia za godzinę.

– Gdzie dzwoniłeś? Z kim masz się spotkać?

– Zobaczysz, a teraz muszę pojechać na chwilę do domu – odpowiedział i wybrał na telefonie numer do korporacji taksówkarskiej, ale Knight chwycił go za nadgarstek.

– Weź mustanga – powiedział i wręczył Redfernowi kluczyki.

Pół godziny później siedzieli w pachnącej tysiącem obiadów kuchni. Każdy zna ten zapach i każdy kojarzy go inaczej, ale wspólnym mianownikiem jest kochający dom – nie zawsze rodzinny, ale z pewnością pełen miłości. Dochodziła szesnasta i pomieszczenie zasnuł mrok, którego żadne z nich nie miało zamiaru rozświetlić wiszącą nad nimi żarówką. Malcolm przyglądał się w milczeniu stosowi na stole.

– Skąd to masz?

– Oszczędności – uciął Redfern, zajęty pisaniem SMS-a do Marty. Był wściekły, że nie może jej odwiedzić.

– Bankomat pozwolił ci wypłacić tyle naraz? – nie dowierzał Knight.

– Chyba nie myślisz, że będąc gliną, trzymam pieniądze w banku?

– Inspektor uśmiechnął się krzywo. W jego ręce zadrżała komórka. Na ekranie zobaczył tylko krótkie: „To nawet dobrze”.

– To kupa forsy. – Knight wciąż przyglądał się zawartości koperty. – Ze dwadzieścia tysięcy.

– No, prawie. – Redfern przypomniał sobie, że uszczknął trochę z tej sumy, by zapłacić lekarzowi. – Miało być na nowego triumph, ale Lindzie bardziej się przyda. Na pobyt w szpitalu Priory powinno wystarczyć.

– Dużo za dużo – ocenił stary policjant.

– Resztę dasz jej na adwokata i ogarnięcie się.

– Odpuść? – Malcolm wskazał na napis na kopercie. Redfern czuł, że czerwienieje. W pośpiechu zapomniał przełożyć pieniądze do innej koperty i Knight wpatrywał się teraz w równe pismo Palacza.

– Taki demotywator, żebyś jednak nie kupował następnego grata – zaśmiał się, samemu nie wierząc, że brnie w kolejne kłamstwo. Knight był jednak zbyt przejęty, by je wychwycić.

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, Dave, ale dziękuję. – Oczy Malcolma zaszklily się i komendant przetarł je wierzchem dłoni.

Nie patrząc na przełożonego, Redfern zaczął układać banknoty w kopercie, a gdy skończył, podał ją Knightowi.

– Schowaj to. Dzwoniłem już do Priory. Miejsce mają dopiero od soboty, więc załatwiłem wam do tego czasu pomoc pielęgniarza. To zaufany człowiek z dużym doświadczeniem.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziała Ruth Knight, która właśnie weszła do kuchni. – Tyle pieniędzy... – Rozpłakała się i wyciągnęła ręce do Davida.

– Mnie nie są potrzebne. – Wstał i krótko uściskał kobietę.

Usłyszeli chrzęst kół na podjeździe. Redfern dał znak Knightowi, żeby ukrył pieniądze. Wyszedł przed dom i serdecznym uściskiem dłoni powitał Adekunlego Foworę. Wyjaśnił, z czym przyjdzie mu się zmierzyć, ale muskularny mężczyzna tylko się uśmiechnął i dał do zrozumienia, że nie z takimi przypadkami miał do czynienia. Redfern przed wyjściem wręczył mu okazały zwitek pieniędzy i wyszedł.

Zrobił pierwszy krok i choć było to trudne i zupełnie nowe, to musiał przyznać, że Marta miała rację, bo jeśli nawet nikt go nie osłoni, to on sam czuł się silniejszy.

Wyciągnął z kieszeni komórkę, by zadzwonić po taksówkę. Zanim jednak uzyskał połączenie, stanął za nim Malcolm.

– Zawiozę cię – oznajmił.

– Nie trzeba – odparł szybko Redfern. Nie chciał, żeby Knight się dowiedział, gdzie wczoraj zostawił auto. Komendant udaremnił jednak próbę wykręcenia się.

– Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić. Poczekaj tu chwilę.

Wyprowadził tyłem starą toyotę yaris verso i podjechał po Redferna. Inspektor otaksował wzrokiem pojazd przeznaczony dla osób niepełnosprawnych.

– To auto córki – wyjaśnił Knight, widząc zaskoczoną minę inspektora.

– To może lepiej pojedziemy mustangiem? – zapytał, wsiadając.

– Nie mam na niego ubezpieczenia – wyznał Knight. – Dałem ci go tylko dlatego, że nam się spieszyło.

– Ale...

– I co by mi zrobili? Postraszyli komendantem?

Roześmiali się trochę głośniej, niż żart na to zasługiwał, jakby chcieli zagłuszyć myśli, które obu wwiercały się w mózg. Chwilę krępującej ciszy, która po tym nastąpiła, przerwała komórka Redferna. Wyciągnął ją z kurtki i odebrał.

– Dobry wieczór, z tej strony Hilton Double Tree. Dzwonię w takiej nietypowej sprawie. Pani Sokolińska, wyjeżdżając, zostawiła coś dla pana u nas w recepcji.

– Zostawiła coś w recepcji – powtórzył z niedowierzaniem. – Rozumiem. A czy mogę to odebrać jutro rano? Jest już dość późno.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale to dość gabarytowy i kłopotliwy... prezent. Proszę przyjechać dzisiaj.



Zachodził w głowę, jak Marcie udało się przekonać obsługę hotelu do tego pomysłu. Sprawdził w internecie – szczeniak z cmentarza to berneński pies pasterski. W recepcji czekał na niego około trzymiesięczny berneński pies pasterski. Z kokardą i listem: „Nazywa się Bandit. Będzie cię chronił. Marta”.

Recepcjonistka śmiała się, że to najśłodsza rzecz, jaką zostawił gość w całej historii hotelu. Możliwe, ale Redfern widział to inaczej. Zwierzę to obowiązek, a on miał ich w nadmiarze. Ponadto rasa ta osiągała rozmiary małego konia i z pewnością Bandit nie będzie szczęśliwy na szóstym piętrze w bloku przy Constitution Hill. Nie wspominając nawet o tym, że jak agencja nieruchomości się o nim dowie, to wywalą ich obu na zbity pysk. Chciał zadzwonić do Marty, ale była już w powietrzu.

Rozejrzał się bezradnie po hallu, nie wiedząc, co począć.

– Będzie pan miał wspaniałego przyjaciela – dodała mu otuchy dziewczyna. – Aha, pani Sokolińska zostawiła jeszcze to – powiedziała i wręczyła mu reklamówkę.

W środku znalazł między innymi smycz, dwie miski i worek karmy dla szceniąt. Klęknął przed pieskiem, który natychmiast rzucił się

do lizania swojego nowego pana. Merdał ogonem i za nic nie dał się odepchnąć, jakby chciał nadrobić czas spędzony na cmentarzu. Przy akompaniamencie śmiechu obsługi Redfern usiłował założyć małemu szelki, ale wiercipięta miał inne plany. Na zmianę robił uniki i łapał zębami skórzane paski. Gdy wreszcie Redfernowi jako tako udało się go zapiąć, szczeniak miał bardzo nieszczęśliwą minę. Trzepał zabawnie puszystą głową, próbując zdjąć uprząż. Redfern dopiął do niej smycz i lekko pociągnął.

– Chodź, jedziemy do domu... Bandit.

Ku zdziwieniu Davida piesek z radością za nim poczłapał. Szli razem parkingiem, a gdy Redfern otworzył drzwi triumpha, jego towarzysz wskoczył do środka, jakby to była najbardziej oczywista rzecz dla szczeniaka. Usadowił się na przednim siedzeniu, łypiąc tylko niepewnie.

Było późno, ale mimo to wybrał numer Tinneya. Od momentu przekroczenia progu Knightów nie miał głowy, by z nim porozmawiać. Nie był zdziwiony, że młody policjant nie odebrał żadnego z trzech połączeń. Oddzwonił dopiero, gdy Redfern podjeżdżał pod blok.

– No co tam, młodzieży?

– Ktoś wyczyścił rekordy dotyczące Bożeny – oznajmił Tinney.

– To dobrze.

– Co?!

– Bardzo dobrze – powtórzył spokojnie. – Im bardziej ktoś stara się zatrzeć ślady, tym więcej ich zostawia. Morderca panikuje i wiemy, że w tej panice w którymś momencie popełni błąd.

– Pokrętna logika – powątpiewał Tinney. – Co teraz?

– Teraz idę z psem na spacer, a jutro przyjrzymy się faktom. Zgarnij McMahona o ósmej.

– Nie wiedziałem, że masz psa.

– Bo do dziś nie miałem.

– Jaka to rasa? – zapytał Chris, jakby nie do końca wiedząc, czy przełożony się przypadkiem z niego nie nabija.

– Kanapowiec – odparł Redfern, mając na myśli, że Bandit urośnie do rozmiaru trzyosobowej kanapy.

– Moje siostrzenice by oszalały.

– To im kup.

– Mamy za mało miejsca – wyznał, a Redfern przypomniał sobie, że kiedyś obijała mu się o uszy plotka, że młody mieszka z siostrą.

Przy tych cenach wynajmu zupełnie go to nie dziwiło. Pięćset funtów za pokój rozmiaru schowka pod schodami było w Woking nie lada okazją, a Tinney z pewnością nie zarabiał dużo więcej od magazyniera. Bliskość Londynu sprawiała, że z roku na rok coraz trudniej było się utrzymać w Woking. Zatechłe nory na Devon Street czy Oriental Road schodziły szybciej niż dynie przed Halloween. Redfern miał wrażenie, że każdy, kto miał dziurę w dupie, ładował się do Surrey – zielone, bezpieczne i tańsze od Londynu, było niezłą gratką dla bankowców czy programistów. Dwadzieścia pięć minut szybkim pociągiem i korposzczur stał na peronie na Waterloo, skąd metrem mógł dojechać w każdy zakątek stolicy. Na ich cześć i chwałę zamierzano zaorać centrum miasteczka i postawić trzy drapacze chmur. Redfern oczyma wyobraźni widział długie stalowe noże wbijające się w zielone i płaskie jak łąka serce miasta.

Ponarzekął jeszcze chwilę z Tinneyem na warunki mieszkaniowe, po czym rozłączył się i zabrał Bandita do parku. Ze złością stwierdził, że nie ma torebki na psi biznes, ale Marta pomyślała także o tym. W rękojeść automatycznej smyczy wbudowany był pojemnik na worki. Redfern nałożył na rękę jeden z nich i posprzątał. Wiedział, że tego wieczora nie będzie jadł kolacji.



Rozłożył w kuchni miski i napełnił. Szczeniak natychmiast pochłonał to, co pan mu nasypał, i przystąpił do zwiedzania kątów. Po chwili wrócił i położył się u stóp Redferna, który siedział przy stole, popijając herbatę. Policjant poczuł przyjemne ciepło – nie tylko na stopach. Schylił się i pogłaskał pieska po głowie, z rozczuleniem myśląc o Marcie. Żałował, że nie mógł jej odwiedzić. Jutro rano do niej zadzwoni.

Teraz musiał zrobić coś dla siebie. Poszedł do łazienki i odnalazł w szafce nad umywalką pudełko metotrexatu z aparatami do samodzielnego użycia. Wzdrygnął się na myśl o igle. Odstłonił brzuch, znalazł wolne od zrostów miejsce, przyłożył pomarańczowe urządzenie i strzelił, zamykając oczy. Wiedział, że jutrzejszy dzień może spisać na straty.

Wrócił do kuchni i dopił chłodną herbatę, która najpewniej była jego ostatnim posiłkiem przed tym, jak zaleje go fala mdłości. Z książeczki zdrowia, którą znalazł między paczkami z karmą, dowiedział się, że Bandit jest odrobaczony i zaszczepiony, a następna wizyta u weterynarza ma się odbyć pod koniec listopada. Wiedział, że takie imprezy bywają kosztowne i warto się ubezpieczyć. Sięgnął po telefon i uruchomił porównywarke cen ubezpieczeń. Zezłościł się, że zaraz na wstępie musi podać wszystkie swoje dane, a także odpowiedzieć na szereg głupich pytań, jak na przykład to o cenę psa i czy przypadkiem nie zamieszka on w miejscu, gdzie sprzedawany jest alkohol. Przebrnął przez kolejne arkusze ankiety i wybrał najdroższą ofertę.

Nie odkładając komórki, przewijał listę kontaktów. Zastanawiał się, czy to właściwy moment na uruchamianie starych znajomości. Poza własnym przekonaniem nie miał żadnych podstaw, by nie wierzyć w wybuch w posiadłości Bonesów. Mimo to przyłożył aparat do ucha i czekał na połączenie. Po paru sygnałach usłyszał wesoły głos:

– Telemarketerzy już śpią, kulturalni ludzie nie dzwonią o tej porze, więc stawiam całą swoją strażacką karierę i dorzucam kratę browarów, że nazywasz się Sukinsyn Redfern i zaraz zaczniesz mi zawracać dupę jakimś pierdoletem z mało istotnego śledztwa.

– Karierę ocaliłeś, ale po browary się zgłoszę – odparł z rozbawieniem inspektor. – Jesteś na dyżurze?

– A gdzieżby indziej? Ty zresztą też nie schodzisz z warty, co? – trafnie zauważył Rob Maletzky. – To jaka znów duperela nie zgadza ci się w papierach?

– Pamiętasz może pożar w Silver Manor dwa lata temu?

– Stary, takich akcji się nie zapomina. Pierdolnęło aż miło. Butla z gazem bodajże?

– Nie wiem i chciałbym, żebyś to dla mnie sprawdził.

– Wszystko jest u was, bo tam samobójstwo chyba było. Żadna tajemnica.

– Nieudana próba – poprawił go inspektor.

– Poważnie? – Rob nie dowierzał. – W takim razie to cud, że facet przeżył. Pamiętam, że z tamtego domu została tylko podłoga.

– Słuchaj, popytaj swoich ludzi, czy coś im się nie rzuciło w oczy.

– Nie ma sprawy, ale odpalasz kratę browarów i kebaba.

– Stawki u ciebie wzrosły.

– Inflacja, bracie – zaśmiał się Rob.

– Niech będzie. Dorzucę jeszcze paczkę krówek.

– Przez te polskie słodycze odbiorą mi prawo wykonywania zawodu.

Oczywiście wyobraźni Redfern zobaczył, jak Maletzky masuje się po zaokrąglonym brzuchu.

– A tak na poważnie, czemu odgrzewasz tego kotleta?

– Powiem ci, jak będę miał pewność.

Pożegnał się ze strażakiem i wciąż trzymając komórkę w dłoni, przejrzał stronę Rural Life Center. Pośród licznych opisów tamtejszych wystaw znalazł krótką informację o Tweedsmuir, a pod nią link. Kliknął na niego i przeglądarka przekierowała go na zupełnie nową witrynę, w całości poświęconą obozowi. Redfern był zbyt zmęczony i obolały, by przeczytać wszystko, co udało się zgromadzić autorowi. Migąły mu zdjęcia dokumentów, których dziesiątki widział w miejskim archiwum, oraz budynków i ludzi, których starł czas. Kluczył chwilę po podstronach, aż wreszcie zobaczył link, który go najbardziej interesował – „Rodziny w Tweedsmuir”. Przeczucie nadchodzącego przełomu natchnęło go nową siłą, choć pod powiekami miał gruz.

Przebiegł zmęczonym wzrokiem po tekście, wyłapując kawałek o dość nerwowym spotkaniu Churchilla z generałem Andersem. Ten pierwszy zapewnił o pomocy, ale na tyle enigmatycznie, że w trakcie realizacji obietnic wynikło wiele problemów, jak choćby konieczność demilitaryzacji Polaków, by można im było nadać status uchodźców. Wreszcie dotarł do fragmentu o umieszczeniu rodzin w Tweedsmuir.

Ostatnie zdanie wypompuowało z niego siły.

ROZDZIAŁ XI

Środa, 16.10.2013

– Jak to: nie ma żadnej listy żyjących tam rodzin? – McMahon był wściekły, ale Redfern podejrzewał, że stoi za tym raczej nieudany wieczór niż kolejny ślepy zaułek śledztwa. – Nikt nie spisywał ludzi, którzy tam się osiedlali? I co to za akcja z tym rekordem?

– Ktoś skasował z komputera wizytę Bożeny. Tak jakby nigdy jej tam nie było – wyjaśnił Tinney. – A tak przy okazji – zwrócił się do Redferna – pani Di nie była szczególnie szczęśliwa, gdy się dowiedziała, że jednak nie jesteś pisarzem.

– Życie to suma rozczarowań. – Redfern wzruszył ramionami i zanotował coś w zeszycie.

– Powiem inaczej. Była wściekła, że jesteś policjantem i prowadzisz w jej centrum śledztwo. Knight i Elsa dobiorą się nam do dupy.

Inspektor nie miał na to siły. Noc nie przyniosła upragnionego wytchnienia, ale sam sobie był winny – przerwa w zastrzykach zawsze kończyła się tak samo. Ból stawów i mięśni zamknął go w szczelnej bańce, do której docierały tylko strzępki rzeczywistości. W głowie czuł pulsujący szum, jakby ktoś raz za razem zakrywał i odkrywał mu uszy. Walcząc z samym sobą, zapytał McMahona:

– Czy udało ci się porozmawiać z taksówkarzem?

– Tak, złapałem go na urlopie. – McMahon zerknął w notatki. – Pamiętał zlecenie z Maybourne Rise. Widział, jak Bożena wychodzi z domu Millerów. Myślał, że to klientka, ale kiedy pobiegła w dół

ulicy, zdał sobie sprawę, że to nie mogła być ona. Odczekał jeszcze chwilę, po czym pojechał na mały parking dla gości na końcu Maybourne Rise.

– Po co? – zapytał Redfern.

– Pomyślał, że skoro i tak przepadł mu kurs, to będzie miał czas zjeść kanapkę. – Greg odwrócił kartkę w notesie.

– A nie mógł zjeść pod domem Millerów? – nie odpuszczał inspektor.

– Też mi się to wydało dziwne, ale gość twierdzi, że z jednej strony przyglądała mu się jakaś starucha – czytał McMahan – w oknie Millerów też cały czas wystawała jakaś baba.

– Pewnie Teresa sprawdzała, czy syn przypadkiem jednak nie nawiewa z domu – skwitował Puszka.

– Pewnie tak – zgodził się Redfern. – Jeszcze coś?

– Nie. Facet zjadł kanapkę i odjechał. Aha, przejeżdżając, widział, jak Millerowa wciąż stoi w oknie.

– Czekala na kogoś? – podrzucił Tinney, odchylając się na krzesło, które głośno zaskrzypiało pod jego ciężarem.

– Dobrze pytanie. – McMahan się zamyślił. – Wiemy jedno, Bożena wyszła od Millerów o własnych siłach.

– A zakładałeś inny scenariusz?

David nie usłyszał odpowiedzi. Zasnute do tej pory chmurami słońce brutalnie wdarło się do sali, oświetlając twarz Redferna. Światłowstręt sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Natychmiast odwrócił głowę. Reszta rozmowy zespołu utonęła w pisku, który rozdarł mu głowę. Bąknął przeprosiny i pobiegł do łazienki.

Oparł ręce o umywalkę i walczył z mdłościami. Czuł, że przętyk zawiązał się w bolesny supeł. Spojrzał w lustro. Gdyby nie czerwień, która niczym motyl rozłożyła skrzydła na jego policzkach i nosie, byłby blady jak kreda. To dlatego wszystkie stowarzyszenia zrzeszające chorych na toczeń miały w logo tego owada. Kiedy ochlapywał twarz wodą, by schłodzić palącą wysypkę, w jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Wytarł ręce i pospiesznie odebrał.

– Inspektorze, czy może mi pan wyjaśnić, co zaszło w Centrum Historii Surrey?

– Szukaliśmy z Tinneyem materiałów...

– Do książki – dokończyła zimno Elsa. W tle słychać było pracującą drukarkę. Redfern domyślił się, że skupiła się przez chwilę na jej obsłudze, bo zamilkła, a gdy znów zaczęła mówić, miała znużony głos. – Inspektorze Redfern, zakładam, że Malcolm Knight podjął słuszną decyzję, ale niech mi pan, do cholery, da szansę się o tym przekonać. Pana metody są dla mnie co najmniej niezrozumiałe. I wszystko byłoby w porządku, bo wbrew obiegowej opinii prokurator też człowiek i mogę iść na pewne ustępstwa, przymknąć oko, ale śledztwo stoi w miejscu, David, a mnie dyszy w kark mój szef. Potrzebuję chociaż papieru na dowód, że coś robicie.

– Robimy – obruszył się, ale czuł, jak powoli napętnia mu się przełyk, a w głowie ktoś odpala mu granat. – Wiemy, że odkrycie Bożeny kogoś bardzo wystraszyło, na tyle, że posunął się do zbrodni. – Starał się, by jego głos brzmiał naturalnie. – Bente – zaczął, ale torsje przejęły kontrolę nad jego ciałem.

Wyrzucił z siebie treść żołądka, ubarwiając umywalkę żółcią. Przepłukał usta wodą, by zmyć z języka gorzko-kwaśny posmak. Kiedy ponownie przyłożył telefon do ucha, usłyszał wołanie zaniepokojonej prokuratorce.

– Jestem – powiedział, ocierając brodę wierzchem dłoni.

– Co się dzieje?

– Strułem się czymś – skłamał.

– Cholera, niedobrze – zmartwiła się.

– Dam radę – skłamał ponownie. – Mamy zebranie zespołu. Podsumujemy, co mamy, i wyślę ci to jeszcze dziś. Morderca zaczyna się odsłaniać.

– Co masz na myśli?

– Z Centrum Historii Surrey zniknęły papiery dotyczące ofiary.

– Stamtąd nie da się nic wynieść – mówiła z niedowierzaniem. – Pisałam kiedyś pracę... Zresztą nieważne. W każdym razie materiały są tam dobrze strzeżone.

– Wiem. – Redfern czuł, że za chwilę żołądek wywinie mu się na lewą stronę, oddając wszystko to, co w nim jeszcze pozostało. – Bente, muszę kończyć. Wieczorem dostaniesz podkładkę dla góry.

– Jasne – odparła wesoło. Redfern miał wrażenie, że wywołało ją nie tyle naturalne, co nagłe porzucenie bezosobowych form.

Znów zrobiło mu się niedobrze. Oparł się o umywalkę, ale atak nie nastąpił. Zamiast tego czuł, że usta napełniają mu się śliną. Wypluł jej nadmiar, opłukał twarz i wyszedł z łazienki.

W sali konferencyjnej było cicho i stanowczo zbyt jasno. Wszystko wskazywało na to, że jesień skapitulowała i zabrała swój ciężki, stalowy oręż znad miasta. Redfern zasłonił żaluzje i opadł na krzesło, ale McMahon tylko uniósł brew, zatopiony w studiowaniu jakiegoś rysunku.

– Tak się właśnie zastanawiam. – Zdjął okulary i przygryzł jedno z uszek, zwracając twarz ku inspektorowi. – Rany boskie, wyglądasz jak kupa gówna! – zakrzyknął.

– Odezwał się przystojniak – skwitował Redfern, ale nie zamierzał nic tłumaczyć. – Nad czym się zastanawiasz?

– Zrobiłem mapę wszystkich miejsc, w których była Sokolińska od momentu przybycia do Anglii. Wiemy na pewno, że była w hotelu, na cmentarzu, w Centrum Historii Surrey.

– Wybierała się też do Leven – dorzucił Puszka. – I gdzieś do Londynu.

– Fakt. – McMahon dopisał coś na kartce. – Tyle że analiza wycieczki do stolicy będzie jak wróżenie z fusów. Równie dobrze mogła chcieć zobaczyć London Eye czy Big Bena.

– Bilet miała tylko do Clapham – zauważył Puszka.

– Więc może jechała do Komisji do spraw Cmentarzy Wojennych? – wtrącił Redfern. – Może tam warto poszukać?

– Może to dziwne, ale oni nie mają siedziby w Londynie. – McMahon wyglądał, jakby czekał na ten moment od początku śledztwa. – Mieszczą się w Maidenhead w Berkshire. Dzwoniłem tam, ale na tym zadupiu nikt nie słyszał o Bożenie Sokolińskiej.

– Ślepy zaułek.

– Co mamy na mapie w okolicach Clapham? – zapytał Redfern, a Tinney natychmiast pospieszył z odpowiedzią:

– Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny.



Pęd powietrza rozpostarł szalik Redferna jak chorągiew. Policjant zrobił krok w tył i przyglądał się rozmazanym twarzom, nie mogąc uchwycić konturu żadnej z nich. Po kilku sekundach po pociągu została tylko cisza, którą niemal natychmiast przerwał komunikat. Z głośników popłynął kobiecy głos informujący, że skład, który miał zabrać zebrany na peronie tłum do Waterloo, jest opóźniony z powodu incydentu na Clapham Junction. Redfern znał te incydenty. Kolejny przytłoczony swoistym londyństwem obywatel postanowił skończyć żywot, zabierając ze sobą psychikę maszynisty. Na tej trasie Southwest Rail zmagał się z problemem samobójstw nawet parę razy w tygodniu. Jak grzyby po deszczu na stacjach metra rosły szklane bariery, które uniemożliwiały śmiertelny skok. Niestety na peronach kolejowych taki montaż nie był możliwy.

Redfern oparł się o filar i roztarł zmarznięte ręce. Pożałował, że nie zdecydował się na jazdę samochodem. Dotarcie do ośrodka może zajęłoby mu więcej czasu niż pociągiem, ale przynajmniej siedziałby w ciepłym wnętrzu. Tymczasem lodowaty pęd pociągu do Portsmouth znów przeszył go na wskroś.

Mimo że stał przy krawędzi peronu, udało mu się wsiąść dopiero do drugiego pociągu. Z twarzą przygniecioną do szyby oglądał szybko przesuwaną się pejzaż, w którym dominowała szarość. Po dziesięciu minutach wyłoniły się brunatne plamy pierwszych zabudowań Clapham. Pociąg zatrzymał się z piskiem. Wypluty z falą garniturowo szarej brei wysiadających Redfern starał się nadążyć za pędzącym tłumem. Zatrzymał się dopiero przed budynkiem stacji, zmęczony i wymięty jak rozbitek, któremu ledwo udało się dopłynąć do brzegu. Ustawiona w komórce mapa odezwała się męskim głosem, że powinien skręcić w lewo. Odbił się od ściany i znów dołączył do rwącego nurtu.

Po kilku minutach rzeka rozlała się szeroką deltą i Redfern mógł odrobinę zwolnić. Komórka co jakiś czas wibrowała mu w kieszeni, sugerując zmianę kierunku. Rozgrzany szybkim marszem, wreszcie dotarł pod biały budynek fasadą przypominający Akropol. Minał jedną z pięciu kolumn i wszedł przez szklane drzwi Polskiego

Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. W recepcji otrzymał naklejkę z wydrukowanym imieniem i nazwiskiem, którą polecono mu przykleić na sweter. Recepcjonistka poinformowała go, że Zenon Rogalski już na niego czeka w sali konferencyjnej, którą znajdzie na pierwszym piętrze.

Na korytarzu doszedł go szum rozmowy. Chwycił za klamkę i wszedł do pokoju. Wśród znajdującej się w środku grupy usiłował odnaleźć mężczyznę, z którym był umówiony. Wszyscy wyglądali podobnie – siwe głowy, pomarszczone twarze, uśmiechnięte oczy. Z pomocą przyszły mu naklejki gości. Wśród nich zobaczył kilka swojskich imion, jak Paweł czy Krystyna.

– Pan Redfern? – zapytał po angielsku stojący pod ścianą staruszek. – Prosimy! Nazywam się Rogalski. – Wyciągnął suchą, ale mocną jak konar dębu rękę. Redfern uścisnął ją i natychmiast się przekonał, ile jeszcze jest w niej życia. – Przyproceedziłem kilku znajomych, którzy mieszkali ze mną i moim bratem w Tweedsmuir. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa. Niełatwo ich było zebrać, bo jesteśmy z różnych części Anglii, ale oni świetnie uzupełnią dziury w mojej pamięci.

– Doskonale – ucieszył się Redfern, myśląc, ile pracy prawdopodobnie zaoszczędziła mu nadgorliwość mężczyzny. Zdecydował, że nie będzie wprowadzał starszych ludzi w konsternację, i mówił po angielsku. Oglądając w muzeum film z obozu, zdał sobie sprawę, że wielu z nich z rzadka posługuje się językiem ojczystym.

– To miło, że interesuje pana obóz – zaszczebotała kobieta, która do tej pory stała z tyłu. Na wizytówce miała wydrukowane „Janina Lis”. – Nie chcielibyśmy, żeby pamięć o tym miejscu umarła.

– Właściwie to interesują mnie konkretne osoby mieszkające tam...

– Może usiądziemy? – zaproponował nagle mężczyzna w wełnianym swetrze. Stał pod regałem z książkami, wyprostowany jak żołnierz, i popijał herbatę. Naklejka lekko się odkleiła i zrolowała, ale Redfern zauważył imię Mike.

Wszyscy jak na komendę zajęli miejsca przy dużym, jasnym stole i w ciszy oczekiwali na to, co powie Redfern. Inspektor miał wrażenie, że Zenon Rogalski nie do końca wyjaśnił zebrany powód

jego wizyty. A jeśli nawet to zrobił, to zainteresowanie obozem i możliwość powspominania starych dziejów skutecznie przysłaniały makabryczność tego celu.

– Jak już wspominałem panu Rogalskiemu – zaczął Redfern – w Woking doszło do morderstwa kobiety. Mamy podstawy, by przypuszczać, że źródła tej zbrodni należy szukać w wydarzeniach z przeszłości.

– Jak nazywała się ta kobieta? – zapytał łysy mężczyzna w marynarce, który siedział naprzeciw inspektora.

– Bożena Sokolińska – odparł David, ale nie widząc żadnej reakcji ze strony zebranych, dodał: – Panieńskie nazwisko Biernat.

– Wie pan, prawie wszyscy, jak tu siedzimy, byliśmy wtedy dziećmiakami... – powiedział ktoś cicho, ale Redfern nie zauważył kto, bo zanim skończył, przerwała mu staruszka z końca stołu:

– Biernat! Oczywiście! – entuzjasmowała się. – Mieszkali tacy w Tweedsmuir. Dwóch ich było, bracia, ale imion nie pamiętam.

– Stasiak jednemu było – dorzucił Mike. – Pamiętam, bo mechanik z niego był, że ho, ho! Raz nawet Karnowi vana naprawił.

– Pamiętam Karna, właściciel Thursley General Store. – Łysy się rozpromienił. – Przyjeżdżał do obozu z towarem w każde sobotnie popołudnie. Przypominam sobie jedną taką sobotę, gdy matka sprzedała warzywa z naszego ogródka i kupiła nam lody od Karna. Smakowały jak ambrozja!

– Drugi z braci miał na imię Lucjan – podrzucił pośpiesznie Redfern. Nie chciał, żeby główny wątek umknął im wśród ckliwych wspomnień.

– Racja! – odezwał się człowiek siedzący obok policjanta. – To był ten młodszy, ten z żoną, co to dzieci nie mogła mieć.

– Mieli potem – poprawiła go Janina. – Córkę chyba właśnie.

– Pamięta pan coś więcej? – dopytywał Redfern. – Kiedy opuścili obóz? Co się z nimi stało?

– Dobrze się dostosowali do życia w obozie – niespodziewanie zabrał głos mężczyzna siedzący obok Janiny. Policjant nie mógł dostrzec jego naklejki. – Lucjan nie był dużo starszy ode mnie. Miał Soldier's Service Pay Book, znaczy się książeczkę wojskową, i bez problemu dostał robotę na kolei, a jego żona uzyskała pozwolenie od

Ministerstwa Pracy i razem z moją matką zatrudniła się w RFD Inflatables Ltd. Kamizelki ratunkowe dla RAF-u robiły. W każdym razie Biernatowie tęsknili za Polską i ostatecznie do niej wrócili.

– Kiedy to było?

– Nie mam pojęcia. – Mężczyzna nachylił się lekko i teraz Redfern mógł przeczytać: Jan. – Kiedy w czerwcu w pięćdziesiątym szóstym opuszczaliśmy z rodzicami obóz, oni też się pakowali, ale nie wiem, gdzie się udali.

– Coś tam wynajęli w Godalmin albo Jacobs Well – podrzuciła Janina.

– Pamiętam za to jeden taki wieczór – ciągnął Jan, ignorując kobietę – dokładnie dwudziesty drugi marca pięćdziesiątego szóstego roku, kiedy Lucjan przyszedł do naszego baraku...

– Dobrą ma pan pamięć – zauważył Redfern, starając się notować wszystko, co słyszy. Zebrani czekali w napięciu na dalszy ciąg historii, choć policjant był pewien, że każdy zna ją doskonale.

– Zaraz panu wyjaśnię dlaczego. Tego dnia wielu ludzi z Tweedsmuir wybrało się do Londynu, by protestować przeciwko wizycie Chruszczowa i Bułganina. Dwadzieścia tysięcy ludzi szło w niemym marszu za generałem Andersem i Borem-Komorowskim. Chcieli pokazać Brytyjczykom, że w chwili, gdy oni z otwartymi ramionami przyjmują sowieckich przywódców, dziesięć europejskich państw jest pod ich zaborem. Wie pan, inspektorze, co się wtedy działo w Polsce?

– Czytałem stare wydania „Dziennika Polskiego”...

– To pan rozumie. – Jan spuścił głowę, jakby zmógł go nagły sen, ale po chwili podniósł ją i wbił załzawione oczy w Redferna. – Otóż musi pan wiedzieć, że dwudziestu ludzi, w tym Biernat i mój ojciec, pojechało wtedy do Londynu, by pokazać, co sądzą o takim stanie rzeczy. Też chciałem tam być, manifestować, ale ojciec zabronił. Pierwszy raz w życiu się z nim pokłóciłem. Dlatego tak dobrze pamiętam tę datę. Pamiętam też tamten wieczór. Tak jak mówiłem, Lucjan przybiegł do naszego baraku. Widząc go, ojciec wygonił nas z pokoju wspólnego.

– Słyszał pan całą rozmowę?

– Tak, musi pan wiedzieć, że ściany w baraku to były tylko wojskowe koce. – Mężczyzna lekko się uśmiechnął. – Tyle że niewiele z tego rozumiałem. Nawet dziś. Biernat nerwowym szeptem mówił, że skojarzą go z obozem i dopadną. Padło zdanie o jakimś odkrytym niedawno tunelu. To wszystko było bardzo chaotyczne. W każdym razie był przerażony i chciał jak najszybciej opuścić obóz, ale ojciec go powstrzymał.

– Dlaczego?

– Mówił pan, że czytał gazety. – Staruszek uniósł brew. – W Polsce nie było bezpiecznie dla takich, jak bracia Biernat. Stanisław wstąpił do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia i w czterdziestym szóstym znalazł się na liście Jaroszewicza. Miał stopień podpułkownika.

– Nie słyszałem o takiej liście.

– Sam ją sobie tak nazwałem – wyjaśnił mężczyzna. – To żołnierze, którzy na mocy ustawy zostali pozbawieni polskiego obywatelstwa. Byli to oficerowie, którzy wstąpili do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia lub, jak kto woli, PRC, czyli Polish Resettlement Corps. To oni mieli przeprowadzić demobilizację polskich żołnierzy w Wielkiej Brytanii, pomóc im w znalezieniu pracy, domu. Rozmieszczali ludzi w obozach. Było ich ponad dwieście pięćdziesiąt, ale Tweedsmuir był przeznaczony dla cywili.

– Dlaczego zatem bracia Biernat tam trafili? Przecież byli żołnierzami i nie mieli rodzin – dociekał Redfern. Czuł, że zaraz zgubi się w gąszczu informacji, w którym przyszło mu się nagle poruszać.

– Tego nikt nie wie – powiedział Mike.

– A co ze Stanisławem? Kiedy opuścił obóz?

– Długo przed bratem, ale nie pamiętam dokładnie kiedy. – Rogalski zmrużył oczy, jakby szukał w pamięci osoby starszego Biernata. – Kiedyś słyszałem, że zamieszkał gdzieś w okolicach polskiego uniwersytetu.

– Tu, w Hammersmith?

– Tak.

Redfernowi coś zaświtało w głowie i szybko zanotował tę myśl, by wrócić do niej po spotkaniu. Czuł, że wiatr, który właśnie złapał

w żagle, doprowadzi to śledztwo do końca.

– Czy Biernatowie weszli z kimś w konflikt w Tweedsmuir?

– Raczej wszyscy tam trzymaliśmy się razem – odparł Rogalski, a pozostali gorliwie kiwali głowami, jakby na potwierdzenie jego słów.

– Mieszkanie w „beczkach” sprzyjało integracji. Nic tam praktycznie nie mieliśmy, tyle co dało War Office, czyli późniejsze Ministerstwo Obrony, a tym nie wszyscy chętnie się dzielili. Jeden miał kury, inny warzywa. Ktoś szafkę, inny rowerek trójkołowy, co to jego dziecko wyrosło i dał drugiemu. Byliśmy rozbitkami na wyspie, dosłownie i w przenośni. Proszę tylko nie myśleć, że Polacy jakoś narzekali na obóz. Było ciężko, wiadomo, ale dla większości po tych wszystkich okropnościach wojny Tweedsmuir był rajem. Tak czy inaczej tęsknili za ojczyzną, z przerażeniem nasłuchiwali kolejnych strasznych wieści płynących stamtąd. Wspieraliśmy się, panie Redfern, w tej poniewierce, bo jakżeby inaczej? Były jakieś tam konflikty, oczywiście, ale z pewnością nie takie, co prowadziłyby do zbrodni.

W sali zapadła cisza, przerywana tylko lekkim skrzypieniem krzeseł. Redfern był pewien, że każdy przeniósł się teraz do blaszanych baraków Nissena, których zdjęcia widział przelotnie w Centrum Historii Surrey. Każdy czuł zapach parafiny wlewanej do kuchenki firmy Primus, będącej na wyposażeniu wszystkich baraków, widział matkę, jak stawia na niej rondel, by zagrzać wodę na kąpiel, i ojca naprawiającego konika na biegunach.

Redfern z trzaskiem wyrwał czystą kartkę z notesu i podał wraz z długopisem Rogalskiemu.

– Proszę państwa o zapisanie danych kontaktowych – powiedział. – To na wypadek, gdybym jeszcze chciał państwa o coś zapytać.

Kartka powędrowała z rąk do rąk i po chwili Redfern miał gotową listę. Zdziwiło go, że pod każdym imieniem i nazwiskiem oprócz numeru telefonu i adresu widniał e-mail. Wielokrotnie namawiał dziadka na założenie poczty, ale ten, mimo że był młodszy od zgromadzonych, zawsze się wykręcał wiekiem. W głowie zabrzmiała mu zrzędliva wymówka, że jemu to niepotrzebne.

Szum rozmowy powoli wypełniał salę. Podnoszący się z krzeseł starszaki wyglądali jak wzbijające się nagle do lotu stado siwych gołębi. Policjant miał wrażenie, że swoim przesłuchaniem przerwał

im wesołe spotkanie towarzyskie. Po krótkiej wymianie uprzejmości zebrani pozdrawiali się i zapewniając się o ponownym spotkaniu w najbliższym czasie, opuszczali salę. Redfern wiedział, że większość z tych obietnic jest bez pokrycia.

– Co się stało z tą biedną dziewczyną? – dobiegł go zatroskany głos Janiny, kiedy w sali oprócz niej pozostało już tylko dwóch mężczyzn.
– Musiała być młodsza od mojej córki.

– Niewiele mogę pani powiedzieć. – Redfern wstał. Górował teraz nad drobną staruszką i przez chwilę się zastanawiał, czy nie usiąść ponownie. – Bożena przyleciała do Anglii w poszukiwaniu swoich krewnych i została brutalnie zamordowana.

– To okropne. – Pokręciła głową i wydobyła z rękawa kaszmirowego swetra chusteczkę, którą wytarła oczy. – I myśli pan, że ona...

– Na razie niewiele więcej wiemy. Dlatego poprosiłem państwa o pomoc.

– Mam nadzieję, że takie stare ramole jak my na coś się przydały. – Wies Rogalski podszedł do nich dziarskim krokiem. – Gdyby zechciał się pan zagłębić w nasze historie, to proszę. – Mężczyzna wręczył Redfernowi znajomą książkę z białym orłem. – Tymczasem dziękuję za spotkanie. Jasia, jak chcesz, to mogę cię podwieźć – zwrócił się do kobiety, a ta chętnie chwyciła Rogalskiego pod ramię i razem wyszli z sali.

Ostatni mężczyzna powoli zbierał płaszcz z krzesła. Wydawał się starszy od reszty, ale ruchy miał zwinne i wzrok zupełnie nierozcieńczony starością. Gdy głosy na korytarzu ucichły, zwrócił się do policjanta:

– Tego wieczora Lutek był nie tylko u Janka – zaczął cicho. – Najpierw przyszedł do nas, bo znaleźliśmy się jeszcze z Polski. Chciał pożyczyć pieniądze na podróż, a właściwie sprzedać, co udało mu się zgromadzić: motor, narzędzia po bracie. Powiedziałem, że odkupię ten motocykl, ale dopiero jak wypłatę z żoną dostaniemy. Niedziela to była, a my pensję dopiero w piątek mieliśmy dostać. Wahał się, ale obiecał zaczekać.

– Co się potem stało?

– Zwyczajnie się rozmyślił. Ludzka rzecz.

– Dlaczego pan tego nie opowiedział przy wszystkich?

– Bo Lutek powiedział wtedy coś bardzo dziwnego. – Odsunął krzesło i usiadł naprzeciw Redferna, który również spoczął. – Oprócz tunelu, o którym wspomniał Janek, Biernat mówił coś o snajperze.

– Zamach?

– Nie wydaje mi się. Też byłem na tym marszu, ale niczego nie zauważyłem. A on bał się okropnie. Mówił, że gdyby mu się coś stało, to mam się skontaktować ze Staśkiem i dać mu list. Wręczył mi wtedy zaklejoną kopertę i powiedział, że on go w razie czego ochroni.

– Ma go pan?

– Niestety. Kiedy się dowiedziałem, że Biernat wrócił do Polski, sądziłem, że razem z bratem. Dziś zaskoczyło mnie, że Stasiek jednak został.

– Mówił pan, że znaliście się jeszcze z Polski. Jak się poznaliście?

– Z Rybnika się znamy, to takie miasto w południowej Polsce, a właściwie z pociągu ewakuacyjnego, co nas we wrześniu trzydziestego dziewiątego zabrał do miejscowości Turka koło Lwowa. Ojciec Lutka, podobnie jak mój, został na służbie, a nasze rodziny wywieziono. Do Turki nie dotarliśmy, bo nas zakwaterowali w leśniczówce w Terszowie-Spasie. Tak to się wtedy nazywało.

Redfern chciał mu przerwać, ale ostatecznie uznał, że ta historia musi zostać wypowiedziana, a jemu samemu nigdzie się nie spieszy.

– Dobrze nam tam było, aż nagle na jesieni jakieś bandy zaczęły podchodzić pod leśniczówkę. Uciekliśmy z powrotem na Śląsk, do domu, ale to już nie był ten sam Śląsk. Poznikały polskie znaki, afisze, napisy, zewsząd zalewały i raniły oczy hałaśliwe slogany w nieznanym mi, obcym i już znienawidzonym języku.

Mężczyzną lekko wstrząsnął szloch. Opanował się jednak i kontynuował.

– Słyszeliśmy, że rodzina Biernatów też wróciła – dodał. – A potem było najgorsze. Noc z drugiego na trzeciego maja czterdziestego roku. Dobrze pamiętam, bo była to dziewiętnasta rocznica trzeciego powstania śląskiego. W głębokiej nocy zaczęło się dobijanie do drzwi i okien. To policja niemiecka z psami przyszła po ojca. Zachowywali się nawet kulturalnie, nie plądrowali, nie krzyczeli, tylko stanowczo powiedzieli, że aresztują ojca w imieniu prawa. Dali mu dwadzieścia

minut na ubranie się, pozwolili na krótkie pożegnanie i wyszli w ciemność, zabierając go ze sobą. Nigdy nie zapomnę rozdzierającego, nienaturalnego płaczu mojego czteroletniego wówczas brata. Swoim małym, dziecinnym instynktem wyczuł chyba, że już nigdy ojca nie zobaczy. I muszę panu powiedzieć, że był to płacz proroczy. Z dnia na dzień stałem się żywicielem rodziny. Terror niemiecki trwał i pamiętam jak dziś, że kiedy po katastrofie gibraltarskiej w gazetach pokazali generała Sikorskiego i nazwali jego żołnierzy turystami, zapragnąłem dołączyć do nich. W sierpniu czterdziestego trzeciego wcielono mnie do armii, ale niemieckiej. Rozpaczałem i płakałem jak małe dziecko. Staśka i najstarszego Biernata też wcielili. Nie pamiętam imienia.

– Feliks.

– Racja. No więc przez jedenaście miesięcy służyłem w znienawidzonym mundurze, aż wreszcie dotarłem do Normandii, tam udało mi się przedostać na stronę aliancką.

– Jakim cudem?

– To akurat jest zabawna historia. Ktoś przypadkowo znalazł zabita przez minę krowę. Dowódca kazał ją przynieść do obozu i gulaszu nagotować. Panie inspektorze, myśmy byli tak głodni, że tę krowę to byśmy najchętniej na surowo zjedli. Ale gulasz był pierwsza klasa! Kiedy tak wszyscy leżeli z brzuchami wydętymi jak u afrykańskich dzieci, dowódca szukał ochotnika, by kabel do łączności zwinąć. Mimo potwornego zmęczenia wyskoczyłem, żeby mnie nikt nie uprzedził. Nadarzyła się okazja, by zrealizować mój od dawna układany w głowie plan ucieczki. Kazano mi dobrać sobie kompana, więc się zgłosiłem z jeszcze jednym kolegą, Smętek się nazywał, by udać się na niebezpieczną misję. Myśmy tam byli jak mięso armatnie, więc nas chętnie wysłano. Po drodze zatrzymała nas policja frontowa, co to gorsza od Gestapo była, ale myśmy przedstawili cel misji i nas puszczono. No więc kabel w las i my w las, tyle że w przeciwnym kierunku – zachichotał staruszek. – Tak ziścił się mój plan.

Dopiero teraz Redfern przeczytał: Paweł Jarząbek.

– Co było dalej?

– Dalej to był, panie inspektorze, obóz jeniecki, ale ja byłem najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Nigdy nie zapomnę uniesienia, ufności, szczęścia i radości tej wymarzonej chwili, w której dołączyłem do tych legendarnych dla mnie turystów. Mogłem czytać ukochanego Sienkiewicza, mogłem mówić w ojczystym języku. – Staruszek się wzruszył. – Po kilkutygodniowej wędrówce po różnych obozach i badaniach trafiłem ostatecznie do Centrum Wyszkozenia Broni Panczernej w Catterick i tam zrobiłem kurs na instruktora strzelectwa samochodowo-pancernego. Potem skończyłem gimnazjum w Bodney, a następnie liceum w Haydon Park. Do obozu trafiłem na bardzo krótko. Tam rozpoznałem Lutka i Staśka. Ufali mi, bo w Polsce byliśmy jakby sąsiadami, mieliśmy te same wspomnienia, przeżyliśmy ten sam koszmar, a to bardziej cementuje niż więzy krwi, proszę mi wierzyć.

– Nie podejrzewa pan, co było w liście, który dostał pan od Lucjana?

– Niestety. I powiem szczerze, że z ulgą się go pozbyłem.

– Dlaczego? – zainteresował się Redfern. – Przecież to był tylko list do brata.

Staruszek nachylił się w stronę inspektora i ściszył głos do szeptu.

– Wydaje mi się, że Biernatowie wplątali się w jakąś aferę, proszę pana. Nie umiem tego sprecyzować, ale to byli bardzo tajemniczy ludzie. Zwłaszcza ten Stasiek. Często wyjeżdżał, a ostatecznie zniknął zupełnie.

Redfern zanotował słowo afery, podkreślając je kilkakrotnie, na co Jarząbek mocno się zmieszał.

– Ale wie pan, może to być tylko wyobraźnia starego człowieka. – Zaśmiał się, jakby opowiedział doskonały dowcip. – Wspomnienia to bardzo plastyczny materiał.

– A zatem jeszcze w obozie drogi braci się rozeszły – podsumował Redfern.

– Tak jak powiedział Wies, znaczy Wiesiek.

– Powiedział też, że konfliktów nie było – odparł w zamyśleniu policjant.

– Może i konfliktów nie, ale, panie inspektorze, mam osiemdziesiąt osiem lat i w całym swoim życiu wiele razy widziałem, jak zupełnie

niewielkie rzeczy mogą prowadzić do niewyobrażalnych zbrodni.



Wychodząc przed budynek ośrodka, Redfern włączył w komórce mapę i wpisał adres – do komisariatu w Hammersmith miał siedemnaście minut marszu. Nie był pewien, czy policjanci z tamtego posterunku są w stanie jakkolwiek mu pomóc, ale postanowił zainwestować ten kwadrans.

Zapomniał już, jak hałaśliwa i tłoczna potrafi być stolica. Slalom między zabieganymi lub spacerującymi londyńczykami zmęczył go na tyle, że z ulgą powitał ciszę, która nastąpiła, gdy zamknęły się za nim drzwi posterunku. Ciasny hall zaskoczył inspektora. Zawsze mu się wydawało, że komisariat przy ulicy Approach Station osiągnął dno estetyki. Patrząc na obłazącą farbę i odrapany kontuar z laminatu, doszedł do wniosku, że powinien docenić swoje miejsce pracy.

Nie licząc dyżurnego, na komisariacie było pusto. Policjant, którego młodość maskowała ogromna nadwaga, przywitał inspektora chłodno. Dopiero gdy Redfern wyjaśnił mu cel wizyty, nieco spuścił z tonu.

– Myślę, że najwłaściwszą osobą będzie starsza sierżant Kim.

– Soyeon Kim? – Redfern nie dowierzał, że w takim miejscu zobaczy znajomą twarz. Po skończeniu akademii nie śledził losów koleżanki z ławki, ale pamiętał, że swego czasu był nią zafascynowany.

– Zgadza się. – Dyżurny sięgnął po słuchawkę telefonu i wcisnął jeden z przycisków, po czym zapowiedział przybycie inspektora.

Młody policjant nie wskazał żadnego miejsca, więc Redfern oparł się o kontuar i z zamiarem przejrzenia w międzyczasie zapisków z ośrodka czekał na przybycie starszej sierżant. Nie zdążył otworzyć notesu, kiedy poczuł na ramieniu klepnięcie.

– Dave?

– Cześć, Soyeon – powiedział Redfern, odwracając się do policjantki, i ugięły się pod nim kolana. Jej egzotyczna uroda wciąż na niego działała.

– Nie widzieliśmy się z piętnaście lat – podliczyła szybko, zabawnie marszcząc nos. Wyglądała przy tym jak prychający kotek. – Co cię do mnie sprowadza? Zresztą nie mów! Opowiesz mi podczas lunchu. Ben – zwróciła się do dyżurnego – będę u Adama.

Adam's Cafe okazała się przytulną knajpką z doskonałą kawą i jeszcze lepszymi pieczonymi ziemniakami z tuńczykiem. Rozmawiali o studiach i pracy po nich, uzupełniając wspomnienia aktualnymi wydarzeniami. Co raz wybuchali serdecznym śmiechem, to znów milczeli, delektując się posiłkiem. Oboje krążyli wokół życia osobistego, ale żadne z nich nie zadało tego właściwego pytania. Na swoje Redfern uzyskał odpowiedź, gdy tylko zerknął na lewą dłoń Soyeon.

– No więc mów, co wykurzyło cię z tego zapyziałego Woking – zapytała, poprawiając dyskretnie obrączkę. Redfern poczuł się nieswojo. Być może on nie śledził jej losów, ale Soyeon była dobrze zorientowana w jego życiu. Nie przypominał sobie, żeby podczas tej rozmowy wspominał o przeniesieniu.

– Szukam jednego faceta, Polaka – odparł, biorąc do ust kawałek ziemniaka.

– Trochę ich tu mieszka, ale nie powinno być problemu.

– Chodzi o to, że facet chyba nie chce zostać znaleziony – dodał, ale policjantka weszła mu w słowo.

– Mamy i na takich sposoby. – Koreanka uśmiechnęła się i popiła kawę. Nad jej kształtnymi wargami została cienka warstwa pianki, którą natychmiast oblizwała.

– Chodzi o to, że zniknął z radarów w latach sześćdziesiątych – wyjaśnił. – Nie znalazłem go ani w archiwum narodowym, ani na findmypast.co.uk.

– Masz wycucie czasu – powiedziała tajemniczo, a gdy Redfern nie odpowiedział, dorzuciła: – Miasto niedawno podjęło decyzję o remoncie naszej nory, więc szykujemy się do tymczasowej przeprowadzki. Wybebeszamy właśnie papierowe archiwa, by je, jak

to nam powiedziano, digitalizować. Możesz w nich nurkować do woli, ale ostrzegam, że są tego tony.

– Muszę spróbować się czegoś dowiedzieć o tym facecie – rzekł stanowczo Redfern, a gdy Soyeon Kim zapytała o powód, opowiedział jej przebieg śledztwa. Zatrzymał się dopiero, gdy doszedł do wątpliwości co do Marty.

– Posłuchaj, każdy przeżywa żalobę inaczej – posumowała porucznik. – Jeden będzie rwał włosy z głowy i popadnie w depresję, inny zabije rozpacz śmiechem. Wiesz, że jej nie było w Anglii w czasie morderstwa, a z tego, co mówisz, to cała ta rodzina jest nieco pokręcona. Jeśli mogę ci coś doradzić, to skup się na znalezieniu tego Biernata, bo on tu jest największą zagadką.

– OK, więc chodźmy. – Redfern dopił kawę i wstał. Próbował wyciszyć wrodzoną podejrzliwość, ale wciąż nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś przegapia.

Skąpo oświetlony korytarz prowadził do niewielkiej salki, od której odchodziły trzy kolejne, znacznie większe, bardziej przypominające tunele. Brak światła spowodował, że pozostałe zmysły Redferna pracowały na wzmożonych obrotach, sprawiając, że zapach stęchlizny i kurzu były nie do zniesienia.

– Ten budynek ma chyba ze sto lat – skomentował zardzewiałe pancerne drzwi, oddzielające jeden pokój od drugiego. Redfern miał wrażenie, że stoi w środku bunkra.

– Prawie – odparła Soyeon i wskazała na pomieszczenie po lewej stronie. Jej skóra pod wpływem matowych lamp zdawała się mienić. – Tam przechowujemy stare sprawy. Część akt już wywieziono, ale te najstarsze wciąż tu tkwią. Od razu cię uprzedzam, że jest w nich spory bałagan.

Redfern otaksował sięgające sufitu metalowe regały, wypełnione luźnymi teczkami oraz kartonami. Od niektórych poodpadały tabliczki z opisami.

– Poradzę sobie – zapewnił.

– W to nie wątpię – odparła wesoło Soyeon. – Gdybyś czegoś potrzebował, to będę na górze. Moja przerwa obiadowa dobiegła końca.

Obowiązkowa jak zawsze, pomyślał Redfern.

Został sam w lodowatym pomieszczeniu. Mimo buczonego w kącie osuszacza powietrza czuł, jak wilgoć wkrada mu się pod ubranie. Szybko się zorientował, że na regałach nie ma żadnej chronologii i będzie musiał zajrzeć do każdego nieopisanego kartonu. Szarpnął za pierwszy i odskoczył z obrzydzeniem. Na pokrywie siedział największy i najtłustszy kątnik olbrzymi, jakiego w życiu widział, choć pająki te wyjątkowo upodobały sobie angielskie gospodarstwa i często gościły w domu Redferna. Policjant tupnął głośno i poczekał, aż zwierzę się oddali, po czym przełożył karton na stojący pośrodku małej salki stół. Podniósł pokrywę, pod którą odkrył kilka teczek. Zaczął je wyciągać i zaglądać do środka, ale wszystkie zawierały indeksy akt z siedemdziesiątego trzeciego. Maszynowym pismem oddano wszystko to, co tego roku działo się w Hammersmith – drobne kradzieże, awantury domowe, pobicia, zupełnie jakby pod tym względem świat stanął w miejscu.

Napierające na stawy zimno sprawiło, że po dwóch godzinach bezowocnych poszukiwań miał dość. Otwierał kolejne kartony, z każdą minutą tracąc nadzieję na znalezienie Stanisława Biernata. Zajrzał do drugiej sali. Gdy doszedł do jej końca, zauważył, że ostatnie regały były puste. Wolne od kurzu pola wskazywały, że opróżniono je całkiem niedawno. Dał sobie spokój i wszedł na górę. Zapytał napotkanego na schodach policjanta o biuro porucznik Kim.

– Cholera, może tę część wywieziono już do Empress State Building? – powiedziała, gdy zobaczyła go z pustymi rękami. – Archiwum to nie moja działka – usprawiedliwiła się. – Zadzwoń tam zaraz i zapytam.

– Super.

Był zły, że zmarnował czas. Usiadł naprzeciwko i czekał, aż Soyeon połączy się z posterunkiem w West Kensington. Jej biuro przedstawiało purytańskie podejście do wystroju wnętrza, komputer był jedynym odstępstwem. Patrząc, jak świecące miękkim światłem jabłko odbija się w czystym blacie, pomyślał, że na co dzień taki styl byłby nie do zniesienia. Zastanawiał się, jakie piekło urządziłaby mu śliczna Koreanka, gdyby miała zamieszkać w pieczarze przy Constitution Hill.

– OK. – Odłożyła słuchawkę, zwracając się do Redferna: – Możesz jutro do nich podjechać. Niestety nie mają kogo ci oddelegować do pomocy, ale obiecali przygotować teczki z lat sześćdziesiątych i pięćdziesiątych.

– Dzięki za pomoc – powiedział, choć jeśli miał być szczery, to żałował, że Soyeon nie przycisnęła swojego rozmówcy, żeby przygotował dokumenty na dziś. – Mam nadzieję, że niedługo się spotkamy. – Wstał i skierował się do wyjścia. Zamykając drzwi, usłyszał ciche „Ja też”.

Zszedł po schodach i przeciął główny hall. Zwolnił przy dyżurce, by pożegnać się z młodym policjantem, gdy coś przykuło jego uwagę. W pokoju za kontuarem zobaczył znajome pudła.

– Co tam jest?

– Kolejna partia do wysyłki do West Kensington – odparł Ben, wskazując brodą na monitor komputera. – Właśnie kończę katalogować. Syzyfowa praca, każde pudło muszę sprawdzić, choć to sama makulatura, ale podobno jak skończymy przeprowadzkę, to wszystko ma się znaleźć w archiwum narodowym. Paranoja.

– Mogę się temu przyjrzeć? – W Redfernie zapaliła się nowa nadzieja.

– A czego konkretnie pan inspektor szuka? Może coś podpowiem.

– Interesuje mnie przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, zaginięcie mężczyzny.

– Lata sześćdziesiąte są już w Empress State. – Mężczyzna kliknął kilka razy myszką i przejechał palcem po ekranie, mrużąc: – Tutaj mam siedemdziesiąte i końcówkę pięćdziesiątych. Może pan inspektor sprawdzić. – Policjant zwolnił magnetyczną blokadę drzwi i Redfern wszedł do dyżurki.

W kantorku pracowało mu się znacznie przyjemniej, nie tylko ze względu na ciepło, ale i na to, że posterunkowy Ben zdążył opisać każdy karton. Ten z naklejką z nadrukowaną pięćdziesiątką ósemką zawierał zaledwie parę teczek. Kolejny – aż czternaście. Archiwa były niekompletne, niektóre dokumenty rwały się w palcach. David powoli tracił nadzieję, przeglądając uważnie każdy folder. Kiedy w jego rękę znalazł się dziesiąty, odetchnął z ulgą. Pośród wielu

pożółkłych arkuszy dostrzegł znajome nazwisko zapisane maszynowym pismem: Stanisław Biernat.



Zadowolony, że ominęły go popołudniowe godziny szczytu, wysiadł na stacji w Woking. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wziąć taksówki, ale Princess Road nie była aż tak daleko, a pogoda, która jeszcze rano smagała na oślepie lodowatymi biczami, teraz głąskała przechodniów ciepłymi podmuchami lekkiego wiatru. Redfern wiedział, że słońce nie było jego sprzymierzeńcem w walce z chorobą, ale po godzinach spędzonych w piwnicach komisariatu w Hammersmith bardzo potrzebował spaceru. Nie udało mu się przekonać dyżurnego, by pozwolił mu zabrać dokumenty. Młody policjant zrobił skany i wysłał mu je na maila. Właściwie była to notatka sporządzona przez oficera dyżurnego. Zaginięcie zgłosiła Jadwiga Wilk. Brakowało akt sprawy.

Historia braci wymagała poukładania. Jego myśli pomknęły do Driel, gdzie zginął Feliks. Lucjan utrzymywał, że kula, która go powaliła, pochodziła z broni jednego z polskich żołnierzy. Tajemnicą pozostaje też, jak ciało najstarszego z braci znalazło się w Brookwood. Redfern wyciągnął z kieszeni telefon i zanotował w mailu tę myśl. Po wojnie Biernatowie zamieszkiwali w Tweedsmuir i starali się zapomnieć o okropieństwach tego, co przeżyli. Jednak dla nich wojna się nie skończyła i w pięćdziesiątym szóstym znów musieli uciekać, Lucjan – do Polski, Stanisław wcześniej zniknął gdzieś w Londynie.

Nie wiedział, czy wierzyć słabej pamięci Janiny i przyjąć, że Lucjan jeszcze jakiś czas przebywał w Surrey. Dlaczego dał Pawłowi Jarząbkowi list zamiast skontaktować się ze Stanisławem? Redfern utworzył kolejnego maila do siebie i wysłał. W każdym razie minęło pół wieku i do Wielkiej Brytanii przyjechała córka młodszego z braci

i czegoś szukała, a poszukiwania te zaprowadziły ją na Pyle Hill. I to jedyny pewnik w tej sprawie.

Szedł wolno, wlepiając wzrok w komórkę, i o mało nie zderzył się z mężczyzną idącym z naprzeciwka. Przeprosił i schował aparat do kieszeni. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie jest. Widok kamienicy Herberta George'a Wellsa przy Maybury Road przypomniawszy mu o Marcie. Będąc u niej w pokoju, zauważył na szafce nocnej czytnik ebooków. Zastanawiał się, czy kobieta wiedziała, że Wells tworzył w Woking, a *Wojna światów* zaczyna się właśnie na jego przedmieściach? Obiecał sobie, że gdy tylko do niej zadzwoni, poda jej kolejny powód, by znów odwiedziła miasto. Na początek postanowił wysłać jej SMS-a z pytaniem o lot.

Bohdan Siwiaszczyk siedział w ogrodzie. Rozłożony na leżaku zażywał ostatnich w tym roku promieni słonecznych. Miał przymknięte oczy i lekko pochrapywał. Na jego kolanach Redfern dostrzegł egzemplarz „Pamiętnika Literackiego”. Pamiętał, że matka do samej śmierci również go prenumerowała.

Dotknął delikatnie ramienia dziadka, a ten natychmiast się ocknął.

– O, Dawidku!

– Cześć, dziadku. – Redfern oparł się o blat ogrodowego stołu, przysłaniając Bohdana wielkim cieniem. – Byłem u ciebie w firmie.

– Mam tydzień wolnego. Nadal szukasz tych Polaków?

– Tak i mam do ciebie prośbę. Babcia z mamą mieszkały w Londynie kupę lat. Znały polskich imigrantów, ty zresztą też. Jest pewien facet, nazywa się Stanisław Biernat, mieszkał w Hammersmith. Prawdopodobnie zaginął w pięćdziesiątym dziewiątym. Może jakimś cudem ktoś go pamięta?

– Mogę popytać, ale wielu z dawnych znajomych już nie żyje, a Londyn to nie Byfleet. Może być trudno.

– Spróbuj – nalegał. – Tu masz wszystko, czego się do tej pory dowiedziałem. – Redfern położył na stole odręcznie napisaną kartkę i przygniótł ją wazonem. Po chwili namysłu dołożył jeszcze książkę, którą dostał od Rogalskiego. – Może to cię natchnie?

– Dobrze – odparł. – A teraz kanapki i partyjka remika?

– Nie mogę. Muszę wracać do pracy.

– Źle wyglądasz, Dawidek. – Położył rękę na dłoni Redferna. – Aż tak źle w pracy?

– Nic ponad normę – wyznał.

– A zatem kobieta – skonstatował dziadek. – Synku, nie popełniaj moich błędów. Zbyt długo czekałem, aż robota da mi rozwód, i gdyby los nie obdarzył mnie Tosią, to byłbym dzisiaj... Ech... albo wcale by mnie nie było.

Redfern poklepał dziadka po ramieniu i poszedł do kuchni, gdzie znalazł w szufladzie dwie zgrane talie. Chociaż tyle mógł zrobić dla samotnego człowieka.



Pogoda znów ubrała się w zimowe szaty, więc darował sobie spacer i zadzwonił po taksówkę. Za piąta przejechał komfortowym sharanem przez całe miasto i po krótkiej wspinaczce na piętro przekręcał klucz w zamku. Informacje od mieszkańców obozu i kilka dobrych partii remika tchnęły w niego nowy optymizm. W dodatku za drzwiami czekał na niego popiskujący z radości szczeniak. Uśmiechnął się do swoich myśli i pchnął skrzydło.

Zapalił światło w przedpokoju i zamarł. Palacz najwyraźniej postanowił odzyskać kopertę i wyrócił w tym celu mieszkanie do góry nogami. Redfern szedł korytarzem, uważając na każdy krok. Zaniepokojony Bandit z poważną miną dreptał tuż przy nim. Ostrożnie mijali porzucane płyty i ubrania. David oceniał straty: rozbite lustro i lampka nocna oraz potłuczone szklanki, które zostawił na stole, wyrwana listwa przyszybowa w drzwiach sypialni, zerwane rolety w obu pokojach. Redfernowi zakręciło się w głowie z wściekłości. Dopiero gdy zobaczył, że włamywacz posunął się do podziurawienia i zaślinienia *Nim nadejdzie mróz* Mankella, inspektor zrozumiał, co się stało. Bandit najwyraźniej się nudził i postanowił wyręczyć swojego pana w wypakowywaniu kartonów. Każda, najmniejsza nawet rzecz została wywleczone na środek mieszkania.

Szczeniak usprawnił nawet mikser, czyniąc go bezprzewodowym. Redfern opadł na kanapę i nie mógł się zdecydować, które uczucie z szerokiej gamy ma być tym dominującym – chciało mu się wyć ze złości, ale śmiech, jaki go ogarnął, wziął górę. Piesek zrozumiał, że jego obawy były bezpodstawne i pan bardzo się cieszył z jego pomocy. Wgramolił się na łóżko i objając wszystko ogonem, zaczął lizać Davida po twarzy.

Falę mokrych pieszczoł przerwał dzwonek telefonu. Redfern wydobył go z kieszeni i odebrał. Głos Zhenga był matowy i zimny jak szkło.

– Słuchaj, wiem, nad czym pracował Adrian.

– Szybko się uwinąłeś – pochwalił Redfern i pogładził po głowie Bandita, na co pies znów zareagował lizaniem.

– Bo nie mam za wiele informacji. Akta jego spraw są utajone. Nawet ja nie mam do nich dostępu, Dave – powiedział i zamilkł na chwilę, po czym wyrzucił z siebie: – Możliwe, że chodzi o handel dziećmi.

Redfern zerwał się z kanapy i zaczął chodzić po pokoju, uważając, by w nic nie wdepnąć.

– Tutaj? W Anglii?

– Na to wygląda. Ktoś z jego departamentu przejął wszystko.

– Potrzebuję tego nazwiska.

– Zapomnij. To duch. Wiem tylko tyle, że Adrian musiał wleźć na minę, skoro przekazali jego papiery kretowi. Nic więcej nie wskóram.

– Pamiętasz może, jak nazywała się ta zaginiona studentka? Ta z ostatniej sprawy Adriana.

– Gdzieś to tu mam... – Słysząc było, jak Zheng przekłada jakieś papiery. – Samantha Thomson. Nazywała się Samantha Thomson – powtórzył i znów przełożył kartki.

– Znaleźliście ją?

– Nie. Wciąż figuruje w bazie osób zaginionych. Jeśli ją znajdziemy, to raczej martwą.

– Dzięki, Zheng.

– Nie ma sprawy – odparł znajomy, już pogodniej. – Twój Palacz się odzywał?

– Jeszcze przed chwilą myślałem, że tak, ale to był fałszywy alarm.
– Podeszedł do kanapy i poczochnął szczeniakowi sierść na głowie, na co piesek odpowiedział machaniem ogona.

– Uważaj na siebie, Dave. Jeśli Adriana zaprowadziło to do wariatkowa, to ciebie może wciągnąć na listę osób zaginionych. Uwierz mi, że nie będzie mi się chciało szukać twojego dupska po całej Anglii.

– Dobrze wiedzieć, stary – zaśmiał się Redfern.

– Trzymaj się, Dave.

W ostatnim zdaniu Redfern słyszał wyraźną troskę. Możliwe, że agent dowiedział się znacznie więcej, niż mówił mu przez telefon. Zamiast się zastanawiać, jak dorwać skurczybyka, chciałbyś chronić bliskich i samego siebie, zabrzmiały mu w uszach słowa Marty. Zheng zapewne o tym wiedział.

Spojrzał na telefon w nadziei, że zobaczy na ekranie odpowiedź na wiadomość, którą wysłał po południu. Niestety na wyświetlaczu była tylko prognoza pogody. Szło ochłodzenie.

ROZDZIAŁ XII

Czwartek, 17.10.2013

Tuż przed szóstą obudziło go zeszywnienie rąk i nóg. Wczorajsza sesja w piwnicy dawała o sobie znać. Bandit, jakby wyczuwając złe samopoczucie pana, położył głowę na jego piersi i zerkał przyjaźnie, lekko tylko pukając ogonem w kołdrę. Redfern zdawał sobie sprawę, że za parę miesięcy nie będą się mieścili na wąskim materacu i już teraz powinien zacząć uczyć go spania na pościeli, ale nie potrafił odmówić tym brązowym oczom. Pomyślał, że najwyżej kupi podwójne łóżko, choć po chwili zganił się za idiotyzm tej myśli. Będą potrzebowali przynajmniej łoża królewskiego.

Policjant zapalił lampkę i sięgnął do przełącznika, by włączyć koc elektryczny, który odkąd David chorował, był stałym elementem łóżka. Po kilku minutach przyjemne ciepło rozlało się po całym ciele. Łyknął trzy tabletki diclofenacu i czekał na efekt, a gdy ten nadszedł, Redfern usiadł ostrożnie i wziął z szafki książkę, którą dostał od Rogalskiego. Kartkował niespiesznie, wyłapując kolejne rozdziały: *Family Life and Domesticity, Children and Schooling*, w którym zobaczył świadectwa szkolne i zdjęcia roześmianych dzieciaków w blaszanych samochodzikach. Mignęła mu fotografia ślubna rodziców braci Rogalskich oraz wiele innych – z chrzcin, procesji, dzieci w strojach ludowych. Mimo braku barw na żadnym z tych zdjęć nie było widać szarości życia, a przecież nie składało się ono z samych tylko uroczystości. Zmagali się z biedą, tęsknotą,

niepewnością tego, co nastąpi. Redfern chciał wierzyć w ten raj, o którym mówił Wies, ale jakoś trudno było, patrząc na tła fotografii – ponure baraki i błotniste pola.

Zebranie miał dopiero o dziewiątej, więc gdy tylko poczuł się lepiej, zjadł śniadanie i wyszedł z psem do parku. Lodowata mgła snuła się siwym szalem po błoniach. Park był prawie pusty. Jedyne właściciele czworonogów machali wyrzutniami piłek, wyglądając przy tym, jakby usiłowali przeciąć ciężki opar. Powinien sprawić taki gadżet Banditowi, gdy trochę podrośnie, pomyślał.

Nagle podbiegł do nich biały labrador. W odblaskowej kamizelce i mrugającej na niebiesko obroży wyglądał jak karetka pogotowia na czterech łapach. Bandit lekko się skulił, ale pozwolił przybyszowi na przegląd podogonowych informacji. Po chwili oba psy oddały się zabawie, płacząc smycz szczeniaka. Redfern odpiął zaczep i pozwolił pobiec zwierzętom na boisko.

Sam usiadł na ławce i wybrał numer Knighta.

– Jak idzie? – Mężczyzna odezwał się niemal natychmiast. – Słyszałem, że złapałeś jakiegoś wirusa.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Redfern zmarszczył brwi na myśl o plotkach na swój temat.

– Bente mówiła mi, że... – Malcolm urwał, po czym dodał z rozbawieniem: – Aaa, OK, już rozumiem, to był atak alergii na prokuratora.

– Coś w tym stylu – odparł inspektor wymijająco, nie chcąc brnąć w większe kłamstwo. – Jak się miewa Linda?

– O dziwo, całkiem nieźle. Ten Ade to cudowny człowiek. Nie mogę uwierzyć, że jest tylko pielęgniarzem. Z jego wiedzą i empatią z powodzeniem zastąpiłby kilku lekarzy – nie krył zachwyty Malcolm. – Dziewczyna wyjdzie na prostą, jestem pewien. A tobie jak idzie?

– Wszystko jest bardzo zagmatwane – rzekł szczerze David. – To morderstwo ma drugie dno, a może i trzecie. Trzeba odgruzować bardzo stare historie, znaleźć pamiętających je ludzi. W nocy wysłałem raport, zerknij w wolnej chwili. Może coś cię natchnie.

– OK, ale nie obiecuję, że dziś. Wziąłem urlop do końca tygodnia – powiedział, po czym zniżył głos do szeptu i dodał: – Wiesz, dopóki

Linda nie pojedzie do... No, w każdym razie jeszcze raz ci dziękuję.

– Nie ma sprawy – uciał Redfern. – Może kiedyś ty mi pomożesz.

Pożegnał się i przywołał Bandita, który niemal natychmiast pojawił się przy ławce. Był zziębnięty i Redfern dałby sobie głowę uciąć, że szczeniak się uśmiecha. Nie zapiąwszy smyczy, zaczęli się kierować do wyjścia z parku.

Gdy zbliżali się do bramy, Redfern zdał sobie sprawę, że nie widział labradora, choć ten był rozświetlony jak Wembley podczas koncertu Stonesów. Zamiast tego w końcu alejki zobaczył nikłe światełko i zarys znajomej zakapturzonej sylwetki. Redfern schylił się i udał, że zawiązuje buta. Gdy postać poruszyła się nieznacznie, rzucił się biegiem w jej stronę, ale zanim nabrał rozpędu, obserwator zniknął za drzewami. Inspektor stał na środku alejki, wypatrując choćby jednego ruchomego punktu. Jednak w gęstej jak krochmal mgłę nic się nie poruszyło. Nagle coś uderzyło go w tył kolana, sprawiając, że prawie się przewrócił. Ucieszony kolejną porcją zabawy szczeniak zaszczekał piskliwie. Redfern schylił się, by go pogłaskać, i wtedy zauważył mrugające światło. Zagwizdał na labradora, ale ten nie zareagował. Policjant wszedł w głąb parku, przedzierając się przez krzaki. Patyki pękały z trzaskiem, płosząc z drzew wrony. Trzepot skrzydeł niósł się po pustym parku.

Dopiero gdy był parę metrów od źródła błysków, Redfern zrozumiał, co jest nie tak. Ktoś powiesił na gałęzi obrożę.



Ucieszył się, że jest pierwszy. Choć ból całkowicie ustąpił, Redfern czuł się wycieńczony. Widok Palacza w parku wlewał mu pod skórę męczący niepokój. Zastanawiał się, czy mężczyzna chciał być zauważony, czy jednak przydarzył mu się błąd w sztuce. Ostatecznie uznał, że ktoś, kto jest doręczycielem takiej gotówki, nie pozwala sobie na pomyłki.

Ściągnął plecak i zaczął wyciągać z niego zgromadzone materiały. Gdy wydobył ostatni plik pomiętych kartek, w drzwiach do sali pojawiła się płowa głowa. W pierwszej chwili David pomyślał, że Duża Elsa wpadła sprawdzić, jak bardzo nie radzi sobie ze śledztwem, jednak zamiast niskiego, zahartowanego norweskim wiatrem głosu usłyszał szczebiotliwe:

– Szukam inspektora Redferna.

– A w jakiej sprawie? – burknął. Nie spodobało mu się, że młoda dziewczyna nawet się nie przywitała. Następne zdanie sprawiło, że chciał ją wyrzucić.

– Myślę, że nie powinno to pana interesować.

– W takim razie nie wiem.

Jeśli coś drażniło go w ludziach bardziej niż brak kultury, to była to bezczelność. Dziewczyna podziękowała i zamknęła drzwi. Redfern wrócił do przewracania papierów. Kiedy zbliżał się do końca, skrzydło znów się uchyliło.

– Dlaczego nie powiedział mi pan, że pan to pan? – wystrzeżiła jak z karabinu, jednocześnie zdając sobie sprawę z bezsensowności tego, co powiedziała. Zaczerwienione policzki ukryła za kaskadą blond włosów.

– Skoro uprzejmości mamy już za sobą, to może się dowiem, co panią do mnie sprowadza. – Wskazał jej miejsce naprzeciwko siebie. Dziewczyna skorzystała z zaproszenia i natychmiast usiadła.

– To – powiedziała i podała mu plik papierów. Na pierwszym z nich zobaczył znajome nazwisko. Sierżantka Summer Winter siedziała nieruchomo i świdrowała go wzrokiem. – Chciałabym, żeby zaakceptował pan moje przyjęcie tutaj.

– Nie zgłaszałem braków kadrowych

– A ja wiem, że takie braki są – upierała się.

Redfern odłożył dokumenty i odchylił się na krześle. Summer Winter prezentowała dokładnie to, co oznaczało jej imię. Miała urodę wczesnego lata – nienachalną i delikatną, a gdyby zamieniła jeansy i skórzaną kurtkę na sukienkę, mogłaby śmiało startować w wyborach miss tej pory roku. Z drugiej strony chłód w kontaktach sprawiał, że miało się ochotę podkręcić grzejniki i zaparzyć herbatę z miodem.

– Dlaczego tak pani zależy na przeniesieniu do nas? W Croydon jest więcej możliwości wykazania się. Będę z panią szczerzy: Woking to strzał w stopę.

– Potrzebuję odpocząć – wyparowała.

– Chce mi pani powiedzieć, że najmłodsza sierżantka w Londynie chce odpocząć?

Dziewczyna nie spodziewała się, że Redfern wiedział o niej tak dużo. Poruszyła się niespokojnie jak dziecko przyłapanie na kłamstwie. Redfern wiedział znacznie więcej i bardzo mu imponowały osiągnięcia młodej policjantki. Nie chciał jej spławić, bo był przekonany, że jeśli osoba z takim życiorysem upiera się przy czymś tak nielogicznym, to musi mieć swoje powody, a on sam dałby dużo, żeby je poznać.

– Skoro chce pani odpocząć, to stary Johanes ma wakat – rzekł pojednawczo.

– Obyczajówka to strzał w potylicę – podsumowała.

Redfern wypuścił głośno powietrze, po czym złączył czubki palców i oznajmił:

– Nie mogę pani przyjąć do nas. Pomijam już fakt, że miasto nie da środków na to stanowisko. Niebawem wróci do nas sierżantka Wall. Nie zamierzam sobie fundować dyskomfortu wybierania między wami dwiema.

– Proszę nie zapominać, że mogę się ubiegać o zastępstwo tymczasowe. – Nie ustępowała, a Redfernowi coraz bardziej podobał się jej upór. Zza drzwi dobiegł ich szum rozmowy.

– Tymczasem muszę panią pożegnać. Zaraz zaczyna się zebranie. Proszę spróbować u Johanesa – rzucił do zamykających się drzwi, w których za moment pojawił się Tinney.

– Właśnie minęło mnie czterdzieści pięć kilo złości. To ty tak działasz na kobiety czy to był samozapłon? – skomentował, choć był w tak samo doskonałym stanie jak notatki inspektora. Opadł na krzesło jak marionetka pozbawiona nagle sznurków i oparł głowę o dłoń.

– Co, Puszka, ciężka noc? – zagadnął Redfern. – Tańczyłeś z przyszłą panią Tinney?

– Siostrzenice mają ospę – odparł zgryźliwie. – Obie.

– A twoja siostra...

– Ma wyjebane – dokończył gorzko. Redfern z niepokojem słuchał, jak młodszy policjant wyrzuca z siebie kolejne słowa: – Jednocześnie jest też wyjebywana. Dosłownie. Poznała jakiegoś gacha i spierdoliła z nim jakiś miesiąc temu. Dzwoni co jakiś czas i tłumaczy mi, że ona tego potrzebuje, że wreszcie czuje sens i że musi żyć przede wszystkim dla siebie. Uznała, że rozgrzeszenie zapewni jej Western Union i przekaz na sto funtów. Jak tak można?!

Pytanie zawisło nad nimi, ale nie doczekało się odpowiedzi. Redfern chciał powiedzieć coś pocieszającego, ale nie potrafił. Był zbyt przejęty porannym spotkaniem, by móc coś z siebie wykrzesać. Z konieczności znalezienia odpowiednich słów, które w zasadzie nigdy nie są odpowiednie, wybawił go wchodzący do sali McMahon. Pod pachą taszczył laptopa i był z siebie niezmiernie zadowolony.

– Czołem, załogo – rzucił, nie próbując nawet ukryć uśmiechu.

– Coś taki szczęśliwy od rana?

– To ty nic nie wiesz? – zdziwił się, a przez jego twarz przebiegł cień rozczarowania. – Wczoraj ujęliśmy sprawcę napadu na zakłady bukmacherskie.

– Jak go wykopaliście? Przecież to było z rok temu – zapytał Redfern, zapominając o najważniejszym. Gratulacje, które nie nadeszły, spowodowały, że McMahon wrócił do swojego normalnego tonu.

– Współczesny policjant ma tylko dwa naprawdę niezawodne narzędzia, Dave: swój nos i media społecznościowe. – McMahon poklepał z czułością komputer. – Dziunia naszego terrorysty zamieściła półnagie zdjęcia z Bermudów, a dalej to już poszło. W tle był hotel, który skojarzył jeden z moich ludzi. Zadzwoniliśmy, gdzie trzeba, i po trzech dniach mieliśmy oboje.

– Gratuluję – powiedział Redfern. W obliczu problemów Tinneya nie mógł z siebie wykrzesać większego entuzjazmu. Puszka bąknęła coś pod nosem i Greg był zmuszony skapitulować i przyjąć tę mizerną wersję powinszowań. Usiadł na krześle i nawet nie otworzył laptopa.

– Gdy McMahon był słusznie zajęty aresztowaniem zabójcy bukmachera – zaczął inspektor – pojechałem do Londynu, do

polskiego ośrodka kultury, aby spotkać się z pewnymi ludźmi. Siedmioro uroczych staruszków...

– Na liście jest tylko sześcioro – zauważył sennie Tinney. Górne powieki opadały mu ciężko i prawie sklejały się z dolnymi. Redfern nie mógł się nadziwić, jak młody policjant mógł w takim stanie cokolwiek wypatrzeć i dlaczego on sam na to nie wpadł. Inspektor wziął od niego kartkę i przebiegł wzrokiem po spisie. Gdy dotarł do końca, wiedział, kogo brakuje.

– Może faktycznie było ich sześcioro? – Wzruszył ramionami i oddał kartkę Puszcze. – Olać to. Najważniejsze, że niektórzy z nich kojarzą Biernatów, ale każdy niestety tylko szcątkowo i z tych szcątków musimy ułożyć całość. Wiemy, że podczas marszu w pięćdziesiątym szóstym Lucjan kogoś spotyka lub coś zauważa. Coś, co zmusza go do ucieczki. Wcześniej obóz opuszcza Stanisław, ale nikt nie pamięta kiedy.

– Może ta komisja coś wie? – McMahon wychylił się do przodu. – Oni dbają o groby i gromadzą informacje o poległych.

– Tyle że Stanisław nie jest poległym żołnierzem – stwierdził dobitnie Redfern. – Możliwe nawet, że jeszcze żyje. Odpada.

Inspektor był więcej niż pewien, że McMahon na nic mu się nie przyda. Sukces, który nadszedł tak niespodziewanie, zupełnie stłumił w nim głód prawdy. Postanowił dać mu się nacieszyć udaną akcją.

– OK. Spróbujemy inaczej. Jedź też do Brookwood. Przy kanadyjskiej części jest biuro. Znajdziesz tam opiekuna cmentarza. Dziadek jest rozmowny, więc podpytaj go jeszcze o Feliksa. Może coś będzie pamiętał.

Twarz Gregory'ego McMahona zdradzała, że nie bardzo kojarzy najstarszego z braci Biernatów. Zapisał coś w notatniku i prawie wybiegł z sali, niechcący zostawiając uchylone drzwi. Redfern został sam z półprzytomnym Tinneyem na pokładzie. Wobec tak rażącej niedyspozycji pozostawało mu tylko jedno.

– Wracaj do domu, Puszcza – rzekł. – Przejrzyj to, co ci dałem. Może uda ci się coś ułożyć z tego chaosu. W tej gmatwaninie ukrywa się morderca.



Siedział w swoim biurze i przyglądał się liście. Dla pewności jeszcze raz sprawdził – jednego nazwiska brakowało. Jeden człowiek nie chciał zostawić śladów swojej wizyty w ośrodku. Nagle rozdzwonił się telefon. Redfern podniósł słuchawkę.

– Dzwonię do ciebie od rana – Soyeon była wyraźnie poirytowana, ale szybko przykryła to żartem: – Już siedziałam w dyliżansie do tego zapyziałego Woking.

– Coś się stało?

– Znalazłam twojego zaginionego – odparła szybko. – Słuchaj, chyba mam coś, co może cię zainteresować. Ben znalazł teczkę z zaginięciem jakiegoś Polaka w dzielnicy Hammersmith. Stan Kott, jak go tu w aktach wynotowali, w kwietniu pięćdziesiątego dziewiątego wyszedł z domu i słuch po nim zaginął. Kamień w wodę. Problem jest tylko z adresem tego domu. Za Chiny nie da się odczytać. Zupełnie jakby jakiś kretyń owinał tymi papierami kanapkę z bekonem. Jak chcesz, to podeślę ci maila ze skanami.

– Podeślij, ale mój nazywał się Stanisław Biernat – odparł zaskoczony nadgorliwością policjantki. – W każdym razie dzięki, Soyeon.

– Nie żadne „dzięki, Soyeon”, tylko musisz mnie zaprosić na parapetówkę. – Zaśmiała się i dorzuciła: – Chociaż nie, parapetówka to za mało! Chcę zaproszenia na ślub. Najlepiej jeszcze w tej dekadzie!

Redfern pożegnał się z koleżanką i włączył komputer w oczekiwaniu na maila. W międzyczasie wpisał w komórkę frazę „Samantha Thomas”. Listę zalały wyniki z ulubionego narzędzia McMahona. Do Facebooka zalogowało się kilkanaście dziewczyn z całego świata, głównie ze Stanów, ale parę też z Australii i Anglii. Aby ułatwić Google pracę, Redfern dopisał wyraz „zaginiona”.

Wyświetliło się kilka starych artykułów prasowych z Exeter. Dołączono do nich zdjęcia kobiety; wyglądały, jakby redakcja nie

otrzymała ich od rodziny. Samantha była zwykle fotografowana z boku albo w grupie uśmiechniętych koleżanek. Na początku Redfern musiał przeczytać podpisy pod kilkoma zdjęciami, ale potem już bez trudu wyłapywał Mulatkę o zielonych oczach i świetnej figurze. Z tego, co zobaczył, wywnioskował, że była singielką.

Samantha pochodziła z zamożnej rodziny, ale nie była studentką, lecz wykładowczynią prawa europejskiego na uniwersytecie w Exeter. Zniknęła w marcu dwa tysiące dwunastego roku. Według świadków została porwana z kampusu. Jedni twierdzili, że wsiadła do samochodu dobrowolnie, inni – że została wciągnięta. Faktem pozostawało, że czarny ford connect bez numerów rejestracyjnych nigdy później nigdzie się nie pojawił, tak jak i Samantha. Jej rodzina poza pieniędzmi miała wpływy i sprawa stała się bardzo głośna. Wśród wyników wypłutych przez Google Redfern zobaczył zrzuty ekranu z jakiegoś studia telewizyjnego, w którym siedzieli zrozpaczeni rodzice. Spodziewano się, że porywacze się odezwą, by zażądać okupu, ale to nigdy nie nastąpiło.

Tamtego marcowego popołudnia Samantha Luisa Thomson przestała istnieć.

Program pocztowy oznajmił nadejście maila, a po chwili kilku kolejnych. Redfern odłożył komórkę i skupił się na listach. Nie było w nich żadnej treści, za to do każdego Soyeon dołączyła ponad dziesięć skanów. Redfern miał nadzieję, że będzie tego więcej, ale zganił się za pesymizm. Ostatecznie sprawa miała ponad pięćdziesiąt lat i nie można było oczekiwać obszernej kartoteki. Tym bardziej że powojenna Anglia miała wtedy inne problemy na głowie niż szukanie zaginionego Polaka, który najprawdopodobniej wrócił do ojczyzny.

Redfern wydrukował każdy załącznik, a wszystkie maile przekierował do Tinneya z adnotacją, że ma się tym zająć jeszcze dziś. Nie chciał być okrutny wobec podwładnego. Miał po prostu nadzieję, że rzucenie się w wir pracy pozwoli Puszcze zapomnieć o problemach. Davidowi zwykle pomagało.

Po przerwie śniadaniowej wziął się do papierkowej roboty, z którą poszło mu na tyle szybko, że w południe mógł wrócić do wydruków. Soyeon miała rację – Redfern z pożółkłego papieru odczytał tylko początek kodu pocztowego „NW”, wskazujący na Hammersmith &

Fulham. Gdzieś na tych szesnastu kilometrach kwadratowych mieszkał kiedyś Stanisław Biernat. Redfernowi wydało się mało prawdopodobne, by w tym samym miesiącu zaginęło w jednej dzielnicy dwóch Polaków. Musiał jednak sam przed sobą przyznać, że wszystko w tej sprawie wyglądało na mało prawdopodobne, a mimo to się wydarzyło.

Przekartkował kolejne zeznania świadków. Wynikało z nich, że Stan Kott opuścił swoje mieszkanie w dzień wolny od pracy i udał się w kierunku przystanku autobusowego. Ubrany był w szary garnitur, prochowiec w brązowym kolorze i taki sam kapelusz. Nie było w jego zachowaniu niczego podejrzanego. Pracował jako mechanik w zakładzie w Camden Town, do którego udawał się każdego ranka motorem. Redfern położył papiery na kolanach. Odchylił się na krześle i zamknął oczy, licząc, że uwolniony od jednego zmysłu mózg pozwoli mu dojrzeć w skanach coś więcej niż tylko bezduszny rejestr życia szarego człowieka.

Otworzył oczy i zamarł. Przed nim stał McMahan.

– Co ty tu robisz?

– Myślałem, że śpisz – odparł speszony kolega. – Chciałem ci przekazać, że dzwoniłem do tej komisji od cmentarzy wojennych i po południu dostaniemy wszystko, co mają o Feliksie. Niestety o Stanisławie nie słyszeli nic.

– Greg – powiedział zmęczonym głosem David – przepraszam, że zignorowałem cię rano.

– Nie ma sprawy – odparł McMahan i chciał już wyjść, ale przystanął i dodał z mieszaniną dumy i pretensji: – Wiesz, szukała ich Narodowa Agencja do spraw Przestępczości, a tu na tym zadupiu nam nagle się udało. Przypadek albo fuks sprawił, że znaleźliśmy to zdjęcie.

– Nie przypadek, tylko policyjna orka. Możliwe, że uratujesz nas przed przejściem na wcześniejszą emeryturę. Lepiej niż ja, brodząc w bagnie historii. – Wrzucił na biurko wydruki, które rozsypały się, tworząc nieregularny wachlarz. – Nawet zdjęcie tego faceta gdzieś się zgubiło.

– Chcesz, żebym to przejrzał?

– Daj spokój. – Redfern machnął ręką zrezygnowany. – Puszka już w tym grzebie. Mam dla ciebie inne zadanie. Chciałbym, żebyś znalazł dla mnie jednego człowieka.

– Mam nadzieję, że żyje – odparł już cieplej McMahon i inspektor poczuł, że wskakują na właściwe tory.

– Jak ostatnio go widziałem, to żył, ale jak wiesz, w tej sprawie wszystko się zmienia bardzo szybko.



Telefon od dziadka nakręcił go do działania. W drodze do domu zadzwonił do Dużej Elsy z ustnym raportem i obietnicą pisemnego dziś wieczorem. Bandit z entuzjazmem poczłapał na spacer, ale skrócona do trawnikowej przechadzki procedura najwyraźniej go zasmuciła i niechętnie dał się zaprowadzić z powrotem na górę. Redfern zjadł szybki lunch, uzupełnił miski, wymienił gazetowe podkłady i o drugiej z czystym sumieniem stanął na peronie czwartym, gdzie czekał na niego Bohdan.

– Tak zamierzasz jechać w gości, Dawidku? – Dziadek nie krył niechęci do bluzy i jeansów, które kontrastowały z jego długim płaszczem i ukrytym pod nim garniturem.

– Jadę przesłuchać świadka – tłumaczył się Redfern.

– No to tym bardziej – nie ustępował mężczyzna i zacmokał z dezaprobatą. – Tym bardziej...

– Mundur galowy mam w praniu – rzucił David, ale jego głos utonął w pisku hamującego pociągu do Portsmouth.

Niedługo potem nadjechał ten do Waterloo. Zajęli pierwsze wolne miejsca i całą drogę nie odzywali się do siebie. Redfern był wdzięczny dziadkowi za szybką reakcję i umówienie ich z mężczyzną, który prawdopodobnie osobiście znał Stanisława. Inspektor nie mógł jednak znieść jego starczego przywiązywania wagi do dupereli.

– No więc to jest ten twój wnuk, Bodziu? – Starszy mężczyzna otaksował Redferna wzrokiem. – Moje wnuki także są... – Inspektor

spodziewał się komentarza o kolorze skóry, ale usłyszał tylko: – na służbie Jej Królewskiej Mości. Oba urwisy do marynarki się zaciągnęły. Wnuczka zaś pielęgniarzką jest. Wcale ich nie widuję.

Jowialny staruszek zaprosił ich gestem do pokoju, gdzie kontynuował tyradę o niewdzięcznych członkach rodziny. Drżącymi dłońmi nalał im z imbryka herbatę i podał kawałki słodkiej krajanki. Bohdan nałożył sobie ciasta, ale policjant odmówił. Goście zajęli obitą perkalem kanapę, a gospodarz – fotel naprzeciwko.

– Sąsiadem byłem Stana, panie władzo.

Redfern pierwszy raz w życiu spotkał się z takim określeniem. Romuald Madeyski miał akcent, jaki mały David słyszał, gdy odwiedził z dziadkiem stolicę Polski. Kędzierzawy i siwy jak mgła staruszek siedział w fotelu, prawie w nim niknąc. Promienie zmarszczek wokół oczu niezawodnie mówiły, że całe życie był pogodnym człowiekiem. Nawet teraz nie przestawał się uśmiechać.

– Nie to, żeby była to jakaś wielka przyjaźń, bo Stan to raczej z tych małomównych był, ale czasem sobie pomagaliśmy. I wcale żem nie wiedział, że jemu Biernat było, bo myśmy go znali pod innym nazwiskiem. Kott przez dwa t. Dopiero jak Bodziu mi zaczął opowiadać, że to zaginiony jest, to z miejsca Stana skojarzyłem. Bo ja, panie władzo, pierwszy się tu sprowadziłem i wszystkich znam. Piekarzem byłem, to mi się wszyscy w pas kłaniali, a ci, co najgłębiej, to najświeższe chleby dostawali.

– Co pan pamięta z tamtego dnia, kiedy zniknął Kott? – przerwał tę autoreklamę Redfern, obawiając się, że zaginionych Polaków może być więcej niż jeden. Początkowy entuzjazm, jaki go ogarnął po informacjach Bohdana, zaczął ustępować przeczuciu, że wycieczka na Hammersmith była stratą czasu. Wymienili z dziadkiem porozumiewawcze spojrzenia. Bohdan prawie niezauważalnie wzruszył ramionami i lekko pokręcił głową. Redfern postanowił dać jednak szansę wypowiedzieć się staruszkowi, który najwyraźniej szukał towarzystwa.

– Samego dnia to nie pamiętam. Wiem, że była u niego policja, ale chyba go nie zastali. Po jakimś czasie zauważyłem, że listów ze skrzynki nie wyciąga. Zaniepokoiłem się, bo może chory czy coś, a on samotny był jak palec, nikogo nie miał. No więc pomyślałem, że

leży tam w łóżku i nie ma mu kto nawet zakupów przynieść, leków podać. Ostatecznie to on już młody nie był.

– No to może ten Kott wyjechał? – wtrącił się Bohdan.

– To było niemożliwe – zaciętrzewił się mężczyzna. – Stan zawsze przychodził zapowiedzieć swoją absencję. Kwiatów miałem mu wtedy doglądać, bo cały dom miał w nich zastawiony, no i te listy, co to już wspominałem, wyciągać. Generalnie dobytku pilnować.

– No więc poszedł pan do niego – podsunął Redfern – i...

– I nic. Zapukałem i nic. Chciałem zajrzeć przez okna, ale wszystko było pozastłaniane.

– I co było dalej?

– No nic. Wróciłem do domu.

– Więc nie wie pan, dokąd udał się Stan Kott? – Redfern stracił nadzieję na jakąkolwiek użyteczną informację.

– No nie wiem – odparł cicho staruszek, zawstydzony. – Ale wiem, że nie mógł daleko, bo kartkę zostawił na stole w kuchni.

– Skąd wiesz? – dopytywał Bohdan.

– Bo jak już mówiłem, czasem mu domu doglądałem, to i klucz miałem.

– No i co na tej kartce było?

– Ano nie pamiętam – westchnął bezradnie. – Jeszcze wczoraj wiedziałem, a dziś normalnie czarna dziura!

– Romek, skup się! – Bohdan ofuknął przyjaciela, a Redfern pożałował, że zabrał dziadka ze sobą. – Możliwe, że chodzi o morderstwo!

– Tam było coś, że pojechał do domu – mruzczał Romuald.

– Do Polski? – odpowiedział inspektor.

– Nie, no przecież mówię, że niedaleko musiał jechać. – Machnął ręką poirytowany i zerwał się z fotela.

Przechadzał się wzdłuż biblioteczki, która już na wejściu zrobiła na Redfernie ogromne wrażenie. Przestrzeń od podłogi aż po sufit wypełniały opasłe tomy, poprzetykane mniejszymi wydaniem książek po angielsku, polsku i francusku. Inspektor wodził wzrokiem za gospodarzem i wkrótce dostrzegł, że kolekcja jest doskonale zorganizowana. Księgozbiór rozpoczynały encyklopedie, słowniki i almanachy, dalej były książki popularnonaukowe, głównie

historyczne, dalej poradniki. Romuald zatrzymał się przy najszerszym zbiorze i zaczął wodzić po nich ręką, mamrocząc coś do siebie.

– Mam! – Odwrócił się nagle, trzymając w ręku książkę w płócienną okładkę, która przywodziła na myśl początek ubiegłego stulecia. – Moja żona czytała to córkom, jak były małe.

– *Little House in The Big Wood?* – zdziwił się Bohdan. – Co to za pierdoły, Romek?

– Nie pierdoły! – oburzył się staruszek. – Tam pojechał Stan! Do małego domku! Tak napisał na kartce: „Jestem w małym domku”. Jezu, jak dobrze, że są książki – westchnął. – Wie pan, panie władzo, jak mam problem z pamięcią, to staję sobie przy mojej bibliotece i jakbym do innego świata wszedł. Tu nie ma miejsca na chaos i szum, jaki często zdarza się starej głowie, tu wszystko ma swoje miejsce i nazwę.

– Na moją sklerozę najlepiej działa kieliszeczek czegoś mocniejszego – podsumował Bohdan.

– Mały domek – powiedział do siebie Redfern, wyłączając się na chwilę z rozmowy. – Może miał gdzieś jakiś domek?

– Coś pan! Z pensji mechanika? – Mężczyzna ponownie usiadł na fotelu i położył książkę na kolanach. – On wynajmował tę kłitkę w suterenie i raczej mu się nie przelewało. Czasem ode mnie pożyczał, ale honorowy był i zawsze przed terminem zwracał i nawet jakąś czekoladę w podziękowaniu dołączył.

– Czy wspominał coś o rodzinie?

– Ani słóweczka. Chociaż raz mu się wymknęło, że wszystkich bliskich pomordowali mu Sowieci, ale nie chciał nic więcej powiedzieć. W ogóle to muszę panu powiedzieć, że on wcale po polsku nie chciał mówić. Dziwny był i tyle.

Redfernowi odeszła ochota na dalszą rozmowę. Stanisław Biernat być może mieszkał kiedyś w Hammersmith, ale nigdy nie spotkał na swojej drodze Romualda Madeyskiego.

– Z rzadka w ogóle mówił o Polsce – kontynuował staruszek, nie zwracając uwagi na to, że policjant zamknął notes i zaczyna się podnosić z miejsca. – Ponoć był kowalem i ja mu wierzę. Podobno w wolnym czasie noże robił. Pokazał mi nawet jeden. Zawsze go przy

sobie nosił, tak mówił, panie władzo, ale mnie się zdaje, że to przechwałki były takie.

Nie mogło być mowy o pomyłce. Redfern opadł na kanapę i otworzył notatnik tam, gdzie na podstawie słów Marty zapisał, jak wyglądał nóż.

– Powiedział pan, że Biernat, to znaczy Kott prosił pana o opiekowanie się mieszkaniem podczas jego nieobecności. Często wyjeżdżał?

– A często, nie powiem. Ale zdradzić, nie zdradzał dokąd. Tak jak mówię, panie władzo, milczek to raczej był i tyle.

– A mówi panu coś nazwisko Wilk? Jadwiga Wilk? – Redfern przywołał w pamięci osobę zapisaną w starej notatce dyżurnego przyjmującego zgłoszenie. Musiał mieć pewność, że nie podąża złym śladem.

– Pewnie, że mówi – odparł staruszek. – Jadzia przyjaźniła się ze Stanem. Zmarła niedługo po jego zaginięciu. Chyba z żalu.

– Byli parą?

– Ona do niego maślane oczy robiła, ale Stan był niewzruszony na takie umizgi – odrzekł. – Czasem wychodzili gdzieś razem, ale to wszystko. Na dystans ją trzymał, panie władzo.

Inspektor pomyślał, że nie był on aż tak duży, skoro tylko Jadwiga znała prawdziwe nazwisko mężczyzny. Słuchając opowieści Romualda, Redfern powoli tworzył w głowie obraz zaginionego.

– Ona zgłosiła zaginięcie – stwierdził inspektor.

– Gdzie tam! Ja poszedłem na Fulham i zgłosiłem, Jadzia to prawie nie znała angielskiego.

Redfern uśmiechnął się w duchu. Wiedział już, jak to się stało, że na posterunku znalazł tylko notatkę z zaginięcia Stanisława Biernata. Jadwiga złożyła doniesienie na Hammersmith, a Romuald na Fulham, które wtedy działały osobno. Załamana zniknięciem kobieta podała przez nieuwagę jego prawdziwe nazwisko. Policjanci, którzy przybyli na miejsce, stwierdzili, że taki ktoś nie istnieje, i dali sobie spokój z doniesieniami roztrzęsionej Polki, która mówiła tylko łamaną angielszczyzną.

– Czy ktoś oprócz pana miał dostęp do mieszkania? – zapytał po chwili.

– Chyba tylko właściciel, ale on to się w ogóle nie pojawiał, nawet jak trzeba było coś naprawić. Pralka się kiedyś Stanowi zepsuła, to ponad miesiąc do nas nosił ubrania!

– Co stało się potem? – zapytał David, ale widząc, że staruszek nie wie, o co chodzi, dodał: – Jak już pan odkrył, że Stanisława długo nie ma.

– Ano była policja i pytała, ale raczej mało ich to obchodziło. Pokazałem im tę kartkę, ale policjant tylko się zaśmiał i cisnął ją do kosza. Tak rutynowo nas przesłuchali. Mnie, moją świętej pamięci żonę i jeszcze sąsiadów z pierwszego piętra.

– Co się stało z mieszkaniem?

– A co miało być? Jak przyszło do płacenia czynszu i Stan się nie pojawił, to jego landlord wszystkie rzeczy na śmietnik chciał wystawić. Powiedziałem, że ja część mogę wziąć. Dużo tego nie było, nawet jak na kawalera.

– Nikt nie zgłosił się po rzeczy?

– A kto miał się zgłosić? Już mówiłem, że rodziny to on nie miał. Szkoda, bo my tu wszyscy rodziny potraciliśmy przez jedną albo drugą zarazę. Myśmy się zwierzali i jakoś sobie radzili. A on pewnie pojechał za miasto i z żalu na suchej gałęzi się powiesił.

– Czemu pan tak uważa?

– Bo noża nie wziął. Zostawił go na tym stole, razem z kartką.



Mimo próśb Romualda Redfern nie został na obiad. Uznał, że towarzystwo Bohdana i butelki śliwownicy w zupełności mężczyźnie wystarczy. Przed wyjściem poprosił jeszcze, żeby staruszek w miarę możliwości odszukał nóż Stanisława, ale wątpił w powodzenie tej akcji. Po okazaniu mu rysunku, który nakreślił na podstawie opisu Marty, mężczyzna nie był pewien, czy taki nóż spoczywa gdzieś na jego strychu. Redfern uznał jednak, że najważniejszą informację już

dostał – Stanisław pojechał w znane sobie miejsce, na tyle ważne, że zostawił o tym dla kogoś wiadomość.

Bandit odwdzieczył się za szybki powrót pana i nie zalał ani jednego podkładu, ale gdy tylko wyszli z klatki przy Constitution Hill, przykucnął na trawniku i długo nie wstawał. Obeszli wieżowiec, a potem skierowali się na Mount Hermon Road i ponad godzinę włóczyli się po okolicznych uliczkach. Redfern zastanawiał się, dla kogo Stanisław Biernat zostawił kartkę na stole, skoro nikt z rodziny nie został w Wielkiej Brytanii. Romuald Madeyski utrzymywał, że zaginiony nie miał partnerki ani żadnych bliższych znajomych, a jednak krótka wiadomość: „Jestem w małym domku” musiała mieć adresata.

Ciepły wieczór zachęcał do spaceru, ale czując na policzkach pierwsze krople deszczu, Redfern skrócił początkowo planowaną trasę i przeciąwszy Midhope Close, w ciągu pięciu minut znaleźli się z Banditem w domu.

Wytań pieskowi łapy i przyrzadził kolację, sobie – jajecznicę, szczeniakowi – makaron wzbogacony puszką mokrej karmy. Gdy obaj syci i zadowoleni położyli się na kanapie, Redfern sięgnął po laptopa i zaczął szukać frazy „little house”. Wyniki z pierwszych stron prowadziły albo do książki, albo do serialu *Domek na prerii*. Kolejny ślepy zaułek.

Wstał i zrobił sobie herbatę. Gdy para wypełniła niewielką kuchnię, odezwał się telefon. Ucieszył się, biorąc aparat do ręki, ale jego radość trwała krótko. Marta napisała tylko zdawkowe „OK”. Dobrze i tyle. Wrócił z kubkiem do pokoju i zaczął szukać od nowa, tym razem w galerii. Obejrzał setki ładnych małych domków, ale żaden nie naprowadził go na trop Stanisława. Tuż przed północą telefon znów zamruczał.

– No hej. Mam nadzieję, że nie śpisz.

– Nie, spoko, Puszka, nawijaj – odparł Redfern, rozklejając powieki. Sięgnął po kubek, by przepłukać podrażnione chrapaniem gardło, ale herbata była zimna i w tym stanie niezdatna do picia.

– Wziąłem pod lupę te skany. Wiem, że nie sra się do swojego gniazda, ale policja położyła to śledztwo – referował Christopher. – Świadków przesłuchali po łebkach, nie sprawdzili, co zabrał ze sobą

zaginiony. Odwiedzili jedynie zakład pracy. W notatce służbowej uwzględniono, że był dobrym pracownikiem, ale często chorował. Jakby to było tu najważniejsze. Uwalili nawet trop z pociągiem.

– Jaki trop?

– Ktoś doniósł, że widział Stanisława na Waterloo. Podobno wsiadał do pociągu do Dover albo Portsmouth, ale nikt tego dokładnie nie sprawdził. Biernat miał ze sobą walizkę, więc uznano, że wrócił niespodziewanie do Polski, i tyle.

– Świetnie się spisałeś, Puszka – rzucił pospiesznie. – Widzimy się jutro o ósmej.

Redfern czuł się jak idiota. Gdy jeszcze pobrzmiwała nazwa kierunku, inspektor wpisał w wyszukiwarkę „mały domek” wraz z „Surrey”. Musiał dwa razy spojrzeć, by uwierzyć w to, co zobaczył.

Na Google Maps pojawiła się znajoma pinezka, przy której wyświetlił się napis po polsku: „Mały Domek”.

ROZDZIAŁ XIII

Piątek, 18.10.2013

Gdy dzwonił do zespołu, miał wrażenie, że każdemu był na rękę fakt, że zebranie odbędzie się później. Punkt siódma zaparkował pod niewielkim bungalowem przy Blackbridge Road. Liczył na to, że pora będzie na tyle wczesna, że zastanie jeszcze domowników, a jednocześnie na tyle przyzwoita, że chętnie z nim porozmawiają. Nie pomylił się – wysiadając z samochodu, zauważył ożywiony ruch w oknie. Na ciepłe przyjęcie niestety nie miał jednak co liczyć.

Około trzydziestoletnia blondynka z wałkami we włosach szykowała trójkę rozwrzeszczanych dzieciaków do wyjścia. Sama przy tym zapomniała, jak się mówi normalnie. Gdy usłyszała, z czym przychodzi Redfern, rzuciła krótką komendę jak do psa i dwóch chłopców i dziewczynka uciekli na górę. Niechętnym gestem zaprosiła go do kuchni. Redfern obserwował kobietę z niekłamanym podziwem. Współcześni projektanci nazwaliby jej strój stylem *fusion*: na elegancką prostą spódnicę opadał pobrudzony czekoladą, powyciągany podkoszulek, na którym wisiał długi sznur koralu, ponadto policjant dostrzegł, że tylko jedna noga kobiety była otulona pończochą.

– Nie mam czasu – rzuciła, wkładając do trzech pudełek jedzenie: po jednym jabłku, paczce chipsów i kanapce. – Kurwa! Z szynką dla Alistaira, a z serem dla Kayli – ofuknęła sama siebie i zamieniła

srebrne pakunki, choć Redfern nie dostrzegł między nimi żadnej różnicy.

– Chodzi mi tylko o to, kiedy nabyła pani ten dom i od kogo.

– Od nikogo. Ali, Kayla, Ben! Złaźcie natychmiast, do ciężkiej cholery! – Jedną ręką zaczęła wysuwać wałki z włosów, a drugą nieporadnie zapinała zamki przy śniadaniówkach. – Dom odziedziczyłam po rodzicach trzy lata temu.

– To znaczy, że rodzice nie żyją?

– Ojciec zmarł cztery lata temu. Jak was zaraz nie zobaczę na dole, to wam nogi z dupy powyrywam!

Przez sufit dotarł do nich tumult, jaki musi towarzyszyć przeganianiu bydła przez prerię. Redfern ze strachem stwierdził, że dźwięk się do nich zbliża.

– A matka? – zapytał z nadzieją.

– Matka jest w domu starców. No wreszcie! – rzuciła kobieta, gdy troje dzieciaków ubranych w bordowe uniformy szkolne stanęło w drzwiach. – Bierzcie swoje rzeczy i do samochodu! Nie dałabym rady się nią opiekować – powiedziała zmęczonym tonem, bez skrępowania naciągając drugą pończochę. – A pan musi już iść.

Począł na podjeździe, patrząc, jak cała trójka roznosi w perzynę nowe volvo x90. Z żalem pomyślał, że chyba nie chciałby, aby jego dzieci tak potraktowały triumpha.

Rozmyślenia przerwał mu stukot obcasów o bruk.

– Pan jeszcze tutaj?

– Czy może mi pani powiedzieć, w którym ośrodku jest pani matka? To dość ważne.

– Jeśli da mi pan odjechać w ciągu trzydziestu sekund. – Wskazała brodą na auto Redferna, które blokowało wyjazd.

– Jasne.

– Matka mieszka w Edward Place w Walton nad Tamizą i to nie jest typowy dom starców, raczej apartament ze służbą. – Chwyciła za klamkę i zastygła na chwilę. – Tak było łatwej – westchnęła i otworzyła drzwi volvo, uwalniając jazgot trzech gardeł.

Redfern przeparkował samochód, podjeżdżając nieco do przodu. Chciał jeszcze przez chwilę przyjrzeć się domowi, ale wysokie ogrodzenie z tui i berberysów skutecznie mu to uniemożliwiło. Gdy

kobieta odjeżdżała, Redfern zauważył, że pominęła na głowie jeden wałek.



Ruby Swan miała rację – niejeden starszy człowiek życzyłby sobie mieszkać w takich warunkach. Apartament jej matki był przestronny, ale przytulny i z pewnością należał do najdroższych w budynku. Zanim Redfern znalazł się w salonie, przeszedł przez korytarz, do którego przylegały sypialnia i gabinet – wszystko wyposażone w wiktoriańskie meble i dodatki. Miękkie dywany i materiałowe tapety skutecznie podbijały efekt bezdyskusyjnego luksusu. Tylko interkomy odcinające się na tle granatowych ścian świadczyły o tym, że mieszkająca tu osoba potrzebowała jakiegokolwiek opieki.

– Więc o czym chciał pan rozmawiać, inspektorze Redfern? – zagadnęła uprzejmie Elizabeth Swan, która wyglądała jak starsza wersja córki. Gdy usiedli przy stole, w wypolerowanej tafli Redfern widział swoje odbicie, które kontrastowało ze strojem pani domu.

– Chodzi mi o dom w Woking, przy Blackbridge Road. Skąd wzięła się ta nazwa?

– Mały Domek? Nie mam pojęcia – odparła z rozbawieniem. Miała bardzo poprawny, wypielegnowany do perfekcji londyński akcent. – Ale bardzo lubiłam nazwę tego domu, dość oryginalna, musi pan przyznać. Nie znam jednak jej genezy. Dom kupiliśmy w latach sześćdziesiątych i już wtedy tak się nazywał.

– Pamięta może pani nazwisko poprzedniego właściciela?

– Bardzo mi przykro, ale nie sięgam aż tak daleko pamięcią. Zresztą kupnem domu zajmował się głównie mój mążonek.

– A narodowość? Możliwe, że sprzedający był Polakiem?

– Z całą pewnością był to obywatel brytyjski – zapewniła gorliwie, jakby inna odpowiedź mogła naruszyć dworski protokół. Zadumała się na chwilę, po czym powiedziała: – Dom był prawie nowy, nie miał

jeszcze podjazdu, a urządzenie ogrodu było w powijakach, właściciele przykryli wszystko kiepskiej jakości trawą. Upierali się dokończyć ten podjazd, ale widząc ogród, zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Co prawda cena wyjściowa była bardzo atrakcyjna, ale zaproponowaliśmy niższą i mężczyzna się zgodził. To była dość szybka transakcja, nawet jak na tamte czasy. Moja córka powinna mieć gdzieś dokumenty kupna. Poproszę ją o przygotowanie ich dla pana.

– Pani córka wygląda na dość zajętą osobę – zauważył, chcąc osobistą uwagą nieco stopić lód pani Swan.

– Trudno się z panem nie zgodzić – odparła. – Została sama z trójką dzieci, którym ciężko się pogodzić z odejściem ojca.

Redfern zastanawiał się przez chwilę, jakie okoliczności towarzyszyły temu odejściu. Po wyrazie twarzy Elizabeth osądził, że zięć opuścił rodzinny pokład raczej na własne życzenie. Nie zamierzał jednak podejmować tematu. Niezręczną ciszę przerwało dyskretne pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – krzyknęła staruszka. Odpowiedziało jej skrzypnięcie i ledwie dosłyszalne kroki.

– Pani Swan?

– Tak, Maggie. Jestem tutaj!

– Dzień dobry – przywitała się pyzata dziewczyna z silnym rosyjskim akcentem. Miała na sobie granatowy uniform przypominający te, które noszą pielęgniarki w szpitalach. – Jak się pani dziś czuje, pani Swan?

– Dziękuję, Maggie, znakomicie. Jak widzisz, mam dziś gościa.

– Oczywiście, nie będę państwu przeszkadzać – odparła. Redfern zauważył, że na złotej plakietce widnieje imię Magdalena. – Czy miałyby pani coś przeciwko, gdybym zmieniła pościel?

– Przełożmy to na jutro, proszę. – Elizabeth skinęła ręką, odprawiając dziewczynę. Gest był gładki i dopracowany, jakby ćwiczony latami. Redfern nie był pewien, czy polubiłby panią Swan, gdyby miał być jej opiekunem. Już samo przełożenie imienia uważał za oznakę wyższości.

Maggie przeprosiła i odeszła. Gdy tylko usłyszeli, jak zamykają się drzwi, Elizabeth zwróciła się do inspektora:

– Czy wolno mi zapytać, dlaczego tak bardzo interesuje pana mój dom?

– Trudno to wyjaśnić – odparł Redfern. – Badam sprawę pewnego zaginięcia sprzed lat i w aktach natrafiłem na wzmiankę o Małym Domku. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie jest to przypadek – powiedział, choć nie była to do końca prawda. Założona przed przyjazdem do ośrodka teza legła w gruzach tuż po słowach „obywatel brytyjski” i nie wiedział, czy powinien dalej w nią brnąć. – Na razie proszę nie niepokoić córki. Jeśli będę miał więcej pytań, zadzwonię do niej.

– Oczywiście. – Kobieta przytaknęła i odprowadziła Redferna do wyjścia. Stojąc w drzwiach, spojrzała na policjanta. – Tamten dom był spełnieniem moich marzeń, nie zamieniłabym go na nic innego. Gdybym miała wybór.



Całą drogę do Woking zastanawiał się, czy nie powinien jednak zadzwonić do Ruby Swan i poprosić o umowę kupna, o której mówiła pensjonariuszka. Ostatecznie odrzucił ten pomysł. Stanisław Biernat z pewnością nie był właścicielem Małego Domku.

Idąc policyjnym parkingiem, zauważył wchodzącego do komendy McMahona. Miał zamiar zawołać, ale ten, jakby wiedziony podskórnym przeczuciem, przystanął w drzwiach i się odwrócił.

– Mam dla ciebie ten adres – powiedział, gdy Redfern wspiał się po schodach.

– Świetnie – Przepuścił policjanta i razem poszli do konferencyjnej, gdzie czekał już na nich Tinney. Najwyraźniej siostrzenice dochodziły do siebie, bo wyglądał znacznie lepiej niż ostatnio.

Redfern streścił im swoje poszukiwania, zaczynając od spotkania z Romualdem Madeyskim, a kończąc na przemyśleniach o Małym Domku.

– Nie musisz prosić tej Swan o papiery domu – powiedział Tinney.
– W necie są dostępne kościelne spisy ulic i domów w Woking. Przy odrobinie szczęścia namierzemy Mały Domek w pięć minut. Greg, mogę pożyczyć twojego kompa? – Wziął od McMahona laptopa i uruchomił. – Jakie daty nas interesują?

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy.

Tinney postukał w klawiaturę i po chwili mruknął z zadowoleniem i odwrócił komputer w stronę policjantów.

– No i proszę. Mamy gościa na widelcu.

Na ekranie widniał skan starego dokumentu, zatytułowanego *Local Memoranda of Woking Urban District*. Wśród dwóch gęsto zapisanych kolumn Redfern wypatrzył Mały Domek, a przy nim nazwisko właściciela. Wiedział, że będzie musiał wykonać dwa ważne telefony.



Wyszedł z sali, zostawiając zdziwionych policjantów samych. Korytarz przypominał stację Waterloo, wśród podnieconych rozmów wyłapywał słowa bukmacher, sukces i skurczybyk. Nie mogąc liczyć na chwilę ciszy, Redfern poszedł do swojego gabinetu. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, wyciągnął z portfela kartkę. Wybrał z niej numer zapisany pismem, jakim już nikt się nie posługuje.

Pierwsza próba spełzła na niczym. Zniecierpliwiony ponowił połączenie i tym razem osoba po drugiej stronie odebrał natychmiast, witając go serdecznym „halo”.

– Pani Young? Inspektor David Redfern...

– Pan policjant, jak miło! – Janet ucieszyła się szczerze.

– Jak się pani miewa?

– Dziękuję, znakomicie. A pan?

– Również. Nie chciałbym przeszkadzać, ale czy pani mąż może podejść do telefonu?

– Oczywiście, już mu daję słuchawkę.

Usłyszał, jak Janet zapowiada mężowi rozmowę. Po chwili dobiegł go głos sir Petera.

– Pan Redfern – ucieszył się. – Jak się pan miewa? Przypomniał pan sobie coś jeszcze?

– Tak mi się wydaje. Czy ten żołnierz, który pokłócił się z Feliksem, nie nazywał się przypadkiem Jafra?

– Oczywiście! – zakrzyknął Young. – Jaffa! Tak go nazywali, od *jaffa cake*. To musi być on. Żyje jeszcze?

– Niestety. Zmarł na początku lat pięćdziesiątych – odparł Redfern, zastanawiając się, czy Janowi Jafrze także przyszły na myśl delicje szampańskie, kiedy koledzy nadali mu to przezwisko. Świtało mu jednak, że polski odpowiednik pojawił się dużo później.

– Szkoda – westchnął staruszek. – Wielka szkoda. Wykruszają się chłopaki. No w każdym razie gdyby pan jeszcze czegoś potrzebował, jestem na posterunku.

– Dziękuję. Będę pamiętał – zapewnił i pożegnał się, wychodząc z gabinetu.

Wrócił do sali konferencyjnej. Pod naporem jego spojrzenia gwar nieco przycichł. Stał przy stole i oparł się o blat. Słońce rozlało się złotawym światłem po ścianach. Wiedział, że podjęta przed chwilą decyzja może go kosztować karierę, a co najmniej i tak już nadszarpniętą reputację. Przedstawił swój plan siedzącym przed nim policjantom i przez chwilę żaden się nie poruszył, zastanawiając się, czy to, co przed chwilą usłyszeli, nie jest żartem.

– OK – odezwał się McMahon. – Niezależnie od tego, jak bardzo pojebanie to brzmi, wchodzę w to. Najwyżej przepłyniemy tę rzekę gówna razem. Dzwon do Elsy i dawaj na głośnik.



Wieczór zakradł się niezauważenie, przynosząc ze sobą wilgotne i mroźne powietrze, które wdzierało się przez najmniejszą szczelinę w ubraniu. Redfern pożałował, że nie zabrał z domu czapki

i rękawiczek. Nawet herbata z termosu, którą przygotował przed przyjazdem, nie ratowała sytuacji. Stał skostniały i przyglądał się ekipie Matta skanującej centymetr po centymetrze podjazd domu Ruby Swan. Wciąż słyszał grzmiący głos Bente, że jeśli inspektor się myli, to ona osobiście dopilnuje jego zdegradowania. Dodała przy tym, że nawet zasłanianie się Zheng Cong Cohem mu nie pomoże.

Minuty płynęły i kredyt zaufania prokuratorki topniał nieubłagane. Latarki czołowe techników ślizgały się po bruku. Mimo półmroku Redfern był pewien, że nie należeli oni do stałego zespołu Matta. Dwóch z nich pchało przed sobą urządzenia przypominające żółte kosiarki, do których uchwytów podłączono coś na kształt tabletu. Jedyłą znaną mu osobą był krążący wokół McMahon. Jemu również kończyła się cierpliwość.

Gdy słońce całkowicie zniknęło za dachami miasta, podszedł do niego Matt.

– Radar milczy. Nic tu nie ma, stary. – Zgasił papierosa na wyłysiałym trawniku. – Ale może to i dobrze, bo tamta za oknem mogłaby wydrapać nam oczy za naruszenie choćby jednej kostki z tego podjazdu.

Redfern wpatrywał się w zgnieciony niedopałek, który przypominał teraz nadepniętą rosówkę. Wiedział, że słabej jakości trawa go nie przykryje i Ruby Swan jest gotowa zrobić o niego krwistą awanturę. Nagle coś sobie uświadomił.

– Matt, wyślij jednego człowieka na tył domu – polecił.

– Dave, to nie ma sensu – powiedział z rezygnacją technik i wskazał na georadar. – Godzina pracy tego gówna...

– Muszę mieć pewność!

– OK, spoko! – Podniósł ręce w obronnym geście. – Już wysyłam.

Odszedł w stronę ekipy i po chwili wielka kosiarka została przepchnięta do ogrodu. Pochód zamykał McMahon, który posłał Redfernowi zrezygnowane spojrzenie. Jak na zawołanie we frontowych drzwiach stanęła właścicielka domu.

– Mowa była jedynie o podjeździe! – huknęła. – Jest prawie siódma, a pan sobie tu urządza archeologiczne stanowisko jak jakiś pieprzony Indiana Jones! Napiszę na was skargę!

– Koniecznie niech pani użyje drugiej strony nakazu – odkrzyknął Redfern i uniósł przed sobą dokument od Dużej Elsy.

Ruby Swan otworzyła usta. Potrzebowała kilku chwil, by przełknąć swoją porażkę, którą podsumowała głośnym trzaśnięciem drzwiami. Inspektor widział jej kontur w rozświetlonych oknach kolejnych pomieszczeń jak w fotoplastikonie. Nie chciał być niemiły. Po prostu zmęczenie brało górę nad kulturą. W ramach pokuty podniósł niedopałek Matta, położył go na chusteczce higienicznej i wsunął do kieszeni. Dzięki Banditowi sprzątanie cudzych trawników wyniósł na mistrzowski poziom. Zastanawiał się, czy pies wytrzyma tak długo bez spaceru. Ostatni raz był z nim na dworze, zanim przyjechał z McMahonem na Blackbridge Road. W takich chwilach był zły na Martę za ten prezent. Mimo to z nadzieją wyciągnął telefon. Żadnych wiadomości.

– Jest! – usłyszał zza domu. – Mamy coś!

Czerwony z zimna Matt biegł w jego kierunku, trzymając w ręku tablet. Gdy zrównał się z Redfernem, wskazał palcem ekran.

– Niech cię cholera, Dave, masz go!

Na trójwymiarowym skanie gruntu widniało coś, co w ogóle nie przypominało poszukiwanego przez Redferna przedmiotu. Jednak operator radaru uznał, że właśnie tam należy zacząć kopać.



Za radą Tinneya Ruby Swan zabrała dzieci i pojechała na noc do przyjaciół, zostawiając ogród na łasce techników, którzy w pośpiechu rozkładali sprzęt i oświetlenie. Rozpulchniona ostatnimi opadami ziemia szybko się poddała i po zaledwie godzinie z trawnika została tylko błotnista breja. Około czwartej kompletny szkielet spoczął w samochodzie Teda, który obiecał ściągnąć antropologa.

– Ale masz nosa! – Stojąca obok Matta Elsa piała z zachwytem, rozcierając zmarznięte palce. Wiatr rozwiewał i przyklejał jej do

twarży prawie białe włosy. Najwyraźniej obudzona w środku nocy nie miała czasu spleść ich w słynny warkocz.

– Poczekajmy na wyniki badań – powiedział Redfern i odszedł do McMahona, który właśnie wsiadał do samochodu.

– Dzięki, Greg – powiedział, zanim zamknęły się drzwi.

– Puszczcie trzeba podziękować. – McMahon zatrzymał się w pół ruchu. – Nie sądziłem, że chłopak ma taki talent.

– To było dobre drużynowe zagranie.

– Coś w ten deseń. – Policjant zatrzasnął drzwi, uruchomił silnik i odjechał.

Zmarznięci, ale zadowoleni policjanci zaczęli powoli się rozjeżdżać. Inspektor był zdziwiony, że sensacyjne odkrycie ściągnęło jedynie kilku dziennikarzy, którzy zwinęli się, gdy tylko Ted ich zwyzywał. Nawet sąsiedzi Ruby Swan zdążyli się rozejść, choć jeszcze długo światła ich domów oświetlały okolicę. Po kwadransie na podjeździe Małego Domku został tylko Redfern i Bente, która także szykowała się do odjazdu. Silnik jej mercedesa przyjemnie mruczał.

– Ten skan, który podesłał posterunkowy Tinney, to była ściema, prawda? – powiedziała, szukając czegoś w kieszeni płaszcza. Wydobyła z niej gumkę i związała niesforne włosy, nadając swej twarzy bardziej surowy wygląd.

– Raczej podkolorowanie faktów – poprawił ją. – O Małym Domku dowiedziałem się od faceta, który pamiętał Stanisława Biernata. Nie miał jednak żadnych dowodów na potwierdzenie swoich słów. Wydałabyś nakaz, opierając się na zeznaniach starego sklerotyka?

– Nie – odparła – i uprzedzę twoje pytanie. Nie dam nakazu zatrzymania żadnego z Millerów. Mam związane ręce, Dave. Lipny skan Tinneya może umknąć uwadze moich przełożonych, którzy będą pod wrażeniem waszej pracy, ale nakaz aresztowania kogokolwiek z tej rodziny bez dowodów będzie strzałem w stopę. Z pozycją Waltera Millera można podważyć każdy twój argument, jeśli tylko będzie się na nim kładł najmniejszy cień wątpliwości. Miej to na uwadze i postępuj ostrożnie.

– Masz moje słowo – zapewnił zmęczonym tonem David i zmienił temat. – Zwołujemy konferencję?

– Tak, ale zajmie się tym rzecznik, a McMahon będzie robił za tło. On to chyba lubi – zauważyła. – Rzecznik dostał jasne instrukcje, by nie ujawniać żadnych szczegółów, a już na pewno tożsamości ofiary.

– W gruncie rzeczy nawet sami jej nie znamy.

– Słuszna uwaga – zgodziła się i wsiadła do samochodu. – Tak jak mówiłeś, poczekajmy na wyniki badań. Podwieźć cię?

– Nie, nie mam daleko. Przejdę się.

Redfern patrzył na oddalające się czerwone światła samochodu. Gdy Bente włączyła kierunkowskaz i skręciła w Eagly Road, poszedł na tył Małego Domku. Ogród wyglądał jak zaorane pole po pierwszych ulewach. Brakowało tylko regularnych bruzd, zamiast tego wszędzie były ślady ciężkich butów oraz gąsienic małej koparki. Czując, jak z każdym krokiem jego trampki coraz bardziej nasiąkają wodą, doszedł do końca ogrodzenia. Nieregularny dół, który zostawili technicy, nie wyglądał jak grób, choć przez ponad pięćdziesiąt lat skrywał ciało człowieka. Głęboki na około dwa metry, bardziej przypominał lej po bombie.

Myślał o losie braci Biernat, z których żaden nie dożył swych dni. Młody Feliks oddał życie za ojczyznę na polach Driel, Lucjan został przez tę ojczyznę zamordowany, a Stanisław nigdy do niej nie wrócił. Ilu takich żołnierzy pogrzebała i grzebać będzie ziemia? Bohaterowie bez peleryn, a często też bez imienia i nazwiska.

Naszła go przykra refleksja, że sam nie rzuciłby się w wir wojny, gdyby przyszła pod jego dom. Z nikim nigdy o tym nie rozmawiał, ale był pewien, że wielu z jego i młodszego pokolenia Europejczyków postąpiłoby tak samo. Przy obecnych przemianach społecznych, deklaracjach obywatelstwa świata, kraje były tylko lądami do zamieszkania, a nie wielkimi ideami do obrony.

Redfern pomyślał, że patriotyzm staje się dyskusyjny, gdy mowa o stabilizacji, a domem można nazwać każdy kraj na świecie, jeśli tylko daje bezpieczeństwo. Widać to było po konflikcie syryjskim czy irańskim – ludzie uciekali od okrucieństwa wojny, nawet ci zdolni do walki. Jak wielu z tych, którzy potępiali zachowanie uchodźców, nałożyłoby dziś bagnet na broń? Jak wielu z nich dałoby się wsadzić do samolotu i zeskokczyło w mrok nieba nad Driel? Ilu wróciłoby na spalony ojczysty ląd, wiedząc, że spotkać ich może tylko śmierć?

Rozmyślania przerwał mu dźwięk nadchodzącego SMS-a. McMahon też jeszcze nie spał. Na wyświetlaczu Redfern zobaczył adres, o który prosił dwa dni temu. Nie zdążył schować telefonu do kieszeni, kiedy ten znów zawibrował. Odebrał machinalnie:

- Dzięki, Greg. Jutro się tym zaj...
- Pan Redfern? - usłyszał w słuchawce.
- Tak mi się zdaje - odparł, przecierając zmęczoną twarz. - Coś się stało?
- Pana mieszkanie właśnie się pali.

ROZDZIAŁ XIV

Sobota, 19.10.2013

Śniło mu się, że siedzi przy ognisku nad jeziorem. Niedaleko za nim jest miasteczko, które kładzie się spać. Powoli gasną światła, pogrążając mieszkańców we śnie. Zostaje sam na sam z ogniem. W pewnym momencie cichną wszystkie odgłosy nocy, nie słychać nawet świerszczy ani trzaskających iskier, choć Redfern widzi, jak ulatują ku ciemnemu niebu. Przez gęstą jak smoła ciszę przedziera się tylko cichy bulgot. Sparaliżowany strachem patrzy na wyłaniającą się z wody postać. Jest ludzkiego rozmiaru, ale poza tym nie ma w sobie nic z człowieka. Sunie ku niemu, a Redfern nie może się poruszyć. Jest coraz bliżej, pięć metrów, trzy, i choć pada na nią światło ogniska, pozostaje w nieprzeniknionym mroku. Dziwnie znajoma, ale policjant nie może rozpoznać jej twarzy. Głos wewnątrz jego głowy mówi mu, by się nie odzywał, nie patrzył, ale on pyta: „Adrian?”. Ostatnie, co zapamiętał, to ostrze wbite w gardło i ciepło krwi spływające po piersi.

Obudził się z krzykiem.

– Dobrze, że się pan zdrzemnął – usłyszał obok siebie ciepły kobiecy głos.

Przez zasunięte zasłony sączyło się słońce, które oświetlało przytulny, ale obcy pokój. Z jego mieszkania został tylko salon. Maletzky, który pojawił się w międzyczasie, dopilnował, by ktoś zawiózł Redferna do Horsell. To jedyne spokojne miejsce poza

komendą, jakie przyszło mu do głowy w tym chaosie. Ruth Knight siedziała przy jego łóżku, stawiając na szafce nocnej herbatę i talerz z kanapkami.

– Bandit?

– Pilnuje z Malcolmem naleśników w kuchni – odparła z uśmiechem i skierowała się do wyjścia. – Niech pan jeszcze poleży, to była ciężka noc.

Usiłował wrócić pamięcią do momentu pożaru. Całe Constitution Hill było zablokowane. Rzucił na siedzenie taksówki dziesięć funtów i pobiegł w górę ulicy, z której szczytu migwały światła wozów strażackich i karettek. Przedzierał się przez tłum gapiów, zwabionych tanią sensacją. Gdy dotarł pod blok, zatrzymały go silne ramiona jednego ze strażaków. David miotał się, chcąc przedrzeć się do klatki. Na nic zdały się policyjna legitymacja i kilka przekleństw. Dopiero gdy zobaczył sąsiada trzymającego szczeniaka na rękach, uspokoił się. Wszystko inne w mieszkaniu numer trzydzieści siedem było bezwartościowe.

Błyskające zewsząd niebieskie szklanki i rozhisteryzowany, potrącający go tłum sprawiły, że to, co zobaczył, było boleśnie nierealne. Przyciskając do siebie Bandita, który w tej chwili wydawał się jedynym normalnym widokiem, przyglądał się wyrwie w murze, która godzinę temu była jego mieszkaniem. Godzinę temu miał ciepłe łóżko, zestaw garnków z Argosa i bluzę z kapturem – zupełnie niepowiązane ze sobą rzeczy, które w dziwny sposób powiązały się w jego osobę, Davida Redferna, prawie czterdziestoletniego samotnika, inspektora angielskiej policji.

Pierwsze, co przyszło mu wówczas do głowy, to zadbanie o jedyny dowód na to, że wciąż nim jest. Niezupełnie świadom tego, co robi, podszedł do zaparkowanego wzdłuż ulicy triumpha i wsadził przerażonego szczeniaka do środka. Nawet nie zauważył, że jako jedno z nielicznych auto ma wszystkie szyby.

Wraz z trzaśnięciem drzwi odzyskał trzeźwość myślenia. Odwrócił się na pięcie i wbiegł w tłum, rozglądając się za szefem akcji ratunkowej. Nietrudno było go dostrzec – pośród panującego harmidru był najgłośniejszy. Inspektor chciał się czegoś dowiedzieć, ale jedyne słowa, które mógł z siebie wydobyć, brzmiały:

– To moje mieszkanie! – Swój głos usłyszał jakby z odległości miliona lat świetlnych.

– Proszę stanąć tam! – Strażak wskazał na grupkę ludzi, którzy wydali się inspektorowi dziwnie znajomi.

Sąsiedzi. Sąsiedzi, których przez ostatnie miesiące mijał na schodach, obdarzając jedynie pospiesznym i beznamiętnym „dzień dobry”, w ułamku chwili stali się najbliższymi mu ludźmi. Ludźmi współdzielącymi jego nieszczęście i rozumiejącymi go jak nikt inny. Napotkał wzrokiem zapłakaną twarz kobiety. Sąsiadka z góry, pomyślał, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. Wiedział tylko, że często przesiadywała w oknie. W tej chwili wtulała się w męża i targana szlochom mówiła coś niewyraźnie.

– Czy wszyscy są cali? – znów usłyszał swój głos.

– Nie wiemy, co z państwem Lupascu – odpowiedział mu spokojnie młody mężczyzna stojący z tyłu. – Chyba pojechali wczoraj na wakacje. Pani Cave ich widziała, jak wsiadają rano do samochodu całą rodziną, ale nie wie, czy wrócili...

Cave, przypomniał sobie inspektor. Sąsiadka z góry nazywała się Waglewska. Rencistka. Jej mąż miał księgarnię w centrum. Nie wiedzieć czemu, jej brat mylił adres i przesyłki trafiały do skrzynki Redferna. Gadatliwa starsza pani za każdym razem, gdy inspektor szedł oddać list, zasypywała go szczegółami ze swojego i nie swojego życia. Lupascu mieszkali zaraz pod nim. Wprowadzili się niedługo po Redfernie. Programiści. Mieli dwójkę sympatycznych dzieciaków.

Rozejrzał się po grupie. Mężczyzna, który mu odpowiedział, też miał psa i Redfern często spotykał go na trawniku przed blokiem, gdy łaciaty beagle obwąchiwał krzaki.

Obok stała dziewczyna z małym dzieckiem na rękach – córka sąsiada z mieszkania obok, który zmarł niedawno. Pokój z kuchnią to jedyne, czym ojciec zadośćuczynił jej kilkanaście lat bicia i poniżania. Tak właściwie o każdym z kilkunastoosobowej grupy mógł coś powiedzieć i sam się zdziwił, ile wiedział. Karetka, która z jękiem syreny przejechała tuż obok niego, uświadomiła mu, że kilku z tych znajomych twarzy brakowało.

Odruchowo spojrział na blok. W mieszkaniu Lupascu też nie było szyb, a z okien ziała pustka. Miał nadzieję, że całkowita pustka.

Teraz usiadł na łóżku i rozmasował sobie kark i dłonie. Z każdym ruchem czuł na sobie obrzydliwe ciepło wczorajszego ubrania. Nienawidził spać w ciuchach. Podszedł do okna i rozsunął zasłony. Słońce wisiało wysoko na niebie, ale jego światło, tłumione warstwą chmur, było mętne i szarawe. Redfern zauważył w dole garaż i zaparkowaną przy nim toyotę verso. Przypatrywał jej się z uwagą, usiłując sobie przypomnieć, z czym mu się kojarzy samochód. Nie mogąc uchwycić myśli, odszedł od okna i wsunął stopy w miękkie kapcie, które dostarczyła mu Ruth. Kapci też nienawidził, ale uznał, że ta mała grzeczność jest niczym w porównaniu z gościnnością gospodarzy.

W kuchni czekał na niego Malcolm i najbardziej rozmachany ogon na świecie. Bandit przestępował z łapy na łapę, lekko popiskując i wysuwając język z radości. Redfern kucnął i pogłaskał czule psa.

– Jak się trzymasz? – zagadnął komendant. Zgasił płomień pod patelnią, na której smażył się naleśnik, i usiadł przy stole.

– Nie wiem – odparł szczerze David i zajął miejsce naprzeciwko niego. Bandit położył się na jego stopach i dziwnie trzepał głową, jakby swędziało go ucho.

– Nie wiem, jakim cudem ten pies to przeżył – oznajmił, wskazując brodą szczeniaka. – Warto byłoby go jednak zabrać do weterynarza. Nie wiem, czy nie ogłuchł – dodał smutno, a widząc, że Redfern nie ma ochoty na rozmowę, dodał: – Dzwoniłem do Maletzky'ego, jak spałeś. Na ekspertyzę trzeba będzie poczekać.

– A co tu wyjaśniać? To po prostu wybuch gazu – rzekł zmęczonym głosem.

– McMahan twierdzi, że zanim pojechaliście na Blackbridge, gotowałaś wodę. Może nie dokręciłeś kurka?

– Nie ma takiej możliwości – odparł szorstko Redfern, choć poczuł nieprzyjemne mrowienie w okolicach żołądka. Kuchenka, która stanowiła wyposażenie mieszkania, była stara i z pewnością nie miała zabezpieczenia przeciwwyływowego. Gorączkowo zaczął analizować moment przygotowywania termosu i nie mógł sobie przypomnieć, czy w pośpiechu sprawdził pokrętło.

– Wiem, że to nieodpowiednia chwila, ale Linda bardzo chciała, żebyś ją odwiózł do szpitala Priory.

– Kiedy?

– Za godzinę – padła szybka odpowiedź.

Dopiero teraz dotarło do niego, że jest sobota. W natłoku spraw przestał liczyć dni. Zupełnie jak pociąg, który minął go na stacji kolejowej – prędkość zamazywała szczegóły. W pierwszym odruchu chciał odmówić.

– OK. Dzisiaj i tak do niczego się nie nadaję – powiedział i sięgnął po naleśniki, które Knight właśnie przed nim postawił.



Bez zaschniętych wymiocin i okolona czystymi włosami twarz Lindy znów przypominała tę, którą Redfern zobaczył na pierwszej odprawie – twarz zdyscyplinowanej, nastawionej na sukces policjantki. Tymczasem policzki sierżant Lindy Wall były skute stresem i wstydem. Na rękach wciąż miała ślady paska, a na szyi siną bruzdę. Jechali wolno uliczkami Horsell już ponad kwadrans, ale żadne z nich się nie odezwało. Dopiero gdy mijali Kolej Miniaturową Mizens przy Barrs Lane, kobieta wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Dziękuję za to, co zrobiłeś. – Potarła nerwowo nadgarstki i naciągnęła na nie rękawy bluzy. – Wszyscy mnie olali, nawet rodzona matka, ale nie ty. Obiecuję, że gdy tylko stanę na nogi, to się odwdzięczę.

– Możesz to zrobić już teraz – odparł, nie odrywając wzroku od jezdni.

– Jak? – zapytała.

– Stań na te nogi.

Linda spojrzała na niego i pokiwała głową, jakby chciała zapewnić, że nie zawiedzie.

Dach szpitala Priory czerwienił się w zachodzącym słońcu. Redfern wyciągnął z tylnego siedzenia torbę Lindy. Była zaskakująco lekka, a inspektor wiedział, że za wielkimi szklanymi drzwiami odchudzą ją

jeszcze bardziej. Wszystko, czego kobieta potrzebowała, mają w ośrodku, a wszelki bagaż powinno się zostawić na zewnątrz.

Odprowadził ją kawałek. Gdy zbliżali się do schodów, zobaczył w oknie znajomą, ściętą ambicją twarz. Zatrzymał się i podał Lindzie torbę, zerkając na drugie piętro.

– Jeszcze raz ci dziękuję – powiedziała policjantka wilgotnym od hamowanych łez głosem. W dużo za dużym ubraniu, najpewniej po córce Knightów, wyglądała jak zagubiona mała dziewczynka.

– Linda. – Spojrzał jeszcze raz w okno, ale nikogo już w nim nie było. – Dbaj o siebie.



Światła w poszczególnych pokojach zapalały się i gasły jak kontrolki w samolocie. Tylko w salonie niebieskawe rozbłyśki telewizora na stałe oświetlały nogi Waltera Millera. Redfern miał nadzieję, że obserwacja domu pomoże mu uporządkować myśli, które w żaden sposób nie dały się odkleić od Palacza, pożaru i Marty. W całym tym chaosie musiał skupić się na śledztwie, znaleźć szczegół, który połączy rozsypane kawałki w całość. Ukryty za rozłożystą sosną patrzył, jak Teresa przechodzi z pomieszczenia do pomieszczenia. Wychylił się i zmrużył oczy, by lepiej widzieć w ciemności. Kiedy seksowna blondynka zapaliła światło w przedostatnim pokoju, zobaczył, że Millerowie nie są w domu sami. W oknie za zasłonką stała kobieta i najwyraźniej na niego patrzyła. Nie poruszyła się jednak, kiedy Teresa poprawiała jej coś przy ubraniu. Cały czas stała z głową zwróconą w stronę Redferna.

Spłoszony wszedł do samochodu i chciał odjechać, ale sparaliżowała go niemoc. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Mimo zaproszenia Knightów nie mógł u nich zamieszkać, a pojęcie „wynajęcia na szybko” w Woking nie istniało. Musiałby czekać miesiąc, zanim coś sensownego się zwolni. Może mógłby parę nocy spędzić w komendzie, ale nie chciał się narażać na

komentarze. Udowodniłby ponad wszelką wątpliwość, że nie ma dokąd pójść. Z ponurych myśli wyciągnęła go wibrująca w kieszeni komórka. Z trudem wydobył ją z kieszeni i odebrał.

– Tak mi przykro, Dave – usłyszał w słuchawce Roba. – Nawet nie wiem, co ci powiedzieć.

– Obchodzi mnie tylko to, czy wiesz, dlaczego z mojego mieszkania został tylko lej po bombie.

– Jeszcze nie, ale nasi ludzie wciąż pracują – zapewnił strażak. – Przyczyna wybuchu jest ważna, ale ważniejsze jest ustalenie, czy budynek nadaje się do zamieszkania. To wszystko wymaga czasu, Dave.

– Jasne – odparł. Wściekłość mieszała się z rezygnacją, sprawiając, że mówił nie to, co chciał. Maletzky zadzwonił w dobrej wierze, a on bez sensu chłostał go pretensjami. – Przepraszam – bąknął. – Odpieprza mi od tego wszystkiego.

– W porządku – rzekł. – Dzwonię do ciebie nie tylko z kondolencjami. Pamiętasz, jak prosiłeś o papiery z posiadłości Bonesów? Głupio przyznać, ale dopiero twoja sprawa przypomniała mi, że mam ci je podesłać. Według mnie wszystko jest OK, ale sam jeszcze rzuć okiem.

– Dzięki, Rob.

– Uważaj na siebie, Dave. – Usłyszał echo swoich słów i poczuł nieprzyjemny ścisk w żołądku, taki, jaki może wywołać tylko ogromne poczucie winy. Nagle zdał sobie sprawę, że powinien zatroszczyć się nie tylko o siebie. Z tą myślą przekręcił klucz w stacyjce i odjechał szybko w stronę miasta.



Dom Bohdana Siwiaszczyka pogrążony był w ciemnościach. Ryzykując mandat, Redfern zaparkował wzdłuż krawężnika, który oddzielony był od jezdni dwoma pasami żółtej farby. Przeszedł z Banditem na tył budynku, oświetlając sobie drogę latarką

w telefonie. Przekręcił klucz w zamku i wślizgnął się do środka, zamykając za sobą drzwi do ogrodu. Spodziewał się, że czujny staruszek krzyknie coś na powitanie, ale tak się nie stało. Nie zapalając światła, policjant przeszedł przez kuchnię i dotarł do salonu. Szczeniak stanął nagle i zaczął warczeć, wpatrując się w mrok. Nikły blask ulicznej lampy sączył się przez okno do pokoju, oświetlając siedzącą nieruchomo postać.

– Dziadek? – szepnął niepewnie Redfern, ale nikt mu nie odpowiedział. Zrobił kilka kroków do przodu i chwycił za kościste ramię. Czując pod palcami jego chłód, zamarł.

ROZDZIAŁ XV

Niedziela, 20.10.2013

Zegar na ścianie wskazywał kilka minut po północy.

– Zawiodłem się, Dawid. – Ledwo dosłyszalny głos dziadka przeciął wiszącą w pokoju ciszę. Gdyby nie jego chrypa, powietrze w ogóle by nie drgnęło. – Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Przepraszam – powiedział cicho Redfern, choć wnętrzości palił mu bolesny wstyd, czuł się jak totalny idiota. – Tyle się działo, że zwyczajnie zapomniałem.

– Wiesz, co ja tu przechodziłem? – Dziadek zapalił stołową lampę, ukazując swą papierowo białą twarz. Oczy miał nienaturalnie lśniące, a włosy w nieładzie. Przełknął głośno ślinę, jakby usiłując zapanować nad głosem. – Siadaj. Zaparzę herbaty.

Podniósł się z krzesła i szurając kapciami, minął Davida. Nie patrzył na niego. Inspektor powędrował wzrokiem za zgarbioną postacią i stwierdził, że uleciała z niej cała energia. Sam był bez sił.

Gdy dwa parujące kubki stanęły na stole, Bohdan usiadł naprzeciw inspektora i wbił w niego zmęczony wzrok.

– Opowiadaj – rzucił.

Redfern nie wiedział, od czego zacząć – od Lindy, podejrzeń co do Millera czy od gry Palacza, a może od najważniejszego – Marty, która ich relację sprowadziła do dwuliterowego SMS-a. Gdy gorący łyk herbaty rozlał się po ściśniętym żołądku, zapytał:

– Pamiętasz może Adriana Bonesa?

– Jak mógłbym zapomnieć? – Dziadek wzruszył ramionami, wydmuchując krótko powietrze przez nos. – Zawsze razem coś kombinowaliście.

Redfern był mu wdzięczny, że przemilczał strzelaninę w katedrze. Może dzięki temu łatwiej będzie poprowadzić tę opowieść. Trzy kubki herbaty i dwa talerze kanapek później czuł, że zrzucił z siebie ogromny ciężar, a milcząca obecność kogoś bliskiego była potwierdzeniem słów Marty – samotna walka jest skazana na porażkę.

– Sądzisz, że wybuch to sprawka Palacza? – zapytał dziadek, przeglądając na telefonie Redferna dokumenty dotyczące posiadłości Bonesów. Nadchodzący świt sprawił, że jaskrawe dotąd światło komórki zbladło i twarz Bohdana straciła upiorne rysy.

– Obawiam się, że sam wysadziłem pół bloku w powietrze – odparł.
– Wszedłem na chwilę na górę nakarmić psa i zalać herbatę w termosie. Wiedziałem, że szukanie Biernata może trwać godzinami, a noc zapowiadała się zimna. McMahon stał w przedpokoju i się niecierpliwił. Bardzo możliwe, że nie dokręciłem kurka.

– U Bonesów to też był gaz – odłożył komórkę na blat i pchnął ją w stronę Redferna. – Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

– Tam była butla.

– A gdybyśmy na chwilę założyli, że to jednak był zamach – dziadek nie ustępował – dlaczego akurat ty i dlaczego w ten dzień?

– Jeśli to robota Palacza, to musi chodzić o sprawę Adriana. Natomiast nie wiem, dlaczego akurat wczoraj doszło do wybuchu. Miałem przecież być...

– W domu – dokończył Bohdan, choć Redfern miał na myśli Mały Domek. – Tylko przypadek sprawił, że zostawiłeś samochód pod blokiem, a to wystarczyło, by stwierdzić, że śpisz we własnym łóżku.

– To naciągane.

– Ale nie niemożliwe. Poczekaj na ekspertyzę z mieszkania. Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, musisz wrócić do Dover i się dowiedzieć, co się tam wydarzyło. Ten Vishnava nie jest głupi. Wcześniej czy później odkryje, co cię łączyło z jego NN, a wtedy będzie za późno na granie głupa.

– Palacz nie posunąłby się do morderstwa – skwitował od niechcenia David.

– A co to za stwór? – Bohdan pochylił się nad szczeniakiem, który jakby wyczuwając powagę sytuacji, schował się za nogami Redferna i tylko łypał czarnymi oczami.

– To Bandit. Mój stróż – powiedział Redfern i potarł kudłatą głowę. Zachęcony pieszczotą pies podniósł się i oblizał rękę mężczyzny.

– No to jest nas trzech kawalerów – rozpromienił się staruszek i uklęknął obok szczeniaka, głaszcząc go z czułością. – Wprowadzisz się i będzie nam jak u Pana Boga za piecem, tobie, mnie i Bambi.

Rozbawiony pomyłką Redfern chciał poprawić dziadka. Pomyślał, że staruszek może mieć rację i wspólne zamieszkanie może być dobrym pomysłem. Nagle poraziła go myśl, która sprawiła, że z twarzy odpłynęła mu krew. W ułamku sekundy pożałował, że tu przyjechał. Zerwał się i jednym ruchem zasunął zasłony. Spojrzał na dziadka poważnie, mówiąc:

– Musisz wyjechać. Jeszcze dziś polecisz do Polski.

– Co ty gadasz, Dawidku?

– Masz jeszcze ten domek w górach? – zapytał dobitnie. – Ten, do którego zabierałeś nas każdego lata?

– Mam, oczywiście, że mam, ale na miłość boską, nie pojedę w środku października do nieogrzewanej budy! Zresztą co to za pomysły?! – Staruszek ze strachem wpatrywał się we wnuka, który teraz nerwowo chodził po pokoju.

– Jeśli Palacz dojdzie do ciebie, a zakładam, że wie o mnie wszystko, to może spróbować cię skrzywdzić. Musisz zniknąć na jakiś czas, nie żartuję. – Zgarnął ze stołu komórkę i uruchomił stronę linii lotniczych. – O dwudziestej jest lot do Katowic. Zadzwoń do swojej siostry, niech cię weźmie do siebie na tydzień czy dwa. Potem się zobaczy.

– Nigdzie się nie wybieram. – Bohdan podniósł się z krzesła i odsunął zasłony. Starość nie dała rady odebrać mu potężnej postury i mężczyzna górował teraz nad inspektorem. – To mój dom i nie będę z niego uciekał jak szczur. Teraz muszę się przespać

i tobie radzę to samo. – Wskazał na stojący za Redfernem tapczan. – Pościel masz w środku.

Wzburzony starzec przeszedł koło inspektora i położył mu na chwilę rękę na ramieniu, co Redfern odczytał jako gest otuchy. Bardzo chciał wysłać dziadka jak najdalej stąd, ale wiedział, że stary milicjant za nic nie da się wykurzyć ze swojego posterunku.

Siedział jeszcze przez chwilę, pogrążając się w czarnych myślach. Stracił wszystko, co miał – pamiętki, dokumenty, ulubione książki. Przypomniawszy sobie, że w jednej z nich były próbki włosów Adriana. Ogarnęła go furia, która natychmiast przeszła w poczucie niemocy. Wstał i wyjął z łóżka koc i jasiek. Z obrzydzeniem pomyślał, że wciąż jest w tych samych ubraniach co przed wybuchem. Rozebrał się, zostawiając tylko podkoszulkę i bokserki. Nastawił budzik na dziesiątą i przyłożył głowę do poduszki. Sen przyszedł niespodziewanie szybko, ale nie przyniósł upragnionego odpoczynku.

Obudził się połamany i zmarznięty. Przetarł zmęczone powieki, strącając z nich resztki snu. W dłoń ukłuł go dwudniowy zarost i Redfern z tęsknotą pomyślał o prysznicu. Z kuchni dochodził zapach jajecznicy na boczku, więc nie zwlekając, wstał z łóżka. Spojrzał na ubłocone i pomięte ciuchy leżące na krześle i zawołał w stronę drzwi:

– Masz jakieś czyste spodnie i koszulę?

– Tak – odpowiedział Bohdan. – Zobacz w szafie pod oknem! A w szufladzie znajdziesz skarpety! Nieużywane! – dodał ze śmiechem. Najwyraźniej niespodziewane towarzystwo wnuka poprawiło mu humor.

Redfern otworzył mebel i wydobył z niego wiszące na wieszaku jeansy oraz dobrał do nich jego zdaniem najmniej staroświecką koszulę w kratkę. Przerzucił ubrania przez ramię i poszedł pod prysznic, który podziałał oczyszczająco nie tylko na skórę, ale i na umysł. Niechętnie wyszedł spod ciepłego strumienia i się ubrał. Musiał użyć swojego paska, by nie zgubić spodni, które mimo upchniętej w nie koszuli zsuwały się przy każdym kroku. Postanowił, że skoro ma jechać do Londynu, to kupi parę łachów.

W drzwiach sypialni pojawił się dziadek z tacą pełną jedzenia.

– Wiesz, że już trzynasta?

Nie wiedział. Z przerażeniem stwierdził, że jego komórka się rozładowała. Poprosił Bohdana o ładowarkę i natychmiast podłączył aparat. Na ekranie wyskakiwały kolejne wiadomości o nieodebranych połączeniach. Najwięcej było z komendy, więc wybrał jej numer w pierwszej kolejności.

– Dobrze cię słyszeć – powiedziała Deborah. – Jakaś babka z Polski się do ciebie dobija od rana. Podałam jej twój numer, ale nie mogła się dodzwonić. Kazała ci przekazać, że to bardzo ważne. Masz coś do pisania?

Redfern zanotował szereg cyfr, podziękował i rozłączył się, choć wyczuł, że sekretarka miała ochotę na dłuższą rozmowę. Nie dał sobie jednak wcisnąć żadnych wyrazów współczucia i od razu zadzwonił pod kolejny numer. Ted jednak nie odebrał. Resztę połączeń uznał za mało istotne.

Zjadł z dziadkiem śniadanie. Ustalili, że na razie Redfern zamieszka u niego, choć policjant miał co do tego obawy. Pomijając niebezpieczeństwo, na jakie mógł narazić krewnego, od współlokatorów odwykł bardzo dawno temu. Odrzucając pesymistyczne scenariusze koegzystencji ze starszym człowiekiem, inspektor dokończył jeść i pojechał po ubrania. Po drodze uznał jednak, że skoro ma choć trochę zmienić image, nie powinien wybierać marketu.

Długo szukał miejsca parkingowego, choć centrum handlowe Peacock miało ich ponad dwa i pół tysiąca. Z obawą pomyślał o przeciskaniu się przez tłum spacerowiczów. Ku jego zaskoczeniu galeria była dość pusta. Wszedł do pierwszego sklepu, który na wystawie miał manekiny z najbardziej odpowiadającymi mu ubraniami. Po półgodzinie zmęczony i lżejszy o parę stów niósł papierowe torby pełne jeansów i koszulek. Zadowolony z szybkiego zakupu, skierował się do windy. Idąc bocznym korytarzem, zauważył znajomą twarz. Dziewczyna o blond włosach, która wciskała guzik, miała coś na ręce. Zatrzymał się w pół kroku, zastanawiając, do czego dopasować ten obrazek. Dopiero gdy złoty kucyk zniknął we wnętrzu windy, dotarło do niego, co właśnie zobaczył. Rzucił się biegiem na klatkę schodową.

ROZDZIAŁ XVI

Poniedziałek, 21.10.2013

– Nie mogła się pani go pozbyć, prawda? To była rodzinna – Redfern zawiesił głos, szukając słowa – pamiątka.

Bez makijażu i szykownych ubrań Teresa Miller nic nie traciła. Wyprostowana i dumna siedziała w sali przesłuchań, rzucając pełne wyniosłości spojrzenia McMahonowi. Wzroku Redferna unikała za wszelką cenę, co sprawiało, że czuł się jak sędzia walki bokserskiej.

– Doprawdy nie wiem, o czym pan mówi, inspektorze.

– Ale z pewnością pamięta pani, kiedy odwiedziłem wasz dom po raz pierwszy – ciągnął policjant – i co przerwało naszą rozmowę. Otóż Ellie weszła do pokoju, by prosić panią nie o tampon, ale o opatrunek. Wyszła z wody i poszła do domku basenowego po ręcznik. Sięgając po niego w głąb szafy, mocno się skaleczyła. Kiedy pokazałem jej rysunek noża, który Stanisław Biernat miał przy sobie w dniu śmierci, potwierdziła, że właśnie taki leżał między ręcznikami.



– Ale przecież Stanisław zostawił nóż Romkowi Madeyskiemu – powątpiewał dziadek, którego opowieść Redferna wciągnęła bez

reszty.

Siedzieli w kuchni przy partii remika, a ich jedynym świadkiem była lampa zwisająca nad stołem. Od kilku dni telefon Redferna nie milknął, więc wyłączył go i oddał się spokojnemu porankowi na Princess Road.

– Było trzech braci i trzy noże, każdy miał wybitą pierwszą literę imienia na rękojeści. Ten, który miał pan Romuald, miał F jak Feliks. Marta mówiła o L, a Teresa weszła w posiadanie tego z literą S.

– Ale jak go zdobyła?

– Trzeba się cofnąć do momentu spotkania Feliksa Biernata i Jana Jafry, gdzieś w Szkocji. Niestety dziś już się nie dowiemy, co ich wtedy poróżniło, ale musiało być na tyle poważne, że ten drugi pociągnął za spust. Feliks w ciężkim stanie został przetransportowany do Leven. Zagadką pozostaje, jak Lucjanowi udało się przenieść szczątki brata do Brookwood, ale Komisja do spraw Cmentarzy Wojennych już nad tym pracuje. – Redfern upił łyk herbaty i wyłożył na stół pierwszy sekwens.

Dziadek zaczął nerwowo przeliczać punkty w swoim wachlarzu, ale głośne cmoknięcie oznaczało, że nie doszukał się potrzebnych pięćdziesięciu jeden.

– W każdym razie po wojnie Stanisław i Lutek trafili do Tweedsmuir, a starszy z braci, zdradzony podpułkownik polskiego wojska, zaczął współpracę z angielskim wywiadem. Opuścił obóz i jako Stan Kott zajął mieszkanie w kamienicy w Hammersmith. Najprawdopodobniej działał przy operacji „Gold”. Chodziło o wykopanie tunelu do Berlina Wschodniego i założenie podsłuchu.

– Jak zatem trafił do Małego Domku?

– Tu na scenę wchodzi Lutek. W marcu pięćdziesiątego szóstego uczestniczył w niemym marszu, na którym widział Jafre. – Redfern wyciągnął książkę w granatowej oprawie i odnalazł odpowiednią stronę. Odwrócił ją w stronę Bohdana i wskazał palcem na zdjęcie z pochodu.

– A niech mnie wszyscy diabli – szepnął staruszek, a Redfern kontynuował:

– Lucjan podejrzewał, że był on związany z radzieckim wywiadem. Nie mylił się. Zaledwie miesiąc później Sowieci znaleźli niedaleko Berlina tunel i podsłuch, ale nie było to przypadkowe odkrycie. Wiedzieli o nim wcześniej od swojego szpiega, George’a Behara, który do współpracy zaciągnął Jafre. Lucjan wystraszył się, że Jafra go zobaczył. Dlatego napisał list do brata, w którym poinformował go o działaniach Jana.

– Tyle że Stanisław go nigdy nie dostał – skonstatował Bohdan. – Ten Jarząbek go nie przekazał.

– I tak, i nie. Gdy tylko Lucjan dotarł do Polski, napisał do Jarząbka, że jest bezpieczny. To był sygnał, by Paweł odszukał starszego Biernata i przekazał mu dobre wiadomości i list. – Redfern dobrał kartę, po czym wyłożył na stół kolejny sekwens i rzucił ostatnią na stos. Dziadek przeciągnął się i powiedział to, co zawsze, kiedy przegrywał:

– Zmęczony jestem, Dawidku. Przenieśmy się na fotel – zaproponował. – Chodź, Bambi.

Przy akompaniamencie człapania psich łap poszli do zalanego słońcem salonu. Październikowy mróz pokrył dachy pobliskich domów, podbijając skrzącą bielą błękit nieba. Redfern zajął krzesło przy stole, by delektować się promieniami, a Bohdan usiadł w fotelu i przystawiwszy sobie pułę, wyciągnął na niej nogi.

– Co dalej z tym listem? – zachęcił policjanta.

– Zaraz ci opowiem. Przyniosę tylko coś do picia. – Wstał i poszedł do kuchni. Tak naprawdę chciał sprawdzić, czy nikt ważny do niego nie dzwonił. Obiecał dziadkowi, że weźmie wolne i w tym czasie nie będzie odbierać telefonów, które przez ostatnią dobę nie dawały im żyć. Włączył komórkę, ściszył dźwięk i odczekał, aż połączy się z siecią. Po chwili ekran niemal eksplodował od nieodebranych połączeń i SMS-ów. Przejrzał je uważnie, ale nie znalazł wśród nich tego, na który czekał. Wrócił do pokoju, z którego rozlegało się głośnie chrapanie, dopełniane posapywaniem śpiącego w nogach staruszka Bandita. Najciszej, jak mógł, Redfern wyciągnął z tapczanu koc i nakrył nim dziadka, po czym wyszedł do kuchni.

Zebrał naczynia ze stołu i pozmywał. Zastanawiał się, czy nie przygotować obiadu, ale ostatecznie zdecydował, że po południu

zabierze dziadka na spacer i zjedzą coś w Maybury Inn. Przygotował sobie termos. Na razie chciał sobie wszystko poukładać, a miejsce, które sprzyjało rozrachunkom z życiem, było całkiem niedaleko.

Ubrał się i wsiadł do samochodu. Po kilkunastu minutach jazdy po pustych ulicach Woking zaparkował pod rzędem dumnych sosen. Słońce wciąż oświetlało marmurowe i granitowe płyty, gdy przekraczał bramę, zostawiając za sobą Cmentarz Wojskowy Brookwood. Usiadł na ławce w cieniu wysokich tui, wpatrując się w rząd zatopionych w czerni złotych liter i dat.



– Przy grobie ojca – wyznała złapana na kłamstwie Teresa. Redfern wiedział, że nie mogła spotkać Bożeny w bibliotece. Walter Miller powiedział, że kobieta szukała starych artykułów, a te mogła znaleźć wyłącznie w zbiorach Centrum Historii Surrey. Nigdy zatem jej stopa nie stanęła w wypożyczalni.

Wysłuchując się w opowieść Teresy, przyglądał się jej uważnie. Wyniosłość kobiety nie zniknęła nawet przy najtrudniejszych pytaniach i Redfern pomyślał, że ma ją na stałe przyspawaną do twarzy. Nawet teraz, gdy mówiła o morderstwie w Małym Domku, pozostawała zimna i obojętna.

– Biernat pojawił się w naszym domu późnym wieczorem. Moja mama poszła na nocną zmianę do pracy, a my z siostrą przygotowywałyśmy kolację. Ojciec wydawał się zaskoczony i spięty tą wizytą. Zaprosił jednak Biernata do ogrodu i polecił, żeby mu nie przeszkadzano. Kolacja była prawie gotowa, więc pomyślałam, że podam, póki nie wystygła. – Teresa zamilkła i wzięła łyk wody gestem polityka, który uczestniczy w debacie. – Kiedy wyszłam z tacą na patio, szarpali się z ojcem. Widziałam nóż. W pewnym momencie ojcu udało się odwrócić Biernata tyłem do siebie. Przyciągnął go do klatki piersiowej i...

– Poderżnął mu gardło – dokończył Redfern, który wciąż miał w pamięci raport antropologa. Wynikało z niego, że Stanisław Biernat zginął od bardzo głębokiego cięcia nożem. – Co było potem?

– Ojciec wyjaśnił mi, kim był mężczyzna. – Przełknęła ostatni łyk i odstawiła szklanke. – To był szpieg, który zdradził ojczyznę, a teraz przyszedł nas wydać Sowiecom. Ojciec polecił mi przynieść z garażu łopatę i worek. Bałam się, ale wykonywałam polecenia. Nigdy później nie wracaliśmy do tego, choć chciałam mu powiedzieć, jak bardzo mi zaimponował.

– Że był podwójnym agentem?

– Niech pan nie będzie śmieszny – prychnęła Teresa, wydymając wargi.

– To jak pani wyjaśni to? – Redfern podsunął jej poślizniętą kartkę, zapisaną odręcznym pismem. Kobieta w milczeniu przebiegła po niej wzrokiem, zatrzymując się na niektórych fragmentach. Jej nieprzenikniona do tej pory maska zaczynała pękać, ukazując niezdrowy rumieniec.

– Same kłamstwa – rzuciła i oddała policjantowi papier. – Skąd pan w ogóle to ma?

– List to bardzo niepewny środek przekazywania informacji – mówił spokojnie Redfern – zwłaszcza gdy przechodzi przez wiele rąk. Przekonanie się o tym kosztowało mnie dodatkową wycieczkę do Londynu. Paweł Jarząbek uległ pokusie i przeczytał wiadomość Lucjana Biernata do brata. Przeraził się i odszukał Stanisława. Wstyd mu jednak było przyznać się, że otworzył kopertę, więc przekazał wszystko ustnie, zatajając istnienie listu. Lawina ruszyła. Stanisław chciał ratować brata, ale on już wtedy nie żył. Zapewne załatwił mu to pani ojciec. W każdym razie Biernat przyjechał do Małego Domku, by się dogadać. Spotkała go śmierć.

– A ja myślałam...

– Wiem, co pani myślała. Że to Lucjan stoi za śmiercią pani ojca, ale było odwrotnie. To Jan Jafra podpisał wyrok na najmłodszego Biernata, jak i na wielu innych zagrażających jego działalności.

Przypominało to tąpnięcie pod wyburzonym wieżowcem. Po niemal słyszalnym załamaniu nastąpiła rozrywająca cisza, a po niej coraz głośniejszy trzask pękającej konstrukcji i wreszcie grom walącego się

budynku. Teresa ukryła twarz w dłoniach i szlochała głośno. Gdy nieco się uspokoiła, spojrzała na policjantów czerwonymi oczami. Redfern nie wiedział, czy wywołały to płacz czy wściekłość. Po chwili miał pewność.

– Tak, widziałam, jak ojciec zabija tego komunistę i zdrajcę – wysyczała. – A kiedy sam został zamordowany, domyśliłam się, że to sprawka jego brata, Lucjana. Tak załatwili tatę, że nawet nie wolno mi było zobaczyć go przed pogrzebem! Wie pan, że nie chcieli go pochować na cmentarzu wojskowym?! Leży pod jego płotem!

– Na tym cmentarzu leżą ludzie, którzy zginęli do tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego. Później żołnierze, niezależnie jak zasłużeni, byli chowani na cywilnym. Tak jak Edita Sedláková – powiedział Redfern.

– Co z tego? Ojciec był bohaterem – dyszała wzburzona. – Więc kiedy przyjechała ta cała Bożena i stała nad jego grobem, szczebiocząc, jak to robi *research*, wiedziałam, że nie może wyjechać z Anglii. Zniknięcie starej rozwódki bez rodziny, bo tak o sobie mówiła, nikogo by nie obeszło.

– Miała rodzinę – podrzucił McMahon, który posłał Redfernowi zdziwione spojrzenie. Inspektor zrozumiał wtedy, co Marta miała na myśli, mówiąc, że była niechcianym i niekochanym dzieckiem.

– Tak. – Skinęła głową. – Pod hotelem się okazało, że owszem, jest rozwiedziona, ale wcale nie przeszkadza jej to bzykać się z mężem. Początkowy plan zaczął się walić.

– Ale Sokolińscy ułatwili pani zadanie. Bożena, napastowana przez pani męża, wyszła wzburzona pierwsza. To była doskonała okazja, żeby ją dopaść w zaroślach Pyle Hill. Został tylko Sokoliński, ale on był wstawiony. Podzieliłyście się z siostrą robotą. Sokolińska czekała na przystanku autobusowym, a Christine po nią pojechała. Bożena ją знаła, więc chętnie skorzystała z podwózki. Tyle że pani siostra nie zawiozła jej do hotelu, tylko na Pyle Hill, i ogłuszyła. Charakterystycznego vana rozpoznał kierowca autobusu.

– Kierowca autobusu? – zdziwiła się Teresa.

– Samochód pani siostry był robiony na zamówienie pod kątem osoby niepełnosprawnej. Miał wbudowany podjazd dla wózków

inwalidzkich. Córka mojego znajomego ma taki sam i właśnie takie auto zauważył tamtej nocy kierowca autobusu.

Kobieta kręciła głową w milczeniu, jakby chciała wszystkiemu zaprzeczyć. Redfern kontynuował:

– Na początku sądziłem, że to wszystko jej robota, bo zupełnie niechcący miała pani alibi. Taksówkarz widział kobietę w Revilo, która w momencie popełniania zbrodni stała w oknie i mu się przyglądała. Do zeszłego wieczora byłem pewien, że to pani. Tyle że przypomniałem sobie pewne hobby: vlog modowy. Obejrzałem go. Na nagraniu prezentuje pani stroje na manekinie. Potem to moje spekulacje, bo pani mąż zdemontował kamery na państwa domu i zniszczył twardy dysk. Podejrzewam, że było tam widać, jak wybiegła pani za Mariuszem. Potem albo wepchnęła go pod autobus, albo zdezorientowała pijanego tak, że sam wbiegł. Następnie udała się na Pyle Hill. Jest pani biegaczką, więc to żaden wyczyn. Kazała zanieść nieprzytomną Sokolińską na środek pola i zrobiła pani dokładnie to, co pani ojciec. Dokonała egzekucji niewygodnego świadka. Jest pani sentymentalna, więc poderżnęła pani gardło nożem, który został w waszym domu po Biernacie. Nóż zachowała pani i schowała w domku przy basenie.

– W całej tej historii nie pasuje odcisk buta Sokolińskiego – wtrącił McMahon, a Teresa wyglądała, jakby wygrała los na loterii.

– Tu z pomocą przyszła Hazel Wood, sąsiadka – wyjaśnił Redfern. – Powiedziała coś, co pozornie nie miało znaczenia. Zorientowałem się podczas wizyty w galerii handlowej, a dokładnie w sklepie Sports Direct. Otóż Walter Miller zabierał chłopców na zakupy. Możliwe jest, że mieli ten sam model nike'ów, bo niedawno była ich premiera i stały na wystawie. Odcisk buta należał do Adama – podsumował. – Tak naprawdę jedyne, co mi nie pasuje, to próba gwałtu – zwrócił się do Teresy, która z każdą chwilą zapadała się w sobie coraz mocniej.

– To był pomysł Adama. Podobają mu się starsze kobiety – powiedziała z nutą niesmaku w głosie. – Więc chciał skorzystać. Ale niestety słabo to wyszło.

Odkrywanie kolejnych chorób, które toczyły tę rodzinę, napawało Redferna obrzydzeniem. Od kilku tygodni miał te wszystkie fakty przed sobą, ale nie chciały się poskładać. Albo on sam nie chciał

dopuścić do siebie takiego rozwiązania. Zupełnie jakby elementy układanki były zbudowane z magnesów – w jego głowie jedne chętnie się przyciągały, inne odpychały, choć pasowały idealnie. Zza tych myśli dobiegał go głos Teresy, która opanowała emocje i znów mówiła głosem zimnym jak nóż Biernata.

– Adam był najsilniejszy, więc wyciągnął tę wścibską zdziwę z auta i zaniósł na środek pola. Obudziła się i błagała o litość, klęcząc. Żałosna. Chciałam ją zabić tak, jak to zrobił ojciec, ale dużo przyjemniej patrzyło się jej prosto w oczy.



Redfern zastał Bohdana w kuchni nad gazetą. Popołudniowe słońce zdążyło przejść na tył domu, oświetlając głowę mężczyzny tak, że siwe kosmyki tworzyły coś na kształt aureoli. Całe pomieszczenie wypełniał zapach, który przypominał dzień przy stole Knightów i tęsknotę, którą on wywołał. Uśmiechając się do siebie, Redfern stwierdził, że bulgocząca na kuchence zupa sprawiła, że przestał tęsknić.

– Gdzie byłeś? – Dziadek nie odrywał wzroku od krzyżówki, wpisując kolejne hasło.

– W Brookwood i na małych zakupach. – Nie ściągając kurtki, postawił kilka reklamówek z Sainsbury's na blacie. – Pomyślałem, że przejdziemy się i zjemy coś po drodze.

– Nie masz dość spacerów? – Wskazał brodą czerwone dłonie policjanta.

– Nie, w porządku.

– No to zupełnie zjemy jutro – powiedział bez żalu dziadek i ruszył do swojego pokoju. Redfern myślał, że staruszek za nic nie odpuści domowego obiadu. Zauważył jednak, że odkąd mieszkają pod jednym dachem, mężczyzna stara się nie zrzędzić. Zupełnie jakby chciał tym zatrzymać wnuka przy sobie.

Policjant poszedł do auta i włączył silnik, czekając, aż Bohdan się ubierze. Po chwili zobaczył, jak dziadek zamyka drzwi i idzie w jego kierunku. Zapowiadało się miłe popołudnie. Tym większą złością zareagował na żółty bilet wciśnięty za wycieraczkę. Wsiadł z auta i wyciągnął mandat. Przerwał mu wibrujący w kieszeni telefon.

– Pan Redfern? – usłyszał, kiedy odebrał. – Mówi pan po polsku?

– Tak – powiedział, obserwując zbliżającego się dziadka.

– Nazywam się Katarzyna Sławik – mówiła kobieta. – To pan prowadzi śledztwo w sprawie Bożeny Sokolińskiej, prawda? Chodzi o to, że nie mogę się skontaktować z Martą.

– Nie bardzo rozumiem. Marta powinna być od dwóch dni w Polsce.

– Wiem, bo miałam ją odebrać z lotniska. Tyle że nie było jej w samolocie...

Kiedy Redfern skończył rozwijać papier, poczuł, jak uderza go fala gorąca. Przed oczami wirował mu odręczny napis:

NIE ZGINEŁO CI COŚ?

EPILOG

Kirkcaldy zasunęło przed sobą grubą bramę stalowego deszczu, jakby nie chciało wpuścić do siebie obcego. Redfern zastanawiał się, czy Bożena trafiłaby na taką samą atmosferyczną gościnność, gdyby udało jej się tu dotrzeć. Wciąż nie wiedział, jak wpadła na trop, jak odkryła to miejsce. Był pewien tylko jednego – nie zdążyła się tym z nikim podzielić.

Włączył wycieraczki na najwyższe obroty i brnął przez wąskie uliczki wciąż śpiącego miasteczka. Zatrzymał się dopiero na jego obrzeżach, gdzie wśród lip i brzoź schowany był niewielki domek.

W progu przywitała go niemłoda już kobieta w zielonym uniformie. Podejrzał, że była to ta sama osoba, z którą rozmawiał przez telefon. Zyskał pewność, gdy się odezwała:

– Musi pan wiedzieć, że to już końcówka i nie sądzę, by się obudził. Proszę go nie męczyć.

– Oczywiście rozumiem – odparł cicho. – Tak jak mówiłem, chciałem go tylko zobaczyć.

Kobieta poprowadziła go do pokoju w końcu korytarza. Dom różnił się od tego, w którym mieszkała Elizabeth Swan – brakowało w nim wiktoriańskich mebli i puszystych dywanów, ale nie to uderzyło inspektora. Przede wszystkim miał odmienny zapach, pachniał śmiercią. Niemal czuło się tętent uciekającego życia. Redfern szedł za pielęgniarką, mijając drzwi, za którymi każdy czekał już tylko na ostatni oddech.

Kiedy stanął przy łóżku siwego i pomarszczonego człowieka, przeszła mu pierwotna ochota na rozliczanie go z przeszłości. Wyglądał jak złamana gałązka brzoza – biała i krucha. W niczym nie przypominał przystojnego, dumnego mężczyzny ze zdjęcia, które Redfern znalazł w książce Rogalskiego. Nie mógł uwierzyć, że ten przykuty do łóżka, umierający człowiek był winien śmierci tylu osób.

– Panie Jafra, nie wiem, czy pan mnie słyszy – powiedział. Zasnuty szarością pokój wyglądał jak czyściec i inspektor poczuł się nieswojo. Mimo to mówił dalej: – Nazywam się Redfern i przyjechałem panu powiedzieć, że wszystko się udało. Ochronił pan rodzinę. Może pan ściągnąć maskę... – Zrobił krótką pauzę, myśląc o tym, jak doskonały plan utkał leżący przed nim starzec, z pewnością nie bez pomocy towarzyszy.

Pomyślał o upozorowanym napadzie i pociętej twarzy bezdomnego, którego ubrano w garnitur i płaszcz, a następnie pochowano pod płytą inkrustowaną złotymi literami. W dziewięćdziesiątym pierwszym nikt nie myślał o badaniach DNA. W dziewięćdziesiątym pierwszym Jan Jafra patrzył na ostateczny upadek komunizmu. Widział, że przeszłość wystawi wysoki rachunek. Musiał zniknąć.

– Ma pan wspaniałego wnuka – rzekł już pewniej Redfern. – Ma na imię Julian i niedługo skończy świetną szkołę wojskową. Polubiłby go pan. Drugi trochę się pogubił, ale mając pana geny, z pewnością sobie poradzi. To twarda sztuka. Chciałem, żeby pan to wiedział.

Zamknął za sobą drzwi z cichym kliknięciem. Szedł pochłoniętym szarością korytarzem. Z jednej strony czuł się lżejszy, z drugiej ciążyła mu świadomość, że nie wszystkie zbrodnie ludzi spotyka kara.

PODZIĘKOWANIA

Gdy stawiałam ostatnią kropkę w *Maskach pośmiertnych*, oprócz oczywistego pytania o jakość tekstu naszła mnie pewna refleksja. Otóż za tymi kilkoma setkami stron stoi nie tylko moja wielomiesięczna praca, na którą składały się głównie dni rwania włosów z głowy, zadumy, poszukiwań czy entuzjastycznego wklepywania znaków. Za tworzeniem tej powieści stoją ludzie, którzy byli dla mnie inspiracją, pomocą, wiedzą, a niejednokrotnie wyrocznią. Mam nadzieję, że uda mi się podziękować tutaj im wszystkim.

Na pierwszym miejscu chcę wymienić moją rodzinę, która ani na chwilę nie zwątpiła, że *Maski pośmiertnie* pojawią się na półkach w księgarni. Lena, Paweł – dziękuję Wam za wiarę, miłość i wsparcie, które stając się codziennością, wcale nie straciły na znaczeniu, a były falą, na której mogłam się unosić, gdy wszystko inne ciągnęło w dół. Kocham Was!

Mam to szczęście, że w moim życiu są osoby, które od dekad mogą tytułować przyjaciółmi. Dziękuję, że zawsze przy mnie jesteście: Asiulka Musiał, Adrian „Kostka” Kościelak (bez Ciebie, braciszku, by się nie udało!), Stefan Sliżka, Kamila Kołodziej-Chowaniec, Agnieszka Siwek, Sylwia i Krzysztof Pacierpnikowie, Agata i Marcin Borkowscy, Anna i Łukasz Królowie, Milena Hama Rahim oraz Dorota Bogacz. W tym miejscu pragnę także podziękować moim wspaniałym rodzicom, Zofii i Krzysztofowi Kwiatkowskim, którzy są

nie tylko moją przystanią, ale przede wszystkim najlepszymi przyjaciółmi – kocham Was!

Nie trzymalibyście Państwo tej powieści w dłoniach, gdyby nie moi serdeczni koledzy po piórze: nieoceniony Robert Małecki, który nie tylko podsyłał mi toruńskie pierniki (glukoza – rzecz wręcz nieodzowna przy tworzeniu), ale z uporem maniaka pytał każdego dnia, ile znaków dziś napisałam, wywołując palące wyrzuty sumienia. Robert, dzięki za każdego kopa, radę, burzę mózgow. Wspaniała Marta Matyszczak, która w momentach zwątpienia zarażała mnie optymizmem i udzielała bezcennych wskazówek. Marta, zawdzięczam Ci wiarę, że może się udać. Szczególne podziękowania kieruję również do Małgorzaty Świąteczkiej, która swoimi równie bezcennymi radami dbała nie tylko o równowagę w tej książce, ale i w moim nastroju, co jest niezbędne w pracy pisarskiej. Oby każdy autor mógł mieć takiego dobrego ducha!

Są też ludzie, którzy na chwilę pojawiają się w naszym życiu, ale zostawiają ślad tak trwały, że staje się naszym drogowskazem. Tymi osobami byli bez wątpienia moi literaccy nauczyciele: Alicja Małasiewicz, Marta Mizuro, Mariusz Czubaj, Robert Ostaszewski oraz Marcin Świetlicki, którym dziękuję za każdą cenną lekcję.

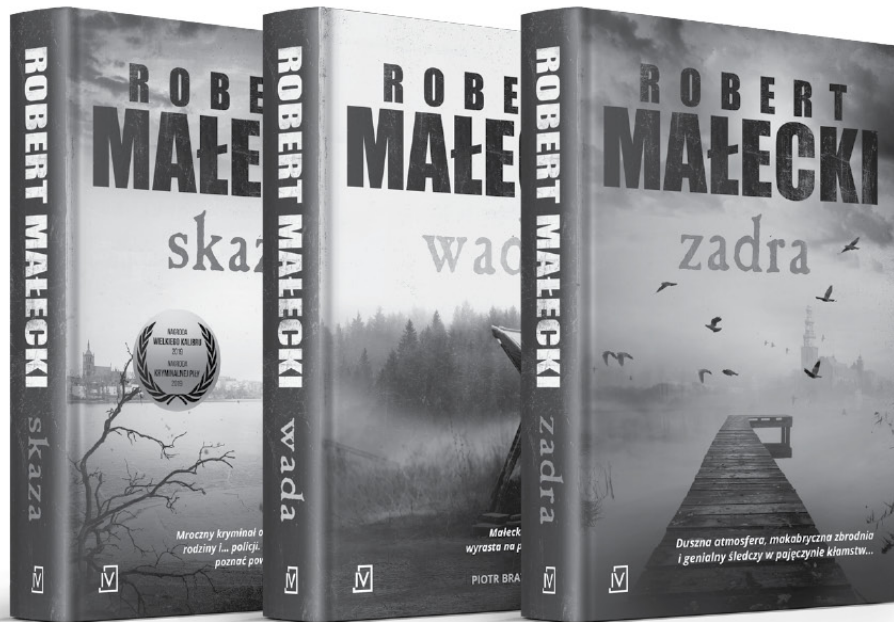
Historia ta nie powstałaby, gdyby nie opowieści ludzi, których spotkałam podczas pracy nad powieścią. *My grateful thanks for their help in my researches for this book:* Di Stiff and Surrey History Centre, Peter and Janet Young, Michelle Partner and Donna French.

Osobne podziękowania kieruję do pana Pawła Jarzabka. Pomijając fikcyjne postaci braci Biernat, w powieści pojawiają się jego autentyczne wspomnienia, które spisał on na potrzeby tej książki. Urodzony w 1925 roku pan Paweł mieszka w Woking, w domu, do którego chętnie zaprasza wszystkich chcących wysłuchać jego historii. Nigdy nie był w obozie Tweedsmuir, a jego obecność tam jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni, ponieważ nie chciałam, by jego opowieść umarła nieopowiedziana. Panie Pawle, dziękuję za podzielenie się ze mną swoją historią.

I wreszcie dziękuję Tobie, Czytelniczko i Czytelniku – za to, że spośród dziesiątek kryminałów wybrałaś właśnie tę powieść

i wspólnie z Davidem Redfernem rozwiązałeś zagadkę *Masek*.
Ukłony!

**Dusznna atmosfera,
makabryczna zbrodnia i genialny
śledczy w pajęczynie kłamstw.**



Mroczny kryminał o piekle polskiej prowincji, rodziny i... policji.
Małecki to autor, którego poznać powinien każdy fan gatunku.
Wojciech Chmielarz

Małecki z każdą kolejną książką wyrasta
na prawdziwego arcymistrza polskiego kryminału.
Piotr Bratkowski, „Newsweek”

„Skaza”, „Wada” i „Zadra” to powieści o zbrodni i dramatach zatruwających ludzkie umysły. O miłości, zemście i sprawiedliwości – niekiedy tak różnie pojmowanych. Poznaj mroczną serię kryminalną zdobywcy Nagrody Głównej Wielkiego Kalibru 2019 oraz Nagrody dla Najlepszej Polskiej Miejskiej Powieści Kryminalnej roku 2018.

**Burza niszczy to, co słabe,
robiąc miejsce na nowe.
Na lepsze.**



Rok 1980. Inga Piątkowska staje u progu dorosłego życia z niemałym bagażem doświadczeń. Choć od samobójstwa jej przyjaciela minął rok, wciąż nie może się pogodzić ze stratą.

W czasie wyjazdu służbowego młoda kobieta poznaje Brinka Speedmana. Kanadyjczyk przyjechał do Polski, aby odwiedzić nieznaną dotąd rodzinę i odnaleźć cenną pamiątkę po pradziadku. Co ciekawe, od pierwszego spotkania z Ingą mężczyzna nie może się pozbyć wrażenia, że dziewczyna wygląda dziwnie znajomo.

Gdy Speedman znika w niewyjaśnionych okolicznościach, Inga zostaje uwikłana w sprawę jego zaginięcia. Od tej pory każda z trudem zdobywana wskazówka będzie na wagę złota.

SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Polecamy również